

Tatiana de Rosnay

Klucz Sary



Tatiana de Rosnay

Klucz Sary

Przełożył Maciej Sulmicki

Tytuł oryginału: Sarah's Key

Mojej matce Stelli.

Mojej pięknej, buntowniczej Charlotte.

Pamięci mojej babci Natachy (1914-2005).

Przedmowa

Bohaterowie tej powieści to postacie całkowicie fikcyjne. Jednak niektóre z opisanych wydarzeń są prawdziwe - przede wszystkim te, mające miejsce w okupowanej Francji, latem 1942 roku, a zwłaszcza masowe aresztowania Velodrome d'Hiver, do których doszło w centrum Paryża, 16 lipca 1942.

Książka ta nie jest pracą historyczną i nie aspiruje do statusu takowej. Jest moim sposobem na złożenie hołdu dzieciom z Vel' d'Hiv'. Dzieciom, które nigdy nie wróciły.

Oraz tym, które przeżyły, by dać świadectwo.

T. de R.

Na stronie 96 znajdują się cytaty z przemowy premiera Jean-Pierre'a Raffarina, wygłoszonej 21 lipca 2002, podczas obchodów sześćdziesiątej rocznicy Vel' d'Hiv'.

Mój Boże! co ten kraj robi ze mną? Skoro odrzucił mnie, spójrzmy na niego chłodno, patrzmy, jak traci swój honor i ginie.

Irenę Nemirovsky, Francuska suita (1942)

O Tygrysie, w gęstwinie nocy Gorejący, jakiej mocy Nieśmiertelna dłoń
lub oczy Mogły stworzyć twej symetrii grozę?

William Blake, Pieśni doświadczenia

(przeł. - Roman Klewin, za: S. Barańczak, Ocalone w tłumaczeniu, a5
Poznań 1992, s.49)

Paryż, lipiec Dziewczynka pierwsza usłyszała głośnie walenie do drzwi. Jej pokój znajdował się najbliżej wejścia do mieszkania. Na początku, zaspana, myślała, że to ojciec wraca z ukrycia w piwnicy. Zapomniał kluczy i niecierpliwiał się, że nikt nie usłyszał cichego pukania. Wtedy usłyszała głos, donośny i brutalny w głuszy nocy. Na pewno nie przypominał głosu ojca. „Policja! Otwierać! Natychmiast!”. W mieszkaniu znów rozbrzmiało dobijanie się do drzwi, tym razem głośniejsze. Czowała je w całym ciele, aż do szpiku kości. Jej młodszy brat poruszył się przez sen w sąsiednim łóżku. „Policja!

Otwierać! Otwierać!”. Próbowała zorientować się, która może być godzina. Spojrzała przez okno. Na dworze wciąż było ciemno.

Bała się. Pamiętała kilka cichych rozmów, podsłuchanych niedawno późno w nocy, kiedy rodzice myśleli, że już śpi. Podkradła się wtedy do drzwi dużego pokoju i słuchała, patrząc przez niewielką szparę między deskami. Nerwowy głos ojca.

Zaniepokojona twarz matki. Mówili swoim rodzimym językiem, który dziewczynka rozumiała, choć nie mówiła nim równie płynnie. Ojciec szeptał, że nadchodzą ciężkie czasy, że będą musieli być dzielni i bardzo ostrożni. Używał dziwnych, nieznanymi słów: „obozy”, „aresztowania, masowe aresztowania”, „obławy o świcie”.

Dziewczynka zastanawiała się, co one wszystkie znaczą. Ojciec powiedział cicho, że zagrożeni są jedynie mężczyźni, a nie kobiety i dzieci, więc co noc będzie się ukrywał w piwnicy.

Rano wyjaśnił dziewczynce, że dla bezpieczeństwa przez jakiś czas będzie sypiał na dole. Dopóki się nie uspokoi. Co dokładnie ma się uspokoić? - zastanawiała się dziewczynka. Na czym polegał ten spokój? Kiedy to coś będzie znowu spokojne?

Chciała się dowiedzieć, co znaczyły te „obozy” i „obławy”, o których mówił, ale bała się przyznać, że podsłuchiwała rodziców, i to kilkakrotnie. Nie odważyła się więc zadać pytania.

- Otwierać! Policja!

Czy policjanci znaleźli tatę w piwnicy? Czy dlatego tu przyszli? Czy zabiorą go do miejsca, o którym wspominał szeptem o północy, do jednego z odległych obozów poza miastem?

Dziewczynka pospiesznie, ale bezszelestnie podreptała do pokoju matki na końcu korytarza. Matka obudziła się od razu, gdy tylko poczuła dłoń na swoim ramieniu.

- To policja, maman - szepnęła dziewczynka. - Dobijają się do drzwi.

Matka wysunęła nogi spod kołdry i odgarnęła włosy z czoła. Dziewczyńce wydawało się, że wygląda na zmęczoną, sprawia wrażenie starej, jakby miała znacznie więcej niż trzydzieści lat.

- Czy przyszli zabrać tatę? - głos dziewczynki był rozpaczliwy, trzymała matkę za rękę. - Czy przyszli po niego?

Matka nie odpowiedziała. Na korytarzu znowu słychać było głośne rozkazy.

Pospiesznie założyła szlafrok, po czym wzięła dziewczynkę za rękę i podeszły do drzwi. Miała gorącą i spoconą dłoń. Jak u dziecka, pomyślała dziewczynka.

- Słucham - powiedziała nieśmiało matka, nie odsuwając zasuwki.

Męski głos wykrzyknął jej imię i nazwisko.

- Tak, monsieur, to ja - odpowiedziała. Wyraźnie słychać było jej akcent.

- Otwierać. Natychmiast. Policja.

Matka ukryła twarz w dłoniach. Dziewczynka zauważyła, że jest strasznie blada.

Matka znieruchomiała. Wydawała się wyczerpana, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Dziewczynka nigdy nie widziała takiego strachu na twarzy matki. Była zrozpaczona, czuła suchość w ustach.

Mężczyźni znowu zaczęli dobijać się do drzwi. Matka otworzyła je niezdarnymi, drżącymi rękami. Dziewczynka wzdygnęła się, spodziewając się

widoku szarozielonych mundurów.

Za drzwiami stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był policjantem, ubranym w ciemnoniebieską długą do kolan pelerynę i cylindryczną czapkę z daszkiem. Drugi miał na sobie beżowy płaszcz przeciwdeszczowy. W rękę trzymał listę. Raz jeszcze odczytał imię i nazwisko matki. Następnie ojca. Mówił płynną francuszczyzną.

Zatem jesteśmy bezpieczni, pomyślała dziewczynka. Jeśli są Francuzami, a nie Niemcami, nic nam nie grozi. Jeśli są Francuzami, nie zrobią nam nic złego.

Matka przyciągnęła dziewczynkę do siebie. Przez szlafrok czuć było, jak wali jej serce. Dziewczynka chciała odepchnąć matkę, chciała, aby jej matka wyprostowała się i spojrzała mężczyznom prosto w oczy, aby przestała się kulić ze strachu, aby powstrzymała serce, które łomotało jak u przestraszonego zwierzęcia. Chciała, aby jej matka była odważna.

- Mojego męża... nie ma w domu - wyjąkała matka. - Nie wiem, gdzie jest. Nie wiem.

Mężczyzna w beżowym płaszczu odepchnął je i wszedł do mieszkania.

- Niech się madame pospieszy. Macie dziesięć minut. Spakujcie parę ubrań. Tyle, aby wystarczyło na kilka dni.

Matka wciąż stała w miejscu. Patrzyła szeroko otwartymi oczami na policjanta, stojącego na klatce, tyłem do drzwi. Wydawał się obojętny, znudzony. Położyła rękę na jego granatowym rękawie.

- Proszę pana, proszę... - zaczęła.

Policjant obrócił się, strącając jej dłoń. Obrzucił matkę i dziewczynkę zimnym pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

- Słyszała pani? Idzie pani z nami. Córka też. Proszę wykonywać polecenia!

Paryż, maj 2 Bertrand spóźniał się jak zwykle. Nie chciałam mieć mu tego za złe, ale bez powodzenia. Znudzona Zoe opierała się o ścianę. Przypominała

swojego ojca do tego stopnia, że czasem aż mnie to bawiło. Jednak dzisiaj nie było mi do śmiechu.

Podniosłam wzrok, by spojrzeć na stary wysoki budynek. Mieszkanie Marne - stare mieszkanie babki Bertranda. Mieliśmy tu zamieszkać, opuścić hałaśliwy boulevard du Montparnasse z nieustannym wyciem karetek pędzących do jednego z trzech pobliskich szpitali, kafejki i restauracje i zamieszkać w tej cichej, wąskiej uliczce na prawym brzegu Sekwany.

Nie znałam zbyt dobrze dzielnicy Marais, choć podziwiałam jej nieco sypiące się piękno. Czy byłam zadowolona z przeprowadzki? Trudno powiedzieć. Bertrand tak naprawdę nie spytał mnie o zdanie. W zasadzie prawie w ogóle nie omówiliśmy zasadności tej decyzji. Bertrand, tak jak miał to w zwyczaju, po prostu zabrał się do roboty. Beze mnie.

- Jest - powiedziała Zoe. - Spóźnił się tylko pół godziny.

Patrzyłyśmy, jak Bertrand idzie ulicą swoim charakterystycznym zmysłowym krokiem. Smukły, ciemnowłosy, seksowny, archetypiczny Francuz. Jak zwykle rozmawiał przez telefon. Za nim widać było brodate zaróżowione oblicze jego współnika, Antoine'a. Mieli biuro na rue de l'Arcade, tuż za kościołem Madeleine.

Bertrand pracował w pracowni architektonicznej jeszcze przed naszym ślubem, a własną założył z Antoine'em pięć lat temu.

Bertrand pomachał do nas, po czym wskazał na telefon, marszcząc brwi i kręcąc głową.

- Jakby nie mógł powiedzieć, że musi kończyć - powiedziała zgryźliwie Zoe. - Jasne.

Zoe miała zaledwie jedenaście lat, ale chwilami wydawało się, że jest już nastolatką.

Po pierwsze, ze względu na wzrost - górowała nad wszystkimi koleżankami. Stopami też je przerastam, dodawała ponuro. A po drugie, z powodu pewnego przedwczesnego blasku, który nieraz powodował, że zapierało

mi dech w piersiach.

Było coś dojrzałego w jej poważnym spojrzeniu piwnych oczu i w jej sposobie podnoszenia brody, gdy była zamyślona. Widziałam to od zawsze, nawet we wczesnym dzieciństwie. Spokojna, dojrzała, czasem zbyt dojrzała jak na swój wiek.

Antoine przyszedł przywitać się z nami, podczas gdy Bertrand rozmawiał dalej, dostatecznie głośno, by słyszała go cała ulica, wymachiwał przy tym rękami, krzywiąc się i obracając od czasu do czasu, by nabrać pewności, że wsłuchujemy się w każde jego słowo.

- Ma problem z kolegą po fachu - wyjaśnił Antoine, uśmiechając się dyskretnie.

- Konkurencja? - spytała Zoe.

- Tak, konkurencja - odparł Antoine. Zoe westchnęła.

- To znaczy, że możemy tu stać przez cały dzień. Wpadłam na pewien pomysł.

- Antoine, czy masz może klucz do mieszkania madame Tezac?

- Owszem, mam, Julio - rzekł z uśmiechem. Antoine zawsze odpowiadał po angielsku na moje wypowiedzi po francusku. Pewnie robił to, bo chciał być miły, jednak efekt był odwrotny do zamierzonego. Wydawało mi się, że mój francuski wciąż nie był na odpowiednim poziomie, mimo że mieszkałam tu od tak dawna.

Antoine zamaszyście wyjął klucz. Postanowiliśmy wejść we trójkę na górę. Zoe wystukała swoimi zwinnymi palcami kod w domofonie. Przez chłodne zasypane liśćmi podwórko poszliśmy do windy.

- Nie cierpię tej windy - powiedziała Zoe. - Papa powinien coś z nią zrobić.

- Kochanie - zwróciłam uwagę - on remontuje mieszkanie twojej prababci, a nie cały budynek.

- I tak powinien coś z nią zrobić.

Gdy czekaliśmy na windę, moja komórka zabrzmiała motywem z Gwiezdných wojen. Spojrzałam na numer mrugający na wyświetlaczu. Dzwonił Joshua, mój szef.

- Co tam? - odebrałam.

Joshua mówił zwięźle i dorzecznie. Jak zwykle.

- Jesteś potrzebna przed trzecią. Kończymy numer lipcowy. Bez odbioru.

- Gee whiz, o kurczę - powiedziałam bezceremonialnie. Usłyszałam śmiech po drugiej stronie linii. Joshua zawsze lubił, gdy mówiłam gee whiz. Może przypominało mu to młodzińcze lata. Antoine wydawał się rozbawiony moimi staromodnymi amerykańskimi. Wyobraziłam go sobie, jak na osobności próbuje je powtarzać z tym swoim francuskim akcentem.

Winda była z gatunku tych, które można znaleźć tylko w Paryżu: miała małą kabinę zamykaną przesuwaną ręcznie żelazną kratą i podwójnymi drewnianymi drzwiami wahadłowymi, które za każdym razem zamykały się na tobie. Ściśnięta pomiędzy Zoe a Antoine'em - muszę przyznać, że nieco przesadzał ze swoją wodą kolońską marki Vetiver - zerknęłam na swoją twarz w lustrze, gdy winda unosiła nas w górę. Sprawiałam wrażenie równie zmęczonej i zużytej jak ta skrzypiąca winda.

Gdzie się podziała młodzińcza piękność z Bostonu w stanie Massachusetts?

Kobieta, która spoglądała na mnie z lustra, była w tym okropnym wieku przed pięćdziesiątką, tej ziemi niczyjej wiotczej skóry, nadchodzących zmarszczek i skradającej się menopauzy.

- Mnie też się ta winda nie podoba - powiedziałam ponuro. Zoe uśmiechnęła się szeroko i uszczypnęła mnie w policzek.

- Mamo, nawet Gwyneth Paltrow wyglądałaby w tym lustrze jak strach na wróble.

Musiałam się uśmiechnąć. Cała Zoe.

Matka zaczęła szlochać, najpierw cicho, a potem coraz głośniej.

Dziewczynka patrzyła na nią oszołomiona. Nigdy przez dziesięć lat życia nie widziała płaczącej matki. Patrzyła z konsternacją na jej łzy spływające po bladej twarzy. Chciała jej powiedzieć, żeby przestała; nie mogła znieść wstydu, jaki przynosił widok matki pociągającej nosem przed tymi nieznanymi mężczyznami. Ale oni nie zwracali uwagi na te łzy. Kazali jej się pospieszyć. Nie było czasu do stracenia.

W sypialni chłopczyk nadal spał.

- Ale gdzie chcecie nas zabrać? - spytała błagalnym tonem matka. - Moja córka jest Francuzką. Urodziła się w Paryżu. Dlaczego ją też chcecie wziąć? Gdzie chcecie nas zabrać?

Mężczyźni milczeli. Byli niemymi, złowieszczymi postaciami górującymi nad głową dziewczynki. W oczach matki widać było strach. Poszła do sypialni i opadła na łóżko. Po kilku sekundach wyprostowała się i zwróciła do dziewczynki szeptem, prawie nie poruszając ustami:

- Obudź brata. Oboje macie się ubrać. Weź trochę ubrań dla siebie i dla niego.

Szybko! Szybko, już!

Brat zaniemówił ze strachu, gdy wyjrzał zza drzwi i zobaczył dwóch mężczyzn.

Patrzył, jak jego roztrzęsiona, łkająca matka próbuje się pakować. Zebrał całą siłę swojego czteroletniego ciała i odmawiał wykonania jakiegokolwiek ruchu.

Dziewczynka próbowała go przekonać, ale nie słuchał. Stał nieruchomo z rączkami skrzyżowanymi na piersi.

Dziewczynka zdjęła nocną koszulę, pospiesznie wcisnęła się w bawełnianą bluzkę i spódniczkę. Wsunęła stopy do butów. Brat patrzył, jak się ubiera. Oboje słyszeli dochodzący z pokoju matki płacz.

- Idę do naszej tajnej kryjówki - szepnął.

- Nie! Idziesz z nami, musisz pójść z nami!

Złapała go, jednak wyślizgnął jej się z rąk i na czworakach przedostał do długiej, głębokiej szafki ukrytej w ścianie ich sypialni. Często się w niej bawili. Chowali się tam, zamykali na klucz i czuli, jakby to był ich własny mały dom. Maman i papa znali tę kryjówkę, ale zawsze udawali, że nic nie wiedzą. Wykrzykiwali imiona dzieci i mówili wesoło: „Och, gdzie mogły się podziać te dzieci? Jakie to dziwne - przed chwilą jeszcze tu były!”. A ona wraz z bratem chichotała radośnie w ukryciu.

Mieli tam latarkę, parę poduszek, kilka zabawek i książek, a nawet butelkę, którą maman codziennie napełniała wodą. Braciszek nie umiał jeszcze czytać, więc dziewczynka czytała mu na głos Małego, dobrego diabełka. Uwielbiał opowieść o sierocie Karolku i okropnej madame Mac'miche, a szczególnie to, jak Karolek zemścił się za wszystkie jej okrucieństwa. Dziewczynka czytała mu to opowiadanie wiele razy.

Widziała, jak twarzyczka brata patrzy na nią z mroku. Przytulony do swojego ulubionego misia chłopiec już się nie bał. Może rzeczywiście byłby tam bezpieczny.

W końcu miał wodę i latarkę. Poza tym mógłby przeglądać obrazki w książce hrabiny de Segur - najbardziej lubił ten, który przedstawiał wspaniałą zemstę Karolka. Może powinna go tam na razie zostawić. Mężczyźni na pewno go tu nie znajdą. A kiedy później w ciągu dnia pozwolą im już wrócić do domu, wypuści go. Poza tym papa, kiedy w końcu wyjdzie z piwnicy, będzie wiedział, gdzie szukać chłopca.

- Boisz się? - spytała cicho. W tej samej chwili mężczyźni zawołali ponagłająco.

- Nie - odpowiedział. - Nie boję się. Zamknij mnie tu. Nie znajdą mnie.

Zamykając drzwiczki, zasłoniła drobną białą twarz, po czym obróciła klucz w zamku i wsunęła go do kieszeni. Zamek był schowany za mechanizmem obrotowym udającym włącznik światła. Dostrzeżenie w boażeni konturów szafki było niemożliwe. Tak, tam będzie bezpieczny. Była tego

pewna.

Dziewczynka wyszeptała jego imię i przyłożyła dłoń do drewna.

- Wrócę po ciebie później. Obiecuję.

Weszliśmy do mieszkania. Wielokrotne pstrykanie wyłącznikami światła nie odniosło żadnego skutku. Antoine otworzył kilka okiennic. Do środka wlało się światło słoneczne. Pokoje były puste i zakurzone. Pozbawiony mebli duży pokój sprawiał wrażenie ogromnego. Złociste promienie kierowały się ukosem przez wysokie brudne tafle szyb na ciemnobrązowy parkiet.

Rozejrzałam się po pustych półkach i ciemniejszych prostokątach na ścianach, zaznaczających miejsca, w których jeszcze niedawno wisiały piękne obrazy.

Przyjrzałam się marmurowemu kominkowi, w którym widziałam płomień rozpalanego zimą ognia. Pamiętałam też Marne wyciągającą delikatne, blade ręce w stronę ciepła.

Podeszłam do jednego z okien i wyjrzałam na ciche zielone podwórko. Byłam zadowolona, że Marne nie widziała swojego mieszkania opróżnionego. Ten widok zasmuciłby ją, tak jak mnie.

- Wciąż pachnie Marne - powiedziała Zoe - i Shalimarem.

- I tą straszną Minette - dodałam, marszcząc nos. Minette była ostatnim zwierzęciem Marne - rozpuszczonym kotem syjamskim.

Antoine spojrzał na mnie, zdziwiony.

- Kotką wyjaśniłam. Tym razem użyłam angielskiego. Oczywiście wiedziałam, że kotka po francusku to ta chatte, lecz słowo to mogło też oznaczać żeńskie narządy płciowe. A ostatnią rzeczą, jaką chciałam usłyszeć, był głośny śmiech Antoine'a wywołany jakąś dwuznacznością.

Antoine oceniał lokal okiem profesjonalisty.

- Instalacja elektryczna jest przestarzała - powiedział, wskazując na staroświeckie bezpieczniki z białej porcelany. - Zresztą grzewcza też.

Łuszcząca się farba na okazałych rozmiarów kaloryferach była przykryta

grubą warstwą kurzu.

- Poczekaj, aż zobaczysz kuchnię i łazienki - odpowiedziałam.

- Wanna stoi na pazurach - wtrąciła się Zoe. - Będzie mi ich brakowało.

Antoine badał ściany, obstukując je ręką.

- Zapewne chcecie z Bertrandem przerobić je całkowicie? - spytał, patrząc na mnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Tak naprawdę nie wiem, co Bertrand chce zrobić. Przeprowadzenie się tutaj było jego pomysłem. Mnie to aż tak nie kręciło. Skłaniałam się raczej ku czemuś bardziej... praktycznemu. Czemuś nowemu.

Antoine uśmiechnął się szeroko.

- Ależ gdy je wykończymy, będzie nowiuteńkie.

- Być może. Ale dla mnie będzie to zawsze mieszkanie Marne.

Wciąż można było wyczuć jej obecność, mimo że przeprowadziła się do domu spokojnej starości dziewięć miesięcy temu. Babka mojego męża mieszkała tu od lat.

Pamiętałam nasze pierwsze spotkanie szesnaście lat temu. Byłam pod wrażeniem obrazów starych mistrzów, marmurowego kominka, na którym stały rodzinne zdjęcia oprawione w ozdobne ramy ze srebra, prostych, a jednak eleganckich mebli, rozlicznych książek stojących w szeregach na półkach biblioteki i wielkiego fortepianu przykrytego miękkim czerwonym aksamitem. To tutaj po raz pierwszy ją zobaczyłam, po raz pierwszy podałam jej rękę, wciąż czując się niezręcznie z tym, co moja siostra Charla, nazwała „tym ciągłym francuskim obcałowywaniem”.

Paryżance nie podawało się dłoni, nawet jeżeli widziało się ją po raz pierwszy w życiu. Całowało się ją, raz w każdy policzek.

Wtedy jeszcze tego nie wiedziałam.

Mężczyzna w brązowym płaszczu raz jeszcze przyjrzał się liście.

- Zaraz - powiedział - brakuje jednego dziecka. Chłopca. Odczytał jego

imię.

Dziewczyńce serce stanęło w gardle. Matka spojrzała na nią. Dziewczynka przyłożyła palec do ust na tyle szybko, by nie dostrzegli tego mężczyźni.

- Gdzie jest chłopiec? - głos mężczyzny nie znosił sprzeciwu. Dziewczynka zrobiła krok naprzód, załamując ręce.

- Mojego brata tu nie ma, monsieur - powiedziała swoją doskonałą francuszczyzną, językiem osoby tutejszej. - Wyjechał na początku miesiąca z paroma kolegami. Na wieś.

Mężczyzna w płaszczu przyjrzał się jej uważnie, po czym skinął pospiesznie na policjanta.

- Przeszukaj mieszkanie, byle szybko. Być może ojciec też się tu ukrywa.

Policjant zaczął przeszukiwać mieszkanie, pokój po pokoju, niezdarnie otwierając drzwi, zaglądając pod łóżka i do szaf.

Wsluchując się w odgłosy dochodzące z kolejnych pokoi, mężczyzna w płaszczu chodził w kółko. W chwili gdy był odwrócony plecami, dziewczynka szybkim ruchem pokazała matce klucz. Papa przyjdzie i go zabierze, papa przyjdzie po niego, powiedziała bezgłośnie. Matka kiwnęła głową. Dobrze, zdawała się mówić, rozumiem, gdzie jest chłopiec. Jednak po chwili zmarszczyła brwi, obróciła dłoń, jakby przekręcała klucz - gdzie zostawić klucz papie, skąd będzie wiedział, gdzie go szukać? Mężczyzna obrócił się gwałtownie i zaczął im się przyglądać. Matka znieruchomiała. Dziewczynka drżała ze strachu.

Patrzył na nie uważnie przez jakiś czas, po czym nagle zamknął okno.

- Proszę pana - powiedziała matka - tu jest tak gorąco. Mężczyzna się uśmiechnął.

Dziewczynka nigdy nie widziała okropniejszego uśmiechu.

- Musimy je zamykać, madame - odpowiedział. - Dziś rano pewna pani wyrzuciła swoje dziecko przez okno, po czym sama wyskoczyła. Nie

chcielibyśmy, aby to się powtórzyło.

Matka nic nie odpowiedziała, oniemiała ze strachu. Dziewczynka patrzyła złowrogo na mężczyznę. Nienawidziła go, nienawidziła z całej duszy. Nienawidziła jego zaczerwienionej twarzy, jego wilgotnych ust, jego chłodnego martwego spojrzenia, gdy tak stał z rozstawionymi nogami, w filcowym kapeluszu zsuniętym na oczy i z rękami założonymi za plecami.

Nienawidziła go z całej siły, tak jak jeszcze nie zdarzyło jej się w całym życiu, nienawidziła go bardziej niż tego okropnego chłopca ze szkoły, tego Daniela, który szeptał jej na przerwach okropne rzeczy, straszne rzeczy o akcencie jej matki, o akcencie jej ojca.

Słuchała, jak policjant niezdarnie kontynuował przeszukiwanie mieszkania. Nie znajdzie chłopca. Szafka była zbyt dobrze schowana. Chłopiec będzie bezpieczny.

Nigdy go nie znajdą. Nigdy.

Policjant wrócił. Wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

- Nikogo tu nie ma - stwierdził.

Mężczyzna w płaszczu popchnął matkę w stronę drzwi. Kazał oddać sobie klucze.

Matka przekazała je w milczeniu. Zeszli ze schodów w szeregu, spowolnieni torbami i pakunkami niesionymi przez matkę. Dziewczynka myślała pospiesznie: jak może przekazać klucz ojcu? Gdzie powinna go zostawić? U dozorczyńni? Czy o tej porze będzie już na nogach?

O dziwo, dozorczyńni już wstała i czekała za swoimi drzwiami. Dziewczynka dostrzegła dziwny wyraz jej twarzy, jakby scena, której się przyglądała, napawała ją satysfakcją. Skąd taka mina? pomyślała dziewczynka. Dlaczego nawet nie spojrzy na matkę ani na nią, a tylko na mężczyznę, jakby udawała, że nie widzi ich obu, jakby nigdy ich nie znała. A przecież matka zawsze była dla tej pani miła, od czasu do czasu opiekowała się jej dzieckiem, malutką Suzanne, która często płakała z powodu bólu brzucha, a matka była

taka cierpliwa, śpiewała Suzanne w swoim rodzimym języku, bez końca, a dziecko to uwielbiało i zasypiało spokojnie.

- Czy wie pani, gdzie jest ojciec i syn? - spytał policjant, przekazując dozorczyńni klucze do mieszkania.

Kobieta wzruszyła ramionami. Wciąż nie patrzyła na dziewczynkę ani na jej matkę.

Schowała klucze do kieszeni pospiesznym łapczywym ruchem, który nie spodobał się dziewczynce.

- Nie - powiedziała policjantowi. - Męża nie widywałam ostatnio zbyt często. Może się ukrywa z chłopcem. Mogą panowie sprawdzić w piwnicach albo w pokojach gospodarczych na strychu. Mogę panom pokazać.

Niemowlę w małym mieszkaniu zaczęło kwilić. Dozorczyńni obejrzała się przez ramię.

- Nie mamy czasu - powiedział mężczyzna w płaszczu. - Jest jeszcze dużo do zrobienia. Wrócimy później, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Dozorczyńni poszła po płaczące dziecko i przycisnęła je do piersi. Powiedziała, że wie o innych rodzinach w sąsiednim budynku. Wymieniła ich nazwiska z niesmakiem, jakby wymawiała przekleństwo, pomyślała dziewczynka, jedno z tych brzydkich słów, których nigdy nie powinno się używać.

Bertrand w końcu schował telefon do kieszeni i skierował uwagę na mnie.

Uśmiechnął się w swój czarujący sposób. Dlaczego mam tak nieskończenie atrakcyjnego męża, pomyślałam po raz nty. Dawno, dawno temu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, na nartach w Courchevel, we francuskich Alpach, miał jeszcze chłopięcą urodę. Teraz, w wieku czterdziestu siedmiu lat, był masywniejszy i silniejszy. Epatował męskością, „francuskością” i klasą. Był jak dobre wino, dojrzewające z wdziękiem i mocą, podczas gdy ja sama czułam się, jakbym utraciła swoją młodość gdzieś pomiędzy rzeką Charles a Sekwaną, przy czym raczej nie rozkwitałam w wieku średnim. Jeżeli srebrne włosy i

zmarszczki zdawały się podkreślać urodę Bertranda, byłam pewna, że mojej nie służą.

- No i? - powiedział, chwytając mnie niedbale zaborczą ręką za tyłek, nie zastanawiając się nad spojrzeniami współnika czy naszej córki. - Czyż nie jest wspaniale?

- Wspaniale - powtórzyła Zoe. - Antoine właśnie powiedział, że wszystko trzeba zrobić od nowa. Co znaczy, że pewnie nie wprowadzimy się tu przez kolejny rok.

Bertrand roześmiał się. Był to wyjątkowo zaraźliwy śmiech, coś pomiędzy hieną a saksofonem. Na tym polegał problem z moim mężem. Uwielbiał korzystać do granic możliwości ze swojego odurzającego uroku. Zastanawiałam się, po kim go miał. Po rodzicach: Collette i Edouardzie? Szalenie bystry, wytworni, odcytani. Ale nie czarujący. Siostrach, Cecile i Laure? Dobrze wychowane, błyskotliwe, o nienaganych manierach. Ale śmiały się tylko wtedy, gdy uważały, że wypada. Zatem zapewne miał go po Marne - buntowniczej, niepokornej Marne.

- Antoine jest strasznym pesymistą - roześmiał się Bertrand. - Będziemy tu mieszkać już wkrótce. Jest dużo do zrobienia, ale zatrudnię do tego najlepsze ekipy.

Poszliśmy za nim długim wyłożonym skrzypiącą klepką korytarzem, by obejrzeć sypialnie, których okna wychodziły na ulicę.

- Tej ściany trzeba się pozbyć - oznajmił Bertrand, wskazując palcem, a Antoine przytaknął. - Kuchnia musi być bliżej. W innym przypadku nasza droga panna Jarmond uzna ją za impractical.

Powiedział „niepraktyczną” po angielsku, mrugając do mnie frywolnie i pokazując palcami małe cudzysłowy w powietrzu.

- Całkiem spore to mieszkanie - zwrócił uwagę Antoine.

- Zdecydowanie robi wrażenie.

- Teraz tak, lecz dawniej było dużo mniejsze, znacznie skromniejsze -

odpowiedział

Bertrand. - Moim dziadkom nie żyło się łatwo. Dziadek zarabiał niewiele. Dopiero w latach sześćdziesiątych zaczęło mu się lepiej wieść, wtedy kupił mieszkanie po drugiej stronie korytarza i je przyłączył.

- Czyli kiedy grandpere, dziadek, był dzieckiem, mieszkał w tej małej części? - spytała Zoe.

- Zgadza się - powiedział Bertrand. - W tej oto części. To był pokój rodziców, a on spał tutaj. Miał znacznie mniej miejsca.

Antoine pukał w ścianę, zamyślony.

- Tak, wiem, o czym myślisz - uśmiechnął się Bertrand.

- Chcesz połączyć te dwa pokoje, prawda?

- Prawda! - przyznał Antoine.

- To nie jest zły pomysł, choć trzeba go jeszcze przemyśleć. Jest tu kłopotliwy kawałek ściany, później ci pokażę. Gruba boazeria, rury i tym podobne w środku. Nie jest to takie proste, jak się wydaje.

Spojrzałam na zegarek - wpół do trzeciej.

- Muszę iść - stwierdziłam. - Mam spotkanie z Joshua.

- A co robimy z Zoe? - spytał Bertrand. Zoe westchnęła i pokręciła głową.

- Wiesz, tato, mogę z powrotem do Montparnasse pojechać autobusem.

- A co z lekcjami? Kolejne westchnienie.

- Tato! Jest środa. W środy po południu nie ma zajęć, pamiętasz?

Bertrand podrapał się w głowę.

- Za moich czasów...

- Nie było lekcji w czwartki, mieliśmy wolne czwartki - wyrecytowała Zoe.

- Absurdalne francuskie szkolnictwo - westchnęłam. - A do tego jeszcze zajęcia w sobotnie poranki!

Antoine zgodził się ze mną. Jego syn chodził do prywatnej szkoły, gdzie nie było zajęć w sobotnie przedpołudnia. Ale Bertrand - jak jego rodzice - był

zagorzałym zwolennikiem francuskiego systemu edukacji. Chciałam umieścić Zoe w dwujęzycznej szkole, których było w Paryżu kilka, lecz klan Tezaców nigdy by na to nie przystał. Zoe była Francuzką, urodzoną we Francji. Miała pójść do francuskiej szkoły. Obecnie uczęszczała do liceum Montaigne'a, nieopodal Ogrodu Luksemburskiego. Tezacowie wciąż zapominali, że Zoe ma amerykańską matkę. Na szczęście Zoe mówiła doskonale po angielsku. Zawsze mówiłam do niej w tym języku, a ponadto dostatecznie często jeździła do Bostonu, w odwiedziny do moich rodziców. Większość wakacji spędzała na Long Island, z moją siostrą Charlą i jej rodziną.

Bertrand obrócił się w moją stronę. W jego oczach widać było błysk, który wzbudzał we mnie czujność, mógł bowiem oznaczać, że za chwilę będzie bardzo śmieszny lub bardzo okrutny, jeśli nie jedno i drugie. Antoine najwyraźniej również znał ten wyraz twarzy, sądząc po tym, jak intensywnie zaczął się przypatrywać swoim skórzanym mokasynom z frędzlami.

- No tak, oczywiście wiemy, co panna Jarmond myśli o naszych szkołach, naszych szpitalach, naszych niekończących się strajkach, naszych długich wakacjach, naszych wodociągach, naszej poczcie, naszej telewizji, naszych politykach, naszym psim gównie na chodnikach - powiedział Bertrand, pokazując idealne zęby w uśmiechu skierowanym w moją stronę. - Słyszeliśmy to już tak wiele, wiele razy, prawda?

Lubię być w Ameryce, wszystko jest takie czyste w Ameryce, wszyscy zbierają psie gówna w Ameryce!

- Tato, przestań, zachowujesz się ordynarnie! - powiedziała Zoe, biorąc mnie za rękę.

Gdy znalazła się na dworze, dziewczynka zobaczyła wychylającego się z okna, ubranego w piżamę sąsiada. Był bardzo miły i uczył muzyki. Grał na skrzypcach i lubiła go słuchać. Często grał dla niej i jej brata przez podwórko stare francuskie piosenki, typu „Sur le pont d'Avignon” czy „A la claire fontaine”, jak i piosenki z kraju rodziców, do których zawsze wesoło tańczyli.

Pantofle matki ślizgały się po deskach podłogi, a ojciec obracał matką w kółko i w kółko, aż wszystkim kręciło się w głowie.

- Co robicie? Dokąd je zabieracie? - zawołał.

Jego głos rozniósł się po podwórku, przygłuszając krzyk dziecka. Mężczyzna w płaszczu nie odpowiedział.

- Przecież nie możecie tego zrobić. To dobrzy uczciwi ludzie! Nie możecie tego zrobić!

Dźwięk głosu nauczyciela przywołał sąsiadów do okien - okiennice zaczęły się rozwierać, a za firankami pojawiały się twarze.

Dziewczynka spostrzegła jednak, że nikt się nie poruszał, nikt nic nie mówił. Po prostu patrzyli.

Matka nagle zatrzymała się w miejscu, jej plecy drżały konwulsyjnie od płaczu.

Trzykrotnie wykrzyknęła imię męża.

Mężczyźni złapali ją za ramiona i gwałtownie nią potrząsnęli. Torby i pakunki wyleciały jej z rąk. Dziewczynka próbowała ich powstrzymać, lecz została odepchnięta.

W drzwiach pojawił się człowiek - chudy, w pomiętym ubraniu, nieogolony, z zaczerwienionymi, zmęczonymi oczami. Wyprostował się i ruszył przez podwórze.

Gdy zbliżył się do mężczyzn, wyjaśnił, kim jest. Mówił z wyraźnym akcentem, takim samym jak kobieta.

- Zabierzcie mnie wraz z rodziną - powiedział.

Dziewczynka wsunęła rączkę w dłoń ojca.

Jestem bezpieczna, pomyślała. Bezpieczna, z matką, z ojcem. To nie może trwać długo. To francuska policja, a nie Niemcy. Nikt nie zrobi nam krzywdy.

Wkrótce będą z powrotem w domu, a mamam przygotuje śniadanie. Chłopczyk wyjdzie z ukrycia, a papa pójdzie do fabryki na końcu ulicy, gdzie

pracował jako brygadzysta i wraz z pozostałymi robotnikami produkował paski, torebki i portfele.

Wszystko będzie tak, jak dawniej. Wkrótce będzie znowu bezpiecznie.

Na dworze zrobiło się już jasno. Wąska ulica była pusta. Dziewczynka obejrzała się w stronę budynku, w którym mieszkała, w stronę milczących twarzy w oknach, w stronę dozorczyńni tulącej małą Suzanne.

Nauczyciel muzyki podniósł powoli rękę w geście pożegnania.

Uśmiechnęła się i odmachala mu. Wszystko będzie dobrze. Niedługo wróci, niedługo wszyscy wrócą.

Jednak nauczyciel zdawał się załamany.

Po jego twarzy spływały łzy, nieme łzy bezsilności i wstydu, których nie mogła zrozumieć.

- Ordynarny? Twoja matka to uwielbia - roześmiał się Bertrand, puszczając oko do Antoine'a. - Prawda, skarbie? Prawda, cheriel

Obrócił się na pięcie w stronę dużego pokoju, pstrykając palcami w rytm melodii z West Side Story.

Czułam się głupio, ośmieszona przed Antoine'em. Dlaczego Bertrand czerpał taką przyjemność z przedstawiania mnie jako zgryźliwej, uprzedzonej do wszystkiego Amerykanki, wiecznie krytykującej Francuzów? Dlaczego pozwalałam mu na to?

Kiedyś było to śmieszne. Zaraz po ślubie rozśmieszało do łez zarówno naszych amerykańskich, jak i francuskich znajomych. Kiedyś.

Uśmiechnęłam się jak zwykle. Jednak mój uśmiech wydawał się dzisiaj nieco wymuszony.

- Byłeś ostatnio u Marne? - spytałam. Bertrand był już zajęty obmierzaniem.

- Co takiego?

- Marne - powtórzyłam cierpliwie. - Sądzę, że chętnie by cię zobaczyła i porozmawiała o mieszkaniu.

Nasze spojrzenia się skrzyżowały.

- Nie mam czasu, amour. Pójdiesz? Błagalne spojrzenie.

- Odwiedzam ją co tydzień, dobrze o tym wiesz. Westchnął.

- To twój a babka - zwróciłam uwagę.

- A kocha ciebie, l'Ameñcaine, Amerykankę - uśmiechnął się szeroko - tak jak ja, bebe, kochanie.

Podszedł i pocałował mnie lekko w usta.

Amerykanka. Więc to ty jesteś tą Amerykanką - stwierdziła Marne tyle lat temu, w tym samym pokoju, przyglądając mi się wnikliwie szarymi oczami. L'Americaine. Jak amerykańsko się wtedy poczułam, ze swoją trwałą, tenisówkami i szerokim, białym uśmiechem. Ta siedemdziesięcioletnia kobieta o prostych plecach, patrycjuszowskim nosie, z nienagannie upiętym kokiem i bystrymi oczami była uosobieniem francuskości. Mimo to polubiłam Marne od razu, jej zaskakujący gardłowy śmiech i cięte poczucie humoru.

Musiałam przyznać, że nawet dziś wolałam ją od rodziców Bertranda, przy których wciąż czułam się jak przyjezdna, mimo że mieszkałam w Paryżu od dwudziestu pięciu lat, byłam żoną ich syna od piętnastu i urodziłam ich pierwszą wnuczkę Zoe.

Po drodze na dół, stanąwszy znowu twarzą w twarz ze swoim dokuczliwym odbiciem w lustrze windy, nagle uświadomiłam sobie, że zbyt długo tolerowałam ucinki Bertranda, zbywając je za każdym razem dobrodusznym wzruszeniem ramion.

Dzisiaj, z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu, po raz pierwszy poczułam, że mam dość.

Dziewczynka trzymała się blisko rodziców. Poganiani przez mężczyznę w beżowym płaszczu, przeszli już znaczną część ich ulicy. Dokąd ich prowadzono? Skąd ten pośpiech? Kazano im wejść do dużego garażu. Znała te okolice, byli niedaleko domu i fabryki ojca.

W garażu pochyleni nad silnikami mężczyźni w poplamionych olejem

niebieskich kombinezonach patrzyli na nich w milczeniu. Nikt nic nie mówił. Dziewczynka zauważyła w garażu dużą grupę ludzi z ustawionymi u stóp torbami i koszykami.

Zwróciła uwagę, że w większości były to kobiety i dzieci. Znała niektóre z nich z widzenia. Jednak nikt nie odważył się pomachać czy przywitać. Po jakimś czasie pojawiło się dwóch policjantów. Odczytywali nazwiska. Ojciec dziewczynki podniósł rękę, gdy usłyszał swoje.

Dziewczynka rozejrzała się. Zauważyła znajomego ze szkoły, Leona. Wyglądał na zmęczonego i przestraszonego. Uśmiechnęła się do niego, chcąc mu powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że niedługo wszyscy wrócą do domu. To nie potrwa długo, wkrótce wszystkich odeślą z powrotem. Lecz Leon spojrzał na nią, jakby była szalona. Opuściła wzrok, zarumieniona ze wstydu. Może źle to wszystko rozumiała.

Serce waliło jej młotem. Może wcale nie będzie tak, jak jej się wydawało. Poczula się bardzo naiwną i głupią małą dziewczynką.

Ojciec pochylił się nad nią. Jego nieogolona broda łaskotała ją w ucho. Powiedział jej imię. Gdzie jest brat? Pokazała mu klucz. Braciszek jest bezpieczny w ich tajnej szafce, szepnęła dumnie. Tam będzie bezpieczny.

Ojciec otworzył szeroko oczy. Złapał dziewczynkę za ramię. Nie martw się, powiedziała, nic mu się nie stanie. To głęboka szafka, jest w niej dość powietrza - nie udusi się. Poza tym ma wodę i latarkę. Nic mu się nie stanie, papo. Nie rozumiesz, powiedział ojciec, nie rozumiesz. Ze zgrozą patrzyła, jak jego oczy wypełniają się łzami.

Pociągnęła go za rękaw. Nie mogła znieść widoku płaczącego ojca.

- Papo - powiedziała - wrócimy do domu, prawda? Wrócimy po tym, jak odczytają nas z listy?

Ojciec otarł łzy. Spojrzał na nią wielkimi smutnymi oczami. Nie mogła znieść tego spojrzenia.

- Nie - odparł - nie wrócimy. Nie pozwolą nam wrócić.

Poczuła przenikające straszliwe zimno. Raz jeszcze przypomniła sobie, co kiedyś podsłuchała, zobaczyła twarze rodziców widziane zza drzwi, ich strach, ich rozpacz w środku nocy.

- Jak to, papo? Dokąd mamy iść, jeśli nie do domu? Dlaczego? Powiedz mi!

Powiedz! - prawie wykrzyczała ostatnie słowa.

Ojciec ponownie skierował wzrok w jej stronę. Po czym powtórzył bardzo cicho jej imię. Wciąż miał mokre oczy, na policzkach łzy. Położył dłoń na jej ramieniu.

- Bądź dzielna, córeczko. Bądź dzielna, tak dzielna, jak tylko potrafisz.

Nie była w stanie płakać. Strach przerastał i pochłaniał wszystko inne, jakby każde uczucie było przez niego wsysane, niczym przez potworny odkurzacz.

- Ale obiecałam mu, że wrócę, papo. Obiecałam. Dziewczynka spostrzegła, że ojciec znów zaczął płakać i już jej nie słuchał. Był pochłonięty własną rozpaczą i własnym strachem.

Kazano wszystkim wyjść na dwór. Na ulicy nikogo nie było, stały jedynie ustawione wzdłuż chodnika autobusy. Zwykle autobusy, jakimi dziewczynka jeździła z matką i bratem po mieście: najzwyklejsze, białozielone autobusy z platformami z tyłu.

Kazano im wsiadać, wpychano do środka. Dziewczynka wypatrywała raz jeszcze szarozielonych mundurów, nasłuchiwała szorstkiego gardłowego języka, którego nauczyła się bać. Ale tu byli tylko policjanci. Francuscy policjanci.

Przez zakurzoną szybę autobusu rozpoznała jednego z nich, młodego, z rudymi włosami, który często pomagał jej przejść przez ulicę po drodze do domu. Zapukała w szybę, by przyciągnąć jego uwagę. Gdy ich spojrzenia spotkały się, szybko odwrócił wzrok. Wydawał się zawstydzony, wręcz zirytowany. Była ciekawa dlaczego. Jeden z mężczyzn zaprotestował i został gwałtownie popchnięty. Policjant krzyknął, że zastrzeli każdego, kto będzie

próbował uciekać.

Niewidzącym wzrokiem dziewczynka patrzyła na przesuwające się za szybą drzewa.

Mogła myśleć tylko o jednym: o czekającym na nią braciszku zamkniętym w szafce w pustym domu. Nie mogła myśleć o niczym innym. Gdy przejeżdżali przez most, patrzyła na skrzącą się Sekwanę. Dokąd jechali? Papa nie wiedział. Nikt nie wiedział.

Wszyscy się bali.

Nagły huk pioruna przestraszył wszystkich. Deszcz lunął tak gwałtownie, że autobus musiał się zatrzymać. Dziewczynka wsłuchiwała się w odgłos kropli bębniących o dach. Ulewa wkrótce ustała, a autobus wrócił na drogę, przetaczając się po lśniącym bruku. Wyszło słońce.

Autobus zatrzymał się i wszyscy wysiedli, objuczeni pakunkami, walizkami, rozplakаныmi niemowlętami. Dziewczynka nie знаła tej ulicy. Nigdy tu nie była. Na końcu ulicy zobaczyła naziemny odcinek metra.

Zaprowadzono ich do ogromnego jasnego budynku. Widniał na nim jakiś napis, jednak nie mogła przeczytać wielkich ciemnych liter. Zauważyła, że ulica była wypełniona rodzinami, takimi jak jej, wychodzącymi z autobusów, poganianymi przez policję. Francuską policję.

Nie puszczała ręki ojca, gdy włączano i wpychano ich na ogromną zadaszoną przestrzeń. Były tu tłumy, zarówno na środku toru, jak i na twardych żelaznych siedzeniach na widowni. Ile tu było osób? Nie sposób zliczyć. Wyglądało, że setki. A napływało coraz więcej. Dziewczynka spojrzała w górę na ogromny niebieski świetlik w kształcie kopuły. Słońce świeciło przez niego bezlitośnie.

Ojciec znalazł miejsce, gdzie mogli usiąść. Dziewczynka obserwowała, jak ciągle przybywają ludzie, a tłum gęstnieje. Stawało się coraz głośniejsze, budowlę wypełniał ciągły szum tysięcy głosów, pochlipywania dzieci i jęki kobiet. Skwar stawał się nieznośny; im wyżej słońce znajdowało się na niebie,

tym trudniej było oddychać.

Było coraz mniej miejsca, wszyscy byli ściśnięci jeden obok drugiego. Przyglądała się mężczyznom, kobietom i zapłakanyom dzieciom z przerażonymi oczami.

- Papo - spytała - jak długo tutaj będziemy?

- Nie wiem, kochanie.

- Dlaczego tu jesteśmy?

Położyła dłoń na żółtej gwiazdce przyszytej z przodu jej bluzki.

- To przez to, prawda? - powiedziała. - Wszyscy tutaj takie mają.

Ojciec uśmiechnął się ponuro.

- Tak - odpowiedział - to przez to. Dziewczynka zmarszczyła brwi.

- To niesprawiedliwe, papo - syknęła. - To niesprawiedliwe! Przytulił ją, wymówił jej imię czułym głosem.

- To prawda, najdroższa, masz rację. To niesprawiedliwe. Siedziała przytulona do niego, z policzkiem przyciśniętym do gwiazdy naszytej na jego marynarce.

Jakiś miesiąc temu matka naszyła gwiazdy na wszystkie jej ubrania. Na wszystkie ubrania rodziny, poza tymi należącymi do braciszka. Przedtem w ich dokumentach odbito pieczętki ze słowami „Żyd” lub „Żydówka”; nagle nie wolno im było robić wielu rzeczy. Nie mogli już bawić się w parku. Nie mogli jeździć na rowerze, chodzić do kina, teatru, restauracji czy na basen. Nie mogli już pożyczać książek z biblioteki.

Widziała napisy, które zdawały się pojawiać wszędzie: „Żydom wstęp wzbroniony”.

Na drzwiach fabryki, w której pracował ojciec, widniał duży napis „Firma żydowska”. Maman musiała robić zakupy po szesnastej, kiedy w sklepach nic już nie było z powodu racjonowania żywności. Musieli jeździć w ostatnim wagonie metra.

Musieli wracać do domu przed godziną policyjną i nie wychodzić przed

porankiem.

Co jeszcze wolno im było robić? Nic. Nic, pomyślała.

To niesprawiedliwe. Tak strasznie niesprawiedliwe. Dlaczego? Czemu akurat oni?

Dlaczego to wszystko? Wydawało się, że nie ma nikogo, kto mógłby jej to wytłumaczyć.

Joshua był już w sali konferencyjnej. Popijał swoją ulubioną słabą kawę. Weszłam szybkim krokiem i usiadłam pomiędzy Bamberem, kierownikiem działu fotografii, i Alessandrą, redaktorką tematów przewodnich.

Za oknami widać było ruchliwą rue Marbeuf, o rzut kamieniem od ChampsElysees.

Nie przepadałam za tą częścią miasta; była zbyt zatłoczona, zbyt krzykliwa.

Codziennie przychodziłam tutaj do pracy i zdążyłam przywyknąć do przeciskania się między turystami, zapełniającymi szerokie zakurzone chodniki o każdej porze dnia i nocy, niezależnie od tego, czy było lato, jesień czy zima.

Od sześciu lat pracowałam dla amerykańskiego tygodnika „Sceny znad Sekwany”.

Publikowaliśmy zarówno wydanie papierowe, jak i internetowe. Pisałam o wszystkim, co mogło zainteresować mieszkających w Paryżu Amerykanów. Artykuły z kolorytem lokalnym, życie społeczne i kulturalne: od przedstawień, filmów, restauracji i książek po nadchodzące francuskie wybory prezydenckie.

Prawdę powiedziawszy, była to ciężka robota. Mieliśmy niewiele czasu na przygotowanie tekstów, a Joshua był tyranem. Lubiłam go, ale był tyranem. Należał do tego rodzaju szefów, których niewiele obchodzi czyjeś życie prywatne, małżeństwo czy dzieci. Kobieta, która zachodziła w ciążę, przestawała dla niego istnieć. Jeśli komuś zachorowało dziecko, musiał się liczyć z piorunującym spojrzeniem. Joshua miał jednak predyspozycje do swojego stanowiska: spostrzegawczość, talent redaktorski i doskonałe wyczucie

czasu.

Wszyscy padaliśmy przed nim na kolana. Za jego plecami bez przerwy narzekaliśmy, ale żadne z nas nie chciało pracować dla kogoś innego niż dla tego pozornie łagodnego rodowitego nowojorczyka mieszkającego w Paryżu od dziesięciu lat. Miał pociągłą twarz i głęboko osadzone oczy; gdy tylko otworzył usta, przejmował kontrolę nad wszystkim. Nie można było nie słuchać Joshui, a tym bardziej niepodobna było mu przerywać.

Bamber był prawie trzydziestoletnim londyńczykiem. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i górował nad resztą. Nosił okulary z fioletowymi szklami, miał rozsiane po ciele kolczyki, włosy farbował na kolor marmolady. Nie mogłam się oprzeć jego wspaniałemu brytyjskiemu poczuciu humoru, które Joshua rzadko kiedy wychwytywał. Miałam słabość do Bambera. Był taktowny i dobrze się z nim pracowało. Można też było liczyć na jego wsparcie, gdy Joshua miał zły dzień i wyżywał się na wszystkich po kolei. Nieraz cieszyłam się, że jest po mojej stronie.

Alessandra była półWłoszką. Miała gładką skórę i niepohamowaną ambicję. Ładna dziewczyna z czupryną błyszczących czarnych loków oraz wydatnymi wilgotnymi ustami, którym mężczyźni nie potrafili się oprzeć. Nigdy nie mogłam się do końca zdecydować, czyją lubię, czy nie. Była o połowę młodsza ode mnie, a już dorównywała mi zarobkami, choć w nagłówku jej nazwisko znajdowało się poniżej mojego.

Joshua przedstawiał rozpiski tematów do kolejnych numerów. Wkrótce miał się ukazać pokaźny artykuł o wyborach prezydenckich, które stały się poważnym tematem od czasu wzbudzającego kontrowersje zwycięstwa JeanaMarie Le Pena w pierwszej turze. Nie miałam zbytnej ochoty o tym pisać i skrycie cieszyłam się gdy temat przydzielono Alessandrze.

- Julio - powiedział Joshua, patrząc na mnie znad okularów - tu jest coś z twojej działki. Obchody sześćdziesiątej rocznicy Vel' d'Hiv

Odchrząknęłam. Co on powiedział? Zabrzmiało jak „weldif”. Miałam

puszkę w głowie. Alessandra spojrzała na mnie pobłażliwie.

- Szesnasty lipca tysiąc dziewięćset czterdzieści dwa? Kojarzysz? - spytała. Czasami nienawidziłam jej przemądrzałego tonu. Na przykład dzisiaj.

- Masowe aresztowania i zwożenie do Velodrome d'Hiver. Vel' d'Hiv' to skrót od nazwy słynnego krytego stadionu, na którym odbywały się wyścigi kolarskie. Całymi dniami trzymano tam w okropnych warunkach tysiące żydowskich rodzin. Następnie wysłano ich do Oświęcimia. I zagazowano.

Coś kojarzyłam, choć słabo.

- Oczywiście - powiedziałam zdecydowanie, patrząc na Joshuę. - Zatem co mam zrobić?

Wzruszył ramionami.

- Mogłabyś zacząć od znalezienia paru osób, które przetrwały Vel' d'Hiv' albo były świadkami tego, co się wtedy działo w Paryżu. Następnie zorientuj się, jak będą wyglądać same obchody: kto je organizuje, gdzie i kiedy. Na koniec poszukaj faktów.

Ustal, co dokładnie się zdarzyło. Pewnie się domyślasz, że nie będzie to łatwe.

Francuzi nie przepadają za rozmawianiem o państwie Vichy, Petainie i całej reszcie.

Nie są z tego zbyt dumni.

- Znam kogoś, kto mógłby ci pomóc - wtrąciła się Alessandra, nieco mniej zarozumiale. - Franek Levy. Jest założycielem jednej z największych organizacji pomagającej członkom rozbitych przez Holokaust żydowskich rodzin odnaleźć się wzajemnie.

- Słyszałam o nim - przytaknęłam, zapisując nazwisko. Rzeczywiście słyszałam.

Franek Levy był postacią publiczną.

Organizował konferencje i pisał artykuły na temat rozkradzonych majątków żydowskich i okropieństw deportacji. Joshua skończył kolejną kawę.

- Byle bez wyciskaczy łez - ostrzegł. - Nie chcemy sentymentalizmu, tylko faktów, wywiadów i - tu spojrział na Bambera - dobrych, mocnych fotografii. Poszukajcie też materiałów archiwalnych. Zbyt wiele ich nie ma, zresztą sami się o tym przekonacie, ale może ten Levy wam pomoże.

- Zacznę od odwiedzenia Vel' d'Hiv' - powiedział Bamber.

- Zobaczę, jak wygląda.

Joshua uśmiechnął się ironicznie.

- Vel' d'Hiv' już nie istnieje. Rozebrano go w pięćdziesiątym dziewiątym.

- A gdzie był? - zapytałam, zadowolona, że nie tylko ja nie byłam zorientowana w temacie.

Znowu odpowiedziała Alessandra.

- Na rue Nelaton, w piętnastej dzielnicy.

- Moglibyśmy i tak zobaczyć, jak to miejsce obecnie wygląda - zauważyłam, patrząc na Bambera. - Możliwe, że mieszkają tam jeszcze ludzie, którzy pamiętają te wydarzenia.

Joshua wzruszył ramionami.

- Możecie spróbować, ale wątpię, byście znaleźli zbyt wielu chętnych do rozmowy.

Jak mówiłem, to dla Francuzów dosyć drażliwy temat. Nie zapominajcie, że to francuska policja, a nie naziści, aresztowali te wszystkie żydowskie rodziny.

Gdy słuchałam słów Joshuy, zorientowałam się, jak mało wiem o wydarzeniach, które miały miejsce w Paryżu latem czterdziestego drugiego roku. Temat nie był poruszany na lekcjach w bostońskiej szkole, a odkąd przyjechałam do Paryża dwadzieścia pięć lat temu, prawie w ogóle nie natrafiałam na wzmianki o Vel' d'Hiv'.

Wydawało się, że jest to swoista tajemnica, zakopana w przeszłości. Temat, którego nikt nie poruszał. Nie mogłam się doczekać, aż usiądę przed komputerem i zacznę przeszukiwać internet.

Kiedy tylko spotkanie dobiegło końca, usiadłam w niewielkim boksie, który służył mi za biuro. Okno wychodziło na hałaśliwą rue Marbeuf. Mieliśmy niewiele miejsca do pracy, ale zdążyłam do tego przywyknąć. Tym bardziej że w domu w ogóle nie miałam gdzie pisać. Bertrand obiecał, że w nowym mieszkaniu będę miała duży pokój - własny gabinet - tylko dla siebie. Nareszcie. Wydawało się to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Trochę czasu minie, zanim przywyknę do takich luksusów.

Włączyłam komputer i w internecie weszłam na stronę Google. Wpisałam: velodrome d'hiver vel' d'hiv'. Wyników było multum. Większość z nich po francusku, w tym wiele zawierających szczegółowe informacje.

Czytałam przez całe popołudnie. Nie robiłam nic poza czytaniem, gromadzeniem informacji i szukaniem książek na temat okupacji i aresztowań. Zwróciłam uwagę na fakt, że wiele spośród znalezionych przeze mnie tytułów nie było już wznawianych.

Byłam ciekawa dlaczego. Czy nikt nie chciał czytać o Vel' d'Hiv'? Czy nikogo to już nie obchodziło? Obdzwoniłam parę księgarni. Dowiedziałam się, że niełatwo będzie zdobyć te książki.

- Proszę spróbować - powiedziałam.

Kiedy wyłączyłam komputer, poczułam ogarniające mnie zmęczenie. Bolały mnie oczy. Z powodu wydarzeń, o których czytałam, naszły mnie niekoniecznie radosne myśli.

W Vel' d'Hiv' zamknięto ponad cztery tysiące żydowskich dzieci, w wieku od dwóch do dwunastu lat. Większość była Francuzami, urodzonymi we Francji.

Żadne nie wróciło z Oświęcimia.

Dzień przeciągał się w nieskończoność. Przytulona do matki dziewczynka patrzyła, jak wokół kolejne rodziny z wolną tracą zmysły. Nie było nic do picia ani jedzenia.

Skwar był nie do wytrzymania. Powietrze, suche i pyliste, drażniło oczy

dziewczynki i drapało w gardle.

Wielkie wrota na stadion zamknięto. Wzdłuż każdej ściany stali rozglądający się ponuro policjanci. Ich pistolety stanowiły groźbę bez słów. Nie było gdzie iść. Nie było co robić. Pozostawało tylko siedzieć i czekać. Ale na co? Co stanie się z jej rodziną, z całą tą ciżbą ludzi?

Poszła z ojcem szukać toalet na drugim końcu stadionu. Zastali tam odrażający smród. Ubikacji dla takiego tłumu było zbyt mało, a i te wkrótce przestały działać.

Aby się załatwić, dziewczynka musiała przykucnąć pod murem. Próbowwała opanować odruch wymiotny, zasłaniając usta ręką. Ludzie sikali i wypróżniali się, gdzie tylko mogli, zawstydzeni, załamani, przysiadający niczym zwierzęta nad obrzydliwą podłogą. Zobaczyła dostojną starszą panią chowającą się za płaszczem męża. Inna kobieta zachłysnęła się, przerażona widokiem toalet. Kręcąc głową, zasłoniła rękoma usta i nos.

Dziewczynka podążała za ojcem, przedzierając się przez tłum do miejsca, w którym zostawili matkę. Widownię zapychały tobołki, torby, materace, kojce, a tory wyścigowe były czarne od ludzi. Zastanawiała się, ile tu może być osób? Zanedbane i brudne dzieci biegały po widowni. Darły się, prosząc o wodę. Kobieta w ciąży, omdlewająca w upale z pragnienia, krzyczała na cały głos, że umrze, że zaraz umrze.

Starszy mężczyzna nagle obsunął się na zakurzoną ziemię. Sina twarz drgała konwulsyjnie. Nikt nie zareagował.

Dziewczynka usiadła obok matki. Kobieta od przywiezienia na stadion ucichła.

Prawie w ogóle się nie odzywała. Dziewczynka wzięła ją za rękę i uścisnęła; matka nie zareagowała. Ojciec wstał, by poprosić policjanta o wodę dla dziecka i żony.

Mężczyzna odpowiedział oschle, że wody chwilowo nie ma. Ojciec stwierdził, że to obrzydliwe, że człowieka nie wolno traktować jak psa. Policjant

odwrócił się na pięcie.

Dziewczynka zobaczyła Leona, chłopca, którego wcześniej zauważyła w garażu.

Przeciskał się przez tłum w stronę wejścia. Zwróciła uwagę na brak jego żółtej gwiazdy. Została zerwana. Wstała i podeszła do niego. Miał brudną twarz. Na lewym policzku widniał siniak, podobnie jak na obojczyku. Była ciekawa, czy sama też wygląda na zmęczoną i poobijaną.

- Zwiewam stąd - szepnął. - Rodzice mi kazali. Teraz.

- Ale jak? - zapytała. - Policjanci w życiu cię nie przepuszczą. Chłopiec spojrzał na nią. Miał dziesięć lat, tak jak ona, lecz wyglądał na znacznie starszego. W jego wyglądzie nie było już nic chłopięcego.

- Znajdę sposób. Rodzice kazali mi uciekać. Oderwali gwiazdę. To jedyny sposób.

Inaczej to koniec. Koniec dla nas wszystkich.

Znowu poczuła lodowaty strach. Koniec? Czy chłopiec miał rację? Czy to naprawdę był koniec? Patrzył na nią lekko pogardliwym wzrokiem.

- Nie wierzysz mi, co? Powinnaś pójść ze mną. Zerwij gwiazdę i chodź. Ukryjemy się. Będę się tobą opiekował. Wiem, co robić.

Pomyślała o czekającym w szafce braciszku. Wymacała w kieszeni gładką fakturę metalowego klucza. Mogłaby pójść z tym szybkim mądrym chłopcem. Uratowałyby brata i siebie.

Jednak czuła się zbyt mała, zbyt bezbronna, by zrobić coś takiego. Za bardzo się bała.

A rodzice? Matka, ojciec... Co się z nimi stanie? Czy chłopiec mówił prawdę? Czy mogła mu zaufać?

Wyczuwając wahanie, położył jej rękę na ramieniu.

- Chodź ze mną - nalegał.

- Nie wiem... - wymamrotała. Cofnął się.

- Ja już zdecydowałem. Idę. Żegnaj.

Patrzyła, jak przemyka w stronę wejścia. Policjanci wpuszczali kolejny transport ludzi: staruszków na noszach i wózkach inwalidzkich, niekończące się szeregi zapłakanych dzieci i kobiet opuchniętych od łez. Widziała, jak Leon przenika przez tłum, wyczekując odpowiedniej chwili.

W pewnym momencie policjant złapał go za kołnierz i odepchnął z powrotem.

Chłopiec szybko i zwinnie podniósł się z ziemi i zaczął skradać z powrotem w stronę drzwi, jakby zręcznie płynął pod prąd. Dziewczynka przyglądała się zafascynowana.

Grupa zdenerwowanych matek przypuściła szturm na wejście, domagając się wody dla dzieci. Policjanci wydawali się przez chwilę zdezorientowani, nie wiedzieli, co zrobić. Dziewczynka zobaczyła, jak chłopiec błyskawicznie prześlizguje się przez to zamieszanie. Już go nie było.

Wróciła do rodziców. Zaczęło powoli zmierzchać. Im ciemniej się robiło, tym mocniej czuła, jak potęguje się poczucie rozpacz w niej i tysiącach innych zamkniętych tu ludzi, jak rośnie niczym nieposkromiony potwór czysta, bezgraniczna rozpacz. Była przerażona.

Próbowała zamknąć oczy, zatkać nos i uszy, by odciąć się od smrodu, kurzu, gorąca, jęków desperacji, widoku zapłakanych dorosłych i jęczących dzieci. Okazało się, że to niemożliwe.

Mogła tylko bezsilnie patrzeć w milczeniu. Wysoko w górze, pośród siedzących w okolicach świetlika ludzi, dostrzegła nagłe zamieszanie. Przenikliwy wrzask, łopoczący kłęb ubrań wirujący w powietrzu przed łozami i uderzenie o twardą nawierzchnię toru. Następnie gwałtowne zachłyśnięcia się tłumy.

- Papo, co to było?

Ojciec próbował odwrócić jej głowę od torów.

- Nic, kochanie, nic. Spadło tylko trochę ubrań.

Ale ona widziała. Wiedziała, co to było. Młoda kobieta - w wieku matki -

i małe dziecko. Kobieta zeskoczyła z najwyższej balustrady z dzieckiem na rękach.

Z miejsca, w którym siedziała, dziewczynka widziała powykręcane ciało kobiety i zakrwawioną czaszkę dziecka, rozciętą niczym dojrzały pomidor.

Dziewczynka opuściła głowę i rozplakała się.

Gdy byłam mała i mieszkałam pod numerem 49 Hyslop Road w Brooklynie w stanie Massachusetts, nigdy nie przyszło mi do głowy, że kiedyś przeprowadzę się do Francji i wyjdę za Francuza. Sądziłam, że spędzę całe życie w Stanach. W wieku jedenastu lat podkochiwałam się w Evanie Froście, chłopaku z sąsiedztwa. Był piegowaty, przypominał chłopców z rysunków Normana Rockwella i nosił aparat na zęby, a jego pies, Inky, lubił biegać po pięknych kwietnikach mojego ojca.

Tata, Sean Jarmond, uczył na MIT, Massachusetts Institute of Technology. Ze swoimi nieposkromionymi kręconymi włosami i wielkimi okularami przypominał szalonego naukowca. Był lubiany wśród studentów. Mama, Heather Carter Jarmond, kiedyś mistrzyni tenisa, pochodziła z Miami i należała do tych wysportowanych, smukłych, opalonych kobiet, które zdają się nigdy nie starzeć. Interesowała się jogą i zdrową żywnością.

W niedzielę tata bez końca klócił się ponad żywopłotem z sąsiadem, panem Frostem, o to, że Inky niszczy tulipany. Tymczasem matka wzdychała w kuchni, przygotowując babeczki z otrębami i miodem. Nie cierpiała sporów. Nie zwracając uwagi na hałas, moja młodsza siostra, Charla, oglądała w pokoju telewizyjnym seriale typu Wyspa Gilligana czy japońskie kreskówki Speed Racer, pochłaniając przy tym metry czerwonej lukrecji. A na piętrze ja i moja najlepsza przyjaciółka, Kąty Lacy, przyglądałyśmy się zza firanek zabójczo pięknemu Evanowi Frostowi, który baraszkował z przedmiotem furii mojego ojca, czarnusieńkim labradorem.

Moje dzieciństwo było wesołe i spokojne, pozbawione drak i awantur. Szkoła znajdowała się nieopodal. Święta Dziękczynienia mijały spokojnie, Boże

Narodzenia w ciepłej atmosferze. Długie leniwe miesiące letnie spędzałam w Nahant. Spokojne tygodnie przechodziły w spokojne miesiące. Naprawdę przeraziłam się tylko raz, gdy w piątej klasie moja nauczycielka, jasnowłosa panna Sebold, odczytała na głos Serce oskarżycielem Edgara Allana Poe'a. Jeszcze przez długie lata miewałam przez to koszmary.

Pociąg do Francji poczułam po raz pierwszy, gdy byłam nastolatką. Fascynacja tym krajem nasilała się z czasem. Dlaczego Francja? Dlaczego Paryż? Zawsze podobał mi się francuski. Wydawał mi się bardziej miękki i zmysłowy od niemieckiego, hiszpańskiego czy włoskiego. Potrafiłam doskonale naśladować francuskiego skunksa z kreskówki Looney Tunes. Jednak w głębi serca wiedziałam, że moja coraz gorętsza miłość do Paryża nie ma nic wspólnego z amerykańskim stereotypem francuskiego wyrafinowania, francuskiej romantyczności i seksowności. To było coś głębszego.

Kiedy po raz pierwszy odkrywałam Paryż, przyciągały mnie w nim różne kontrasty; zapuszczone i kiczowate okolice podobały mi się w tym samym stopniu, co wznosząca się majestatycznie Haussmanowska zabudowa. Nie mogłam się oprzeć paradoksom, tajemnicom i niespodziankom francuskiej stolicy. Dwadzieścia pięć lat zajęło mi wtopienie się w to miasto, ale udało mi się. Nauczyłam się radzić sobie z niecierpliwymi kelnerami i grubiańskimi taksówkarzami. Nauczyłam się jeździć wokół place de l'Etoile, nie zwracając uwagi na obelgi wykrzykiwane przez nerwowych kierowców autobusów i - co bardziej zaskakujące - eleganckie, rozjaśniane blondynki w lśniących czarnych bmw mini. Nauczyłam się, jak okiełzać butne dozorcynie, zadufane sprzedawczynie, zblazowane telefonistki i nadętych lekarzy.

Przyzwyczyłam się, że paryżanie uwielbiają się wywyższać; szczególną pogardę żywią dla pozostałych Francuzów, od Nicei po Nancy, a mieszkańców stołecznych przedmieść wręcz nie cierpią. Nauczyłam się, że reszta Francuzów nazywa paryżan

„psimi głowami”, Parisien tete de chien, i za nimi nie przepada. Nikt nie

kochał

Paryża bardziej od prawdziwego paryżanina. Nikt nie był bardziej dumny ze swojego miasta niż prawdziwy paryżanin. Nikt nie był nawet w połowie tak arogancki, wyniosły, zadufany. Nikomu innemu nie było tak trudno się oprzeć. Zastanawiałam się, dlaczego tak kocham to miasto. Być może dlatego, że nigdy mi się nie poddało.

Niezależnie od tego, jak bardzo czułam się jego częścią, zawsze potrafiło mi przypomnieć, gdzie moje miejsce. Tu zawsze będę Amerykanką. UAmericaine.

Kiedy byłam w wieku Zoe, postanowiłam zostać dziennikarką. Zaczęłam w liceum od artykułów do gazetki szkolnej i odtąd pisałam zawsze. Przeprowadziłam się do Paryża, gdy miałam niewiele ponad dwadzieścia lat i dyplom anglistki z Uniwersytetu Brooklyńskiego. Pierwszą posadę dostałam w amerykańskim magazynie mody. Byłam młodszą asystentką. Szybko jednak rzuciłam tę redakcję.

Szukałam miejsca, w którym mogłabym się zajmować tematami ciekawszymi niż długości spódnic i modne kolory na wiosnę.

Uchwyciłam się pierwszej lepszej pracy. Przepisywałam oświadczenia prasowe dla amerykańskiej stacji telewizyjnej. Nie zarabiałam milionów, ale wystarczało na życie w osiemnastej dzielnicy, w mieszkaniu dzielonym z dwoma francuskimi homoseksualistami, Hervem i Christophe'em, z którymi bardzo się zaprzyjaźniłam.

W tym tygodniu byłam umówiona u nich na kolację na rue Berthe, gdzie mieszkałam, zanim spotkałam Bertranda. Na tych spotkaniach mąż rzadko mi towarzyszył.

Czasami zasta - nawiałam się, dlaczego jest tak obojętny względem Hervego i Christophe'a. Ponieważ twój kochany mąż, jak większość zamożnych francuskich mieszczuchów, woli kobiety od homoseksualistów, cocottel - odpowiadał mi w głowie leniwy głos przyjaciółki, Languid, któremu

towarzyszył zalotny śmiech. Tak, miała rację.

Bertrand zdecydowanie wolał kobiety. Bez granic, powiedziałyby Charla.

Herve i Christophe nadal zajmowali mieszkanie, które kiedyś z nimi dzieliłam.

Jedyna różnica polegała na tym, że moja dawna niewielka sypialnia pełniła teraz funkcję garderoby. Christophe był niewolnikiem mody i był z tego dumny. Lubiłam przychodzić na organizowane przez nich kolacje. Zawsze znajdowali się tam ciekawi ludzie - sławna modelka czy piosenkarka, kontrowersyjny pisarz, uroczy homoseksualny sąsiad, inna amerykańska bądź kanadyjska dziennikarka czy młody, początkujący redaktor. Herve był prawnikiem w międzynarodowej korporacji, a Christophe uczył jogi.

Byli moimi najbliższymi przyjaciółmi. Miałam w Paryżu kilka innych przyjaciółek, imigrantek z Ameryki: Holly, Susannah i Jan, które poznałam w czasopiśmie, gdzie pracowałam, lub w amerykańskiej szkole, w której często umieszczałam ogłoszenia, że poszukuję opiekunki do dziecka. Miałam nawet parę bliskich francuskich znajomych, choćby Isabelle, którą spotkałam na lekcjach baletu Zoe w Salle Pleyel.

Jednak to do Hervego i Christophe'a dzwoniłam o pierwszej nad ranem, gdy nie mogłam się dogadać z Bertrandem. To oni przyszli do szpitala, kiedy Zoe przewróciła się na skuterze i złamała nogę w kostce. To oni zawsze pamiętali o moich urodzinach.

To oni wiedzieli, które filmy warto obejrzeć i które płyty kupić. Ich kolacje przy świecach były nieodmiennie urocze i wyśmienite.

Przyszłam ze schłodzoną butelką szampana.

- Christophe jest jeszcze pod prysznicem - wyjaśnił Herve, witając się ze mną w drzwiach. Herve był po czterdziestce, chudy, przemiły, z sumiastymi wąsami. Palił jak smok. Nie sposób było go skłonić do rzucenia nałogu, więc nikt już nawet nie próbował.

- Ładna marynarka - zwrócił uwagę, odkładając papierosa, by otworzyć

szampana.

Herve i Christophe zawsze zwracali uwagę na to, w czym przyszedłam, czy używam nowych perfum, czy zmieniłam fryzurę lub czy mam nowy makijaż. W ich towarzystwie nigdy nie czułam się jak l'Americaine desperacko starająca się wykazać, że zna paryski chic. Czułam się sobą. I to w nich kochałam.

- Bardzo ci dobrze w morskim kolorze, wyśmienicie pasuje do koloru twoich oczu.

Gdzie ją kupiłaś?

- W H&M, na rue de Rennes.

- Wyglądasz zabójczo. Jak się posuwają prace w mieszkaniu? - spytał, podając mi kieliszek i ciepłą grzanekę posmarowaną różową pastą z kawioru.

- Jest strasznie dużo do zrobienia - westchnęłam. - To będzie się ciągnęło miesiącami.

- Domyślam się, że twój kochany architekt jest całą sprawą zachwycony?

Skrzywiłam się.

- Chciałeś powiedzieć, że nigdy nie ma dość.

- No tak - powiedział Herve. - To może być nieco uciążliwe dla ciebie.

- Trafiłeś w dziesiątkę - przytaknęłam, popijając szampana.

Herve przyjrzał mi się uważnie przez swoje maleńkie pozbawione oprawek okulary.

Miał blade szare oczy i aż śmiesznie długie rzęsy.

- Powiedz, Juju, dobrze się czujesz? Uśmiechnęłam się promiennie.

- Tak, wszystko w porządku.

Jednak bynajmniej nie czułam się w porządku. Niedawno nabyta wiedza o wydarzeniach lipca czterdziestego drugiego roku obudziła we mnie nową wrażliwość, poruszyła coś głębokiego, nieujętego w słowa, co prześladowało mnie i przytłaczało nieokreślonym ciężarem. Nosłam go przez cały tydzień, odkąd zaczęłam szukać materiałów na temat Vel' d'Hiv'.

- Wyglądasz inaczej niż zwykle - zauważył zatroskany Herve. Usiadł

obok mnie, kładąc smukłą białą dłoń na moim kolanie. - Znam ten wyraz twarzy, Julio, tę twoją smutną minę. Lepiej od razu powiedz, co ci jest.

Jedynym sposobem na odcięcie się od otaczającego ją piekła było wciśnięcie twarzy między uda i zasłonięcie rękami uszu. Kołysała się rytmicznie. Myśl o miłych rzeczach, myśl o tym, co lubisz, o tym, co sprawia ci przyjemność, o tych wszystkich magicznych chwilach, które pamiętasz. Wyprawa z matką do fryzjera i późniejsze komplementy od wszystkich na temat jej gęstych włosów w kolorze miodu - będziesz kiedyś dumna z tej fryzury, ma petite/

Ręce ojca pracujące nad skórą w fabryce. Jakie były silne i szybkie, jak podziwiała jego zręczność. Dziesiąte urodziny i nowy zegarek w pięknym niebieskim pudełku, ze skórzanym paskiem zrobionym przez ojca i mocny, upajający zapach. Dyskretne tiktak, w które wsłuchiwała się bez końca. Była taka dumna. Ale maman powiedziała, by nie nosić go do szkoły. Mogłaby go zepsuć albo zgubić. Tylko jej najlepsza przyjaciółka, Armelle, go zobaczyła. A jaka była zazdrosna!

Gdzie teraz była Armelle? Mieszkała na tej samej ulicy, chodziły do tej samej szkoły.

Ale Armelle wyjechała z miasta na początku wakacji. Pojechała gdzieś z rodzicami, gdzieś na południe. Dostała od niej jeden list i na tym się skończyło. Armelle była niska, ruda i bardzo mądra. Znała na pamięć tabliczkę mnożenia i opanowała nawet najbardziej skomplikowane reguły gramatyczne.

Armelle nigdy się nie bała, czym imponowała dziewczynce. Nawet gdy w środku lekcji rozbrzmiewały syreny, wyjące niczym wściekłe wilki, a wszyscy aż podskakiwali, Armelle pozostawała spokojna i opanowana. Brała dziewczynkę za rękę i prowadziła ją do zatęchłej szkolnej piwnicy, nie dbając o przestraszone szepty pozostałych dzieci ani wypowiedane drżącym głosem polecenia mademoiselle Dixsaut. Stały obok siebie, ramię w ramię, w wilgotnej ciemności, oświetlone migoczącym światłem świecy i wsłuchiwały się w warkot

przelatujących daleko nad ich głowami samolotów. Tymczasem mademoiselle Dixsaut czytała Jeana de La Fontaine'a bądź Moliera i starała się, aby ręce zbyt jej nie drżały. Spójrz na jej dłonie, chichotała wtedy Armelle, boi się, ledwo może czytać, spójrz. Dziewczynka zerkała na Armelle z podziwem i szeptała: A ty się nie boisz? Nawet trochę? Dumne potrząśnięcie lśniących rudych loków. Nie, nie boję się. A czasami, kiedy zakurzona podłoga drżała od bomb, a mademoiselle Dixsaut mówiła coraz ciszej, by po chwili zamilknąć całkowicie, Armelle chwyciła dziewczynkę za rękę i trzymała ją mocno.

Brakowało jej Armelle. Chciałaby, żeby teraz tutaj była, pottrzymała ją za rękę i powiedziała, że nie musi się bać. Brakowało jej piegów Armelle, figlarnych zielonych oczu i rezolutnego uśmiechu. Myśl o rzeczach, które kochasz, o rzeczach, które sprawiają ci przyjemność.

Zeszłego lata - chociaż nie była pewna, może to było dwa lata temu - papa zabrał rodzinę na parę dni na wieś, nad rzekę. Nie mogła sobie przypomnieć, jak ta rzeka się nazywała. Woda w niej była taka gładka i cudowna. Ojciec próbował nauczyć dziewczynkę pływać. Po kilku dniach umiała już przepłynąć kilka metrów niezbyt eleganckim pieskiem, który wszystkich rozśmieszał. Braciszek szalał nad rzeką z radości. Był wtedy malutki, jeszcze raczkował. Spędziła cały dzień na uganianiu się za nim, a on piszczał i ślizgał się po błotnistym brzegu.

A maman i papa wydawali się tacy spokojni, młodzi i zakochani. Głowa matki oparta o ramię ojca. Pamiętała niewielki hotel nad rzeką, w którym jedli proste sycące posiłki w przyjemnym cieniu altany. Raz patronne poprosiła ją, by pomogła jej za kontuarem i oto wydawała kawę, i czuła się bardzo dorosła i dumna, dopóki na kogoś nie wylała kawy, ale patronne była bardzo wyrozumiała.

Dziewczynka podniosła głowę. Zobaczyła, że matka rozmawia z Ewą, młodą kobietą, która mieszkała niedaleko od nich. Ewa miała czworo małych dzieci, gromadę hałaśliwych chłopców, za którymi dziewczynka nie przepadała.

Twarz Ewy, podobnie jak matki wydawała się wynędzniała i stara. Jak to się stało, że tak się postarzały przez jedną noc? - pomyślała. Ewa również była Polką i nie mówiła najlepiej po francusku. Tak jak rodzice dziewczynki, miała w Polsce rodzinę. Rodziców, ciotki i wujów. Dziewczynka pamiętała ten straszny dzień - kiedy to było, nie tak dawno temu - gdy Ewa dostała list z Polski. Przyszła do ich mieszkania zapłakana i szlochała w ramionach matki, która próbowała ją pocieszyć, jednak widać było, że również przeżywa złe wieści. Nikt nie chciał powiedzieć dziewczynce, co dokładnie się stało. Ale i tak rozumiała, wychwytywała słowa w jidysz spomiędzy szlochów.

Coś straszego w Polsce, całe rodziny zabite, domy spalone, zostały tylko popioły i ruiny. Spytała ojca, czy dziadkowie są bezpieczni. Rodzice matki, których czarnobiałe zdjęcie stało na marmurowym kominku w dużym pokoju. Ojciec odparł, że nie wie. Nadeszły bardzo złe wieści z Polski. Ale nie chciał powiedzieć jakie.

Patrząc na Ewę i matkę, dziewczynka zastanawiała się, czy rodzice mieli rację, chroniąc ją przed wszystkim. Czy słusznie starali się ją izolować od złych, niepokojących wiadomości. Czy mieli rację, gdy nie chcieli wyjaśnić, dlaczego tak wiele rzeczy się zmieniło od początku wojny. Na przykład kiedy mąż

Ewy nie wrócił do domu w zeszłym roku. Zniknął. Gdzie? Nikt nie chciał jej powiedzieć. Nikt nie chciał wytłumaczyć. Nienawidziła, gdy traktowano ją jak małe dziecko. Nienawidziła, gdy rozmowa cichła, kiedy wchodziła do pokoju.

Gdyby jej powiedzieli, gdyby powiedzieli jej wszystko, co naprawdę wiedzieli, czy nie byłoby jej łatwiej znieść tego, co się działo teraz?

- Wszystko w porządku. Po prostu jestem zmęczona. Kto dzisiaj przychodzi?

Zanim Herve zdążył odpowiedzieć, do pokoju wszedł Christophe, ucieleśnienie paryskiego szyku, ubrany na szarozielono z kremowymi akcentami, otoczony zapachem drogich męskich perfum. Christophe był nieco

młodszy od Hervego, opalony przez cały rok, chudy, miał długie przyprószone siwizną czarne włosy związane w kucyk a la Lagerfeld.

Niemalże w tej samej chwili zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Ach - powiedział Christophe, posyłając mi pocałunek - to na pewno Guillaume.

Pospieszył otworzyć drzwi.

- Guillaume? - spytałam bezgłośnie Hervego.

- Nasz nowy kumpel. Pracuje w reklamie. Rozwiedziony. Mądry chłopak. Polubisz go. Jest naszym jedynym gościem. Wszyscy powyjeżdżali na długi weekend.

Wysoki mężczyzna, który wszedł do mieszkania, miał ciemną karnację i niecałe czterdzieści lat. Przyniósł zapakowaną świecę aromatyczną i róże.

- To Julia Jarmond - przedstawił mnie Christophe. - Nasza kochana dziennikarka, z którą znamy się od dawien dawna, kiedy to jeszcze wszyscy byliśmy młodzi.

- Czyli nie wcześniej niż wczoraj - powiedział cicho Guillaume z prawdziwie francuską galanterią.

Staralam się przez cały czas uśmiechać beztrosko, świadoma badawczych spojrzeń rzucanych od czasu do czasu przez Hervego. Dziwne, zazwyczaj mówiłam mu, co mnie trapi. Wytłumaczyłabym, jak dziwnie się czuję od tygodnia. I opowiedziałabym całą sprawę z Bertrandem. Zawsze znosiłam ze spokojem jego prowokacyjne, czasem wręcz złośliwe żarty. Nigdy mi nie przeszkadzały. Aż do teraz. Dawniej podziwiałam humor i sarkazm męża. Powodowały, że jeszcze bardziej go kochałam.

Ludzie śmiali się z jego żartów. Wzbudzał nawet swoisty lęk. Pod urzekającą powłoką roześmianych błyszczących niebieskoszarych oczu i czarującego uśmiechu znajdował się twardy wymagający człowiek, który nie znosił odmowy. Godziłam się na to dlatego, że za każdym razem gdy zdawał sobie sprawę z bólu, który mi sprawił, nadrabiał to podarunkami, kwiatami i

namiętnym seksem. Łóżko było chyba jedynym miejscem, w którym naprawdę potrafiliśmy się porozumieć; w nim żadne z nas nie rozkazywało drugiemu. Pamiętam pytanie Charli, gdy wysłuchała wyjątkowo zjadliwej uwagi Bertranda na mój temat: „Czy ten drań bywa w ogóle dla ciebie miły?”. Po czym, patrząc jak czerwienieje mi twarz, stwierdziła: „Jezu. Rozumiem.

Rozmowy w łóżku. Czyny ważą więcej niż słowa”. Westchnęła i poklepała mnie po ręce. Dlaczego nie otworzyłam się dzisiaj przed Hervem? Coś mnie powstrzymało.

Coś spowodowało, że nabrałam wody w usta.

Gdy usiedliśmy wokół ośmiokątnego marmurowego stołu, Guillaume spytał, dla jakiej pracuję gazety. Tytuł nic mu nie mówił. Nie zdziwiłam się. Francuzi rzadko słyszeli o

„Scenach znad Sekwany”. Czytali je głównie mieszkający w Paryżu Amerykanie. Nie przeszkadzało mi to, nigdy nie pragnęłam sławy. Mimo sporadycznych skłonności Joshui do autorytaryzmu byłam zadowolona z dobrze płatnej pracy bez ściśle określonych godzin.

- A o czym teraz piszesz? - spytał uprzejmie Guillaume, nawijając na widelec zielony makaron.

- O Vel' d'Hiv'. Zbliżają się obchody sześćdziesiątej rocznicy.

- Masz na myśli te aresztowania podczas wojny? - upewnił się Christophe.

Właśnie chciałam odpowiedzieć, gdy zauważyłam, że widelec Guillaume'a zatrzymał się w połowie drogi pomiędzy talerzem a ustami.

- Tak, masowe aresztowania i zwożenie ludzi do Velodrome d'Hiver - wyjaśniłam.

- Czy to nie działo się gdzieś w okolicach Paryża? - dociekał Christophe, przeżuując kolejny kęs.

Guillaume odłożył po cichu widelec. Swoim spojrzeniem w jakiś sposób przyciągnął mój wzrok. Miał ciemne oczy i cienkie, delikatne wargi.

- Zdaje mi się, że to Niemcy - powiedział Herve, dolewając sobie chardonnay. Ani on, ani Christophe nie zauważyli napięcia w twarzy Guillaume'a. - Naziści aresztowali Żydów podczas okupacji.

- Tak naprawdę to nie byli Niemcy... - zaczęłam tłumaczyć.

- To francuska policja - przerwał mi Guillaume. -1 zdarzyło się to w centrum Paryża.

Na stadionie, na którym odbywały się słynne wyścigi rowerowe.

- Doprawdy? - Herve nie dowierzał. - Myślałem, że to naziści, na przedmieściach.

- Przeglądam informacje na ten temat od tygodnia. Owszem, rozkazy pochodziły od Niemców - wyjaśniłam - lecz były wykonywane przez francuską policję. Nie uczono was tego w szkole?

- Nie przypominam sobie. Chyba nie - przyznał Christophe.

Wzrok Guillaume'a znów spoczął na mnie, jakby chciał wyciągnąć coś z mojego wnętrza, jakby mnie badał. Czułam się nieswojo.

- To dość niesamowite - zwrócił uwagę Guillaume z pełnym ironii uśmiechem - jak wielu Francuzów wciąż nie wie, co tak naprawdę się stało. A jak to jest u Amerykanów? Czy znałaś ten rozdział historii, Julio?

Nie odwróciłam wzroku.

- Nie, nie znałam, a w bostońskiej szkole lat siedemdziesiątych nie mówiono o tym na zajęciach. Ale teraz wiem o wiele więcej. A to, co odkryłam, przytłoczyło mnie.

Herve i Christophe nic nie mówili. Zdawali się zagubieni. W końcu przemówił

Guillaume:

- W lipcu dziewięćdziesiątego piątego Jacques Chirac jako pierwszy prezydent zwrócił uwagę na rolę, jaką odgrywał francuski rząd podczas okupacji, w tym na jego rolę w aresztowaniach Vel' d'Hiv'. Pisano o tym przemówieniu na pierwszych stronach gazet. Pamiętasz?

Znalazłam przemówienie Chiraca, zbierając materiały do artykułu. Zdecydowanie się naraził. Gdy czytałam tekst jego mowy, wydawało mi się, że widzę te słowa po raz pierwszy, choć musiałam je słyszeć w wiadomościach sześć lat wcześniej. A chłopcy - nie mogłam się powstrzymać od myślenia o nich jako chłopcach, zawsze ich tak nazywałam - najwyraźniej nie czytali lub nie pamiętali mowy prezydenta. Patrzyli na Guillaume^ zażenowani. Herve odpałał papierosa od papierosa, a Christophe obgryzał paznokcie, jak to miał w zwyczaju, gdy się czuł nieswojo lub był zdenerwowany.

Zapadła cisza, co w tym pokoju sprawiało dziwne wrażenie. Odbyło się tutaj tak wiele hałaśliwych, radosnych imprez: ryczący ze śmiechu goście, niekończące się żarty i tańce do białego rana, rozsierdzeni sąsiedzi z piętra niżej walący miotłą w sufit.

Cisza była ciężka i bolesna. Gdy Guillaume ponownie zaczął mówić, jego głos brzmiał inaczej. Miał dziwny wyraz twarzy. Wydawał się bledszy i nie patrzył już na nas. Nie odrywał wzroku od talerza z nietkniętym makaronem.

- Moja babka miała w dniu aresztowań piętnaście lat. Powiedziano jej, że jest wolna, bo zabierają tylko małe dzieci od dwóch do dwunastu lat i ich rodziców. Zostawiono ją, za to zabrano wszystkich pozostałych. Jej braciszków, siostrzyczkę, matkę, ojca, ciotkę i wuja. Dziadków też. Był to ostatni raz, kiedy ich widziała. Żadne z nich nie wróciło. Nikt.

Oczy dziewczynki były powleczone mgłą nocnych okropieństw. Nad ranem kobieta w ciąży urodziła martwe dziecko. Dziewczynka była świadkiem krzyków i łez.

Widziała, jak poplamiona krwią główka noworodka pojawia się między nogami kobiety. Wiedziała, że powinna odwrócić wzrok, jednak nie mogła przestać patrzeć.

Była przerażona i zafascynowana. Widziała martwe dziecko z szarą woskową skórą, podobne do skurczonej lalki, pospiesznie schowane za brudnym prześcieradłem.

Kobieta nieustannie jęczała. Nikt nie był w stanie jej uciszyć.

O świcie ojciec wyciągnął z kieszeni dziewczynki klucz do tajnej szafki. Trzymając go w ręku, podszedł do policjanta. Pokazał klucz. Wy tłumaczył stan rzeczy.

Dziewczynka widziała, że choć stara się zachować spokój, jest bliski załamania.

Muszę pójść po swojego czteroletniego syna - powiedział mężczyźnie w mundurze.

Wrócę tutaj - obiecywał. Pójdę po syna i od razu przyjdę z powrotem. Jednak policjant roześmiał mu się w twarz: „Myślisz, biedny głupcze, że ci uwierzę?”.

Ojciec przekonywał policjanta, by z nim poszedł, że tylko zabierze chłopca i natychmiast wróci. Policjant kazał mu zejść z drogi. Ojciec wrócił z pochyloną głową. Płakał.

Dziewczynka wyjęła klucz z drżącej dłoni i włożyła z powrotem do kieszeni.

Zastanawiała się, jak długo braciszek może przetrwać. Na pewno wciąż na nią czeka.

Zaufał jej, zaufał bezgranicznie.

Me mogła znieść myśli o tym, że czeka w ciemności. Z pewnością jest głodny i spragniony. Woda zapewne już mu się skończyła. Tak jak wyczerpała się bateria w latarce. Jednak wszystko jest lepsze niż to, co dzieje się tutaj, pomyślała. Wszystko było lepsze od tego piekła, od tego smrodu, upału i kurzu, od krzyków i śmierci.

Spojrzała na skuloną matkę, która w przeciągu ostatnich paru godzin nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Spojrzała na podkrążone i zapadnięte oczy ojca. Rozejrzała się. Zobaczyła Ewę, jej wyczerpanych żalonych chłopców oraz wszystkie pozostałe rodziny, tych wszystkich nieznanymi ludźmi, którzy, tak jak ona, mieli żółte gwiazdy na piersiach. Zobaczyła tysiące dzieci biegających bez

opieki, głodne i spragnione maluchy, które nie mogły zrozumieć, co się dzieje, które myślały, że to jakaś dziwaczna gra, ciągnąca się już zbyt długo; najwyższy czas wrócić do domu, do łóżka, do misia.

Próbowała odpocząć, opierając spiczastą szczękę na kolanach. Wraz z wschodzącym słońcem powrócił upał. Nie wiedziała, jak w tych warunkach da radę stawić czoło kolejnemu dniu. Czowała się słaba i zmęczona. Już dawno zaschło jej w gardle. Z głodu bolał ją brzuch.

Po jakimś czasie usnęła. Śniło jej się, że jest z powrotem w domu, w swoim małym pokoju z widokiem na ulicę, w dużym pokoju, przez którego okna świeci słońce, tworząc wzorki na kominku i fotografii jej polskiej babki. Słuchała, jak po drugiej stronie zasypanego liśćmi podwórza nauczyciel gra na skrzypcach. „Sur le pont d’Avignon, on y danse, on y danse, sur le pont d’Avignon, on y danse tout en rond”.

Matka przygotowywała obiad i śpiewała do melodii: „les beaux messieurs font comme ca, et puis encore comme ca”. Braciszek bawiał się małym czerwonym pociągami na korytarzu, pchając go po ciemnym parkiecie i hałasując przy tym co niemiara. „Les belles dames font comme ca, et puis encore comme ca”. Czowała zapach domu, kojącą woń wosku, przypraw i wszystkich kuszących gotujących się w kuchni potraw. Słyszała ojca czytającego na głos matce. Byli bezpieczni. Byli szczęśliwi.

Poczuła zimną rękę na czole. Podniosła głowę i zobaczyła młodą kobietę w niebieskim czepku ze znakiem krzyża.

Kobieta uśmiechnęła się do niej i podała kubek zimnej wody, którą dziewczynka wypila paroma chciwymi łykami. Następnie pielęgniarka dała jej cienki biszkopt i trochę ryby z puszki.

- Musisz być dzielna - szepnęła młoda kobieta.

Jednak dziewczynka widziała, że pielęgniarka, tak jak ojciec, ma lzy w oczach.

- Chcę się stąd wydostać - powiedziała po cichu dziewczynka. Chciała

być z powrotem spokojna i bezpieczna w swoim śnie.

Kobieta przytaknęła. Ledwo widocznym ruchem ust uśmiechnęła się smutno.

- Rozumiem. Jednak nie mogę ci pomóc. Tak mi przykro. Wstała i poszła w stronę innej rodziny. Dziewczynka złapała ją za rękaw.

- Proszę pani, kiedy będziemy mogli stąd wyjść? - spytała. Kobieta pokręciła głową.

Pogładziła policzek dziewczynki.

Po czym ruszyła dalej, do następnej rodziny.

Dziewczynka myślała, że oszaleje. Chciała wrzeszczeć, kopać i krzyżeć, chciała opuścić to straszne, okropne miejsce. Chciała być z powrotem w domu, wieść życie sprzed żółtej gwiazdy, sprzed walenia do drzwi.

Co się z nią działo? Co takiego zrobili ona i jej rodzice, czym na to zasłużyli? Co jest złego w byciu Żydówką? Dlaczego Żydów tak traktowano?

Pamiętała pierwszy dzień noszenia gwiazdy. Poszła wtedy do szkoły. W jej pamięci zapisała się chwila, gdy weszła do sali, a oczy wszystkich skupiły się na naszywce.

Na dużej żółtej gwieździe wielkości dłoni ojca, na jej małej piersi. Po czym zauważyła, że w klasie są inne dziewczynki z naszytymi gwiazdami. Armelle też taką miała. Poczuła się wtedy trochę lepiej.

Podczas przerwy wszystkie dziewczynki z gwiazdami skupiły się razem. Inne uczennice, w tym ich dawne przyjaciółki, wytykały je palcami. Mademoiselle Dixsaut podkreślała, że gwiazdy nie powinny niczego zmieniać. Wszystkie uczennice powinny być traktowane tak samo jak przedtem, niezależnie od tego, czy miały gwiazdę, czy nie.

Jednak przemówienie mademoiselle Dixsaut nie pomogło. Od tego dnia większość dziewczyn przestała rozmawiać z noszącymi gwiazdy. Albo, co gorsza, patrzyły na nie z pogardą. Nie mogła znieść ich wzroku. Ani tego chłopca, Daniela, który na ulicy przed szkołą wyszeptał do niej i Armelle

wykrzywionymi i okrutnymi ustami:

„Wasi rodzice są brudnymi Żydami, jesteście brudnymi Żydówkami”. Dlaczego brudnymi? Co w byciu Żydem było brudne? Czula się zawstydzona i smutna. Chciało jej się płakać. Armelle nic nie powiedziała, przygryzając wargę tak mocno, aż pojawiła się krew. Po raz pierwszy widziała Armelle wyglądającą na przestraszoną.

Dziewczynka chciała zerwać gwiazdę z ubrania. Powiedziała rodzicom, że nie pójdzie z nią więcej do szkoły. Jednak matka wyjaśniła, że powinna być z niej dumna, dumna ze swojej gwiazdy. Brat zrobił drakę, bo chciał mieć własną gwiazdę.

Matka wytłumaczyła cierpliwie, że nie ma jeszcze sześciu lat. Będzie musiał trochę poczekać. Zawodził przez całe popołudnie.

Pomyślała o bracie w ciemnej głębokiej szafce. Chciała objąć jego gorące małe ciało, ucałować złote loki i pulchną szyję. Z całej siły ścisnęła znajdujący się w kieszeni klucz.

Nie obchodzi mnie, co mówią inni - szepnęła do siebie. - Znajdę sposób, by wrócić i go uratować. Znajdę sposób.

Po obiedzie Herve nalał nam trochę limoncello, schłodzonego włoskiego likieru cytrynowego. Miał piękny żółty kolor. Guillaume powoli sączył trunek ze swojego kieliszka. Podczas drugiej połowy posiłku nie mówił wiele. Zdawał się przygaszony.

Nie odważyłam się wrócić do tematu Vel' d'Hiv'. Za to on obrócił się do mnie i zaczął mówić, podczas gdy pozostali słuchali.

- Moja babka jest teraz stara. Nie chce już o tym więcej mówić. Ale kiedyś opowiedziała mi wszystko, co powinienem wiedzieć, wszystko o tamtym dniu.

Wydaje mi się, że najgorszą rzeczą była dla niej konieczność życia dalej bez nich wszystkich. Musiała sobie radzić sama. Bez całej swojej rodziny.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Chłopcy milczeli.

- Po wojnie babka chodziła codziennie do hotelu Lutetia na boulevard Raspail - kontynuował Guillaume. - To tam się sprawdzało, czy ktoś wrócił z obozów. Były tam organizacje charytatywne pomagające szukającym i listy powracających. Jednak po jakimś czasie przestała tam chodzić. Pojawiły się wiadomości o obozach. Zaczęła rozumieć, że wszyscy zginęli. Że nikt nie wróci. Przedtem nikt tak naprawdę nie był tego pewny. Ale teraz, gdy wracali ci, którzy ocaleli, i kiedy opowiadali swoje historie, wszyscy już wiedzieli.

Nikt się nie odezwał.

- Wiecie, co jest dla mnie najbardziej wstrząsające w Vel' d'Hiv'? - spytał Guillaume.

- Kryptonim całej akcji.

Wiedziałam, o co chodzi, dzięki moim badaniom.

- Operacja Wiosenna Bryza - powiedziałam cicho.

- Czyż to nie słodka nazwa dla tak strasznych czynów? Gestapo przekazało francuskiej policji polecenie „dostarczenia” określonej liczby Żydów w wieku od szesnastu do pięćdziesięciu lat. Policjanci byli tak skorzy do wydalenia z kraju jak największej liczby Żydów, że postanowili zrobić nawet więcej, niż im rozkazano.

Aresztowali więc wszystkie te małe dzieci, które urodziły się we Francji. Francuskie dzieci.

- Gestapo nie chciało tych dzieci? - upewniłam się.

- Nie. Nie na początku. Deportacja dzieci od razu odkryłaby prawdę: byłoby jasne, że Żydzi są wysyłani nie do obozów pracy, lecz na śmierć.

- Zatem dlaczego je aresztowano? Guillaume popił limoncello.

- Policjanci prawdopodobnie uważali, że dzieci Żydów, nawet jeśli urodziły się we Francji, są wciąż Żydami. Skończyło się na tym, że Francja zesłała prawie osiemdziesiąt tysięcy osób do obozów śmierci. Zaledwie paru tysiącom udało się wrócić. Spośród dzieci nie przeżyło prawie żadne.

Po drodze do domu ciągle miałam przed oczami smutne ciemne

spojrzenie Guillaume'a. zaproponował, że pokaże mi fotografie babki i jej rodziny. Dałam mu swój numer telefonu. Obiecał, że wkrótce zadzwoni.

Gdy weszłam do domu, Bertrand oglądał telewizję. Leżał na kanapie z głową opartą na ramieniu.

- I jak tam chłopcy? - Ledwo oderwał oczy od ekranu. - Wykwintni jak zawsze?

Zsunęłam sandały ze stóp i usiadłam na kanapie obok męża, przyglądając się szlachetnemu eleganckiemu profilowi.

- Posiłek był pyszny. Był też ciekawy człowiek, Guillaume.

- No proszę. - Bertrand spojrzał na mnie rozbawiony. - Gej?

- Nie, nie wydaje mi się. Zresztą nigdy nie zwracam na to uwagi.

- A co było w tym Guillaume takim interesującego?

- Opowiadał nam o swojej babce, która uniknęła aresztowań w akcji Vel' d'Hiv' w czterdziestym drugim.

- Hmm - odpowiedział, zmieniając pilotem kanały.

- Bertrandzie, czy kiedy byłeś w szkole, uczono was o Vel' d'Hiv'?

- Nie mam pojęcia, cheñe.

- Właśnie nad tym teraz pracuję. Niedługo będzie sześćdziesiąta rocznica.

Bertrand podniósł moją bosą stopę i zaczął ją masować silnymi ciepłymi palcami.

- Sądzisz, że wasi czytelnicy będą zainteresowani aresztowaniami? To przeszłość.

Nie o tym ludzie chcą czytać.

- Masz na myśli, że Francuzi się tego wstydzą? Więc powinniśmy o tym zapomnieć, tak jak oni?

Zdjął moją stopę z kolana, a w jego oku pojawił się błysk. Przygotowałam się na cios.

- Co my tu mamy - powiedział ze złośliwym uśmiechem - jeszcze jedna okazja do pokazania swoim rodakom, jacy my, zabojadzi, jesteśmy wredni, jak

kolaborowaliśmy z nazistami i wysyłaliśmy te biedne niewinne rodziny na śmierć.

Mała Miss Nahant odsłania prawdę! Co zamierzasz zrobić, amour, wytykać nas palcem? Nikogo to już nie obchodzi. Nikt nie pamięta. Napisz o czymś innym.

Czymś śmiesznym, czymś słodkim. Przecież potrafisz. Powiedz Joshui, że Vel' d'Hiv' to zły trop. Nikt nie będzie o tym czytał. Ludzie tylko ziewną i przewrócą kartkę.

Nie mogłam tego znieść. Wstałam z kanapy.

- Sądzę, że się mylisz - syknęłam. - Uważam, że ludzie nie wiedzą o tym dostatecznie dużo. Nawet Christophe ledwo kojarzył, o co chodzi, a jest Francuzem.

Bertrand parsknął.

- Przecież Christophe ledwo umie czytać. Jedyne słowa, jakie potrafi rozszyfrować, to Gucci i Prada.

Opuściłam pokój bez słowa, poszłam do łazienki i nalałam wody do wanny. Czemu nie powiedziałam mu, żeby się wypchał? Dlaczego ciągle się na to godziłam? Bo szalałam za nim, prawda? Od pierwszego wejrzenia, mimo że jest grubiański, apodyktyczny i samolubny? Jest inteligentny i przystojny, potrafi być taki zabawny i jest cudownym kochankiem, czyż nie? Wspomnienia niekończących się zmysłowych nocy, pocałunków i pieszczot, zmiętej pościeli, jego pięknego ciała, ciepłych ust, figlarnego uśmiechu. Taki czarujący. Taki zniewalający. Taki namiętny. To dlatego się na to wszystko godzę. Prawda? Ale jak długo? Przypomniałam sobie niedawną rozmowę z Isabelle. Julio, czy tolerujesz zachowania Bertranda, bo boisz się, że możesz go utracić? Siedziałyśmy w małej kafejce przy Salle Pleyel, w czasie gdy nasze córki były na lekcji baletu. Isabelle zapaliła ntego papierosa i spojrzała mi prosto w oczy. Nie - powiedziałam - kocham go. Naprawdę go kocham. Takim, jakim jest. Zagwizdała, wyrażając uznanie, lecz również ironię. W takim razie ma facet

szczęście. Ale, na Boga, kiedy posuwa się za daleko, powiedz mu to. Po prostu mu powiedz.

Leżąc w wannie, przypominałam sobie, jak spotkałam Bertranda. W niewielkiej dyskotecie w Courchevel. Był w grupie głośnych podpitych przyjaciół. Przyszłam ze swoim ówczesnym chłopakiem, Henrym, którego poznałam parę miesięcy wcześniej w telewizji, gdzie pracowałam. Nasz związek był luźny i pozbawiony patosu. Żadne z nas nie było głęboko zakochane. Byliśmy po prostu parą Amerykanów korzystających z życia we Francji.

Bertrand poprosił mnie do tańca. Zdawało mu się nie przeszkadzać, że siedzę z innym mężczyzną. Zgorszona odmówiłam. Bardzo nalegał. „Tylko jeden taniec, miss.

Tylko jeden taniec. Ale za to jaki wspaniały taniec, obiecuję”. Spojrzałam na Henry’ego. Wzruszył ramionami. Proszę bardzo, powiedział, puszczając oko. Wstałam więc i zatańczyłam z bezczelnym Francuzem.

W wieku dwudziestu siedmiu lat wyglądałam nie najgorzej, przyciągałam spojrzenia.

I owszem, byłam „Miss Nahant”, gdy miałam siedemnaście lat. Diadem ze sztucznymi diamentami wciąż leżał gdzieś na dnie szafy. Zoe lubiła się nim bawić, kiedy była mała. Nigdy nie chełpiłam się swoją urodą. Zauważyłam jednak, że odkąd zamieszkałam w Paryżu, częściej zwracano na mnie uwagę niż po drugiej stronie oceanu. Odkryłam również, że Francuzi byli bardziej odważni i bardziej otwarci, jeśli chodzi o flirtowanie. Zrozumiałam też, iż choć nie miałam w sobie nic z wyrafinowanej paryżanki - byłam zbyt wysoka, zbyt jasnowłosa, zbyt szeroko się uśmiechałam - mój urok kobiety z Nowej Anglii zdawał się być akurat hitem sezonu.

W ciągu pierwszych miesięcy w Paryżu ciągle zaskakiwało mnie, jak Francuzi - i Francuzki - otwarcie przyglądają się sobie nawzajem. Oceniają się bez przerwy.

Analizują figurę, ubrania, dodatki. Pamiętałam swoją pierwszą wiosnę w

Paryżu i spacerowanie po boulevard Saint Michel z Susannah ze stanu Oregon i Jan z Wirginii. Nie byłyśmy ubrane wyjściowo - miałyśmy na sobie dzinsy, bawełniane podkoszulki i japonki. Za to wszystkie trzy byłyśmy wysokimi, wysportowanymi blondynkami wyglądającymi bezdyskusyjnie na Amerykanki. Mężczyźni bez przerwy do nas podchodzili. Bonjour, Mesdemoiselles, vous etes Americaines, Mesdemoiselles? Młodzi mężczyźni, dojrzały mężczyźni, studenci, biznesmeni, niekończący się ciąg mężczyzn proszących o numery telefonów, zapraszających na kolacje, na drinka, błagających, żartujących, jedni czarujący, inni znacznie mniej.

Takie rzeczy nie zdarzały się w Stanach. Amerykanie nie przyczepiali się do dziewczyn na ulicy, by wyznać swoje płomienne uczucia. Nie mogłyśmy się powstrzymać od chichotania.

Wprawdzie miło być przedmiotem tylu komplementów, ale czułyśmy się nieco zażenowane.

Bertrand twierdzi, że zakochał się we mnie podczas pierwszego tańca w klubie nocnym Courchevel. Tam i wtedy. Nie wierzę mu. Sądzę, że stało się to trochę później. Być może następnego ranka, kiedy wziął mnie na narty.

- Merde alors, francuskie dziewczyny nie jeżdżą tak na nartach - dyszał, patrząc na mnie z podziwem.

- Jak? - spytałam.

- Jeżdżą co najmniej dwa razy wolniej - roześmiał się i pocałował mnie namiętnie.

Jednak ja byłam zakochana od pierwszego taktu. Do tego stopnia, że ledwo spojrzałam na biednego Henry'ego, gdy wychodziłam z dyskoteki pod rękę z Bertrandem.

Bertrand bardzo szybko zaczął mówić o małżeństwie. Mnie to nie przyszło do głowy tak szybko, w pełni zadowalało mnie bycie przez jakiś czas jego dziewczyną. Jednak nalegał, a był przy tym tak czarujący i romantyczny, że w końcu zgodziłam się za niego wyjść. Wydaje mi się, że sądził, iż będę

doskonałą żoną i matką. Byłam inteligentna, obyta i wyedukowana (studia na Uniwersytecie Bostońskim ukończone z najwyższym wyróżnieniem) oraz dobrze wychowana... Jak na Amerykankę”, prawie słyszałam jego myśli. Byłam zdrowa, atrakcyjna i silna. Nie paliłam, nie brałam narkotyków, prawie nie piłam i wierzyłam w Boga. Gdy znalazłam się z powrotem w Paryżu, zostałam zatem zapoznana z rodziną Tezaców. Byłam bardzo zdenerwowana tego pierwszego dnia. Ich nienaganny wykwiniony apartament na rue de l’Universite. Zimne niebieskie oczy i suchy uśmiech Edouarda. Collette, z jej starannym makijażem, perfekcyjnie dobranymi ubraniami i eleganckimi, wymanikiurowanymi palcami, którymi podawała mi kawę i cukier. Oraz dwie siostry.

Jedna była koścista, jasnowłosa i blada: to Laure. Druga rumianą brunetką przy tuszy: Cecile. Narzeczony Laure, Thierry, również był obecny. Ledwo się do mnie odezwał. Obie siostry patrzyły na mnie z nieskrywanym zainteresowaniem, zaskoczone, że ich brat, paryski Casanovą, zdecydował się na tak mało subtelną Amerykankę, podczas gdy mógł wybierać z le toutPańs, całego Paryża.

Wiedziałam, że Bertrand - tak, jak jego rodzina - oczekiwał, że szybko urodzę troje lub czworo dzieci. Jednak trudności rozpoczęły się od razu po ślubie. Niekończące się niespodziewane trudności. Po serii poronień byłam poturbowana psychicznie.

Zdołałam urodzić Zoe. Bertrand przez długi czas liczył na drugie dziecko. Ja też. Ale już o tym nie rozmawialiśmy.

Po czym przytrafiła się Amelie.

Ale na pewno nie chciałam dzisiaj myśleć o niej. Już dostatecznie dużo czasu na tym spędziłam.

Woda w wannie była letnia, więc wyszłam, drżąc z zimna. Bertrand nadal oglądał telewizję. Zazwyczaj w takiej sytuacji poszłabym z powrotem do niego. Wyciągnąłby ramiona, szepcząc łagodnie, i pocałował mnie, a ja bym

powiedziała, że sprawił mi przykrość, ale powiedziałabym to głosem małej dziewczynki i z takim samym wyrazem twarzy. Po czym całowałibyśmy się, a on zabrałby mnie z powrotem do sypialni i kochał się ze mną.

Dzisiaj nie poszłam do niego. Wślizgnęłam się pod kołdrę i poczytałam jeszcze trochę o dzieciach z Vel' d'Hiv'.

Ostatnim obrazem, jaki miałam przed oczami, zanim wyłączyłam światło, była twarz opowiadającego o swojej babce Guillaume'a.

Jak długo już tu byli? Dziewczynka nie mogła sobie przypomnieć. Czowała ośpienie.

Dni mieszały się z nocami. Któregoś dnia była chora, wymiotowała żółcią i jęczała z bólu. Czowała głaszczącą ją i pocieszającą rękę ojca. Jedyne, co miała w głowie, to braciszek. Nie mogła przestać o nim myśleć. Wyjmowała klucz z kieszeni i całowała tak, jakby całowała jego pulchne policzki czy miękkie loki.

W ciągu ostatnich paru dni część osób zginęła. Dziewczynka wszystko widziała. Była świadkiem, jak kobiety i mężczyźni tracą zmysły w dusznym śmierdzącym skwarze, po czym są powaleni na ziemię i przywiązani do noszy. Widziała ataki serca, samobójstwa i ataki wysokiej gorączki. Patrzyła, jak wynoszą ciała. Nigdy nie oglądała takich okropieństw. Matka stała się potulnym zwierzęciem. Prawie w ogóle się nie odzywała. Ra/caia w milczeniu. Modliła się.

Pewnego ranka przez megafony rzucono zwięzłe rozkazy. Mieli zabrać swój dobytek i zebrać się przy wejściu. W milczeniu. Czowała się słabo, lecz wstała. Ledwo mogła utrzymać się na nogach. Pomogła ojcu podciągnąć matkę do pozycji stojącej.

Podnieśli swój bagaż. Tłum sunął powoli w stronę drzwi. Dziewczynka zwróciła uwagę, jak wolno i z jakim trudem wszyscy się poruszają. Nawet dzieci kulają niczym starzy ludzie, ze zgarbionymi plecami i opuszczonymi głowami.

Dziewczynka zastanawiała się, dokąd idą. Chciała spytać ojca, lecz jego

napięta wychudła twarz mówiła, że teraz nie uzyska żadnej odpowiedzi. Czy możliwe, że w końcu wracają do domu? Czy to był koniec? Czy było już po wszystkim? Czy będzie mogła wrócić i uwolnić brata?

Szli wąską ulicą, poganiani przez policjantów. Dziewczynka patrzyła na nieznanymi ludzi przyglądających im się z okien, balkonów, drzwi i chodników. Na większości twarzy nie było widać żadnych uczuć. Patrzyli w milczeniu. Nie obchodzą ich, pomyślała. Nie obchodzi ich, co się z nami dzieje, dokąd nas zabierają. Jeden mężczyzna roześmiał się, wskazując na nich. Trzymał dziecko za rękę. Dziecko też się śmiało. Dlaczego? - Dziewczynka nie rozumiała. Dlaczego? Czy wyglądamy śmiesznie w naszych śmierdzących, brudnych ubraniach? Czy to dlatego się śmieją?

Co w tym takiego śmiesznego? Jak mogą się śmiać, jak mogą być tak okrutni?

Chciała na nich splunąć, chciała na nich nakrzyczeć.

Kobieta w średnim wieku przeszła przez ulicę i pospiesznie wcisnęła jej coś do ręki.

Była to mała miękka bułka. Kobieta została odgoniona przez policjanta.

Dziewczynka akurat zdążyła zobaczyć, jak wraca na drugą stronę ulicy. Kobieta powiedziała: „Biedna dziewczynka. Niech Bóg się nad tobą zlituje”. Co robi teraz Bóg, pomyślała tępo. Czy Bóg ich porzucił? Dlaczego karze ich za coś, o czym ona nie wie? Rodzice nie byli szczególnie religijni, choć wiedziała, że wierzą w Boga.

Nie wychowywali jej wedle ortodoksyjnych reguł, tak jak przestrzegający wszystkich rytuałów rodzice Armelle. Dziewczynka zastanawiała się, czy to za to są karani. Za nie dość wierne praktykowanie religii.

Podła bułkę ojcu. Powiedział, by ją zjadła. Pochłonęła ją błyskawicznie. Zbyt szybko. Zakrztusiła się.

Zabrano ich tymi samymi miejskimi autobusami na dworzec kolejowy z widokiem na rzekę. Nie wiedziała, która to stacja. Nigdy tu nie była. Rzadko

opuszczała Paryż w ciągu swoich dziesięciu lat życia. Gdy zobaczyła pociąg, ogarnęła ją panika. Nie, nie może wyjechać, musi zostać, musi zostać ze względu na braciszka, obiecała, że wróci i go uratuje. Ciągnęła ojca za rękaw, szepecząc imię brata. Ojciec opuścił wzrok, by spojrzeć na nią.

- Nie możemy nic zrobić - powiedział z ostateczną bezradnością. - Nic.

Pomyślała o sprytnym chłopcu, który uciekł, który zdołał się wydostać. Ogarnęła ją wściekłość. Dlaczego ojciec był taki słaby, taki tchórzliwy? Czy nie obchodził go własny syn? Czy nie obchodził go jego mały chłopiec? Dlaczego nie odważył się uciec? Jak mógł tak po prostu pozwolić prowadzić się do pociągu jak baran na rzeź?

Jak mógł tak po prostu stać i nie wymknąć się, nie pobiec z powrotem do mieszkania, do chłopca i wolności? Dlaczego nie brał od niej klucza i nie uciekał?

Ojciec spojrzał na nią i zobaczyła, że odczytał jej wszystkie myśli. Powiedział bardzo spokojnie, że są w wielkim niebezpieczeństwie. Nie wiedział, dokąd zostaną zabrani.

Nie wiedział, co się z nimi stanie. Ale wiedział, że jeśli spróbuje teraz uciec, zostanie zabity. Błyskawicznie zastrzelony na oczach matki i dziewczynki. A jeżeli to się stanie, to będzie koniec. Matka i dziewczynka zostaną same. Więc on musi zostać, aby móc je chronić.

Dziewczynka słuchała. Nigdy nie mówił do niej takim głosem. Był to głos, który słyszała podczas niepokojących nocnych rozmów. Próbowwała zrozumieć. Próbowwała nie pokazywać na twarzy swojej udręki. Ale jej brat... To była jej wina! To ona kazała mu się schować w szafce. To jej wina. Mógłby być teraz z nimi. Mógłby być tutaj, trzymać ją za rękę, gdyby nie ona.

Rozplakała się, gorące łzy piekły w oczy i piekły policzki.

- Nie wiedziałam! - łkała. - Papo, nie wiedziałam. Myślałam, że wrócimy, myślałam, że będzie bezpieczny. - Po czym spojrzała mu w twarz. W jej głosie słychać było gorycz i ból, gdy uderzała małymi piąstkami w jego pierś. - Nigdy

mi nie powiedziałaś, papo, nigdy nie wyjaśniłeś, nigdy nie powiedziałaś mi o niebezpieczeństwie, nigdy! Dlaczego?

Myślałeś, że jestem za mała, by zrozumieć, prawda? Chciałeś mnie chronić? Czy to dlatego?

Twarz ojca. Nie mogła już patrzeć. Skierowany na nią wzrok był przepełniony rozpaczą i smutkiem. Łzy zmyły ten widok z oczu dziewczynki. Zakryła twarz dłońmi i płakała, osamotniona. Ojciec nawet jej nie dotknął. W ciągu tych okropnych samotnych minut dziewczynka zrozumiała. Nie była już wesołą dziesięciolatką. Była kimś znacznie starszym. Nic już nigdy nie będzie takie samo. Dla niej. Dla jej rodziny. Dla jej braciszka.

Wybuchła po raz ostatni, ciągnąc ojca za rękaw z gwałtownością, która była dla niej czymś nowym.

- On umrze! On umrze!

- Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie - odpowiedział w końcu. - Ja, ty, twoja matka, twój brat, Ewa i jej synowie, i ci wszyscy ludzie. Wszyscy, którzy są tutaj. Ja jestem tutaj z tobą. A razem jesteśmy z twoim bratem. Jest w naszych modlitwach i w naszych sercach.

Zanim zdołała odpowiedzieć, wepchnięto ich do pociągu. Był to pociąg bez siedzeń, składał się z pustych wagonów. Krytych bydlęcych wagonów. Śmierdział bydłem i brudem. Dziewczynka stanęła niedaleko drzwi i patrzyła na szarą, zakurzoną stację.

Na pobliskim peronie jakaś rodzina czekała na inny pociąg. Ojciec, matka i dwoje dzieci. Matka była ładna, miała włosy spięte w wymyślny kok. Zapewne jechali na wakacje. Była tam dziewczynka, akurat w jej wieku, ubrana w ładną liliową sukienkę. Miała czyste włosy i błyszczące buty.

Dziewczynki patrzyły na siebie przez tory. Matka o wymyślnej fryzurze również patrzyła. Dziewczynka w pociągu wiedziała, że jej zażawiona twarz była czarna od brudu, a włosy tłuste. Jednak nie pochyliła głowy ze wstydu. Stała prosto. Otarła łzy.

A gdy zatrzaśnięto drzwi, gdy pociąg szarpnął gwałtownie z łoskotem i zgrzytem, wyrzała przez drobną szparę. Nie odrywała wzroku od dziewczynki, dopóki postać w liliowej sukience całkowicie nie znikła jej z oczu.

Nigdy nie przepadałam za piętnastą dzielnicą. W żaden sposób nie mogłam się przyzwyczaić do szpecących brzegi Sekwany monstrualnych wieżowców w bezpośrednim sąsiedztwie wieży Eiffla, mimo że zostały wybudowane w latach siedemdziesiątych, na długo przed moim przyjazdem. Niemniej gdy skręciłam z Bamberem w rue Nelaton, gdzie niegdyś stał yelodrome d’Hiver, moja niechęć do okolicy osiągnęła rekordowy poziom.

- Co za okropna ulica - powiedział do siebie Bamber. Zrobił parę zdjęć.

Na rue Nelaton było ciemno i cicho. Najwyraźniej słońce nie zaglądało tu często. Po jednej stronie ulicy stały późnodziewiętnastowieczne kamienice, z drugiej, na miejscu Velodrome d’Hiver, znajdowała się okazałych rozmiarów brązowa budowla w charakterystycznym stylu wczesnych lat sześćdziesiątych, ohydna zarówno pod względem koloru, jak i proporcji. Nad szklanymi drzwiami obrotowymi wisiała tabliczka z napisem *Ministere de l’Inteneur*, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

- Dziwne miejsce na budowanie państwowych urzędów - zwrócił uwagę Bamber - nie sądzisz?

W ramach przygotowań do wyjazdu Bamber z trudem znalazł kilka fotografii welodromu. W ręku trzymałam jedną z nich. Na bladej fasadzie widniały duże czarne litery układające się w napis „Vel’ d’Hiv’„. Wielkie drzwi. Szereg zaparkowanych wzdłuż chodnika autobusów. Czubki głów. Zdjęcie zrobiono zapewne z okna jednego z budynków po drugiej stronie ulicy w dniu aresztowań.

Rozglądaliśmy się za jakimś upamiętnieniem tutejszych wydarzeń, jednak nie mogliśmy nic znaleźć.

- Niemożliwe, żeby nic tutaj nie było - stwierdziłam.

Wreszcie, tuż za rogiem, na boulevard de Grenelle, dostrześliśmy

niewielką tabliczkę. Była raczej skromna. Ciekawe, czy ktokolwiek się zatrzymywał, by na nią zerknąć.

Szesnastego i siedemnastego lipca 1942 roku aresztowano 13152 Żydów z Paryża i okolic, którzy następnie zostali deportowani do Oświęcimia i zamordowani. W stojącym tu niegdyś Velodrome d'Hiver kierownictwo policji państwa Vichy, na rozkaz nazistowskich okupantów, przetrzymywało w nieludzkich warunkach 1mężczyzn, 2916 kobiet i 4115 dzieci. Wielkie dzięki tym, którzy próbowali ich uratować. Przechodniu, pamiętaj!

- Ciekawe... - zamyślił się Bamber. - Skąd tyle dzieci i kobiet, a tak niewielu mężczyzn?

- Wcześniej było wiadomo, że szykują się masowe aresztowania - wyjaśniłam. - Podobne już parokrotnie miały miejsce, w tym największe w sierpniu czterdziestego pierwszego. Jednak przedtem działano na mniejszą skalę i aresztowano tylko mężczyzn. Poza tym nie były to tak dokładnie zaplanowane akcje. Stąd zła sława aresztowań z lipca czterdziestego drugiego. W nocy z szesnastego na siedemnastego większość mężczyzn była w ukryciu, gdyż sądzili, że kobietom i dzieciom nic nie grozi. I bardzo się mylili.

- Od jak dawna trwały przygotowania?

- Od miesiący. Francuski rząd od kwietnia czterdziestego drugiego pilnie odrabiał lekcje, przygotowując listy Żydów.

Do ich aresztowania wyznaczono sześć tysięcy paryskich policjantów. Na początku ustalono datę na czternastego lipca, jednak ze względu na święto państwowe przesunięto plany o parę dni. Szliśmy w stronę stacji metra. Ulica była ponura i posępna.

- I co potem? - spytał Bamber. - Dokąd zabrano te wszystkie rodziny?

- Zostały zamknięte na kilka dni w Vel' d'Hiv'. Gdy wreszcie wpuszczono grupę pielęgniarek i lekarzy, opisywali to, co się działo wewnątrz, jako chaos i rozpacz.

Następnie zabrano aresztowane rodziny na stację Austerlitz, a stamtąd do

obozów wokół Paryża, skąd w końcu odjechały pociągami prosto do Polski.

Bamber uniósł brew.

- Obozy? Masz na myśli obozy koncentracyjne we Francji?

- Nazywano je francuskimi przedsiódkami Oświęcimia. Drancy to ten najbliższy Paryża, a pozostałe znajdowały się w Pithiviers oraz BeaunelaRolande.

- Ciekaw jestem, jak dzisiaj wyglądają. Dobrze byłoby pojechać i zobaczyć na własne oczy.

- Taki mam zamiar - odparłam.

Wstąpiliśmy do kafejki na rogu rue Nelaton na kawę. Zerknęłam na zegarek.

Obiecałam, że pójdę się dzisiaj spotkać z Mamą. Nie miałam już szans zdążyć. Zatem jutro. Nigdy nie traktowałam tego jako obowiązku; była dla mnie babką, której nigdy nie miałam. Obie moje rodzone babki zmarły, gdy byłam małym dzieckiem.

Żałowałam tylko, że Bertrand nie stara się jej częściej odwiedzać. Był oczkiem w głowie Marne.

Głos Bambara skierował moje myśli z powrotem na Vel' d'Hiv'.

- W takich sytuacjach cieszę się, że nie jestem Francuzem - oznajmił.

Po czym przypomniał sobie:

- Ojej, przepraszam. Przecież ty teraz jesteś Francuzką, prawda?

- Owszem, odkąd wyszłam za mąż, mam podwójne obywatelstwo.

- Nie mówiłem poważnie. - Zakasłał. Wyglądał na zakłopotanego.

- Spokojnie. - Uśmiechnęłam się. - Nawet po tylu latach teściowie wciąż nazywają mnie Amerykanką.

Bamber uśmiechnął się szeroko.

- Przeszkadza ci to? Wzruszyłam ramionami.

- Czasami. Spędziłam tu ponad połowę życia. Naprawdę czuję, że tu jest moje miejsce.

- Od jak dawna jesteś mężatką?

- Niedługo minie szesnaście lat. Ale mieszkam tu od dwudziestu pięciu.
- Wyprawiliście jedno z tych zbytkownych francuskich wesel?

Roześmiałam się.

- Nie, było całkiem skromnie. Pobraliśmy się w Burgundii, nieopodal Sens, gdzie teściowie mają dom.

Przez głowę przeleciało mi parę wspomnień z dnia ślubu. Rozmowa między Seanem i Heather Jarmondami a Edouardem i Collette Tezacami zbytnio się nie kleiła.

Wyglądało to, jakby cała francuska strona rodziny zapomniała, jak się mówi po angielsku. Ale nie przejmowałam się tym. Byłam taka szczęśliwa. Przygrzewające słońce. Cichy wiejski kościółek. Prosta śnieżnobiała suknia ślubna chwalona przez teściową. Oszalamiająco piękny Bertrand w szarym fraku. Wytworne przyjęcie u Tezaców. Szampan, świece i płatki róż. Charla wygłaszająca swoim okropnym francuskim przezabawne przemówienie, z którego tylko ja się śmiałam. Głupawe miny Laurę i Cecile. Moja matka ubrana w bladopurpurowy kostium i szepcząca: Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa, aniołku. Ojciec tańczący walca z Colette, która wyglądała, jakby połknęła kij. Wszystko to wydawało się bardzo odległą przeszłością.

- Tęsknisz za Ameryką? - chciał wiedzieć Bamber.

- Nie. Tęsknię za siostrą. Ale nie za Ameryką.

Młody kelner przyniósł nasze kawy. Gdy zobaczył ufarbowane na ogniste kolory włosy Bambera, uśmiechnął się pobłaźliwie. Po czym zauważył różnorodne aparaty i obiektywy.

- Jesteście turystami? - spytał. - Robicie ładne zdjęcia Paryża?

- Nie jesteśmy turystami. Robimy ładne zdjęcia tego, co zostało z Vel' d'Hiv' - odpowiedział Bamber po francusku z brytyjskim akcentem, przeciągając sylaby.

Kelner wydawał się zaskoczony.

- Mało kto teraz pyta o Vel' d'Hiv'. O wieżę Eiffla, owszem, ale nie o

Vel' d'Hiv'.

- Jesteśmy dziennikarzami - wtrąciłam. - Pracujemy dla amerykańskiego czasopisma.

- Czasem przychodzą tu żydowskie rodziny - przypomniał sobie mężczyzna. - Najczęściej z okazji rocznicowych przemówień przy pomniku nad rzeką.

Wpadłam na pewien pomysł.

- Nie znasz może kogoś z tej okolicy, jakiegoś sąsiada, który był świadkiem aresztowań i chciałby z nami porozmawiać? - zapytałam. Spotkaliśmy się już z paroma osobami, które przetrwały deportację; większość napisała książki o swoich doświadczeniach. Brakowało nam jednak zwykłych mieszkańców Paryża, którzy widzieli te wydarzenia z zewnątrz.

Jak tylko skończyłam mówić, poczułam się głupio. Przecież kelner wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia lat. Przypuszczalnie nawet jego ojciec urodził się po czterdziestym drugim.

- Owszem, znam - odparł ku mojemu zaskoczeniu. - Jeżeli wrócicie na początek ulicy, zobaczycie kiosk po lewej. Sprzedawca, Xavier, będzie mógł wam coś opowiedzieć. Jego matka wszystko widziała, mieszka tu od urodzenia.

Zostawiliśmy duży napiwek.

Marsz z niewielkiej stacji kolejowej ciągnął się w nieskończoność. Szli przez miasteczko. Miejscowi gapili się na nich i wytykali palcami. Bolały ją stopy. Dokąd teraz idą? Co się z nimi stanie? Czy odjechali daleko od Paryża? Podróż pociągiem nie trwała długo, zaledwie parę godzin. Nie przestawała myśleć o braciszku. Z każdym kilometrem była coraz bardziej zrozpaczona. Jak zdoła wrócić do domu?

Jak? Dostawała mdłości na myśl, że brat najprawdopodobniej sądzi, iż o nim zapomniała. Zamknięty w ciemnej szafce myśli, że go zostawiła, że go nie kocha, że jej nie obchodzi. Nie miał wody ani światła i był przerażony. Zawiodła go.

Gdzie byli? Gdy wjeżdżali na peron, nie zdążyła przeczytać nazwy stacji. Zauważyła jednak rzeczy, na które dziecko zwraca uwagę: bujną wiejską roślinność, płaskie zielone pastwiska i złote pola. Odurzający zapach świeżego letniego powietrza.

Bzyczenie pszczoły. Ptaki na niebie. Białe puszyste chmury. Całą sobą czuła wspaniałość natury, szczególnie po smrodzie i skwarze ostatnich dni. Może nie będzie tak źle.

Przeszła za rodzicami przez bramę z drutu kolczastego. Po obu stronach stali groźnie wyglądający żołnierze z karabinami. Długie szeregi ciemnych baraków i posępność zamkniętej przestrzeni na nowo wprowadziły ją w rozpacz. Przestraszona przytuliła się do matki. Policjanci zaczęli wykrzykiwać rozkazy. Kobiety i dzieci miały się udać do baraków po prawej, mężczyźni po lewej. Bezradnie trzymała się matki i patrzyła, jak popychają ojca i grupę mężczyzn.

Bała się, gdy nie było go przy niej. Jednak nie mogła nic zrobić. Karabiny ją przerażały. Matka patrzyła tępo przed siebie. Jej blada i chorowita twarz nawet nie drgnęła.

Gdy popychano kobiety w stronę baraków, dziewczynka wzięła matkę za rękę. Od wewnątrz budynki były puste i brudne. Deski i słoma. Smród i brud. Na zewnątrz znajdowały się latryny: przełożone nad dziurami deski. Kazano im kucnąć na nich grupami, sikać i wypróżniać się na oczach wszystkich, niczym zwierzętom.

Dziewczyńce było niedobrze na sam widok. Czuła, że nie może tego zrobić. Patrzyła na matkę, jak rozkracza się nad jedną z dziur. Spuściła wzrok ze wstydu. W końcu jednak zrobiła to, co jej kazano, skulona, licząc na to, że nikt na nią nie patrzy.

Nad drutem kolczastym dziewczynka widziała skrawek wioski. Czarną iglicę kościoła. Wieżę ciśnienną. Dachy i kominy. Drzewa. Tam, pomyślała, w domach tuż obok ludzie mają łóżka, pościel, jedzenie i wodę. Są czysti. Ich ubrania nie śmierdzą.

Nikt na nich nie krzyczy. Nikt ich nie traktuje jak bydło. I są tuż obok, po drugiej stronie ogrodzenia. W małej czystej wiosce, w której właśnie bije dzwon.

Tam dzieci są na wakacjach, przeszło przez myśl dziewczynce. Chodzą na pikniki, bawią się w chowanego. Są wesołe, choć jest wojna i mniej jedzenia niż zwykle, a ich papa być może poszedł na front. Szczęśliwe, kochane, zadbane dzieci. Nie mogła zrozumieć, na czym polega różnica między nią a tamtymi dziećmi. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ona i wszyscy po tej stronie ogrodzenia muszą być tak traktowani. Kto o tym zdecydował i dlaczego?

Podano im ledwo ciepły kapuśniak. Był wodnisty i zgrzytał w zębach. Nie dostali nic więcej. Następnie patrzyła, jak szeregi kobiet rozbierają się do naga i walczą o miejsce przy zardzewiałych żelaznych umywalkach, do których sączyła się woda.

Przepychały się, aby umyć swoje brudne ciała. Wydawały się brzydkie i groteskowe.

Była zła na te zwiotczałe, te chude, te stare, te młode; była zła, że musi widzieć ich nagość. Nie chciała na nie patrzeć. Była zła, że musi je oglądać.

Przytuliła się do ciepła matki i starała nie myśleć o braciszku. Swędziała ją skóra na całym ciele. Chciała się wykąpać, wślizgnąć do łóżka, zobaczyć brata. Zjeść kolację.

Zastanawiała się, czy może być coś gorszego niż to, czego doświadczała od kilku dni.

Pomyślała o swoich koleżankach i innych dziewczynkach ze szkoły, które nosiły gwiazdy. Dominique, Sophie, Agnes. Co się z nimi stało? Czy któraś zdołała uciec?

Czy któraś była ukryta w bezpiecznym miejscu? Czy Armelle gdzieś się chowała z rodziną? Czy jeszcze kiedyś ją zobaczy, czy zobaczy resztę koleżanek? Czy we wrześniu pójdzie do szkoły?

W nocy nie mogła zasnąć; brakowało dodającego otuchy dotyku ojca.

Bolał ją brzuch, czuła bolesne skurcze żołądka. Wiedziała, że nie wolno w nocy wychodzić z baraków. Zaciśnęła zęby i złapała się za brzuch. Jednak ból się nasilał. Wstała powoli i przeszła na palcach między rzędami śpiących kobiet i dzieci. Wyszła na dwór do latryny.

Podczas gdy drżała nad deskami, obóz przeczesywały jaskrawe reflektory.

Dziewczynka zerknęła w dół. Zobaczyła grube blade glisty wijące się w ciemnej masie gówna. Przestraszyła się, że policjant z którejś wieży strażniczej może zobaczyć jej pupę i opuściła spódniczkę. Pospiesznie wróciła do baraku.

W środku było duszno. Śmierdziało. Niektóre dzieci jęczały przez sen. Słyszała szloch jednej z kobiet. Obróciła się w stronę matki, by przyjrzeć się zapadłej bladej twarzy.

Nie było już wesołej kochającej kobiety. Nie było już matki, która przytulała dziewczynkę, szepcząc ciepłe słowa i czułe zdrobnienia w jidysz. Kobiety ze zmysłowo ułożonymi lśniącymi włosami w kolorze miodu, którą wszyscy sąsiedzi i sprzedawcy witali po imieniu. Ciepłego, uspokajającego matczynego zapachu, na który składały się wonie pysznego jedzenia, świeżego mydła i czystej pościeli. Zaraźliwego śmiechu. Nie było już tej, która mówiła, że nawet jeśli będzie wojna, jakoś dadzą sobie radę, gdyż są dobrą, silną rodziną - rodziną pełną miłości.

Ta kobieta przestawała istnieć. Stała się chuda i blada, w ogóle już się nie uśmiechała ani tym bardziej nie śmiała. Pachniała gorzko i nieświeżo. Miała suche i łamliwe włosy, miejscami posiwiałe.

Dziewczynka czuła się tak, jakby matka już nie żyła.

Stara kobieta patrzyła na mnie i Bambera wilgotnymi błyszczącymi oczami. Chyba niedługo przekroczy setkę, pomyślałam. Miała bezzębny uśmiech niczym niemowlę.

W porównaniu z nią Marne wyglądała na nastolatkę. Mieszkała nad kioskiem na rue Nelaton, który należał do jej syna, w ciasnym mieszkaniu zapchanym pokrytymi kurzem meblami, zniszczonymi przez mole dywanami

oraz zwiędłymi roślinami.

Staruszka siedziała przy oknie w zapadniętym fotelu. Patrzyła, jak wchodzimy i się przedstawiamy. Zdawała się być zadowolona z wizyty niezapowiedzianych gości.

- A więc amerykańscy dziennikarze - powiedziała drżącym głosem, przyglądając się nam.

- Koleżanka jest Amerykanką, ja jestem Anglikiem - poprawił Bamber.

- Dziennikarze zainteresowani Vel' d'Hiv'? Wyjęłam notatnik i długopis i oparłam je na kolanie.

- Czy pamięta pani cokolwiek z aresztowań? - zadałam pierwsze pytanie.

- Czy mogłaby nam pani coś opowiedzieć, choćby najdrobniejszy szczegół?

Roześmiała się rehotliwie.

- Sądzi młoda pani, że nie pamiętam? Sądzicie może, że zapomniałam?

- W końcu minęło już trochę czasu.

- Ile ma pani lat? - spytała wprost.

Poczułam, że się czerwienię. Bamber ukrył uśmiech za aparatem.

- Czterdzieści pięć - odpowiedziałam.

- Ja niedługo skończę dziewięćdziesiąt pięć - mówiąc, kobieta odsłaniała bezzębne dziąsła. - Szesnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego miałam trzydzieści pięć. Byłam o dziesięć lat młodsza od pani. A pamiętam. Pamiętam wszystko.

Przerwała. Skierowała zamglony wzrok na ulicę za oknem.

- Pamiętam, jak z samego rana obudził mnie warkot autobusów tuż pod moim oknem. Wyjrzałam na dwór i zobaczyłam, jak się zjeżdżają. Coraz więcej autobusów.

Naszych własnych miejskich autobusów, które widywałam codziennie. Białozielonych. Było ich tak dużo. Zastanawiałam się, skąd się tutaj wzięły. Po czym zobaczyłam, jak wychodzą z nich ludzie. I te wszystkie dzieci. Tyle dzieci. Widzicie, trudno jest zapomnieć te dzieci.

Notowałam pospiesznie, podczas gdy Bamber powoli naciskał wyzwalacz, robiąc zdjęcia.

- Po jakimś czasie ubrałam się i zeszłam na dół z chłopcami, którzy wtedy byli mali.

Chcieliśmy wiedzieć, co się dzieje, byliśmy ciekawi. Na dole stali już sąsiedzi i dozorczyńni. Wtedy zobaczyliśmy żółte gwiazdy i zrozumieliśmy. Żydzi. Zwozili tu Żydów.

- Czy wiedziała pani coś o tym, co się z nimi stanie? - wtrąciłam się.

Wzruszyła starymi ramionami.

- Nie, nie mieliśmy pojęcia. Skąd mielibyśmy wiedzieć? Dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie. Myśleliśmy, że wywożą ich gdzieś do pracy. Nie sądziliśmy, że dzieje się coś złego. Pamiętam, jak ktoś powiedział: „To francuska policja, nikt nie zrobi im krzywdy”, więc się nie przejmowaliśmy. A następnego dnia, choć wszystko się działo w środku Paryża, w gazetach nie było żadnej wzmianki, nie wspomniano o tym w radiu. Zdawało się, że nikt się nie przejmuje. Zatem my też się nie martwiliśmy. Dopóki nie zobaczyłam dzieci.

Przerwała.

- Dzieci? - powtórzyłam.

- Kilka dni później Żydów wywieziono tymi samymi autobusami. Stałam na chodniku i widziałam, jak z velodrome wychodzą kolejne rodziny; widziałam wszystkie te brudne, zapłakane dzieci. Wyglądały na przerażone. Byłam zgorszona.

Zdałam sobie sprawę, że gdy były w środku, nie dawano im prawie nic do jedzenia i picia. Czuję się bezradna i wściekła. Próbowaliśmy rzucać im chleb i owoce, lecz policja nie pozwalała.

Przerwała ponownie, tym razem na dłużej. Nagle wydawała się zmęczona, znużona.

Bamber po cichu odłożył aparat. Czekaliśmy. Nie ruszaliśmy się. Zastanawiałam się, czy jeszcze coś powie.

- Po tylu latach - odezwała się w końcu głosem ściszym niemalże do szeptu - po tylu latach wciąż widzę te dzieci. Widzę, jak wspinają się do autobusów i jak są wywożone. Nie wiedziałam, dokąd je zabierają, ale miałam pewne przeczucia.

Okropne przeczucia. Większości ludzi wokół było to obojętne. Uznawali to za normalne. Uważali, że wywożenie Żydów jest całkiem normalne.

- Jak pani sądzi, dlaczego tak uważali? - spytałam. Znowu rehotliwy śmiech.

- Bo nam Francuzom od lat wmawiano, że Żydzi są wrogami naszego kraju! W czterdziestym pierwszym czy drugim była wystawa w Palais Berlitz, o ile dobrze pamiętam, na boulevard des Italiens, zatytułowane Francja i Żydzi. Niemcy dopilnowali, by była otwarta przez wiele miesięcy. Zrobiła furorę wśród paryżan. A na czym polegała? Na propagowaniu antysemityzmu, który powinien przecież wzbudzać odrazę.

Poskręcanymi starymi palcami wygładziła spódnicę.

- Wiecie, pamiętam tych policjantów. Naszych dobrych paryskich policjantów.

Naszych dobrych porządnym żandarmów. Jak wpychali dzieci do autobusów.

Krzyczeli. Używali pałek.

Oparta brodę na piersi. Wymamrotała coś, czego nie zrozumiałam. Brzmiało jak:

„Wstyd nam, żeśmy ich nie powstrzymali”.

- Nie wiedzieliście - powiedziałam łagodnie, wzruszona jej zmęczonym wzrokiem i starymi oczami, w których pojawiły się łzy. - Cóż mogliście zrobić?

- Wiecie, nikt nie pamięta dzieci z Vel' d'Hiv'. Nikogo to nie interesuje.

- Być może w tym roku się zainteresują - odparłam. - Być może w tym roku będzie inaczej.

Wydęła pomarszczone wargi.

- Nie będzie. Zobaczycie. Nic się nie zmieniło. Nikt nie pamięta. Dlaczego mieliby pamiętać? To były najbrzydliwsze karty w historii naszego kraju.

Zastanawiała się, gdzie jest ojciec. Na pewno gdzieś w obozie, w jednym z baraków, ale widziała go tylko raz czy dwa. Nie zwracała uwagi na mijające dni. Myślami nieustannie wracała do braciszka. Budziła się w nocy, drżąc i wyobrażając go sobie w szafce. Wpatrywała się w wyjęty z kieszeni klucz, mimo że wzbudzał w niej ból i strach. Może braciszek już nie żył. Może umarł z głodu i pragnienia. Próbowwała policzyć, ile dni minęło od tego ponurego czwartku, kiedy usłyszała walenie do drzwi. Tydzień? Dziesięć dni? Nie wiedziała. Czowała się zagubiona. Przeszła przez koszmar strachu, głodu i śmierci. Kolejne dzieci umierały w obozie. Ciała zabierano wśród płaczu i krzyków.

Pewnego ranka zobaczyła grupę żywo rozmawiających kobiet. Wyglądały na zmartwione i zdenerwowane. Matka na pytanie, o co chodzi, odpowiedziała, że nie wie. Dziewczynka nie dała się zniechęcić i spytała kobietę, która miała chłopca w wieku braciszka i przez kilka ostatnich dni spała obok. Twarz kobiety była czerwona, jakby miała gorączkę. Powiedziała, że po obozie chodzą plotki, iż rodzice zostaną zesłani na roboty na wschód. Mieliby przygotować miejsce na przyjazd dzieci, które dojadą parę dni później. Dziewczynka słuchała zaskoczona. Powtórzyła to, co usłyszała, matce, która otworzyła szeroko oczy. Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie, to niemożliwe - stwierdziła. - W żadnym wypadku nie mogą tak zrobić. Nie mogliby oddzielić dzieci od rodziców.

W tamtym spokojnym bezpiecznym życiu, które teraz wydawało się tak mało realne, dziewczynka uwierzyłaby matce. Dawniej wierzyła w każde jej słowo. Lecz w tym nowym brutalnym świecie dziewczynka czuła, że dorosła. Czowała się starsza od matki.

Wiedziała, że kobiety mówią prawdę. Wiedziała, że pogłoski są prawdziwe. Nie wiedziała, jak to wyjaśnić matce. Jakby to matka była

dzieckiem.

Nie bata się, gdy do baraków weszli mężczyźni. Dotychczasowe doświadczenia ją zahartowały. Czowała wokół siebie gruby mur. Wzięła matkę za rękę i mocno trzymała.

Chciała, by matka była odważna i dzielna. Kazano im wyjść na dwór. Niewielkimi grupami przechodziły do innego baraku. Cierpliwie czekała z matką w kolejce.

Ciągle się rozglądała, licząc, że zobaczy ojca. Nigdzie nie było go widać.

Nadeszła ich kolej. Po wejściu do baraku dziewczynka zobaczyła dwóch siedzących za stołem policjantów. Obok stały dwie kobiety w cywilnym ubraniu. Kobiety z wioski przyglądające się szeregom kobiet i dzieci nieruchomymi oziębłymi oczami.

Słyszała, jak każą stojącej przed nią staruszce oddać pieniądze i biżuterię. Widziała, jak jedna z kobiet ściąga z pomarszczonej ręki obrączkę i zegarek. Obok stała dziewczynka w wieku sześciu, siedmiu lat. Drżała ze strachu. Policjant wskazał na malutkie okrągłe złote kolczyki w uszach dziewczynki. Była tak przestraszona, że nie była w stanie samodzielnie ich zdjąć. Babka dziecka pochyliła się, by pomóc.

Policjant westchnął rozdrażniony tym tempem. To szło zdecydowanie za wolno. Będą tu siedzieć do rana.

Jedna z kobiet podeszła do dziewczynki i szybkim ruchem wyrwała kolczyki z uszu, rozrywając maleńkie małżowiny. Dziewczynka krzyknęła i złapała się za broczące krwią uszy. Starsza kobieta również krzyknęła. Policjant uderzył ją w twarz. Zostały wyciągnięte na dwór. Przez szereg kobiet przeszedł pomruk strachu. Policjanci zamachali karabinami. Zapadła cisza.

Ani dziewczynka, ani matka nie miały nic do oddania. Jedynie obrączkę ślubną matki. Ogorzała kobieta z wioski rozerwała sukienkę matki od obojczyka po pępek, odsłaniając bladą skórę i wyblakłą bieliznę. Ręce obmacywały fałdy sukienki, bielizny, ciała. Matka wzdrygnęła się, lecz nic nie powiedziała.

Dziewczynka patrzyła coraz bardziej przerażona. Nie mogła znieść tego, jak mężczyźni patrzyli na ciało matki, jak kobiety z wioski dotykały jej niczym kawałka mięsa. Czy to samo będą robić ze mną? pomyślała. Czy z niej też zerwą ubrania? A jeśli zabiorą klucz? Z całej siły ścisnęła zimny metal w kieszeni. Nie, nie mogą tego zrobić. Nie pozwoli. Nie pozwoli im zabrać klucza do tajnej szafki. Nigdy.

Jednak policjanci nie byli zainteresowani tym, co miała w kieszeniach. Zanim odeszła z matką od biurka, spojrzała raz jeszcze na rosnące na blacie stosy naszyjników, bransoletek, broszek, pierścionków, zegarków i pieniędzy. Co oni z tym wszystkim zrobią? pomyślała. Sprzedadzą? Sami będą nosić? Po co im tyle rzeczy?

Znalazły się z powrotem na dworze, gdzie ustawiono je ponownie w szeregu. Dzień był gorący, a w powietrzu unosił się kurz. Dziewczyńce chciało się pić, drapało ją w gardle. Przez długi czas stały w miejscu pod strażą milczącego policjanta. Na co czekają? Gdzie jest ojciec? Dlaczego wszyscy tutaj stoją? Dziewczynka słyszała dookoła siebie nieustające szepty. Nikt nie wiedział. Nikt nie znał odpowiedzi.

Jednak ona wiedziała. Czowała to. I nie była zdziwiona, gdy to się stało.

Policjanci rzucili się na nie niczym chmara wielkich czarnych ptaków. Zaciągnęli kobiety na jedną stronę obozu, a dzieci na drugą. Nawet najmniejsze dzieci oddzielono od matek. Dziewczynka oglądała to wszystko, jakby była świadkiem wydarzeń toczących się w innym świecie. Słyszała krzyki i wrzaski, widziała, jak kobiety rzucają się na ziemię, łapiąc dzieci za ubrania, za włosy. Widziała, jak policjanci podnoszą pałki i uderzają w głowy i twarze. Widziała, jak kobieta upada ze zmiażdżonym zakrwawionym nosem.

Matka stała nieruchoma obok niej. Dziewczynka słyszała szybki nierówny oddech kobiety na ziemi. Trzymała chłodną rękę matki. Czowała, jak policjanci siłą je rozdzielają. Usłyszała wrzask matki, a następnie zobaczyła, jak rzuca się w jej stronę z rozchełstaną sukienką, zwichrzonymi włosami i

wyrazem bólu na twarzy.

Wykrzykiwała imię córki. Dziewczynka próbowała złapać wyciągnięte ręce, lecz mężczyźni ją odepchnęli, powalając na kolana. Matka walczyła jak szalona i na parę chwil wyzwoliła się z rąk policjantów. W tej chwili dziewczynka ujrzała znowu swoją prawdziwą matkę, silną i namiętą kobietę, którą podziwiała i za którą tęskniła. Poczuła raz jeszcze obejmujące ją ramiona, pieścące jej buzię gęste włosy.

Nagle oślepiło ją chluśnięcie zimnej wody. Prychając, próbując złapać oddech, otworzyła oczy i zobaczyła, jak mężczyźni odciągają matkę za kołnierz mokrej sukienki.

Rozdzielanie zdawało się trwać godzinami. Rozplakane zagubione dzieci. Wylewane na głowy kubły wody. Rzucające się, załamane kobiety. Tępe odgłosy uderzeń.

Wiedziała jednak, że tak naprawdę wszystko działo się bardzo szybko.

Cisza. Było po wszystkim. Wreszcie po jednej stronie stała gromada dzieci, a po drugiej kobiety. Oddzielał je solidny kordon policjantów, którzy ciągle powtarzali, że matki oraz dzieci powyżej dwunastu lat pojadą pierwsze, a młodszy wyjadą tydzień później, by do nich dołączyć. Ojcowie już pojechali. Wszyscy powinni być posłuszni i gotowi do współpracy.

Widziała, jak matka stoi z pozostałymi kobietami. Patrzyła na swoją córkę z malutkim, odważnym uśmiechem na ustach. Zdawała się mówić: „Widzisz, kochanie, wszystko będzie w porządku, tak mówią policjanci. Przyjedziesz do nas za kilka dni.

Nie martw się, najdroższa”.

Dziewczynka rozejrzała się po tłumie dzieci. Było ich tak dużo. Spojrzała na raczkujące maluchy i pokryte łzami przestraszone buzie. Zobaczyła małą dziewczynkę z krwawiącymi małżowinami wyciągającą ręce w stronę matki. Co się z nimi wszystkimi stanie, co się stanie z nią samą? myślała. Dokąd zabiorą rodziców?

Kobiety zostały wyprowadzone przez bramy obozu. Widziała, jak matka skręca w prawo i idzie prowadzącą przez wioskę długą drogą do stacji. Twarz matki obróciła się w stronę dziewczynki po raz ostatni.

Już jej nie było.

- Dziś mamy jeden z naszych „dobrych” dni, madame Tezac - oznajmiła Veronique, uśmiechając się szeroko, gdy weszłam do białego słonecznego pokoju. Należała do osób opiekujących się Marne w czystym pogodnym domu spokojnej starości w siedemnastej dzielnicy, nieopodal Parc Monceau.

- Nie nazywaj jej madame Tezac - warknęła babka Bertranda. - Nie cierpi tego. Mów do niej „Miss Jarmond”.

Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu. Veronique zdawała się speszona.

- Poza tym madame Tezac to ja - dodała starsza pani nieco wzniosłym tonem, nie uwzględniając tym samym istnienia drugiej madame Tezac, jej synowej Colette, matki Bertranda. Jakie to typowe dla Marne, przeszło mi przez myśl. Taka pewna siebie mimo swojego wieku. Na imię miała Marcelle. Nienawidziła tego imienia.

Nikt nigdy nie zwracał się do niej per Marcelle.

- Przepraszam - powiedziała pokornie Veronique. Położyłam jej rękę na ramieniu.

- Nie przejmuj się tym. Po prostu nie korzystam z nazwiska męża.

- To amerykański zwyczaj - wtrąciła Marne. - Miss Jarmond jest Amerykanką.

- Tak, zauważyłam - odparła Veronique, nieco podniesiona na duchu.

Co zauważyła, chciałam spytać. Mój akcent? Moje ubranie? Moje buty?

- Jak tam, Marne? Miałaś przyjemny dzień? - Usiadłam obok i położyłam rękę na jej dłoni.

W porównaniu do staruszki z rue Nelaton Marne wyglądała całkiem młodo. Prawie nie miała zmarszczek. Błyszczące szare oczy nie były w ogóle

zamglone. Jednak staruszka z rue Nelaton, mimo że wyglądała na zniedołężniałą, była w pełni władz umysłowych, tymczasem Marne w wieku osiemdziesięciu pięciu lat miała alzheimera. Były takie dni, że nie mogła sobie w żaden sposób przypomnieć, kim jest.

Rodzice Bertranda postanowili przenieść Marne do domu spokojnej starości, gdy zdali sobie sprawę, że nie jest w stanie żyć samodzielnie. Potrafiła zapalić gaz na kuchence i zostawić go na cały dzień. Niezakręcona woda wylewała się z wanny.

Regularnie zdarzało się też, że wychodząc z mieszkania, zapomniała klucza i znajdowano ją blakającą się po rue de Saintonge w szlafroku. Oczywiście sprzeciwiała się przenosinom. Nie chciała nawet obejrzeć domu spokojnej starości.

Jednak gdy znalazła się na miejscu, zaaklimatyzowała się bez większych problemów, mimo sporadycznych napadów złości.

- Mam dzisiaj „dobry” dzień. - Uśmiechnęła się szeroko, patrząc na plecy oddalającej się Veronique.

- Rozumiem. Terroryzujesz całą okolicę, jak zwykle?

- Jak zwykle - odpowiedziała. Następnie zwróciła się w moją stronę. Czułe szare oczy wędrowały po mojej twarzy. - A gdzie twój nienadający się do niczego mąż?

Wiesz, że nigdy tu nie przychodzi. I nie wmawiaj mi znowu, że jest „zbyt zajęty”.

Westchnęłam.

- Cóż, przynajmniej ty tu jesteś - stwierdziła szorstko. - Wyglądasz na zmęczoną.

Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej.

Wiedziałam, że wyglądam na zmęczoną. Niewiele mogłam z tym zrobić. Może pojechać na urlop. Ale nie miałam takich planów aż do wakacji.

- A jak mieszkanie?

Przed wizytą u niej wstąpiłam, by zobaczyć, jak posuwa się remont. Praca wrzała.

Bertrand doglądał wszystkiego z wrodzoną energią. Antoine sprawiał wrażenie wyczerpanego.

- Będzie cudowne - powiedziałam - gdy prace dobiegną końca.

- Żałuję, że już tam nie mieszkam. Przeżyłam tam tyle miłych chwil.

- Nie wątpię. Wzruszyła ramionami.

- Człowiek przywiązuje się do miejsc. Zapewne tak samo jak do ludzi. Jestem ciekawa, czy Andre czasami za nim tęskni.

Andre był jej już nieżyjącym mężem, którego nie miałam okazji poznać. Zmarł, gdy Bertrand był nastolatkiem. Zdążyłam już przywyknąć do tego, że Marne mówi o nieboszczyku w czasie teraźniejszym. Nigdy jej nie poprawiałam, nie przypominałam, że odszedł z powodu raka płuc lata temu. Uwielbiała opowiadać o mężu. Na początku naszej znajomości, na długo zanim zaczęła tracić pamięć, za każdym razem gdy przychodziłam ją odwiedzić na rue de Saintonge, pokazywała mi albumy ze zdjęciami. Znałam na pamięć twarz Andre Tezaca. Miał te same szaroniebieskie oczy co Edouard. Nieco bardziej okrągły nos. Może trochę cieplejszy uśmiech.

Marne opowiadała mi ze szczegółami, jak się spotkali i zakochali i jak ciężko było podczas wojny. Tezacowie pochodzili pierwotnie z Burgundii, lecz gdy Andre odziedziczył po ojcu rodzinny interes winny, nie był w stanie wyjść na swoje.

Przeprowadził się więc do Paryża, gdzie na rue de Turenne, nieopodal place des Vosges, otworzył niewielki sklep z antykami. Zdobycie renomy, koniecznej, by interes rozkwitł, zajęło trochę czasu. Po śmierci ojca sklepem zajął się Edouard, który przeniósł go do siódmej dzielnicy, na rue du Bac, gdzie znajdowały się najbardziej znane sklepy z antykami w Paryżu. Obecnie interes z powodzeniem prowadziła młodsza siostra Bertranda, Cecile.

Lekarz Marne - posępny, lecz skuteczny docteur Roche - powiedział mi kiedyś, że wypytywanie jej o przeszłość to świetna terapia. Twierdził, że zapewne lepiej pamięta, co działo się trzydzieści lat temu niż tego ranka.

To była nasza prywatna gra. Za każdym razem, kiedy ją odwiedzałam, zadawałam pytania. Robiłam to naturalnie, bez patosu. Doskonale wiedziała, do czego dążę, lecz udawała, że nie jest tego świadoma.

Lubiłam słuchać opowieści z młodości Bertranda. Marne opowiadała arcyciekawe anegdoty. Okazywało się, że mój mąż był niezdarnym nastolatkiem, a nie duszą towarzystwa, jak mi mówiono. Nie przepadał za nauką, wbrew opowieściom jego rodziców o doskonałych ocenach. W wieku czternastu lat poważnie pokłócił się z ojcem na temat córki sąsiada, palącej marihuanę blondynki o swobodnych obyczajach.

Jednak sondowanie wadliwej pamięci Marne nie zawsze było takie zabawne. Nieraz pojawiały się długie ponure pasma pustki. Nie mogła sobie nic przypomnieć. Podczas

„złych” dni zamykała się w sobie niczym małż. Patrzyła posępnie w telewizor i zaciskała zęby, wysuwając przy tym do przodu dolną szczękę.

Pewnego ranka nie mogła się zorientować, kim jest Zoe. Ciągle pytała: Co to za dziecko? Co ona tu robi? Zoe - jak zawsze - zachowała się dojrzałe. Jednak później tego wieczoru słyszałam, jak płacze w łóżku. Gdy łagodnie spytałam, o co chodzi, przyznała, że nie może znieść tego, jak jej prababka się starzeje.

- Mamę - odezwałam się - kiedy wprowadziliście się z Andrem do mieszkania na rue de Saintonge?

||||
||||

Myślałam, że się wykrzywi - wyglądała wtedy jak stara mądra małpa - i powie coś w stylu: „Och, nie mogę sobie przypomnieć...”

Jednak odpowiedź zabrzmiała jak z bicza strzelił.

- W lipcu czterdziestego drugiego.

Wyprostowałam się, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami.

- Lipcu czterdziestego drugiego?

- Zgadza się.

- A jak znaleźliście mieszkanie? Przecież trwała wojna. To musiało być trudne.

- Bynajmniej - odpowiedziała lekkim tonem. - Nagle zostało opuszczone.

Dowiedzieliśmy się o nim przez dozorczynię, madame Royer, która była znajomą naszej poprzedniej dozorczyńi. Mieszkaliśmy wcześniej na rue de Turenne, nad sklepem Andre. W malutkim zagraconym mieszkanku z jedną sypialnią. Więc przeprowadziliśmy się z Edouardem, który miał wtedy dziesięć czy dwanaście lat.

Bardzo się ucieszyliśmy z większego mieszkania. A pamiętam, że nawet czynsz był niski. W tamtych czasach ta dzielnica nie była taka modna.

Patrzyłam na nią uważnie. Odchrząknęłam.

- Marne, pamiętasz, czy to miało miejsce na początku lipca, czy pod koniec miesiąca?

Uśmiechnęła się, zadowolona, że tak dobrze jej idzie.

- Pamiętam doskonale. Koniec lipca.

- A pamiętasz, dlaczego mieszkanie tak nagle się zwolniło? Kolejny szeroki uśmiech.

- Oczywiście, że pamiętam. Przeprowadzono masowe aresztowania. Z dnia na dzień pojawiło się dużo wolnych mieszkań.

Wpatrywałam się w nią. Stare oczy odwzajemniały mój wzrok. Zachmurzyły się, gdy dostrzegła wyraz mojej twarzy.

- Ale jak to się stało? Jak się przeprowadziliście? Zaczęła skubać rękawy, ruszając bezgłośnie ustami.

- Madame Royer powiedziała naszej dozorczyńi, że zwolniło się trzypokojowe mieszkanie na rue de Saintonge. Tak się to stało. To wszystko.

Cisza. Przestała ruszać rękami i położyła je na kolanach.

- Ależ, Marne - szepnęłam - czy nie sądziłaś, że ci ludzie mogą kiedyś wrócić?

Zmarszczona twarz przybrała poważny wyraz, a w okolicach ust widać było napięcie i ból.

- Nic nie wiedzieliśmy - powiedziała w końcu. - Absolutnie nic. Spojrzała ponownie w dół, na ręce. Nie chciała więcej rozmawiać.

To była najgorsza noc. Najgorsza ze wszystkich, tak dla niej samej, jak i dla pozostałych dzieci, myślała dziewczynka. Baraki zostały całkowicie splądrowane.

Nie zostało nic, żadnych ubrań, żadnych koców, nic. Pierzyny zostały porwane - białe pióra pokrywały ziemię niczym sztuczny śnieg.

Dzieci płakały, krzyczały, czekały ze strachu. Najmłodsze nie mogły zrozumieć, co się dzieje, wołały swoje matki. Moczyły się, tarzały po ziemi, krzyczały zrozpaczone.

Starsze, takie jak dziewczynka, siedziały na ziemi, chowając twarze w rękach.

Nikt się nimi nie zajmował. Nikt się nimi nie opiekował. Rzadko były karmione.

Były tak głodne, że zjadały suchą trawę i kawałki słomy. Nikt ich nie pocieszał.

Dziewczynka zastanawiała się: Ci policjanci... Czy oni nie mają rodzin? Czy nie mają dzieci, do których wracają do domu? Jak mogą je tak traktować? Czy tak im kazano, czy zachowywali się w ten sposób sami z siebie? Może byli maszynami, a nie istotami ludzkimi? Przyglądała im się uważnie. Wydawali się składać z krwi i kości.

Byli ludźmi. Nie mogła zrozumieć...

Następnego dnia dziewczynka zauważyła przyglądającą im się przez drut kolczasty grupę ludzi. Kobiety z pakunkami i jedzeniem. Starły się przepchnąć jedzenie przez siatkę. Jednak policjanci kazali im odejść. Potem nikt już nie

przychodził na nie patrzeć.

Dziewczynka czuła, jakby się zamieniła w kogoś innego. Kogoś twardego, niegrzecznego, dzikiego. Czasami walczyła ze starszymi dziećmi, na przykład kiedy próbowały zabrać stary szcerstwiały chleb, który znalazła. Klęła na nie. Biła się z nimi. Czuła się dzika i niebezpieczna.

Na początku starała się nie patrzeć na mniejsze dzieci. Zbyttno się kojarzyły z braciszkiem. Jednak teraz poczuła, że musi im pomóc. Były małe i bezbronne.

Wzbudzały litość. I odrazę. Wiele miało biegunkę. Chodziły w ubraniach upačkanych ich własnymi odchodami. Nie miał kto ich umyć ani nakarmić.

Powoli poznawała imiona maluchów i dowiadywała się, po ile mają lat, choć niektóre były za małe, by się w pełni przedstawić. Okazywały wdzięczność za każde ciepłe słowo, uśmiech czy pocałunek i chodziły za nią tuzinami po obozie niczym zabłocone wróble.

Powtarzała im historyjki, które dawniej opowiadała braciszкови na dobranoc.

Szeptem, w nocy na zawszonej słomie, w której szeleściły szczury. Starała się wydłużać opowiadania, by się nie kończyły tak szybko jak zwykle. Podchodziły również starsze dzieci. Niektóre udawały, że nie słuchają, ale dziewczynka wiedziała, że jest inaczej.

Wysoka czarnowłosa jedenastolatka imieniem Rachel często patrzyła na nią z pewną pogardą. Jednak co noc wysłuchiwała opowiadań, podkradając się blisko, by nie uronić ani słowa. Pewnego razu, gdy większość małych dzieci w końcu zasnęła, przemówiła do dziewczynki głębokim, ochrypłym głosem:

- Powinnyśmy opuścić to miejsce. Powinnyśmy uciec. Dziewczynka pokręciła głową.

- Nie da rady. Policjanci mają broń. Nie możemy uciec. Rachel wzruszyła kościstymi ramionami.

- Ja ucieknę.

- A twoja matka? Będzie na ciebie czekać w obozie tak jak moja.

|| ^ ^ |||| i
|| | ||| i

Rachel uśmiechnęła się.

- Uwierzyłaś w to? Uwierzyłaś w to, co mówili? Przemądrzały uśmiech Rachel zdenerwował dziewczynkę.

- Nie - powiedziała zdecydowanie. - Nie uwierzyłam. Już nikomu nie wierzę.

- Ja też nie. Widziałam, co robili. Nawet nie zapisali poprawnie imion małych dzieci.

Przywiązali te małe plakietki, które się pomieszały, kiedy większość je pozdejmowała. Nic ich nie obchodzimy. Okłamali nas. Nas i nasze matki.

Ku zaskoczeniu dziewczynki Rachel wyciągnęła rękę i wzięła ją za dłoń. Trzymała mocno, tak jak kiedyś robiła to Armelle. Po czym wstała i znikła.

Następnego ranka zostały obudzone bardzo wcześnie. Do baraków weszli policjanci, szturchając dzieci pałkami. Wyrwane ze snu maluchy zaczęły krzyczeć. Dziewczynka próbowała uspokoić te najbliższe. Były przerażone. Zaprowadzono wszystkich do szopy. Dziewczynka trzymała za ręce dwa maluchy. Zobaczyła policjanta trzymającego dziwne narzędzie. Nie wiedziała co to. Maluchy zachłysnęły się ze strachu i próbowały wycofać. Policjanci uderzeniami i kopnięciami doprowadzili je do mężczyzny z tym dziwnym narzędziem. Dziewczynka patrzyła przerażona. Po czym zrozumiała. Ogołą im głowy. Wszystkie dzieci miały być ogolone.

Patrzyła, jak gęste czarne włosy Rachel spadają na ziemię. Wyłaniająca się goła czaszka była biała i szpiczasta niczym jajko. Rachel patrzyła na mężczyzn z nienawiścią i pogardą. Splunęła na policyjne buty. Jeden z żandarmów odepchnął ją brutalnie.

Maluchy były przerażone. Dwóch lub trzech mężczyzn musiało każdego przytrzymywać. Po czym nadeszła kolej dziewczynki. Nie miotała się. Pochyliła głowę. Poczowała zimną powierzchnię golarki i zamknęła oczy, nie mogąc znieść

widoku zasypujących jej stopy długich złotych loków. Jej włosy. Piękne włosy, które wszyscy podziwiali. Czują napływające do oczu łzy, zmusiła się jednak do stłumienia łkania. Nigdy nie płacz przed tymi mężczyznami. Nigdy nie płacz.

Nigdy. To tylko włosy. Odrośną.

Było już prawie po wszystkim. Otworzyła z powrotem oczy. Policjant, który ją trzymał, miał grube ręce i jasną skórę. Podniosła wzrok, by patrzeć mu w twarz, podczas gdy drugi mężczyzna golił resztki złotych włosów.

Był to przyjazny rudy policjant z jej dzielnicy. Ten, z którym dawniej rozmawiała matka. Który zawsze puszczał do niej oko, kiedy szła do szkoły. Do którego pomachała w dniu aresztowań, a on odwrócił wzrok. Teraz był zbyt blisko, aby spojrzeć w inną stronę.

Patrzyła mu w oczy, ani razu nie spuszczać wzroku. Miał dziwne żółtawe źrenice, niemal złote. Twarz policjanta poczerwieniała ze wstydu i dziewczynka miała wrażenie, że widzi, jak drży. Nic nie mówiła, patrząc na niego z całą pogardą, na jaką umiała się zdobyć.

Wyszłam od Marne nieco oszołomiona. Miałam potem iść do biura, gdzie czekał na mnie Bamber, jednak po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że idę na rue de Saintonge. W mojej głowie kłębiło się od pytań; byłam zagubiona. Czy Marne mówiła prawdę, czy też coś jej się pomyliło na skutek choroby? Czy rzeczywiście mieszkała tam żydowska rodzina? Jak Tezacowie mogli się wprowadzić i o niczym nie wiedzieć, jak twierdziła Mamę?

Przeszłam powoli przez dziedziniec. Tutaj znajdowałyby się loge dozorczyń, pomyślałam. Dawno temu przerobiono je na niewielkie mieszkanie. Na ścianie korytarza znajdował się szereg metalowych skrzynek na listy - nie było już dozorczyń roznoszącej pocztę do każdego mieszkania. Madame Royer, tak się nazywała według Marne. Dużo się naczytałam o paryskich dozorczyń i ich szczególnej roli w aresztowaniach. Większość wykonała rozkazy policji, a niektóre poszły dalej, pokazując, gdzie się ukrywają żydowskie rodziny. Inne tuż po aresztowaniu plądrowały opuszczone

mieszkania i zabierały z nich dobytek. Z materiałów, które znalazłam, wynikało, że zaledwie kilka starało się chronić żydowskie rodziny wedle swoich możliwości. Byłam ciekawa, jaką rolę odegrała madame Royer. Pomyślałam przez chwilę o swojej dozorczyńni na boulevard du Montparnasse: była w moim wieku i pochodziła z Portugalii, nie była świadkiem wojny.

Nie zwracając uwagi na windę, weszłam po schodach na czwarte piętro. Robotnicy mieli przerwę obiadową. W budynku panowała cisza. Gdy otworzyłam drzwi wejściowe, ogarnęło mnie dziwne, nieznane poczucie rozpaczy i pustki. Poszłam do starszej części mieszkania, którą pokazał nam parę dni temu Bertrand. To tutaj wszystko się wydarzyło. To tutaj tuż przed świtem tego gorącego lipcowego poranka mężczyźni dobijali się do drzwi.

Miałam wrażenie, że wszystko, o czym czytałam przez ostatnie tygodnie, wszystko, czego dowiedziałam się o Vel' d'Hiv' skupiało się tutaj, w miejscu, w którym miałam niebawem zamieszkać. Wszystkie świadectwa i książki, które uważnie czytałam, wszyscy świadkowie i ocaleni, z którymi przeprowadzałam wywiady, sprawili, że zrozumiałam, że zobaczyłam z nadzwyczajną jasnością, co się stało między ścianami, których teraz dotykałam.

Artykuł, za którego pisanie zabrałam się parę dni wcześniej, był już prawie skończony. Zbliżał się termin oddania go do redakcji. Musiałam jeszcze odwiedzić dwa obozy: Loiret pod Paryżem oraz Drancy. Umówiłam się też na spotkanie z Franckiem Levym, którego organizacja przygotowywała większą część obchodów sześćdziesięciolecia aresztowań. Niebawem zakończę zbieranie materiałów i będę pisać o czymś innym.

Jednak teraz, gdy wiedziałam, co się stało tutaj, tak blisko mnie, gdy czułam osobistą więź z tymi wydarzeniami, nie mogłam na tym poprzestać. Musiałam się dowiedzieć więcej. Moje poszukiwania nie dobiegły końca. Musiałam wiedzieć wszystko. Co się stało z żydowską rodziną, która tu mieszkała? Jak się nazywali? Czy mieli dzieci?

Czy ktoś z nich wrócił z obozu śmierci? Czy wszyscy zginęli?

Błąkałam się po pustym mieszkaniu. W jednym z pokoi burzono ścianę. Pośród gruzów dostrzegłam sprytnie schowaną za boazerią głęboką podłużną lukę. Była teraz częściowo odsłonięta. Można było się w niej skutecznie schować. Gdyby te ściany mogły mówić...

Choć nie musiały nic tłumaczyć. Wiedziałam, co się tu stało. Miałam to przed oczami. Ci, którzy przetrwali, opowiadali mi o gorącej, dusznej nocy, o waleniu do drzwi, wykrzykiwanych rozkazach, jeździe autobusem przez Paryż. Opisali mi śmierdzące piekło Vel' d'Hiv'. Opowiadali mi ci, którzy przetrwali. Ci, którzy zdołali zbiec. Ci, którzy zerwali swoje gwiazdy i uciekli.

Nagle zaczęłam się zastanawiać, czy będę się mogła z tą wiedzą pogodzić. Czy przyzwyczaję się do życia w mieszkaniu, w którym aresztowano rodzinę, by ją zesłać, zapewne na śmierć. Jak Tezacowie mogli z tym żyć? dumałam.

Wyciągnęłam komórkę i zadzwoniłam do Bertranda. Gdy zobaczył mój numer, odebrał i wymamrotał: „Spotkanie”. Między nami oznaczało to: „Jestem zajęty”.

- To pilne - wyjaśniłam.

Słyszałam, jak coś mówi, zasłaniając słuchawkę, po czym jego głos był znowu wyraźny.

- O co chodzi, amour? Byle szybko, ktoś na mnie czeka. Wzięłam głęboki wdech.

- Bertrandzie, czy wiesz, jak twoi dziadkowie dostali mieszkanie na rue de Saintonge?

- Nie. A co?

- Przed chwilą byłam u Marne. Powiedziała mi, że wprowadzili się w lipcu czterdziestego drugiego, a mieszkanie było wolne, bo aresztowano żydowską rodzinę w ramach Vel' d'Hiv'.

Cisza.

- No i? - spytał w końcu Bertrand.

Czułam, że palą mnie policzki. Mój głos niósł się echem po pustym mieszkaniu:

- Nie przeszkadza ci fakt, że twoja rodzina się tutaj wprowadziła, wiedząc o aresztowaniu poprzednich właścicieli? Powiedzieli ci kiedyś o tym?

Prawie słyszałam, jak wzrusza ramionami na swój francuski sposób: lekki grymas, podniesione brwi.

- Nie, nie przeszkadza mi. Nie wiedziałem, nigdy mi nie powiedzieli, ale i tak mi nie przeszkadza. Jestem pewien, że wielu paryżan wprowadziło się do pustych mieszkań w lipcu czterdziestego drugiego, tuż po aresztowaniach. Chyba nie czyni to z mojej rodziny kolaborantów?

Śmiech męża sprawiał mi ból.

- Nic takiego nie powiedziałam.

- Zbytnio się przejmujesz, Julio - dodał łagodniejszym tonem. - Zapominasz, że to miało miejsce sześćdziesiąt lat temu. Pamiętaj, że trwała wtedy wojna światowa. To były ciężkie czasy dla wszystkich.

Westchnęłam.

- Chciałabym tylko wiedzieć, jak to się stało. Po prostu nie rozumiem.

- To proste, mon ange. Dziadkom nie żyło się łatwo podczas wojny. Sklep z antykami nie miał się najlepiej. Zapewne ucieszyli się, że mogą zamieszkać w wygodniejszym i większym mieszkaniu. W końcu mieli dziecko. Byli młodzi.

Potrzebowali dachu nad głową. Zapewne nie zastanawiali się zbytnio nad tą żydowską rodziną.

- Ależ Bertrandzie - szepnęłam - jak mogliby o niej nie myśleć? Jak?

Cmoknął zniecierpliwiony.

- Pewnie nie wiedzieli. Muszę lecieć, amour. Zobaczymy się wieczorem.

Rozłączył się.

Jeszcze przez jakiś czas zostałam w mieszkaniu, chodząc po długim korytarzu, przystając w pustym dużym pokoju, wodząc palcami po gładkim marmurowym kominku; próbowałam zrozumieć i usiłowałam nie dać się

ponieść emocjom.

Podjęły z Rachel decyzję. Uciekną. Opuszczą to miejsce. Jedyłą alternatywą była śmierć. Była tego pewna. Wiedziała, że jeżeli zostanie tutaj z pozostałymi dziećmi, nie będzie miała szansy przeżyć. Duża część dzieci była chora. Sześcioro już zginęło.

Raz widziała pielęgniarkę, kobietę w niebieskim czepku podobną do tej ze stadionu.

Jedna pielęgniarka na tyle chorych, umierających z głodu dzieci.

Ucieczka była ich tajemnicą. Nie powiedziały innym dzieciom. Nikt nie miał się niczego domyślać. Uciekną w samo południe. Zauważyły, że w ciągu dnia policjanci rzadko kiedy zwracali na nie uwagę. Nie powinno być większych kłopotów. Za barakami od strony wieży ciśnień - tam, gdzie kobiety ze wsi próbowały dać im jedzenie przez druty kolczaste - znalazły niewielki ubytek w zwojach drutu.

Niewielki, ale a nuż dostatecznie duży, by przecisnęło się dziecko.

Niektóre dzieci już opuściły obóz w towarzystwie policjantów. Patrzyła, jak wychodzą; wychudzone stworzenia z ogolonymi głowami, w podartych ubraniach.

Dokąd je zabierano? Daleko stąd? Do rodziców? Wydawało się to mało prawdopodobne. Rachel też w to wątpiła. Jeżeli zabierano wszystkich w to samo miejsce, po co w ogóle rozdzielano dzieci od rodziców? Po co tyle bólu i cierpienia? pomyślała dziewczynka.

- To dlatego, że nas nienawidzą - powiedziała Rachel swoim głębokim gardłowym głosem. - Nienawidzą Żydów.

Taka nienawiść, pomyślała dziewczynka. Skąd taka nienawiść? Nigdy w życiu nikogo nie nienawidziła, być może z jednym wyjątkiem: nauczycielką, która wymierzyła jej srogą karę za nieodrobienie lekcji. Czy chciała, żeby ta kobieta nie żyła? Tak, chciała. Więc może tak to działało? Może stąd się to wszystko wzięło. Z nienawiści, która sprawiała, że chciało się, aby ktoś umarł. Z

nienawiści do ludzi, dlatego że nosili żółte gwiazdy. Przeszedł ją dreszcz. Czuła się, jakby całe zło, cała nienawiść świata były skupione w obozie, jakby się piętrzyła dookoła: na srogich twarzach policjantów, w ich obojętności i wzgardzie. A po drugiej stronie ogrodzeniacy tam też wszyscy nienawidzą Żydów? Czy z tego miało się odtąd składać jej życie?

Przypomniała sobie zeszły maj, kiedy wracając ze szkoły, usłyszała rozmowę sąsiadów na klatce schodowej. Zniżone do szeptu kobiece głosy. Zatrzymała się na schodach, nadstawiając uszy niczym szczeniak. „A wtedy, rozumiesz, rozpięła mu się kurtka i tam, pod nią, była gwiazda. Wżyciu bym nie przypuszczała, że jest Żydem”.

Usłyszała zachłyśnięcie się drugiej kobiety. „On Żydem! I to taki przyzwoity mężczyzna. W życiu bym nie podejrzewała”.

Zapytała potem mamy, dlaczego niektórzy z sąsiadów nie lubią Żydów. Matka wzruszyła ramionami i westchnęła, pochylając się nad ubraniem, które prasowała.

Nie odpowiedziała. Dziewczynka udała się więc do ojca. Co jest nie tak w byciu Żydem? Dlaczego niektórzy nienawidzą Żydów? Ojciec podrapał się w głowę i spojrzał na nią z niewyraźnym uśmiechem. Z wahaniem odpowiedział: „Bo myślą, że jesteśmy inni. Dlatego się nas boją”. Ale czym się od nich różnimy? pomyślała. Na czym to polega?

Matka. Ojciec. Braciszek. Tęskniła za nimi tak bardzo, że było jej niedobrze. Czuła się, jakby wpadła do dziury bez dna. Dopiero pomysł ucieczki pozwalał w ogóle myśleć o życiu, o tym nowym życiu, którego nie mogła zrozumieć. Może rodzi-|| com również udało się uciec? Może zdołali wrócić do domu? Może... Może...

Pomyślała o pustym mieszkaniu, nieposłanych łózkach, jedzeniu z wolna gnijącym w kuchni. Oraz zamkniętym w ciszy braciszku. Zamkniętym w martwej ciszy pokoi.

Rachel dotknęła jej ramienia. Dziewczynka podskoczyła.

- Teraz - szepnęła. - Spróbujmy teraz.

W obozie panowała cisza, zdawał się niemal opuszczony. Zauważyła, że odkąd zabrano dorosłych, było mniej policjantów. A ci ledwo się do dzieci odzywali.

Zostawiali je w spokoju.

Upał rozgrzewał baraki do czerwoności. W środku osłabione chore dzieci leżały na wilgotnej słomie. Dziewczynka słyszała w oddali męskie głosy i śmiech. Mężczyźni przypuszczalnie byli w jednym z baraków; chowali się przed słońcem.

Jedyny policjant, którego widziały, siedział w cieniu z karabinem u stóp. Jego głowa była oparta o ścianę. Miał otwarte usta i zdawał się mocno spać. Przekradły się w stronę ogrodzenia niczym zwinne zwierzątka. Widziały już rozciągające się za drutami zielone pola i łąki.

Wciąż cisza. Upał i cisza. Czy ktoś je zobaczył? Przykucnęły w trawie. Serca im łomotały. Obejrzały się za siebie. Bezruch. Cisza. Czy to było takie łatwe? przeszło przez głowę dziewczynce. Nie, to niemożliwe. Nic już nie było takie łatwe.

Rachel miała ze sobą kłębek ubrań. Powiedziała dziewczynce, by je włożyła.

Dodatkowe warstwy ochronią ich skórę przed drutem kolczastym. Dziewczynka wzdrygnęła się, gdy wciskała na siebie brudny podarty sweter i ciasną postrzępioną parę spodni. Do kogo należały te ubrania? Jakiegoś biednego martwego dziecka, któremu odebrano matkę i zostawiono tutaj na samotną śmierć.

Podeszły na kolanach do niewielkiej dziury w zwojach drutu. Niedaleko stał policjant. Nie widziały jego twarzy, jedynie wyrazisty kontur wysokiej okrągłej czapki. Rachel wskazała na dziurę. Będą się musiały pospieszyć. Nie było czasu do stracenia. Położyły się na brzuchach i zaczęły czołgać w stronę drutu. Dziura wydawała się taka mała. Jak mogły się przez nią przecisnąć i nie

pokaleczyć się przy tym, nawet jeżeli miały dodatkowe ubrania? Jak mogły sądzić, że zdołają zbiec niezauważone, że ujdzie im tona sucho? Oszalałyśmy, pomyślała, oszalałyśmy.

Trawa łechtła dziewczynkę w nos. Pachniała pysznie. Chciała wtulić w nią twarz i cieszyć się orzeźwiającym zielonym zapachem. Widziała, jak Rachel dochodzi do dziury i zaczyna ostrożnie przeciskać głowę na drugą stronę.

Nagle usłyszała i poczuła tępy odgłos ciężkich kroków. Serce jej zamarło. Podniosła wzrok, by ujrzeć górującą nad nią wielką sylwetkę na tle nieba. Policjant. Podniósł dziewczynkę za obszarpany kołnierz bluzki i potrząsnął. Była całkowicie bezwładna ze strachu.

- Co do diabła wyrobiacie? - zabrzmiał w jej uchu syk męskiego głosu.

Rachel była już w połowie po drugiej stronie. Mężczyzna, nie puszczając karku dziewczynki, pochylił się i złapał Rachel za kostkę. Szamotała się i kopała, lecz był zbyt silny. Wciągnął ją z powrotem przez zwoje drutu. Miała zakrwawione ręce i twarz.

Stały przed nim; Rachel łkała, dziewczynka była wyprostowana i miała podniesioną głowę. W myślach drżała, jednak postanowiła, że nie będzie okazywać strachu. W każdym razie spróbuje.

Po czym spojrzała na mężczyznę i zachłysnęła się z zaskoczenia.

Rudy policjant. Rozpoznał ją od razu. Zobaczyła, jak lata mu grdyka, poczuła na karku drzenie wielkiej ręki.

- Nie możecie uciec - powiedział szorstkim głosem. - Musicie tu zostać, rozumiecie?

Był młody, masywny, dopiero po dwudziestce, miał jasną cerę. Dziewczynka zauważyła, że się poci pod grubym ciemnym mundurem. Czoło lśniło mu od wilgoci, podobnie jak górna warga. Zamrugał. Przesząpił z nogi na nogę.

Zorientowała się, że się go nie boi. Ku swojemu zaskoczeniu poczuła coś w rodzaju współczucia. Położyła dłoń na rękawie munduru. Policjant spojrzał na

dziewczynkę ze zdziwieniem i wstydem.

- Pamięta mnie pan, prawda - powiedziała. To nie było pytanie.

Kiwnął głową, wycierając wilgoć spod nosa. Wyjęła z kieszeni i pokazała mu klucz.

Jej ręka nie zadrżała.

- Pamięta pan mojego braciszka, małego chłopca z kręconymi złotymi włosami?

Ponownie kiwnął głową.

- Musi mnie monsieur puścić. Mój braciszek, monsieur. Jest w Paryżu. Sam.

Zamknęłam go w szafce, bo myślałam... - Głos dziewczynki się załamał. - Myślałam, że będzie tam bezpieczny. Muszę wrócić! Proszę dać mi przejść przez to ogrodzenie.

Może monsieur udawać, że mnie w ogóle nie widział.

Mężczyzna spojrział przez ramię w stronę baraków, jakby się bał, że ktoś może przyjść, że ktoś może ich zobaczyć lub usłyszeć.

Przyłożył palec do ust. Spojrział ponownie na dziewczynkę. Skrzywił się i pokręcił głową.

- Nie mogę tego zrobić - oznajmił cicho. - Otrzymałem rozkazy.

Położyła dłoń na piersi policjanta.

- Proszę, monsieur - szepnęła.

Obok niej Rachel pociągała nosem, wokół którego spływały wymieszane z krwią łzy.

Mężczyzna ponownie spojrział przez ramię. Zdawał się głęboko poruszony. Raz jeszcze dostrzegła dziwny wyraz twarzy, który zobaczyła po raz pierwszy w dniu aresztowań. Mieszaninę litości, wstydu i złości.

Dziewczynka czuła całym ciałem, jak mijają ciężkie ołowiane minuty. Ciągnęły się w nieskończoność. Nie mogła dużo dłużej powstrzymać zbierających się łez, szlochu, strachu. Co zrobi, jeżeli zostaną zabrane z

powrotem do baraków? Jak to wytrzyma? Jak? Będę znowu próbowała uciec, pomyślała zaciekle, tak, będę próbowała, aż do skutku. Aż do skutku.

Nagle wypowiedział jej imię. Wziął ją za rękę. Miał gorącą i moką od potu dłoń.

- Idź - wycedził przez zaciśnięte zęby. Po chorobliwie bladej twarzy spływały strużki potu. - Idź już! Szybko.

Spojrzała w złote oczy, oszołomiona. Policjant popchnął ją w stronę dziury. Jedną ręką pochylił jej głowę, a drugą podniósł drut, po czym przepchnął dziewczynkę gwałtownie przez dziurę. Poczowała wrzynające się w czoło kolce. Było po wszystkim.

Wstała. Była wolna; stała po drugiej stronie.

Rachel patrzyła nieruchoma.

- Ja też chcę iść - powiedziała. Policjant złapał ją za kark.

- Nie, ty zostajesz. Rachel zaczęła zawodzić.

- To niesprawiedliwe! Dlaczego ona, a nie ja? Dlaczego? Uciszył ją, podnosząc drugą rękę. Po przeciwnej stronie siatki dziewczynka stała znieruchomiła. Dlaczego Rachel nie mogła z nią pójść? Dlaczego musiała zostać?

- Proszę, niech pan ją puści. Proszę, monsieur.

Mówiła cichym spokojnym głosem. Głosem młodej kobiety. Mężczyzna wydawał się niespokojny i niezdecydowany. Jednak nie wahał się długo.

- W takim razie idź. - Odepchnął Rachel. - Byle szybko. Trzymał podniesiony drut, podczas gdy Rachel się pod nim przeciskała. Stała zadyszana obok dziewczynki.

Mężczyzna grzebał przez chwilę w kieszeniach. Wyciągnął coś i podał dziewczynce przez ogrodzenie.

- Weź to - rozkazał.

Dziewczynka spojrzała na gruby zwój pieniędzy, który trzymała w dłoni. Włożyła go do tej samej kieszeni co klucz.

Mężczyzna obejrzał się w stronę baraków. Miał zmarszczone czoło.

- Na Boga, uciekajcie! Uciekajcie obie, szybko! Jeżeli was zobaczą... Zdejmijcie gwiazdy. Spróbujcie znaleźć pomoc. Bądźcie ostrożne! Powodzenia!

Chciała podziękować za pomoc, za pieniądze, chciała mu podać rękę, lecz Rachel złapała ją za ramię i ruszyła. Biegły przed siebie tak szybko, jak potrafiły przez wysokie złote żyto. Pędziły zdyszane, ledwo panując nad ruchami kończyn. Byle z dala od obozu, byle jak najdalej.

Gdy wróciłam do domu, zdałam sobie sprawę, że od paru dni miewam nudności.

Dotychczas byłam zbyt zajęta szukaniem materiału do artykułu na temat 'Vel' d'Hiv', aby się tym przejmować. Kiedy kończyłam pisać, moją uwagę przyciągnęły z kolei odkrycia na temat mieszkania Marne. Jednak fakt, że moje piersi stały się wrażliwe i obolałe, zmusił mnie do zwrócenia uwagi na powtarzające się mdłości.

Sprawdziłam, kiedy powinnam mieć okres. Faktycznie się spóźniał. Ale to się już zdarzało w poprzednich latach. W końcu postanowiłam pójść do apteki na rogu, by kupić test ciążowy. Na wszelki wypadek.

Była tam. Mała niebieska linia. Byłam w ciąży. W ciąży. Nie mogłam w to uwierzyć.

Usiadłam w kuchni i ledwo ważyłam się oddychać.

Ostatnia ciąża miała miejsce pięć lat temu, po dwóch poronieniach. To był koszmar.

Przedwczesne bóle i krwawienia. Następnie odkrycie, że płód się rozwija poza macicą, w jednym z jajowodów. Przeszłam ciężką operację, po której miałam kłopoty z dojściem do siebie, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Usunięto mi jeden z jajników. Chirurg powiedział, że na moim miejscu nie liczyłby na jeszcze jedną ciążę. Zresztą miałam już wtedy czterdzieści lat. Żal i smutek na twarzy Bertranda.

Nigdy o tym nie wspominał, lecz wyczuwałam, że ma pretensje. Byłam

pewna.

Niechęć mojego męża do jakichkolwiek roz - mów o jego uczuciach czyniła sprawy jeszcze trudniejszymi. Zachowywał swoje myśli dla siebie. Niewypowiedziane słowa nabierały kształtów niczym namacalna bariera między nami. Nie mówiłam o tym nikomu poza swoim psychoterapeutą oraz bardzo bliskimi przyjaciółmi.

Pamiętałam niedawny weekend w Burgundii, kiedy zaprosiliśmy Isabelle z mężem i dziećmi. Mieli córkę, Mathilde, w wieku Zoe, oraz małego Matthieu. Jak Bertrand patrzył na tego chłopczyka, uroczego cherubinka w wieku czterech czy pięciu lat...

Wodził za nim oczami, bawił się z nim, nosił na ramionach. Uśmiechał się podczas zabaw z dzieckiem, lecz w oczach miał coś smutnego i tęsknego. Nie mogłam tego znieść. Isabelle znalazła mnie zapłakaną w kuchni, podczas gdy wszyscy kończyli na dworze swoje *à la carte* Lorraine. Przytuliła mnie mocno, po czym naląa solidny kieliszek wina i włączyła odtwarzacz płyt, by przygłuszyć emocje starymi przebojami Diany Ross. „To nie twoja wina, ma *cocotte*, to nie twoja wina. Nie zapominaj o tym”.

Przez długi czas uważałam siebie za niepełnowartościową kobietę. Rodzina Tezaców ani na chwilę nie przestała się zachowywać taktownie i miło, jednak czułam się jak żona, która nie może dostarczyć Bertrandowi tego, czego pragnie najbardziej: drugiego dziecka. A przede wszystkim syna. Bertrand nie miał braci, jedynie dwie siostry. Nazwisko odejdzie w niebyt, jeśli zabraknie dziedzica. Nie zdawałam sobie sprawy, jak dużą wagę rodzina mojego męża przywiązuje do podtrzymania rodu.

Kiedy powiedziałam wyraźnie, że również jako żona Bertranda chcę być nazywana Julią Jarmond, odpowiedzią było pełne zaskoczenia milczenie. Następnie moja teściowa, Colette, wyjaśniła mi ze sztywnym uśmiechem, że takie nastawienie jest we Francji nowoczesne. Zbyt nowoczesne. To feministyczna postawa, która wcale nie jest dobrze widziana. Francuska kobieta

powinna być znana pod nazwiskiem męża. Miałam być przez resztę życia madame Bertrand Tezac. Pamiętam, jak pokazałam w szerokim uśmiechu swoje białe zęby i odparłam gładko, że jednak zostanę przy Jarmond. Nic nie odpowiedziała, a od tego czasu teściowie przedstawiali mnie zawsze jako żonę Bertranda.

Spojrzałam ponownie na niebieską linię. Dziecko. Dziecko! Poczucie szczęścia i dogłębnej radości wzięło górę. Będę miała dziecko. Rozejrzałam się po aż nazbyt dobrze znanej kuchni. Podeszłam do okna i wyjrzałam na ciemne ponure podwórko.

Chłopiec czy dziewczynka, to nie miało znaczenia. Choć wiedziałam, że Bertrand będzie liczył na syna. Ale córkę też pokocha. Byłam tego pewna. Drugie dziecko.

Dziecko, na które czekaliśmy od tak dawna. Na które przestaliśmy już liczyć.

Braciszek lub siostrzyczka, o których Zoe już nawet nie wspominała. O których Marne przestała już wypytywać.

Jak o tym powiem Bertrandowi? Nie mogę po prostu zadzwonić i oznajmić przez telefon, że jestem w ciąży. Musimy się spotkać sam na sam w jakimś prywatnym miejscu, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał. A to nie koniec - trzeba będzie zachować ostrożność i nikomu nic nie mówić przez co najmniej trzy miesiące.

Korciło mnie, aby zadzwonić do Hervego i Christophe'a, do Isabelle, siostry i rodziców, jednak się powstrzymałam. Mąż będzie pierwszą osobą, która się dowie.

Drugą będzie córka. Wpadłam na pewien pomysł.

Złapałam za telefon i wykręciłam numer Elsy, która często opiekowała się Zoe.

Spytałam się, czy jest dzisiaj wolna. Nie miała żadnych planów. Następnie zarezerwowałam stolik w naszej ulubionej restauracji, brasserie na rue

Saint Dominiąue, do której chodziliśmy regularnie od początku małżeństwa. W końcu zadzwoniłam do Bertranda. Włączyła się skrzynka głosowa; nagrałam się i powiedziałam, by spotkał się ze mną w Thoumieux równo o dwudziestej pierwszej.

Usłyszałam szcęk klucza Zoe, a następnie trzask zamykanych drzwi. Po chwili weszła do kuchni z ciężkim plecakiem w ręku.

- Cześć, mamó. Miałaś miły dzień?

Uśmiechnęłam się. Jak zawsze, za każdym razem gdy patrzyłam na Zoe, byłam na nowo zaskoczona jej urodą, wysmukłą sylwetką i jasnymi piwnymi oczami.

- Podejź no tutaj - powiedziałam, obejmując i przytulając córkę z całej siły.

Zrobiła krok do tyłu i przyjrzała mi się.

- Chyba rzeczywiście był miły, prawda? Czuję to w twoim uścisku.

- Rzeczywiście - odparłam, pragnąc jej wszystko powiedzieć. - Dzisiejszy dzień był bardzo dobry.

Wciąż na mnie patrzyła.

- Cieszę się. Ostatnio dziwnie się zachowywałaś. Myślałam, że to przez te dzieci.

- Które dzieci? - Odgarnęłam cienkie kasztanowe włosy z twarzy córki.

- No wiesz, dzieci. Te z Vel' d'Hiv'. Te, które nigdy nie wróciły do domów.

- Masz rację. To przygnębiający temat. Zresztą wciąż czuję jego ciężar.

Zoe wzięła mnie za rękę i zaczęła obracać moją obrączkę. Robiła tak, odkąd była małeńka.

- Poza tym słyszałam, jak rozmawiałaś przez telefon w zeszłym tygodniu - stwierdziła, przyglądając się rękóm.

- Ach, tak?

- Myślałaś, że już śpię.

- Rozumiem.

- Nie spałam. Było późno. Chyba rozmawiałaś z Hervem. Mówiłaś, co myślisz o tym, co usłyszałaś od Marne.

- O mieszkaniu?

- Tak. - W końcu spojrzała mi w oczy. - O rodzinie, która tam mieszkała. I co się z nią stało. I jak Marne żyła w ich mieszkaniu przez tyle lat i zdawała się tym nie przejmować.

- Wszystko słyszałaś. Przytaknęła.

- Czy wiesz coś o tej rodzinie, mamó? Czy wiesz, kim byli? Co się z nimi stało?

Pokręciłam głową.

- Nie, kochanie, nie wiem.

- Czy to prawda, że Marne nic to nie obchodziło? Musiałam być ostrożna.

- Złotko, jestem pewna, że obchodziło. Przypuszczam, że po prostu nie wiedziała, co się tak naprawdę stało.

Zoe znowu zaczęła obracać obrączkę. Tym razem szybciej.

- Mamó, czy zamierzasz się czegoś o nich dowiedzieć? Złapałam ciągnące za obrączkę palce.

- Tak, Zoe. Taki właśnie mam zamiar.

- Papie się to nie spodoba. Słyszałam, jak mówił, byś przestała o tym myśleć, przestała się przejmować. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

Przytuliłam córkę mocno, opierając brodę na jej ramieniu. Pomyślałam o cudownej tajemnicy, którą w sobie nosiłam. Pomyślałam o dzisiejszym wieczorze, o Thoumieux. O wyrazie niedowierzania na twarzy Bertranda, o tym, jak się zachłystuje z radości.

- Kochanie - powiedziałam - papie nie będzie to przeszkadzało. Obiecuję.

Kiedy zmęczyły się do tego stopnia, że nie mogły już więcej biec, schowały się za dużym krzakiem. Chciało im się pić i nie mogły złapać tchu. Dziewczynkę kłuło w boku. Gdyby tylko mogła się napić wody. Chwilę

odpocząć. Odzyskać siły. Jednak wiedziała, że nie może tu zostać. Musiała iść dalej, musiała się jakoś dostać do Paryża.

„Zdejmijcie gwiazdy”, przypomniała sobie słowa policjanta. Uciekiniarki ściągnęły dodatkowe ubrania, jeszcze bardziej postrzępione po przecięnięciu się pod drutem.

Dziewczynka spojrzała na swoją bluzkę. Była tam żółta gwiazda. Zaczęła ciągnąć za przyszyty materiał. Rachel, biorąc z niej przykład, zajęła się skubaniem nici paznokciami i bez większych problemów oderwała swój emblemat. Jednak gwiazda dziewczynki była zbyt mocno przyszyta. Zdjęła bluzkę i przyjrzała się z bliska.

Gęsty, idealny ścieg. Przypomniała sobie pochyloną nad stosem ubrań matkę cierpliwie naszywającą kolejne gwiazdy, jedną po drugiej. Wspomnienie spowodowało, że do oczu napłynęły jej łzy. Wtuliła się w bluzkę i zaczęła płakać, pochłonięta rozpaczą, jakiej dotąd nie знаła.

Poczuła obejmujące ją ramiona towarzyszkii, zakrwawione ręce głaskały i przytulały.

Rachel spytała: „Czy to prawda o twoim braciszku? Czy rzeczywiście jest w szafce?”. Dziewczynka przytaknęła. Rachel przycisnęła ją jeszcze mocniej, niezdarnie gładząc króciutkie złote włosy. Gdzie teraz była matka?

A ojciec? Dokąd zabrano rodziców? Czy byli razem? Czy byli bezpieczni? Gdyby mogli ją teraz zobaczyć... Gdyby mogli zobaczyć, jak brudna, zagubiona i głodna płacze schowana za krzakiem...

Wstała, starając się uśmiechnąć do Rachel przez łzy. Tak, być może była brudna, zagubiona i głodna, ale się nie bała. Brudnymi palcami starta z twarzy ślady łez. Jest zbyt dorosła, aby się bać. Przestała być dzieckiem. Rodzice byliby z niej dumni. Tego właśnie chciała: aby byli dumni, że uciekła z obozu. Dumni, że udaje się do Paryża uratować braciszka. Dumni, że się nie boi.

Próbowała zerwać gwiazdę, szarpiąc zębami drobny ścieg matki. Żółty kawałek materiału w końcu oderwał się od bluzki. Widniały na nim duże czarne

litery: Jude.

Zwinęła gwiazdę w rękę.

- Nagle wydaje się taka mała, prawda? - zwróciła uwagę.

- Co z nimi zrobimy? - spytała Rachel. - Jeżeli nas przeszukają i znajdą je w naszych kieszeniach, to będzie koniec.

Postanowiły zakopać gwiazdy pod krzakiem wraz z ubraniami, z których korzystały podczas ucieczki. Ziemia była sucha i miękka. Rachel wykopała dziurę, włożyła do środka gwiazdy i ubrania, po czym zasypała otwór.

- Zakopuję gwiazdy - oznajmiła z triumfem. - Są martwe. Pochowane. Na wieki wieków.

Dziewczynka roześmiała się wraz z Rachel. Po czym poczuła wstyd. Matka mówiła, że powinna być dumna ze swojej gwiazdy. Z bycia Żydówką.

Nie chciała o tym teraz myśleć. Sytuacja się zmieniła. Wszystko się zmieniło.

Musiały znaleźć wodę, jedzenie i miejsce do spania, a ona musiała wrócić do domu.

Jak? Nie wiedziała. Nie wiedziała nawet, gdzie teraz są. Miała za to pieniądze.

Pieniądze policjanta. Nie był taki zły. Może to oznaczało, że są też inni dobrzy ludzie, którzy mogliby im pomóc. Ludzie, w których nie budziły nienawiści. Ludzie, którzy nie uważali ich za „inne”.

Znajdowały się niedaleko wioski. Zza krzaku widziały tablicę z nazwą miejscowości.

- BeaunelaRolande - odczytała na głos Rachel.

Instynkt podpowiadał dziewczynkom, aby nie iść do wioski. Tam nie znajdą pomocy.

Miejscowi wiedzieli o obozie, a mimo to nikt nie przyszedł z pomocą, poza kobietami, które pojawiły się tylko raz. Zresztą wioska była położona zbyt blisko obozu. Mogły tam spotkać kogoś, kto od razu odesłałby je z powrotem.

Odwróciły się więc plecami do BeaunelaRolande i ruszyły w drugą stronę, idąc blisko rosnącej wzdłuż drogi wysokiej trawy. Gdyby tylko mogły się czegoś napić, pomyślała dziewczynka. Było jej słabo z pragnienia i głodu.

Szły przez długi czas, zatrzymując się i chowając, gdy tylko usłyszały jakiś samochód lub prowadzącego krowy do obory wieśniaka. Czy szły w dobrym kierunku? W stronę Paryża? Nie wiedziała. Przynajmniej była pewna, że oddalają się od obozu. Spojrzała na swoje buty. Rozpadały się. A to była jej druga najlepsza para, ta na wyjątkowe okazje, jak urodziny, pójście do kina czy odwiedziny u przyjaciółki.

Kupiła je z matką w zeszłym roku nieopodal Place de la Republique. Czuła się, jakby wspominała dawne dzieje. Niczym z irnego życia. Buty były teraz za małe i uwierały w palce.

Późnym popołudniem doszły do chłodnej zielonej przestrzeni liściastego lasu.

Pachniał słodyczą i wilgocią. Zeszły z drogi z nadzieją, że zdołają znaleźć dzikie truskawki lub borówki. Po jakimś czasie natrafiły na całą kępę krzewów owocowych.

Rachel krzyknęła z radości. Siadły i zaczęły pochłaniać leśne pyszności.

Dziewczynka przypomniała sobie, jak zbierała z ojcem owoce podczas tych wspaniałych dni nad rzeką tak dawno temu.

Odwyczajony od takiej rozpusty żołądek się zbuntował. Dostała torsji. Złapała się za brzuch. Zwróciła półpłynną masę niestrawionych owoców. Czuła w ustach obrzydliwy posmak.

Powiedziała Rachel, że muszą znaleźć coś do picia. Zmusiła się do wstania i poszły głębiej w nakrapiany złotym światłem słońca tajemniczy szmaragdowy świat lasu.

Zobaczyła galopującą przez paprocie sarnę i z zachwytu wstrzymała oddech. Jako prawdziwie miejskie dziecko nie była przyzwyczajona do przyrody.

Doszły do małego czystego stawu w głębi lasu. Woda była świeża i chłodna.

Dziewczynka piła i piła, a kiedy wreszcie zaspokoila pragnienie, wypłukała usta i zmyła plamy po borówkach. Poczula się nieco lepiej i wsunęła nogi do stojącej wody.

Nie pływała od czasu rodzinnej eskapady nad rzekę i bała się wejść do stawu. Rachel domyśliła się tego i zaproponowała, że ją potrzyima. Dziewczynka poczula się pewniej i wślizgnęła do wody, trzymając się kurczowo ramion przyjaciółki. Rachel wsunęła jedną rękę pod brodę dziewczynki, a drugą pod brzuch, tak jak kiedyś robił to ojciec. Cudownie było się zanurzyć w kojącej aksamitnej pieszczocie wody.

Zmoczyła niedawno ogoloną głowę, na której włosy zaczęły już odrastać złotym meszkiem, szorstkim niczym zarost na brodzie ojca.

Nagle dziewczynka poczula się wyczerpana. Chciała się położyć na miękkim zielonym mchu i zasnąć. Tylko na chwilę. Tylko na krótką drzemkę. Rachel się zgodziła. Mogły przez parę minut odpocząć. Tu było bezpiecznie.

Zwinęły się obok siebie, wdychając głęboko tak odmienny od smrodu barakowej słomy zapach świeżego mchu.

Dziewczynka zasnęła błyskawicznie. Zapadła w głęboki i spokojny sen, jakiego od dawna nie zaznała.

Siedzieliśmy przy tym samym stoliku co zwykle. W prawym tylnym rogu, patrząc od strony wejścia, za staromodnym ocynkowanym barem i barwionymi lustrami.

Wyścielana czerwonym welurem ława wzdłuż ściany układała się w kształt litery L.

Usiadłam i patrzyłam na uwijających się po sali kelnerów w długich białych fartuchach. Jeden z nich przyniósł mi drink Kir royal. W restauracji było tłoczno.

Lata temu Bertrand zabrał mnie tutaj na pierwszą randkę. Nic się od tego czasu nie zmieniło. Ten sam niski sufit, marmurowe ściany, słabe żarówki w szklanych kulach, wykrochmalone obrusy. Te same sycące dania kuchni correzańskiej i gaskońskiej, w której Bertrand się lubował. Kiedy się poznaliśmy, mieszkał nieopodal, na poddaszu przy rue Malar. Mieszkanie było urocze, jednak latem rozgrzewało się nie do wytrzymania. Ja, wychowana w ciągłej klimatyzacji Amerykanka, nie mogłam zrozumieć, jak Bertrand to znosi. Mieszkałam wówczas z chłopcami na rue Berthe, a mój ciemny chłodny pokój był wymarzonym miejscem odpoczynku podczas dusznego paryskiego lata. Bertrand wychowywał się z siostrami w arystokratycznej paryskiej siódmej dzielnicy, gdzie ich rodzice od lat mieszkali na długiej wygiętej w łuk rue de l'Universite, a rodzinny sklep z antykami prosperował na rue du Bac.

Ten sam stół co zwykle. To tutaj siedzieliśmy, gdy Bertrand poprosił mnie o rękę.

To tutaj powiedziałam mu, że noszę w sobie Zoe. To tutaj oznajmiłam, że dowiedziałam się o Amelie.

Amelie.

Nie dziś. Nie teraz. Sprawa Amelie była zakończona. Ale czy na pewno? Czy całkowicie? Musiałam przyznać, że nie byłam pewna. Tymczasem jednak nie chciałam wiedzieć więcej. Nie chciałam. Teraz czekałam na nowe dziecko i Amelie nie miała tu nic do gadania. Uśmiechnęłam się gorzko i przymknęłam oczy. Czyż to nie było typowe francuskie podejście: przymykanie oczu na wypadki męża? Ciekawe, czy byłam do tego zdolna.

Kiedy dziesięć lat temu odkryłam, że był mi niewierny, walczyłam zaciekle.

Siedzieliśmy dokładnie w tym miejscu, wspominałam. Wtedy postanowiłam mu powiedzieć. Niczemu nie zaprzeczał. Przez cały czas był spokojny i opanowany.

Wysłuchał mnie, opierając brodę na splecionych palcach. Kwity z opłat

kartą kredytową. Hotel de la Perle, rue des Canettes. Hotel Lenox, rue Delambre. Le Relais Christine, rue Christine. Szereg rachunków hotelowych.

Nie był szczególnie ostrożny. Ani w sprawie rachunków, ani perfum, które roztaczały woń wokół niego, jego ubrań, włosów, czy pasa bezpieczeństwa na miejscu pasażera w audi kombi, którym jeździł. To była pierwsza rzecz, jaka naprowadziła mnie na trop, pierwszy znak. L'Heure Bleue. Mdły zapach najmocniejszej i najbardziej przenikliwej kompozycji spośród perfum Guerlaina. Nie było trudno odkryć, kim była. Zresztą okazało się, że już ją znałam. Przedstawił mi ją bezpośrednio po ślubie.

Rozwódka. Z trójką nastoletnich dzieci. Około czterdziestki, ze srebrzystobrązowymi włosami. Uosobienie paryskiego ideału. Drobna, smukła, doskonale ubrana.

Właściwa torebka i stosowne buty. Świetna posada. Przestronne mieszkanie z widokiem na Trocadero. Wykwintne francuskie nazwisko przypominające brzmieniem sławne wino. Na lewym ręku pierścionek z sygnetem.

Amelie. Była dziewczyna Bertranda z licee im. Victora Duruy, sprzed tylu lat. Ta, z którą nigdy nie przestał się spotykać. Której nigdy nie przestał pieprzyć mimo ślubów, dzieci i mijających lat.

- Jesteśmy przyjaciółmi - zapewniał - tylko przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

Gdy po posiłku znaleźliśmy się w samochodzie, zamieniłam się w lwicę, obnażyłam kły i wysunęłam pazury. Moje emocje zapewne mu pochlebily. Obiecywał, przysięgał. Liczyłam się ja i tylko ja. Ona nie miała znaczenia, była tylko *passade*, przelotną sprawą. I przez długi czas mu wierzyłam.

Dopiero ostatnio zaczęłam się zastanawiać. Nachodziły mnie sporadyczne wątpliwości. Nic konkretnego, tylko chwile niepewności. Czy wciąż wierzę mężowi?

- Oszalałaś, jeśli mu wierzysz - powiedział Herve, powtórzył Christophe.

- Może powinnaś spytać wprost - zasugerowała Isabelle.

- Rozum ci odjęło, jeżeli mu wierzysz - oznajmiła Charla, moja matka, Holly, Susannah i Jan.

Dzisiejszego wieczoru ani słowa o Amelie, postanowiłam. Tylko Bertrand, ja i wspaniała wiadomość. Popijałam powoli swojego drinka. Kelnerzy uśmiechali się do mnie. Czułam się dobrze. Czułam się pełna energii. Do diabła z Amelie. Bertrand był moim mężem. Będę miała jego dziecko.

Restauracja była wypełniona po brzegi. Rozejrzałam się po zajętych stolikach.

Siedzący obok siebie, skupieni nad kolacją starsi państwo z dwoma kieliszkami wina.

Grupa młodych, około trzydziestoletnich kobiet rozśmieszających się nawzajem do łez, czym wzbudzały niesmak na twarzy kobiety siedzącej nieopodal i samotnie jedzącej posiłek. Pałący cygara biznesmeni w szarych garniturach. Starający się rozszyfrować menu amerykańscy turyści. Rodzina z nastoletnimi dziećmi. Było głośno, a w powietrzu unosił się dym.

Jednak nie odczuwałam z tego powodu dyskomfortu. Zdążyłam już przywyknąć.

Bertrand jak zwykle się spóźniał. Nie szkodzi. Dzięki temu nie musiałam się spieszyć przy przebieraniu i układaniu włosów. Włożyłam spodnie w kolorze czekolady, które lubił, i prosty obcisły top o wyrazistym kolorze. Perłowe kolczyki marki Agatha i zegarek Hermes. Moje oczy wydawały się większe i bardziej niebieskie niż zwykle, a skóra promieniała zdrowiem. Całkiem nieźle jak na ciężarną kobietę w wieku średnim, pomyślałam. Ciągłe uśmiechy kelnerów w moją stronę sugerowały, że się ze mną zgadzają.

Wyjęłam z torebki kalendarzyk. Pierwszą rzeczą, jaką muszę jutro zrobić, to zadzwonić do ginekologa. Trzeba się szybko umówić na wizytę. Zapewne będę się musiała poddać różnym badaniom. Niewątpliwie punkcja owodni. Nie byłam już młodą matką. Narodziny Zoe wydawały się tak odległe.

Nagle ogarnęła mnie panika. Czy zdołam przez to wszystko przebrnąć po jedenastu latach? Ciężę, narodziny, bezsenne noce, butelki, płacze, pieluchy? No jasne, że dam radę, zganiłam siebie. Czekałam na to przez ostatnie dziesięć lat. Oczywiście, że byłam gotowa. Tak samo jak Bertrand.

Jednak gdy siedziałam i czekałam na niego, czułam coraz większy niepokój. Staralam się myśleć o czymś innym. Otworzyłam notes i zaczęłam przeglądać najnowsze notatki na temat Vel' d'Hiv'. Wkrótce zapomniałam się w pracy. Nie słyszałam już otaczającego mnie zgiełku restauracji, śmiechu klientów, szybkich kroków kelnerów między stołami ani zgrzytu odsuwanych krzeseł.

Gdy podniosłam oczy, zobaczyłam mojego męża. Siedział naprzeciwko i przyglądał mi się.

- Hej, od jak dawna tu jesteś? - spytałam. Uśmiechnął się i położył dłoń na mojej ręce.

- Dostatecznie długo. Pięknie wyglądasz.

Miał na sobie długą sztruksową marynarkę i świeżą białą koszulę.

- To ty wyglądasz pięknie.

Ledwo się powstrzymałam od ogłoszenia dobrych wieści od razu. Ale nie, było jeszcze za wcześnie. Z trudem się opanowałam. Kelner przyniósł Bertrandowi Kir royal.

- A więc? Czemu tu jesteśmy, amour! Coś szczególnego? Niespodzianka? Stuknęliśmy się kieliszkami.

- Mam zgadywać?

Czułam się jak mała dziewczynka z figlarnym uśmiechem.

- W życiu nie zgadniesz! W życiu. Roześmiał się, rozbawiony.

- Wyglądasz jak Zoe! Czy ona wie, co to za wyjątkowa niespodzianka?

Pokręciłam głową, coraz bardziej podekscytowana.

- Co ty. Nikt nie wie. Nikt... poza mną. Wzięłam go za dłoń. Miał gładką opaloną skórę.

- Bertrandzie...

Nad nami pojawił się kelner. Złożenie zamówienia zajęło mniej niż minutę: confit de canard dla mnie i cassoulet dla Bertranda. Na przystawkę szparagi.

Patrzyłam, jak plecy kelnera oddalają się w stronę kuchni, po czym w końcu to powiedziałam. Bardzo szybko.

- Będę miała dziecko.

Bacznie obserwowałam twarz męża. Czekałam, aż podniosą mu się kąciki ust, a oczy otworzą szerzej z radości. Jednak nie drgnął mu ani jeden mięsień, jakby miał na sobie maskę. Jego wzrok błędził po mojej twarzy.

- Dziecko? - powtórzył. Ścisnęłam jego dłoń w swojej.

- Czy to nie cudowne, Bertrandzie? Czy to nie wspaniałe? Nic nie mówił. Nie mogłam zrozumieć dlaczego.

- W którym miesiącu ciąży jesteś? - spytał w końcu.

- Dopiero co się dowiedziałam - szepnęłam, zmartwiona jego poważną miną.

Przetarł oczy nasadami dłoni, jak zawsze gdy był zmęczony lub zdenerwowany. Nic nie mówił, ja również milczałam.

Cisza rozciągnęła się między nami niczym mgła. Prawie mogłam jej dotknąć.

Kelner przyniósł przystawki. Żadne z nas nie tknęło szparagów.

- O co chodzi? - Nie mogłam dłużej znieść milczenia. Westchnął, potrząsnął głową i znowu przetarł oczy.

- Myślałam, że będziesz szczęśliwy... Zachwycony... - mówiłam dalej, czując wzbierające łzy.

Oparł brodę na rękę i przyjrzał mi się.

- Julio, ja już straciłem nadzieję.

Patrzył na mnie poważnym wzrokiem. Nie podobał mi się wyraz zdecydowania widoczny w jego oczach.

- O co ci chodzi? Tylko dlatego, że straciłeś nadzieję, nie możesz teraz...

- Julio. Za dwa i pół roku będę miał pięćdziesiąt lat.

- I co z tego? - Czułam, jak płoną mi policzki.

- Nie chcę być starym ojcem - oznajmił cicho.

- Na Boga... Cisza.

- Nie możemy mieć tego dziecka, Julio - stwierdził łagodnie. - Mamy teraz inne życie. Zoe wkrótce będzie nastolatką. Ty masz czterdzieści pięć lat. Nasze życie się zmieniło. Dziecko by do niego nie pasowało.

Pojawiły się łzy; po mojej twarzy spływały duże krople, które po chwili zaczęły spadać na talerz.

- Czy chcesz mi powiedzieć - dławiałam się od płaczu. - Czy chcesz mi powiedzieć, że mam się poddać aborcji?

Rodzina z sąsiedniego stolika patrzyła w naszą stronę. Nie obchodziło mnie to.

Powróciłam do rodzimego języka, jak zwykle w chwilach kryzysowych. W takiej chwili nie sposób było się posługiwać francuskim.

- Aborcji po trzech poronieniach? - spytałam, drżąc.

Jego twarz była smutna. Czują i smutna. Chciałam go uderzyć, kopnąć.

Jednak nie mogłam. Mogłam tylko płakać w serwetkę. Głaskał mnie po głowie i szeptał w kółko, że mnie kocha.

Przestałam go słuchać.

Kiedy dziewczynki się obudziły, była już noc. Las przestał być spokojną liściastą przestrzenią, przez którą szły po południu. Stał się większy i groźniejszy i wypełnił dziwnymi odgłosami. Wzięły się za ręce i powoli ruszyły przez paprocie, zamierając w miejscu na każdy usłyszany dźwięk. Noc sprawiała wrażenie coraz ciemniejszej i ciemniejszej. Coraz bardziej mrocznej. Szły dalej. Dziewczynce wydawało się, że zaraz padnie z wycieńczenia. Jednak ciepła dłoń Rachel dodawała otuchy.

W końcu dotarły do wijącej się przez płaskie łąki ubitej drogi. Las został

za ich plecami. Spojrzały na ponure bezksiężycowe niebo.

- Patrz - powiedziała raptem Rachel, wskazując przed siebie. - Samochód.

Noc przecinały światła. Były przyciemnione czarną farbą, zza której wydostawał się jedynie wąski pasek jasności. Do dziewczynek dotarły odgłosy zbliżającego się głośnego silnika.

- Co robimy? - odezwała się ponownie Rachel. - Zatrzymujemy go?

Dziewczynka dostrzegła kolejną parę zamalowanych świateł, a za nimi kolejną.

Zbliżał się długi szereg samochodów.

- Padnij - szepnęła, ciągnąc Rachel za spódniczkę. - Szybko! Stały na polaci otwartej przestrzeni. Nie było krzaków ani drzew, za którymi mogły się schować. Dziewczynka położyła się na brzuchu z brodą w przydrożnym kurzu.

- Dlaczego? Co robisz? - chciała wiedzieć Rachel. Po czym i ona zrozumiała.

Żołnierze. Niemieccy żołnierze. Nocny patrol.

Pospiesznie położyła się obok dziewczynki.

Samochody się zbliżały, warkot silników rósł w siłę. Dziewczynki mogły już dostrzec lśniące okrągłe hełmy w świetle przyciemnionych reflektorów. Zobaczą nas, pomyślała dziewczynka. Nie mamy jak, nie mamy gdzie się ukryć. Zobaczą nas.

Pierwszy jeep przejechał obok nich, a za nim kolejne. Do oczu dziewczynek wpadał gęsty biały kurz. Staraly się nie kasłać, nie ruszać. Dziewczynka leżała z twarzą w pyle, zakrywając uszy rękami. Ciąg samochodów zdawał się nigdy nie kończyć. Czy mężczyźni dostrzegli ciemne sylwetki obok nieutwardzonej drogi? Napięła mięśnie, czekając na okrzyki, odgłos zatrzymujących się samochodów, trzask drzwi, szybkie kroki i łapiące ją za ramiona szorstkie ręce.

Jednak samochody pojechały dalej bez zatrzymywania, a hałas oddalił się w mroku.

Wróciła cisza. Dziewczynki podniosły wzrok. Na gruntowej drodze nie było niczego poza kłębami jasnego kurzu. Oczekały jeszcze chwilę, po czym ruszyły ścieżką w przeciwnym kierunku, niż odjechała kolumna pojazdów. Między drzewami migotało światło. Jasne zachęcające światło. Ruszyły ku niemu, unikając drogi. Otworzyły bramę i podkradły się do domu. Wygląda na gospodarstwo, przeszło dziewczynce przez myśl. Przez otwarte okno widziały czytającą przy kominku kobietę i palącego fajkę mężczyznę. Kuszący zapach jedzenia łechtał nozdrza uciekinierek.

Rachel zapukała bez wahania. Po chwili zasłonę po wewnętrznej stronie drzwi odsunęła kobieta o podłużnej, kościstej twarzy. Przez parę sekund przyglądała się dziewczynom przez szybę, po czym opuściła zasłonę z powrotem. Nie otworzyła drzwi. Rachel zapukała ponownie.

- Proszę, madame, chciałybyśmy coś zjeść i się napić...

Zasłona me drgnęła. Dziewczynki podeszły do otwartego okna. Mężczyzna z fajką wstał z krzesła.

- Idźcie stąd - powiedział niskim i groźnym głosem. - Wynoście się.

W głębi pokoju kobieta z kościstą twarzą stała w milczeniu.

- Proszę, trochę wody... - odezwała się dziewczynka. Mężczyzna zatrzaskał okno.

Dziewczynce chciało się płakać. Jak mogli być tak okrutni? Na stole był chleb, widziała przez okno. Stał też dzbanek z wodą. Rachel pociągnęła ją za rękaw.

Wróciły na krętą ubitą drogę. Widać było więcej gospodarstw. Za każdym razem to samo. Odprawiano je spod drzwi. Kolejny raz uciekały.

Było późno. Ledwo mogły iść, przytłoczone zmęczeniem i głodem. Dotarły do położonego na uboczu dużego starego domu oświetlonego wysoką latarnią; przystanęły w jej świetle. Fasada była zarośnięta bluszczem. Nie ważyły się zapukać.

Dostrzegły przed domem pustą budę dla psa. Wpełzły do środka. Było

czysto i ciepło. Powietrze przenikał kojący psi zapach. Na ziemi stała miska z wodą, a obok leżała stara kość. Jedna po drugiej chleptały wodę. Dziewczynka bała się, że pies może wrócić i je pogryźć. Powiedziała to szeptem Rachel, jednak ta już spała, zwinięta niczym zwierzątko. Dziewczynka spojrzała na wyczerpaną twarz, chude policzki i zapadnięte oczy. Rachel wyglądała jak staruszka.

Oparta o towarzyszkę dziewczynka drzemała niespokojnie. Miała dziwny i straszny sen. Śnił jej się brat, martwy w szafce. Śniła o bitych przez policjantów rodzicach.

Jęczała przez sen.

Ze snu obudziło ją wściekłe szczekanie. Mocno szturchnęła Rachel. Usłyszały głos mężczyzny, zbliżające się kroki, skrzyp żwiru. Było za późno, by się wymknąć.

Mogły tylko się złapać nawzajem i ścisnąć w przestachu. Już nie żyjemy, pomyślała dziewczynka. Zaraz nas zabiją.

|^HHH

Pies zamilkł na rozkaz swojego pana. Poczula czyjąś rękę sprawdzającą, co jest w środku. Palce chwyciły na chwilę jej ramię, następnie ramię Rachel. Dziewczynki wyszły z budy na kolanach.

Mężczyzna był niski i pomarszczony. Miał łysą głowę i srebrne wąsy.

- No proszę, co my tu mamy? - powiedział pod nosem, mrużąc oczy w świetle latarni.

Dziewczynka czuła, jak Rachel się napina, zapewne przygotowując się do biegu, do ucieczki niczym królik.

- Zgubiłyście się? - w głosie starszego pana słychać było troskę. Dziewczynki były zaskoczone. Spodziewały się gróźb, uderzeń, ale na pewno nie chęci pomocy.

- Proszę pana, jesteśmy bardzo głodne - odezwała się Rachel. Mężczyzna przytaknął.

- Widzę.

Pochylił się, by uciszyć skomlącego psa. Następnie zwrócił się do dziewczynek:

- Chodźcie, dzieci. Chodźcie za mną.

Ani jedna, ani druga nie drgnęła. Czy mogli mu zaufać?

- Nikt nie zrobi wam tutaj krzywdy.

Przycisnęły się do siebie, jeszcze bardziej przestraszone. Mężczyzna uśmiechnął się łagodnie, przyjaźnie.

- Genevieve! - zawołał, obracając się w stronę domu.

W drzwiach pojawiła się starsza kobieta w niebieskim szlafroku.

- Na co tym razem szczeka ten twój dumny pies? - spytała zirytowana. Po czym zauważyła dziewczynki. Zasłoniła ręką otwarte ze zdumienia usta.

- Boże wszechmogący - wymamrotała.

Podeszła bliżej. Miała spokojną okrągłą twarz i związane w gruby biały warkocz włosy. Patrzyła na dziewczynki ze współczuciem i niepokojem.

Serce dziewczynki zabiło szybciej w przypływie nadziei. Starsza pani przypominała fotografię jej polskiej babki. Miała te same jasne oczy, białe włosy i tę samą budzącą zaufanie masywną budowę.

- Jules - szepnęła starsza pani - czy one... Mężczyzna kiwnął głową.

- Tak, na to wygląda.

Kobieta powiedziała zdecydowanie:

- W takim razie muszą wejść. Trzeba je natychmiast ukryć. Poczłapała w stronę drogi i rozejrzała się w obie strony.

- Chodźcie, dzieci, szybko - wyciągnęła ręce. - Tutaj jesteście bezpieczne. Z nami jesteście bezpieczne.

Miałam okropną noc. Obudziłam się z opuchniętą z niewyspania twarzą. Całe szczęście, że Zoe już poszła do szkoły. Nie chciałabym, żeby mnie taką widziała.

Bertrand był czuły i miły. Powiedział, że musimy jeszcze o tym

porozmawiać. Na przykład wieczorem, gdy Zoe spała. Mówił spokojnym i łagodnym głosem.

Widziałam, że już podjął decyzję. Nikt ani nic nie mogło spowodować, by chciał ze mną mieć to dziecko.

Nie mogłam się zdobyć na powiedzenie o tym przyjaciółom ani siostrze. Decyzja Bertranda wstrząsnęła mną do tego stopnia, że wolałam nikomu nie mówić, przynajmniej na razie.

Tego ranka ciężko było się za cokolwiek zabrać. Wszystko mnie męczyło. Każdy ruch wymagał wysiłku. Ciągle przypominała mi się miniona noc. Słowa Bertranda.

Jedynym wyjściem to zatracenie się w pracy. Po południu byłam umówiona z Franckiem Levym w jego biurze. Vel' d'Hiv' nagle sprawiało wrażenie bardzo odległej sprawy.

Czułam się, jakby w ciągu nocy przybyło mi lat. Nic zdawało się nie mieć już znaczenia, nic poza dzieckiem, które nosiłam w sobie i którego mój mąż nie chciał.

Gdy byłam w drodze do biura, zadzwoniła komórka. Dzwonił Guillaume. Znalazł u swojej babki kilka niewznawianych książek na temat Vel' d'Hiv', których poszukiwałam. Może mi je pożyczyć. Czy moglibyśmy się spotkać w ciągu dnia albo wieczorem na drinka? Mówił wesołym przyjaznym głosem. Od razu się zgodziłam. Umówiliśmy się na osiemnastą w Select przy boulevard du Montparnasse, dwie minuty od domu. Pożegnaliśmy się, po czym telefon znowu zadzwonił.

Tym razem telefonował mój teść. Zdziwiłam się. Edouard rzadko do mnie dzwonił.

Utrzymywaliśmy stosunki na typowym dla Francuzów neutralnym poziomie grzeczności. Oboje potrafiliśmy doskonale rozmawiać o niczym. Jednak nigdy się przy nim nie czułam do końca swobodnie. Zawsze odnosiłam wrażenie, że coś ukrywa, że nie ujawnia swoich odczuć przede mną ani przed

nikim innym.

Był człowiekiem, którego się słucha i podziwia. Nie potrafiłam wyobrazić sobie żadnych emocji na jego twarzy poza złością, dumą czy samozadowoleniem. Nigdy nie widziałam Edouarda w dzinsach, nawet podczas weekendów w Burgundii, kiedy siedział w ogrodzie pod dębem i czytał Rousseau. Zresztą chyba nigdy nie widziałam teścia bez krawatu. Pamiętam, kiedy spotkałam go po raz pierwszy. Niewiele się zmienił w ciągu ostatnich siedemnastu lat. Miał tę samą królewską posturę, srebrne włosy i stalowe oczy. Uwielbiał gotować i ciągle wypędzał Colette z kuchni, by samemu przygotowywać proste i pyszne posiłki: pot au feu, zupę cebulową, pyszne ratatouille czy omlet truflowy. Jediną osobą, która mogła towarzyszyć teściowi w kuchni, była Zoe. Miał do niej słabość, mimo że zarówno Cecile, jak i Laure urodziły mu wnuków: Arnauda i Louisa. Uwielbiał moją córkę. Nigdy nie wiedziałam, co się dzieje podczas ich kulinarnych wybryków. Zza zamkniętych drzwi słyszałam chichot Zoe, odgłosy cięcia warzyw, gotującej się wody, syk tłuszczu na patelni i co jakiś czas basowy pomruk śmiechu Edouarda.

Chciał wiedzieć, jak się ma Zoe, jak się posuwają prace w mieszkaniu. Po czym przeszedł do sedna. Spotkał się wczoraj z Marne. To był jeden ze złych dni - wyjaśnił. Marne była w złym humorze. Miał już wyjść i zostawić ją wpatrzoną nadą - sanym wzrokiem w telewizor, gdy nagle niespodziewanie powiedziała coś o mnie.

- Co takiego mówiła? - spytałam, zaciekawiona. Edouard odchrząknął.

- Moja matka powiedziała, że wypytywałaś ją o mieszkanie na rue de Saintonge.

Wciągnęłam powietrze.

- Tak, to prawda - przyznałam. Byłam ciekawa, do czego zmierza.

Cisza.

- Julio, wolałbym, abyś nie pytała Marne o nic związanego z rue de Saintonge. - Nagle zaczął mówić po angielsku, jakby chciał być całkowicie

pewien, że zrozumie.

Urażona odpowiedziałam po francusku.

- Przepraszam, Edouardzie. Po prostu zbieram teraz materiały do artykułu na temat aresztowań Vel' d'Hiv'. Zaskoczył mnie ten zbieg okoliczności.

Znowu cisza.

- Zbieg okoliczności? - powtórzył, przestawiając się z powrotem na francuski.

- No, tak. Fakt, że zanim się przeprowadziliście, mieszkała tam żydowska rodzina aresztowana w ramach Vel' d'Hiv'. Odniosłam wrażenie, że Marne jest zdenerwowana, gdy mi o tym opowiada, więc o nic więcej nie pytałam.

- Dziękuję, Julio. - Przerwał. - To faktycznie wytrąca Marne z równowagi. Proszę, nie podnoś już przy niej tego tematu.

Przystanąłam na środku chodnika.

- Dobrze, nie będę. Nie miałam złych zamiarów, chciałam tylko wiedzieć, jak trafiliście do tego mieszkania i czy Marne wiedziała coś o tej żydowskiej rodzinie. A ty, Edouardzie? Może ty coś wiesz?

- Przepraszam, nie dosłyszałem - odpowiedział gładko. - Muszę już iść. Do widzenia, Julio.

Usłyszałam sygnał telefoniczny.

Zadziwił mnie do tego stopnia, że przez krótką chwilę zapomniałam o Bertrandzie i poprzedniej nocy. Czy Marne faktycznie się żaliła Edouardowi na moje pytania?

Pamiętałam, jak zamknęła się w sobie. Jak nie chciała więcej mówić, nie otwierając ust ani razu do mojego wyjścia. Co ją tak zdenerwowało? Dlaczego Marne i Edouard tak bardzo nie chcieli, bym zadawała pytania na temat mieszkania? Co chcieli przede mną ukryć?

Bertrand i dziecko przytłoczyli mnie na nowo z wielką siłą. Nagle nie byłam w stanie iść do biura. Badawczy wzrok Alessandry. Zadawałaby pytania, jak zwykle byłaby ciekawska. Próbowalaby udawać, że to tylko przyjacielska

troska. Bamber i Joshua przyglądaliby się mojej opuchniętej twarzy. Bamber, jako prawdziwy dżentelmen, nic by nie powiedział, za to dyskretnie poklepałby mnie po plecach. A Joshua... On byłby najgorszy. „Co tam, złotko, w czym problem? Znowu ten francuskij mąż?”.

Widziałam w myślach sardoniczny uśmiech szefa, gdy podaje mi kubek z kawą. Nie, nie mogłam dzisiaj iść do biura.

Zawróciłam w stronę Arc de Triomphe, przeciskając się niecierpliwie, lecz sprawnie między hordami wlokących się po chodniku turystów wpatrzonych w łuk i zatrzymujących się do fotografii. Wyjęłam notes z telefonami i wybrałam numer organizacji, w której pracował Franek Levy. Spytałam, czy mogłabym przyjść teraz zamiast po południu. Usłyszałam, że nie ma najmniejszego problemu. Teraz byłoby w sam raz. Dojście do avenue Hoche nie trwało długo. Załedwie dziesięć minut. Po zejściu z zapchanej arterii ChampsElysees pozostałe ulice odchodzące z Place de l'Etoile okazały się zaskakująco puste.

Franek Levy wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat. Było w nim coś wzniosłego, dumnego i zmęczonego. Zaprosił mnie do swojego biura, wysokiego pomieszczenia wypełnionego książkami, dokumentami, komputerami i zdjęciami. Pozwoliłam sobie przyjrzeć się dokładniej poprzipinanym do ściany czarnobiałym odbitkom. Niemowlęta. Raczkujące maluchy. Dzieci z ponaszywanymi gwiazdami.

- Wiele z nich to dzieci z Vel' d'Hiv' - wyjaśnił, zobaczywszy, na co patrzę. - Ale są też inne. Wszystkie należą do jedenastu tysięcy dzieci deportowanych z Francji.

Usiedliśmy przy biurku. Przed spotkaniem przesłałam mu pocztą elektroniczną parę pytań.

- Chciała pani wiedzieć o obozach w Loiret?

- Owszem - odparłam. - O BeaunelaRolande i Pithiviers. O Drancy, które jest bliżej Paryża, jest dużo informacji. Za to o tych dwóch niewiele.

Franek Levy westchnął.

- Ma pani rację. Niewiele można się dowiedzieć o obozach w Loiret w porównaniu z Drancy. Zresztą będąc na miejscu, zobaczy pani, że trudno się zorientować, co dokładnie się tam działo. Mieszkańcy nieszczególnie chcą o tym pamiętać. Ani rozmawiać. Poza tym niewiele osób przetrwało.

Spojrzałam ponownie na fotografie, na szeregi drobnych bezbronnych twarzy.

- Czym były na początku te obozy? - spytałam.

- Zwykłymi obozami wojskowymi zbudowanymi w trzydziestym dziewiątym z myślą o niemieckich jeńcach. Jednak pod rządami Vichy od czterdziestego pierwszego trzymano tam Żydów. W czterdziestym drugim z Beaune i Pithiviers wyjechały pierwsze bezpośrednie pociągi do Oświęcimia.

- Dlaczego rodziny z Vel' d'Hiv' nie zostały zawiezione do Drancy pod Paryżem?

Franek Levy uśmiechnął się blado.

- Żydzi nieposiadający dzieci zostali zabrani do Drancy, bliżej Paryża. Do pozostałych obozów trzeba było jechać ponad godzinę. Znajdują się pośrodku cichych wiejskich okolic departamentu Loiret. Tam francuska policja nie musiała się martwić niepożądanymi świadkami i mogła bez przeszkód oddzielić dzieci od rodziców. Nie zrobiliby tego równie łatwo w Paryżu. Zapewne czytała pani o ich brutalności?

- Nie ma wiele materiałów na ten temat. Błady uśmiech zniknął.

- Ma pani rację. Nie ma wiele materiałów. Ale wiemy, co się stało. Mam parę książek, które może pani pożyczyć. Wydzierano dzieci matkom. Bito je, katowano, polewano zimną wodą.

Ponownie błędziłam wzrokiem po drobnych twarzach na zdjęciach. Pomyślałam o Zoe pozostawionej samej sobie, beze mnie i Bertranda. Samej, brudnej i głodnej.

Przeszedł mnie dreszcz.

- Te cztery tysiące dzieci z Vel' d'Hiv' przyprawiało francuskie władze o ból głowy.

Naziści chcieli, aby natychmiast deportowano dorosłych, a nie dzieci. Nie zgadzali się na zmiany w precyzyjnie ustalonym rozkładzie pociągów. Stąd brutalne oddzielenie dzieci od matek na początku sierpnia.

- A co się potem z nimi stało?

- Rodzice zostali deportowani z obozów w Loiret prosto do Oświęcimia. Dzieci zostawiono praktycznie same w koszmarnych warunkach sanitarnych. Decyzja z Berlina przyszła w połowie sierpnia. Dzieci również miały zostać wywiezione.

Jednak aby nie budzić podejrzeń, miały najpierw zostać wysłane do Drancy, a dopiero stamtąd do Polski, wymieszane z nieznanymi im dorosłymi. Miało to wyglądać, jakby dzieci jechały z rodzinami na wschód do jakiegoś obozu pracy dla Żydów.

Franek Levy przerwał, by spojrzeć w tę samą stronę, co ja: na przypięte do ściany fotografie.

- Gdy dzieci dojechały do Auschwitz, nie przeprowadzono wśród nich żadnej selekcji. Żadnego ustawiania się w szeregu z mężczyznami i kobietami. Żadnego sprawdzania, kto jest silny, a kto chory, kto się nadaje do pracy, a kto nie. Zostały od razu wysłane do komór gazowych.

- Przez francuski rząd, francuskimi autobusami i pociągami - dodałam.

Być może wynikało to z faktu, że byłam w ciąży, że buzowały mi hormony, czy może z tego, że się nie wyspałam, jednak nagle poczułam się zdruzgotana.

Przytłoczona patrzyłam na zdjęcia.

Franek Levy przyglądał mi się, milcząc. Po czym wstał i położył mi dłoń na ramieniu.

Dziewczynka rzuciła się na postawiony przed nią posiłek. Wpychała jedzenie do ust, mlaszcząc i siorbiąc w sposób, który przyprawiłby jej matkę o

palpitację serca. Czowała się jak w niebie. Miała wrażenie, że nigdy nie jadła równie gęstej i pysznej zupy. Tak świeżego i miękkiego chleba. Kremowego smakowitego sera brie. Soczystych aksamitnych brzoskwiń. Rachel jadła wolniej. Zerkając na towarzyszkę niedoli, dziewczynka spostrzegła, że Rachel była blada. Drżały jej ręce, a oczy błyszczały niezdrowo.

Starsi państwo kręcili się po kuchni, to dolewając im potage, to na nowo napełniając szklanki świeżą wodą. Dziewczynka słyszała ich łagodne ciche pytania, jednak nie mogła się zdobyć na odpowiedź. Dopiero później, gdy Genevieve zabrała ją i Rachel na górę, aby ńę wykapały, zaczęła mówić. Opowiedziała o wielkim budynku, do którego wszystkich zabrano i zamknięto na całe dni prawie bez wody i jedzenia, o pociągu, którym jechali przez pola, o obozie i okropnym oddzielaniu od rodziców. A w końcu o ucieczce.

Starsza pani słuchała, kiwając głową i sprawnie rozbierając szklisko Rachel.

Dziewczynka patrzyła, jak wylania się pokryte wściekłoczerwonymi bąblami kościste ciało. Starsza pani pokręciła głową, zbulwersowana.

- Co oni z tobą zrobili? - szepnęła.

Oczy Rachel ledwo drgnęły. Kobieta pomogła jej wejść do ciepłej wody z mydłem.

Umyła wychudzone ciało tak, jak kiedyś matka dziewczynki myła braciszka.

Czysta Rachel została owinięta w duży ręcznik i zaniesiona do łóżka w sąsiednim pokoju.

- Teraz twoja kolej - oznajmiła Genevieve, nalewając świeżej wody do wanny. - Jak się nazywasz, malutka? Nie miałaś okazji mi się przedstawić.

- Sirka - powiedziała dziewczynka.

- Jakie ładne imię! - Genevieve podała jej czystą gąbkę i mydło. Dziewczynka wstydziła się rozebrać, zatem zdjęła ubrania i wślizgnęła się do wody dopiero, gdy Genevieve taktownie stanęła do niej plecami. Umyła się

dokładnie, rozkoszując się gorącą wodą, po czym zwinnie wyskoczyła z wanny i owinęła w cudownie miękkim pachnący lawendą ręcznik.

Genevieve była zajęta praniem w dużej emaliowanej umywalce przesiąkniętych potem ubrań. Dziewczynka przyglądała się przez chwilę, po czym nieśmiało położyła rączkę na szerokim miękkim przedramieniu starszej pani.

- Madame, czy może mi pani pomóc dostać się z powrotem do Paryża?

Zaskoczona kobieta spojrzała na nią.

- Chcesz wrócić do Paryża, petite?

Dziewczynka zaczęła się trząść od stóp do głów. Starsza pani patrzyła na nią, zatroskana. Zostawiła pranie w umywalce i wytarła ręce w ręcznik.

- Co ci jest, Sirko? Dziewczynce drżały wargi.

- Mój braciszek, Michel. Wciąż jest w mieszkaniu. W Paryżu. Jest zamknięty w szafce, w naszej kryjówce. Jest tam od dnia, kiedy przyszli po nas policjanci.

Myślałam, że będzie tam bezpieczny. Obiecałam, że wrócę i go uwolnię.

Genevieve przyglądała się z niepokojem dziewczynce, próbowała ją uspokoić, kładąc ręce na drobnych kościstych ramionach.

- Sirko, od jak dawna twój braciszek jest w szafce?

- Nie wiem - wyszeptała tępo. - Nie pamiętam. Nie pamiętam!

Nagle znikły resztki nadziei, którą jeszcze żywiła. Odczytała w spojrzeniu starszej pani to, czego najbardziej się obawiała. Michel nie żył. Umarł w szafce. Było za późno. Za długo czekała. Nie przeżył. Nie przetrwał. Zginął sam w ciemności bez jedzenia i picia, mając przy sobie jedynie misia i książeczkę. Zaufał jej, czekał na nią, zapewne ją wołał, krzyczał w kółko jej imię. Sirko, Sirko, gdzie jesteś? Gdzie jesteś?

Nie żył. Michel nie żył. Miał cztery lata i nie żył. Przez nią. Gdyby nie zamknęła go na klucz w szafce, mógłby teraz być z nią tutaj, mogłaby go w tej chwili kąpać.

Powinna była go pilnować, powinna była przyprowadzić go tutaj w bezpieczne miejsce. To była jej wina. Wszystko było jej winą.

Załamana dziewczynka obsunęła się na ziemię. Tonęła w kolejnych przyływach rozpacz. Nigdy w swoim krótkim życiu nie czuła tak dotkliwego bólu. Poczwała, jak Genevieve ją przytula, głaszcząc jej krótko ostrzyżoną głowę i szepcze słowa pocieszenia. Całkowicie się poddała przyjaznym starym ramionom. Po czym poczuła wokół siebie słodką miękkość materaca i czystej pościeli. Zapadła w dziwny niespokojny sen.

Obudziła się z samego rana, zdezorientowana. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Po tak długim czasie spędzonym w barakach dziwnie się czuła po nocy w prawdziwym łóżku. Podeszła do okna. Okiennice były lekko uchylone. Widać było przez nie obszerny, słodko pachnący ogród. Po trawniku wędrowały kury ganiane przez skorego do zabawy psa. Na ławce z kutego żelaza tłusty rudy kot ospale oblizywał łapy. Słychać było śpiew ptaków i pianie koguta. Gdzieś nieopodal ryczała krowa. Poranek był świeży i słoneczny. Dziewczynce zdawało się, że nigdy nie widziała piękniejszego i spokojniejszego miejsca. Wojna, nienawiść i okropności zdawały się być czymś odległym. Ogród, kwiaty i drzewa oraz wszystkie te zwierzęta, żadne z nich nie mogło ulec pokusom zła, którego była świadkiem w ciągu ostatnich tygodni.

Przyjrzała się ubraniu, które miała na sobie. Nieco przydługa biała koszula nocna.

Ciekawe, do kogo należała. Być może starsza para miała dzieci lub wnuki.

Dziewczynka rozejrzała się po przestronnym pokoju. Był urządzone skromnie, lecz wygodnie. Przy drzwiach stała półka z książkami. Podeszła bliżej i zobaczyła swoje ulubione pozycje: Jules'a Verne'a, hrabinę de Segur. Na obwolucie młoda ręka napisała: Nicolas Dufaure. Ciekawe kto to.

Skrzypiącymi drewnianymi schodami zeszła w stronę nadchodzących z kuchni odgłosów rozmowy. W domu było cicho, a sfatygowany i

bezceremonialny wystrój nadawał mu swojskości. Przeszła boso po kwadratowych płytkach wykładzinowych w kolorze czerwonego wina. Zajrzała do pachnącego woskiem i lawendą zalanego słońcem dużego pokoju. Wysoki zegar wahadłowy tykał wzniosie.

Podeszła na palcach do kuchni i zajrzała przez uchylone drzwi. W środku przy długim stole siedzieli starsi państwo, pijąc z okrągłych niebieskich miseczek.

Zdawali się zatroskani.

- Martwię się o Rachel - mówiła Genevieve. - Ma wysoką temperaturę i zwraca wszystko, co zje. I w dodatku ta wysypka. Wygląda źle. Nawet bardzo źle. - Westchnęła głęboko. - Stan, w jakim znajdowały się te dzieci, Jules... Jedna miała wszy nawet na rzęsach.

Dziewczynka nieśmiało weszła do środka.

- Chciałam tylko wiedzieć... - zaczęła.

Kobieta i mężczyzna spojrzeli na nią i uśmiechnęli się.

- No proszę - przerwał jej mężczyzna. - Wygląda panna dziś jak nowo narodzona. Te policzki znów się trochę zaróżowiły.

- Miałam coś w kieszeniach... - powiedziała dziewczynka. Genevieve wstała.

Wskazała na półkę.

- Klucz i trochę pieniędzy. Są tutaj.

Dziewczynka podeszła i podniosła przedmioty troskliwą ręką.

- To klucz do szafki - wyjaśniła cichym głosem. - Szafki, w której jest Michel.

Naszej tajnej kryjówki.

Jules i Genevieve spojrzeli na siebie.

- Wiem, myślą państwo, że nie żyje - zacinała się dziewczynka. - Ale ja tam wrócę.

Muszę wiedzieć. Może znalazł się ktoś, kto mu pomógł, tak jak państwo

pomogli mnie. Może na mnie czeka. Muszę wiedzieć. Muszę to sprawdzić! Mogę użyć pieniędzy, które dostałam od policjanta.

- Ale jak chcesz się dostać do Paryża, petite? - spytał Jules.

- Pojadę pociągiem. Chyba Paryż nie jest daleko stąd? Ponowne spojrzenie po sobie.

- Sirko, mieszkamy na południe od Orleanu. Przeszłaś z Rachel bardzo długą drogę.

Ale oddaliłaś się od Paryża.

Dziewczynka się wyprostowała. Pojedzie do Paryża, pojedzie do Michela. Musi zobaczyć, co się stało, niezależnie od tego, co będzie.

- Muszę pojechać - oznajmiła stanowczo. - Na pewno są pociągi z Orleanu do Paryża. Wyjadę dzisiaj.

Genevieve podeszła do dziewczynki i złapała ją za rękę.

- Sirko, tutaj jesteś bezpieczna. Możesz przez jakiś czas zostać z nami. Dzięki temu, że to nasze gospodarstwo, mamy mleko, mięso i jajka. Nie potrzebujemy kartek na żywność. Możesz odpocząć, najeść się i podleczyć.

- Dziękuję, ale już czuję się lepiej. Muszę wrócić do Paryża. Nie muszą państwo ze mną jechać. Poradzę sobie sama. Proszę mi tylko powiedzieć, jak się dostać na stację.

Zanim starsza pani zdołała odpowiedzieć, z piętra dał się słyszeć głośny jęk. Rachel.

Pospieszyli do pokoju na górze. Rachel wiała się z bólu. Pościel była przesiąknięta czymś ciemnym; pachniała ohydnie.

- Tego właśnie się obawiałam - szepnęła Genevieve. - Czerwotka. Potrzebuje lekarza, i to szybko.

Jules pokuśtykał z powrotem na parter.

- Pojadę do wioski i zobaczę, czy docteur Thevenin jest w okolicy - zawołał przez ramię.

Wrócił po godzinie, zdyszany na swoim rowerze. Dziewczynka

przyglądała mu się z kuchennego okna.

- Nie ma staruszka - powiedział żonie. - Dom jest pusty. Nikt nic nie wiedział.

Pojechałem więc dalej w stronę Orleanu. Znalazłem młodego chłopaka i nakłoniłem do przyjścia. Był trochę zarozumiały, powiedział że najpierw musi się zająć ważniejszymi sprawami.

Genevieve przygryzła wargę.

- Mam nadzieję, że przyjdzie. Szybko.

Lekarz nie pojawił się do późnego popołudnia. Dziewczynka nie odważyła się ponownie wspomnieć o Paryżu. Wyczuwała, że Rachel jest bardzo chora. Jules i Genevieve byli nią zbyt zatroskani, by zająć się dziewczynką.

Gdy usłyszeli ogłaszające przyjazd lekarza szczekanie psa, Genevieve szybko obróciła się do dziewczynki i kazała jej bezzwłocznie schować się w piwnicy. Nie znali tego lekarza, wyjaśniła pospiesznie, zazwyczaj przyjeżdżał do nich kto inny.

Lepiej nie ryzykować.

Dziewczynka wślizgnęła się pod klapę. Siedziała w ciemności, wsłuchując się w dobiegające z góry słowa. Nie widziała twarzy lekarza, lecz od razu poczuła niechęć do piskliwego nosowego głosu. Ciągle pytał, skąd jest Rachel, gdzie ją znaleźli. Był uparty i natarczywy. Jules tłumaczył niezmiennie spokojnym głosem, że to córka sąsiada, który wyjechał na parę dni do Paryża.

Jednak dziewczynka słyszała w głosie lekarza, że nie wierzył w ani jedno słowo.

Śmiał się w nieprzyjemny sposób. Ciągle mówił o praworządności. O Marechalu Petainie i nowej wizji Francji. O tym, co Kommandantur pomyśli o tej śniadej i chudej dziewczynce.

W końcu usłyszała trzask drzwi wejściowych.

Następnie głos Jules'a. Zdawał się przerażony.

- Genevieve. Co myśmy zrobili?

- Chciałam pana o coś spytać, monsieur Levy. O coś, co nie ma związku z moim artykułem.

Spojrzał na mnie i wrócił na krzesło.

- Ależ proszę. Pochyliłam się nad stołem.

- Gdybym podała panu dokładny adres, czy mógłby mi pan pomóc dowiedzieć się czegoś więcej o pewnej rodzinie? Rodzinie, którą aresztowano w Paryżu szesnastego lipca czterdziestego drugiego?

- Jednej z rodzin z Vel' d'Hiv.

- Tak. To dla mnie ważne.

Przyjrzał się mojej zmęczonej twarzy. Zapuchniętym oczom. Czułam się, jakby we mnie czytał, widział całą zgryzotę, jaką w sobie nosiłam, widział, co wiem o mieszkaniu. Kiedy siedziałam naprzeciwko niego, widział wszystko, przez co ostatnio przeszłam.

- Przez ostatnie czterdzieści lat, panno Jarmond, szukałam informacji na temat wszystkich osób narodowości żydowskiej deportowanych z tego kraju pomiędzy tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym a tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym. Nie było to łatwe ani przyjemne zadanie. Ale konieczne. Tak, mogę pani podać nazwisko tej rodziny. Wszystko jest w tym oto komputerze. Możemy znaleźć odpowiednie dane w ciągu kilku sekund. Ale czy mogę wiedzieć, dlaczego interesuje się pani akurat tą rodziną? Czy to jedynie dziennikarska ciekawość, czy coś więcej? Poczulałam, że się rumienię.

- To osobista sprawa - oznajmiłam - i niezbyt łatwa do wyjaśnienia.

- Niech pani spróbuje.

Na początku ciężko mi było mówić o mieszkaniu na rue de Saintonge. O tym, co powiedziała Marne. O tym, co powiedział teść. W końcu nieco płynniej wyjaśniłam, że nie mogę przestać myśleć o poprzednich lokatorach. O tym, kim byli i co się z nimi stało. Słuchał mnie, co jakiś czas przytakując. Po czym powiedział:

- Czasami, panno Jarmond, nie jest łatwo przywołać przeszłość. Trafiają

się niemiłe niespodzianki. Prawda bywa cięższa do zniesienia od niewiedzy.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Jednak muszę wiedzieć. Odwzajemnił moje spojrzenie spokojnym wzrokiem.

- Podam pani to nazwisko. Tylko do pani wiadomości. Nie do czasopisma. Da mi pani słowo?

- Tak - odparłam zdziwiona powagą w jego głosie. Obrócił się w stronę komputera.

- Proszę podać adres.

Palce biegały po klawiaturze. Następnie zabrzmiał odgłos pracy komputera. Czulałam, jak mocno bije mi serce. Drukarka się obudziła, zahuczała i wypluła białą kartkę papieru. Franek Levy podał mi ją bez słowa. Przeczytałam: 26 rue de Saintonge, 75003 Pańs.

STARZYŃSCY Władysław, ur. w Warszawie, 1910. Aresztowany 16 lipca 1942.

Garage rue de Bretagne. Vel' d'Hiv'. BeaunelaRolande. Konwój nr 15, 5 sierpnia 1942.

Rywka, ur. w Okuniewie, 1912. Aresztowana 16 lipca 1942. Garage rue de Bretagne.

Vel' d'Hiv'. BeaunelaRolande. Konwój nr 15, 5 sierpnia 1942.

Sarah, ur. w Paryżu, 12. Dzielnica, 1932. Aresztowana 16 lipca 1942. Garage rue de Bretagne. Vel' d'Hiv'. BeaunelaRolande.

Drukarka ponownie zabuczała.

- Zdjęcie - wyjaśnił Franek Levy. Spojrzał na kartkę, po czym mi ją podał.

Na zdjęciu była dziesięcioletnia dziewczynka. Przeczytałam podpis. Czerwiec 1942.

Zrobione w szkole na rue des Blancs-Manteaux. Tuż obok rue de Saintonge.

Dziewczynka miała lekko skośne jasne oczy. Zapewne były niebieskie lub zielone, pomyślałam. Jasne włosy do ramion z nieco skrzywioną kokardką.

Piękny nieśmiały uśmiech. Twarz w kształcie serca. Siedziała w ławce szkolnej przed otwartą książką.

Na piersi miała gwiazdę.

Sarah Starzyński. O rok młodsza od Zoe.

Spojrzałam ponownie na listę imion. Nie musiałam pytać Francka Levy'ego, dokąd pojechał konwój numer piętnaście z BeaunelaRolande. Wiedziałam, że do Oświęcimia.

- O co chodzi z garażem na rue de Bretagne? - spytałam.

- To tam zebrano większość Żydów z trzeciej dzielnicy przed zawiezieniem ich na rue Nelaton i do Velodrome'u.

Zauważyłam, że po imieniu Sary nie ma wzmianki o konwoju. Zwróciłam na to uwagę Francka Levy'ego.

- To znaczy, że nie było jej w żadnym z pociągów, które odjechały do Polski.

Przynajmniej nic o tym nie wiemy.

- Czy mogła uciec?

- Trudno powiedzieć. Kilkoro dzieci faktycznie zbiegło z BeaunelaRolande i zostało uratowanych przez mieszkających w okolicy wieśniaków. Inne, znacznie mniejsze od Sary, zostały zesłane bez ustalenia tożsamości. W takich wypadkach były odnotowywane na przykład jako „Jeden chłopiec, Pithiviers”. Niestety, nie mogę pani powiedzieć, co się stało z Sarą Starzyński. Jedyne, co wiem, to że najwyraźniej nie dojechała do Drancy z resztą dzieci z BeaunelaRolande i Pithiviers. Nie ma jej w dokumentach Drancy. Patrzyłam na piękną niewinną twarzyczkę.

- Co się z nią mogło stać? - szepnęłam.

- Ostatnia informacja, jaką mamy, pochodzi z Beaune. Być może została ocalona przez rodzinę z okolicy, mogła się ukrywać podczas wojny pod innym nazwiskiem.

- Czy takie przypadki się często zdarzały?

- Owszem. Wiele żydowskich dzieci przetrwało dzięki pomocy i szczodrości francuskich rodzin bądź duchownych.

Spojrzałam na niego.

- Czy sądzi pan, że Sarah Starzyński została uratowana? Że przetrwała?

Przyjrzał się zdjęciu ślicznego uśmiechniętego dziecka.

- Mam nadzieję, że tak. W każdym razie wie już pani to, co chciała. Oto kto mieszkał w pani mieszkaniu.

- Tak. Tak, dziękuję. Jednak wciąż się zastanawiam, jak rodzina mojego męża mogła się zgodzić zająć mieszkanie tych, których aresztowano. Nie mogę tego zrozumieć.

- Nie powinna ich pani tak surowo oceniać - ostrzegł Franek Levy. - W Paryżu faktycznie panowała obojętność, jednak niech pani nie zapomina, że miasto było pod okupacją. Ludzie się bali o własne życie. To były inne czasy.

Gdy wychodziłam z biura Francka Levy'ego, poczułam napływające do oczu łzy. To był wyjątkowo wycieńczający dzień. Świat się zaciskał dookoła mnie, napierał ze wszystkich stron. Bertrand. Dziecko. Decyzja nie do podjęcia, od której nie mogłam uciec. Rozmowa, którą miałam wieczorem przeprowadzić z mężem.

Do tego wszystkiego dochodziła tajemnica mieszkania na rue de Saintonge.

Przeprowadzka rodziny Tezaców tak szybko po aresztowaniu Starzyńskich. Niechęć Marne i Edouarda do rozmów na ten temat.

Dlaczego? Co się stało? Co chcieli przede mną ukryć?

Idąc w stronę rue Marbeuf, czułam, że wszystko, co się dzieje, mnie przerasta.

Później tego wieczoru spotkałam się z Guillaume'em w Select. Siedliśmy blisko baru, z dala od hałaśliwego terrasse. Miał ze sobą kilka książek. Byłam zachwycona.

Właśnie tych pozycji nie mogłam w żaden sposób dostać. Szczególnie

brakowało mi tomu na temat obozów w Loiret. Podziękowałam serdecznie.

Nie zamierzałam nic mówić o dzisiejszych odkryciach, lecz słowa same wyrwały mi się z ust. Guillaume słuchał uważnie. Gdy skończyłam, powtórzył to, co usłyszał od swojej babki o plądrowaniu mieszkań bezpośrednio po aresztowaniach. Inne, zaplombowane przez policję, były otwierane dopiero po kilku miesiącach lub latach, gdy stawało się jasne, że nikt już do nich nie wróci. Wedle babki Guillaume'a policja często blisko współpracowała z dozorcami, którzy mogli łatwo znaleźć nowych lokatorów pocztą pantoflową. Zapewne tak właśnie było w przypadku moich teściów.

- Dlaczego to jest dla ciebie takie ważne, Julio? - spytał wreszcie Guillaume.

- Chcę wiedzieć, co się stało z tą dziewczynką. Przyjrzał mi się wnikliwie ciemnymi oczami.

- Rozumiem. Jednak uważaj z pytaniami, które będziesz zadawać rodzinie męża.

- Wiem, że coś ukrywają. Chcę wiedzieć co to takiego.

- Uważaj, Julio - powtórzył. Uśmiechnął się, lecz jego wzrok nadal był poważny. - Bawisz się puszką Pandory. Czasami lepiej jej nie otwierać. Czasami lepiej jest nie wiedzieć.

Franek Levy powiedział tego ranka dokładnie to samo.

Jules i Genevieve przez dziesięć minut miotali się po domu, niczym uwięzione zwierzęta, nic nie mówiąc, a jedynie załamując ręce. Zdawali się cierpieć niemiłosiernie. Próbowali położyć Rachel gdzie indziej, znieść ją po schodach, jednak była za słaba. W końcu zostawili chorą w łóżku. Jules starał się uspokoić Genevieve, jednak bez rezultatów; co chwila opadała na najbliższą kanapę lub krzesło i wybuchała płaczem.

Dziewczynka chodziła za nimi niczym zmartwiony szczeniak. Nie odpowiadali na żadne pytania. Zauważyła, że Jules co chwila zerka w stronę ulicy, raz po raz wygląda przez okno. Dziewczynka poczuła, jak strach ściska jej

serce.

O zmroku Jules i Genevieve usiedli przy kominku. Zdawało się, że odzyskali panowanie nad sobą. Wyglądali na spokojnych. Jednak dziewczynka zauważyła, jak Genevieve drżą ręce. Oboje byli bladzi i wpatrywali się w zegar.

W pewnym momencie Jules zwrócił się do dziewczynki. Przemówił cichym głosem.

Powiedział, by weszła z powrotem do piwnicy. Były tam duże worki ziemniaków.

Będzie musiała wejść do jednego z nich i schować się najlepiej, jak potrafi. Czy rozumie, jak bardzo jest to ważne? Jeżeli ktoś zejdzie do piwnicy, nie może jej zobaczyć.

Dziewczynka zastygła w bezruchu.

- Idą Niemcy! - oznajmiła.

Zanim Jules czy Genevieve zdążyli odpowiedzieć, zaszczekał pies. Wszyscy nerwowo się wzdrygnęli. Jules wskazał palcem na włącz do piwnicy. Dziewczynka natychmiast posłuchała; weszła do ciemnego zatęchłego pomieszczenia. Choć nic nie widziała w ciemności, zdołała znaleźć przy ścianie worki z ziemniakami, wymacując dłońmi szorstki materiał. Kilka dużych worków było ułożonych jeden na drugim. Nie tracąc czasu, zaczęła się wciskać pomiędzy nie. Po chwili jeden pękł i dookoła niej posypały się ziemniaki. Głuchy łoskot obsuwających się warzyw wypełnił piwnicę.

Pospiesznie zgarnęła kartofle i się nimi przykryła.

Wtedy usłyszała kroki. Głośne i rytmiczne. Znała już ten odgłos; słyszała go w Paryżu późno w nocy, po godzinie policyjnej. Wiedziała, co oznacza. Wyglądała wtedy z okna i widziała maszerujących słabo oświetloną ulicą mężczyzn w okrągłych hełmach poruszających się niczym części jednego mechanizmu.

Maszerujący mężczyźni. Maszerujący w stronę domu. Kroki tuzina ludzi. Do uszu dziewczynki dotarł głos mężczyzny. Nawet przez podłogę i ziemniaki

słyszała go wyraźnie. Mówił po niemiecku.

Przyszli Niemcy. Przyszli po nią i Rachel. Poczwała, jak rozluźniają się jej mięśnie pęcherza.

Kroki bezpośrednio nad głową. Odgłosy rozmowy, której nie mogła dosłyszeć.

Następnie głos Jules'a:

- Tak, poruczniku, jest tutaj chore dziecko.

- Chore aryjskie dziecko? - zabrzmiał obcy gardłowy głos.

- Chore dziecko, poruczniku.

- Gdzie ono jest?

- Na górze - w słowach Jules'a słycać było rezygnację. Strop nad dziewczynką zadrżał od ciężkich kroków. Cienki krzyk Rachel z górnego piętra. Odgłosy wyciągania jej z łóżka przez Niemców. Jęki kogoś zbyt słabego, by stawiać opór.

Dziewczynka zakryła uszy rękami. Nie chciała tego słuchać. Poczwała się bezpieczniejsza pod osłoną ciszy, którą sama sobie stworzyła.

Leżąc pod ziemniakami, zobaczyła, jak ciemność przecina strumień światła. Ktoś otworzył włącz do piwnicy. Ktoś schodził po schodach. Odsłoniła uszy.

- Nikogo tu nie ma - usłyszała Jules'a. - Dziewczynka była sama. Znaleźliśmy ją w budzie naszego psa.

Słycać było, jak Genevieve wyciera nos. Następnie jej załzawiony i zmęczony głos.

- Proszę, nie zabierajcie dziewczynki! Jest zbyt chora. Ironiczna, gardłowa odpowiedź:

- Proszę pani, to żydowskie dziecko. Zapewne uciekło z jednego z pobliskich obozów. Nie ma powodu, dla którego miałyby być w państwa domu.

Dziewczynka przyglądała się pomarańczowej plamie światła latarki przesuwającej się po kamiennych ścianach piwnicy, coraz bliżej niej. Po czym,

przeżona, dostrzegła ogromny cień żołnierza odcinający się od ściany niczym w kreskówce.

Szedł po nią. Zabierze ją. Starła się skulić w jak najmniejszy kłębek; wstrzymała oddech. Czują, jakby przestało jej bić serce. Nie, nie znajdują jej! To byłoby straszliwie niesprawiedliwe, zbyt okropne. Czy nie wystarczy, że dopadli już biedną Rachel?

Dokąd została zabrana? Czy była już na zewnątrz, w ciężarówce z żołnierzami?

Może zemdląca? Gdzie miała trafić - do szpitala? Czy z powrotem do obozu? Te krwiożercze potwory. Potwory! Nienawidziła ich. Chciałaby, żeby wszyscy nie żyli.

Sukinsyny. Wypowiedziała w głowie wszystkie brzydkie słowa, jakie znała, wszystkie słowa, jakich mama zakazała używać. Powtarzała je w myślach tak głośno, jak mogła, zaciskając powieki, nie chcąc widzieć pomarańczowej plamy światła sunącej w jej stronę po torbach, między którymi była schowana. Nie znajdują jej.

Nigdy. Sukinsyny. Podłe sukinsyny.

Znowu głos Jules'a.

- Nikogo tam nie ma, poruczniku. Dziewczynka była sama. Ledwo mogła ustać na nogach. Musieliśmy się nią zająć.

W uszach dziewczynki rozbrzmiały słowa porucznika:

- Tylko sprawdzamy. Obejrzymy pańską piwnicę, po czym pójdzie pan z nami do Kommandantur.

Dziewczynka starała się nie ruszać i nie oddychać, podczas gdy światło latarki błędziło nad jej głową.

- Pójść z panem? - Jules zdawał się przerażony. - Ale dlaczego?

Śmiech.

- Trzyma pan Żydówkę w domu i pyta się dlaczego?

Tym razem głos Genevieve, zaskakująco spokojny. Wydawało się, że

przestała płakać.

- Widział pan, że nic nie ukrywaliśmy, poruczniku. Pomagaliśmy dziewczynce wrócić do zdrowia. I tyle. Nie wiemy nawet, jak się nazywa. Nie była w stanie nic powiedzieć.

- Tak - podjął wątek Jules - wezwaliśmy nawet lekarza. Absolutnie nic nie ukrywaliśmy.

Chwila ciszy. Dziewczynka usłyszała kasznięcie porucznika.

- Faktycznie, tyle nam powiedział Guillemin. Nie ukrywaliście jej. Tak powiedział dobry Herr Doktor.

Dziewczynka czuła, jak ktoś porusza ziemniaki, pod którymi się schowała. Trwała w całkowitym bezruchu; wstrzymała oddech. Łaskotało ją w nosie i bardzo chciała kichnąć.

Ponownie głos Genevieve: spokojny i pogodny, a równocześnie zdecydowany. Ton, którego dziewczynka dotąd nie słyszała.

- Czy chcieliby panowie napić się wina? Odgłos przesuwanych ziemniaków ustał.

Na górze porucznik krzyknął ochoczo:

- Wina? Jawohl.'

- Może do tego odrobinę pate? - kontynuowała Genevieve tym samym pogodnym tonem.

Kroki oddaliły się po schodach, a kłapa opadła z trzaskiem. Dziewczynka niemal nie zemdląca z ulgi. Objęła się ramionami. Po twarzy spływały jej łzy. Jak długo siedzieli przy brzęku kieliszków, szuraniu stóp, głośnym śmiechu? Zdawało się to ciągnąć bez końca. Głos porucznika wydawał się coraz radośniejszy. Usłyszała nawet donośne beknięcia. Do piwnicy nie docierały za to głosy Jules'a czy Genevieve. Czy wciąż są na górze? Co się tam dzieje? Pragnęła wiedzieć. Zdawała sobie jednak sprawę, że musi siedzieć, gdzie jest, dopóki nie przyjdzie po nią Jules lub Genevieve.

Zesztywniała, ale nie ważyła się ruszyć.

W końcu w domu zapanowała cisza. Pies zaszczekał raz, po czym umilkł.

Dziewczynka nasłuchiwała. Czy Niemcy zabrali ze sobą Jules'a i Genevieve? Czy była sama w domu? Po czym dotarło do niej stłumione łkanie. Kłapa uniosła się ze zgrzytem i usłyszała dochodzący z góry głos Jules'a.

- Sirko! Sirko!

Miała czerwone od kurzu oczy i mokre, brudne policzki, a gdy weszła na obolałych nogach na górę, zobaczyła załamana Genevieve z twarzą ukrytą w dłoniach. Jules starał się pocieszyć żonę. Dziewczynka przyglądała się bezradnie. Starsza pani podniosła wzrok. Dziewczynka nagle przestraszyła się jej postarzałej i zapadniętej twarzy.

- To dziecko - szepnęła Genevieve - zostało zabrane na śmierć. Nie wiem gdzie ani jak, ale wiem, że zginie. Nie chcieli słuchać. Próbowaliśmy ich upić, ale się nie dali.

Pozwolili nam zostać, lecz zabrali Rachel.

Po pomarszczonych policzkach spływały łzy. Zrozpaczona pokręciła głową, po czym złapała Jules'a za rękę i przycisnęła ją do siebie.

- Mój Boże, co się z tym krajem dzieje?

Genevieve skinieniem przywołała dziewczynkę, pomarszczoną dłonią uchwyciła drobną rączkę. Uratowali mnie, powtarzała w myślach dziewczynka. Uratowali mnie. Uratowali moje życie. Może ktoś taki uratował Michela, uratował papę i mamę. Może jest jeszcze nadzieja.

- Moja mała Sirka! - westchnęła Genevieve, ściskając jej palce. - Byłaś taka dzielna tam na dole.

Na twarzy dziewczynki pojawił się piękny odważny uśmiech, który przeniknął prosto do serc starszych państwa.

- Proszę - powiedziała - nie mówcie już do mnie Sirka. Tak mnie nazywano, gdy byłam małym dzieckiem.

- Jak zatem powinniśmy się do ciebie zwracać? - zapytał Jules.

Dziewczynka wyprostowała ramiona i podniosła głowę.

- Nazywam się Sarah Starzyński.

Byłam w drodze do domu po sprawdzeniu z Antoine'em, jak się posuwa remont.

Zatrzymałam się przy rue de Bretagne. Garaż wciąż tam był. Była również tabliczka przypominająca przechodniom, że żydowskie rodziny z trzeciej dzielnicy zostały zebrane w tym miejscu rano szesnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego, zanim przewieziono je do Vel' d'Hiv', skąd zostały zesłane do obozów śmierci. To tutaj rozpoczęła się odyseja Sary, pomyślałam. A gdzie się skończyła?

Stojąc przed tabliczką, nie zwracając uwagi na ruch uliczny, niemal widziałam Sarę idącą o świcie tego gorącego lipcowego dnia rue de Saintonge z matką, ojcem i policjantami. Tak, miałam to wszystko przed oczami, widziałam, jak zostają zmuszeni do wejścia do garażu, właśnie tutaj. Widziałam słodką twarzyczkę w kształcie serca oraz widoczne na niej niezrozumienie i strach. Spięte kokardką złote loki, trochę skośne turkusowe oczy. Sarah Starzyński. Czy jeszcze żyje? Miałaby dziś siedemdziesiąt lat. Nie, nie mogła już żyć. Znikła z powierzchni ziemi wraz z resztą dzieci z Vel' d'Hiv'. Nigdy nie wróciła z Auschwitz. Była jedynie garstką pyłu.

Wróciłam do samochodu. Nigdy nie nauczyłam się jeździć z ręczną skrzynią biegów, czym wpasowywałam się we francuski stereotyp Amerykanki. Miałam niewielkie japońskie auto z automatyczną zmianą biegów. Bertrand się z niego naśmiewał.

Nigdy nie jeździłam po Paryżu samochodem. System autobusów i metra sprawdzał się doskonale. Nie odczuwałam potrzeby siadania za kierownicą, by poruszać się po mieście. To też stanowiło temat żartów Bertranda.

Tego popołudnia mieliśmy z Bamberem odwiedzić Beaune-laRolande oddalone o godzinę drogi od Paryża. Rano pojechałam z Guillaume'em do Drancy, tuż obok Paryża. Było wciśnięte pomiędzy szare zapuszczone przedmieścia: Bobigny i Pantin.

Podczas wojny z położonego w centrum francuskiej sieci kolejowej Drancy odjechało do Polski ponad sześćdziesiąt pociągów. Gdy przechodziliśmy obok dużej nowoczesnej rzeźby upamiętniającej wydarzenia, które miały tam miejsce, nie przyszło mi do głowy, że obóz jest teraz zamieszkały. A jednak: kobiety spacerowały z wózkami i psami, dzieci biegały i krzyczały, zasłony powiewały na wietrze, na parapetach stały kwiaty. Byłam zdumiona. Jak można było żyć w tych ścianach?

Spytałam Guillaume'a, czy o tym wiedział. Przytaknął. Po wyrazie twarzy widać było, że jest poruszony. Cała jego rodzina została stąd zesłana na śmierć. Nie było mu łatwo tutaj przyjść. Jednak chciał mi towarzyszyć, wręcz nalegał.

Kurator Muzeum Drancy, mężczyzna w średnim wieku imieniem Menetzky, sprawiał wrażenie zmęczonego. Czekał na nas przed małym budynkiem, który otwierał jedynie po wcześniejszym zgłoszeniu telefonicznym. Obeszliśmy niewielki pokój, oglądając fotografie, artykuły i mapy. Pod jedną ze ścian stała gablota z kilkoma żółtymi gwiazdami. Po raz pierwszy zobaczyłam prawdziwą żydowską gwiazdę.

Byłam pod wrażeniem. Czułam się też zgorzonna.

Obóz niewiele się zmienił w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat. Wielka betonowa budowla w kształcie litery U, wzniesiona w późnych latach trzydziestych jako innowacyjny projekt mieszkalny, a zarekwirowana w czterdziestym pierwszym przez rząd Vichy w celu deportowania Żydów, od czterdziestego siódmego służyła jako dom dla czterystu rodzin. Mieszkania były małe, ale za to miały najniższe czynsze w okolicy.

Spytałam smętnego pana Menetzkiego, czy mieszkańcy Cite de la Muette - jak nazywało się osiedle, co dziwnym trafem oznaczało „Miasto Niemych” - wiedzieli coś o historii swoich domów. Pokręcił głową. Mieszkańcy byli w większości młodzi.

Nie wiedzieli o niczym i niczym się nie interesowali. Następnie spytałam, czy muzeum jest często odwiedzane. Stwierdził, że szkoły przysyłają tu

wycieczki, a czasami przychodzą turyści. Przejrzeliśmy księgę gości. „Pamięci Paulette, mojej matki. Kocham cię i nigdy o tobie nie zapomnę. Będę tu przychodzić co roku ku twojej pamięci. To stąd wyjechałaś do Auschwitz w 1944 i nigdy nie wróciłaś. Twoja córka, Danielle”. Poczułam napływające mi do oczu łzy.

Wyszliśmy na dwór, by obejrzeć stojący na środku trawnika przed muzeum pojedynczy wagon bydłocy. Był zamknięty, lecz kurator miał klucz. Guillaume pomógł mi wejść do środka i oboje stanęliśmy w niewielkiej pustej przestrzeni.

Próbowałam ją sobie wyobrazić wypełnioną tłumem ściśniętych obok siebie ludzi, małymi dziećmi, dziadkami, rodzicami w wieku średnim i nastolatkami, w drodze ku śmierci. Guillaume zbladł. Powiedział później, że nigdy nie był wewnątrz wagonu.

Nigdy się nie odważył. Spytałam, czy dobrze się czuje. Przytaknął, lecz widziałam, jak bardzo był wstrząśnięty.

Gdy wracałam do samochodu z pękiem broszur i książek pod pachą, nie mogłam się powstrzymać od myśli o tym, jak nieludzkie było Drancy podczas lat wojennego terroru. O niekończącym się szeregu pociągów wiozących Żydów prosto do Polski.

Wciąż powracały mi do głowy poruszające opisy przyjazdu do Drancy pod koniec lata czterdziestego drugiego czterech tysięcy pozbawionych rodziców dzieci z Vel' d'Hiv', brudnych, chorych i umierających z głodu. Czy Sarah była jednym z nich?

Czy pojechała z Drancy do Oświęcimia, przerażona i samotna w bydłocym wagonie pełnym obcych ludzi?

Bamber czekał przed budynkiem, w którym znajdowało się nasze biuro. Położył sprzęt fotograficzny na tylnym siedzeniu, po czym wcisnął swoje wysokie ciało w fotel pasażera. Spojrzał na mnie. Widziałam, że jest przejęty. Położył łagodnie rękę na moim ramieniu.

- Hm, Julio, dobrze się czujesz?

Najwyraźniej okulary przeciwsłoneczne nie pomogły. Miałam wypisaną na twarzy ciężką noc. Rozmowa z Bertrandem po szare godziny świtu. Im więcej mówił, tym bardziej był zdecydowany. Nie, nie chciał tego dziecka. Dla niego na razie nie było nawet dzieckiem. Nie było niczym. Nie była to istota ludzka, lecz jedynie drobny załączek, którego nie chciał, z którym nie mógł się pogodzić. To było dla niego za wiele. Ku mojemu zdumieniu Bertrandowi załamał się głos, a jego twarz zdawała się postarzała i zniszczona. Gdzie się podział mój mąż, niefrasobliwy, pewny siebie, nieprzywiązujący do niczego wagi? Nie wierzyłam własnym oczom. A jeżeli zdecydujesz się je urodzić mimo mojego wyraźnego sprzeciwu - powiedział ochryple - to będzie koniec. Koniec czego? Patrzyłam na męża, przerażona. Koniec z nami - oznajmił okropnym drżącym głosem, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Koniec małżeństwa. Milczeliśmy, mierząc się wzrokiem przez blat kuchennego stołu.

Spytałam, dlaczego aż tak przerażały go narodziny dziecka. Odwrócił głowę, westchnął i przetarł oczy. Starzeję się - oznajmił. Zbliżał się do pięćdziesiątki. To było okropne już samo w sobie. Starzenie się. Nacisk w pracy, by dotrzymać tempa młodszym wilkom. Ściganie się z nimi dzień po dniu. Zwrócenie uwagi na postępujący powoli, ale nieodwracalnie zanik urody. Twarz w lustrze, z którą tak trudno było się pogodzić. Nigdy nie słyszałam, by Bertrand tak mówił. Nigdy nie przypuszczałabym, że starzenie się może być dla niego takim problemem.

- Nie chcę mieć siedemdziesięciu lat, kiedy to dziecko będzie miało dwadzieścia - mamrotał w kółko. - Nie mogę. Nie będę. Julio, musisz to zrozumieć. Jeżeli urodzisz to dziecko, zabijesz mnie. Rozumiesz? Zabijesz.

Zaczerpnęłam powietrza. Co mogłam powiedzieć Bamberowi? Jak mogłabym w ogóle zacząć mówić. Co on mógł zrozumieć? Był taki młody, tak bardzo się ode mnie różnił. Jednak doceniałam troskę i sympatię kolegi z pracy. Wyprostowałam ramiona.

- Dobrze, nie będę tego przed tobą ukrywać - oznajmiłam, patrząc na niego i ściskając z całej siły kierownicę. - Miałam okropną noc.

- Mąż? - spytał ostrożnie.

- Owszem, mąż - przytaknęłam. Zwrócił się w moją stronę.

- Jeżeli chcesz o tym porozmawiać, Julio, jestem tutaj - powiedział tym samym poważnym i zdecydowanym tonem, którym Churchill niegdyś ogłaszał: „Nigdy się nie poddamy”.

Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu.

- Dzięki, Bamber. Jesteś wielki. Uśmiechnął się szeroko.

- Hm, a jak było w Drancy? Jęknęłam.

- O Boże, strasznie. To najbardziej przygnębiające miejsce, jakie możesz sobie wyobrazić. W tym budynku mieszkają ludzie, rozumiesz? Poszłam tam ze znajomym, którego rodzina została wysłana z Drancy do Polski. Robienie tam zdjęć nie będzie zbyt przyjemne. Jest dziesięć razy gorzej niż na rue Nelaton.

Wyjechałam z Paryża autostradą A6. Na szczęście o tej porze dnia nie było dużego ruchu. Jechaliśmy w milczeniu. Zdałam sobie sprawę, że będę musiała w końcu z kimś porozmawiać o swoich problemach. O dziecku. Nie mogłam ciągle wszystkiego zamykać w sobie. Charla. Za wcześnie, by do niej dzwonić.

W Nowym Jorku była zaledwie szósta rano, choć dzień pracy znanej nieugiętej prawniczki już się zaczynał. Miała dwójkę małych dzieci, uderzająco podobnych do byłego męża, Bena. Teraz był czarujący nowy małżonek, Barry. Jeszcze go zbyt dobrze nie znałam, wiedziałam tylko, że zajmuje się komputerami.

Pragnęłam usłyszeć głos Charli, jej miękkie ciepłe „Hej!” w słuchawce, gdy dowiadywała się, że to ja dzwonię. Charla nigdy nie mogła się dogadać z Bertrandem. Z trudem się znosili. Tak było od początku. Wiedziałam, co o niej myśli.

„Piękna, błyskotliwa, arogancka amerykańska feministka”. Oraz ona o

nim.

„Szowinistyczny, cholernie przystojny, zadufany żabojad”. Tęskniłam za Charłą. Za jej charakterem, śmiechem, szczerością. Kiedy dawno, dawno temu wyjeżdżałam z Bostonu do Paryża, była jeszcze nastolatką. Niezbyt mi jej na początku brakowało.

To tylko młodsza siostra. Dopiero teraz cholernie chciałam, żeby była przy mnie.

- Hm - dotarł do mnie miękki głos Bambera - czy to nie był ten zjazd?

Rzeczywiście.

- Cholera!

- Spokojnie - powiedział Bamber, otwierając mapę. - Następny też nam pasuje.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Jestem trochę zmęczona. Uśmiechnął się ze współczuciem. I nic nie powiedział. To w nim lubiłam.

Zbliżaliśmy się do BeaunelaRolande, małego szarego miasta zagubionego między polami pszenicy. Zaparkowaliśmy w centrum, przy kościele i ratuszu. Obeszliśmy miścinę. Bamber co jakiś czas robił zdjęcie. Zwróciłam uwagę, że nie było zbyt wielu ludzi. Miejscowość wydawała się ponura i opuszczona.

Wyczytałam, że obóz mieścił się w północnowschodniej części miściny, a na jego miejscu zbudowano w latach sześćdziesiątych technikum. Znajdował się kilka kilometrów od stacji, dokładnie po drugiej stronie miasta, co oznaczało, że skazane na deportację rodziny musiały przejść przez środek miejscowości.

- Na pewno są tu ludzie, którzy to pamiętają - powiedziałam Bamberowi.

- Ludzie, którzy ze swoich okien lub drzwi widzieli niekończący się sznur skazańców.

Stacja kolejowa już nie funkcjonowała. Została wyremontowana i zamieniona w przedszkole. Było w tym coś ironicznego, pomyślałam, patrząc przez okna na kolorowe rysunki i pluszowe zwierzaki. Na ogrodzonej przestrzeni po prawej stronie budynku bawiła się grupka małych dzieci.

Kobieta w wieku około trzydziestu lat wyszła z maluchem na rękach i spytała, czy może w czymś pomóc. Odpowiedziałam, że jestem dziennikarką zbierającą informacje na temat obozu dla internowanych, który znajdował się tutaj w latach czterdziestych. Powiedziała, że nigdy nie słyszała, żeby był tutaj jakiś obóz.

Wskazałam na umieszczoną nad wejściem do przedszkola tabliczkę.

Ku pamięci tysięcy żydowskich dzieci, kobiet i mężczyzn, którzy w okresie od maja 1941 do sierpnia 1942 przeszli przez tę stację i obóz dla internowanych w Beaune-Rolande, zanim zostali deportowani do obozu zagłady w Auschwitz, gdzie zostali zamordowani. Nigdy nie zapomnijcie.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przepraszająco. Nie wiedziała. Zresztą była za młoda. To się stało na długo przed jej narodzinami. Spytałam, czy ludzie odwiedzali stację, by obejrzeć tabliczkę. Stwierdziła, że nikogo takiego nie widziała, odkąd zaczęła w zeszłym roku pracować w przedszkolu.

Bamber ciągle pstrykał, a ja postanowiłam obejść przysadzisty biały budynek. Po obu stronach czarnymi literami wryta była nazwa miasta. Zajrzałam przez ogrodzenie.

Stare szyny były zarośnięte chwastami i trawą, lecz starodawne drewniane podkłady i zardzewiała stal wciąż znajdowały się na miejscu. Po tych opuszczonych szynach odjechał sznur pociągów prosto do Oświęcimia. Poczułam, jak robi mi się ciężko na sercu. Nagle trudno mi było oddychać.

Piątego sierpnia 1942 konwój numer 15 zawiózł rodziców Sary Starzyńskiej prosto na śmierć.

Sarah źle spała tej nocy. Ciągle słyszała przenikliwy krzyk Rachel. Gdzie teraz była?

Czy nic się jej nie stało? Czy ktoś się nią opiekował, pomagał dojść do zdrowia?

Dokąd zabrano te wszystkie żydowskie rodziny? A matkę? A ojca? A dzieci z obozu w Beaune?

Dziewczynka leżała na plecach i wsłuchiwała się w ciszę starego domu. Tak wiele pytań. I żadnych odpowiedzi. Dawniej ojciec odpowiadał na jej pytania. Dlaczego niebo jest niebieskie, z czego się składają chmury, skąd się biorą dzieci. Dlaczego morze faluje, dlaczego kwiaty rosną i dlaczego ludzie się zakochują. Zawsze cierpliwie i spokojnie odpowiadał prostymi, jasnymi słowami i gestami. Nigdy nie mówił, że jest zbyt zajęty. Uwielbiał jej nieustające pytania. Mówił, że jest bardzo bystrą dziewczynką.

Jednak pod koniec nie odpowiadał na pytania tak jak dawniej. Pytania o żółtą gwiazdę, o zakaz chodzenia do kina i na basen. O godzinę policyjną. O tego pana w Niemczech, który nienawidził Żydów i którego samo nazwisko przyprawiało ją o dreszcze. Nie, na te pytania nie udzielał pełnych odpowiedzi. Zbywał dziewczynkę lub po prostu milczał. Tuż przed tym, jak przyszli po nich tamci panowie w ów czarny czwartek, spytała po raz kolejny, drugi albo trzeci, co właściwie sprawia, że ludzie ich nienawidzą dlatego, że są Żydami. Przecież nie mogli się bać Żydów dlatego, że byli inni. Odwrócił wtedy wzrok, jakby nie usłyszał. Jednak wiedziała, że pytanie do niego dotarło.

Nie chciała myśleć o ojcu. Było to zbyt bolesne. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatnio go widziała. W obozie... Ale kiedy dokładnie? Nie pamiętała. Matkę zobaczyła po raz ostatni, gdy szła z innymi łkającymi kobietami długą zakurzoną drogą w stronę stacji i zwróciła się w jej stronę. Tę scenę miała wyraźnie wyrytą w pamięci niczym fotografię. Błada twarz matki, wyraźny niebieski kolor oczu. Cień uśmiechu.

W przypadku ojca nie było żadnego ostatniego momentu. Żadnej sceny, którą mogłaby przywoływać i wspominać. Próbowала sobie przypomnieć, jak wyglądał: zobaczyła przed oczami chudą ciemną twarz, udręczone oczy. Śniadą skórę, biel zębów. Dziewczynka często słyszała, że przypomina matkę, tak jak Michel. Oboje mieli jej jasną słowiańską cerę, wysokie i szerokie kości policzkowe oraz lekko skośne oczy. Pamiętała, jak ojciec narzekał, że żadne z jego dzieci nie jest do niego podobne. ‘Odepchnęła myśl o uśmiechu ojca. Była

zbyt bolesna. Wzbudzała uczucia, z którymi nie potrafiła sobie poradzić.

Musiała się jutro dostać do Paryża. Do domu. Musiała się dowiedzieć, co się stało z Michele. Być może był bezpieczny tak jak ona. Może jacyś dobrzy i ofiarni ludzie zdołali otworzyć drzwiczki kryjówki i uwolnić braciszka. Jednak kto mógłby to zrobić? Kto mógł mu pomóc? Nigdy nie ufała dozorczyńni, madame Royer. Przebiegłe spojrzenie i sztuczny uśmiech. Nie, nie ona. Być może ten miły nauczyciel gry na skrzypcach, który wołał w ów ponury czwartkowy poranek: „Dokąd ich zabieracie?

To dobrzy ludzie; nie możecie tego zrobić!”. Tak, być może to on zdołał uratować Michela, może Michel jest bezpieczny w mieszkaniu sąsiada, który gra mu polskie melodie. Śmiech Michela, różowe policzki, klaskanie drobnymi dłońmi, tańczenie w koło. Być może Michel na nią czeka, być może pytał nauczyciela tego ranka: „Kiedy przyjedzie Sirka, czy przyjedzie dzisiaj? Obiecała, że po mnie wróci, obiecała!”.

Gdy o świcie obudziło ją pianie koguta, zorientowała się, że cała poduszka jest mokra od łez. Szybko się ubrała, wskakując w naszykowane przez Genevieve czyste, trwałe staromodne chłopięce ubranie. Ciekawe, do kogo należało. Do tajemniczego Nicolasa Dufaure, który skrupulatnie podpisał wszystkie książki? Włożyła klucz i pieniądze do kieszeni.

Zeszła na dół. Duża chłodna kuchnia była pusta. Jeszcze wcześniej. Kot spał zwinięty na krześle. Dziewczynka odgryzła kawałek miękkiego chleba i napiła się mleka. Co chwila sprawdzała, czy ma w kieszeni zwitek banknotów i klucz, upewniała się, że nigdzie się nie zapodziały.

Poranek był szary i gorący. Wiedziała, że wieczorem nadejdą gwałtowne burze.

Straszne głośnie burze, które tak przerażały Michela. Zastanawiała się, jak dotrzeć na stację. Czy Orlean był daleko? Nie miała pojęcia. Jak sobie poradzi? Jak znajdzie drogę? Doszłam dotąd, powtarzała w kółko, doszłam dotąd, więc nie mogę się teraz poddać. Znajdę sposób, znajdę jakiś sposób. Jednak nie

mogła wyjść, nie pożegnawszy się z Jules'em i Genevieve. Zatem czekała, rzucając kurom i kurczętom okruchy z ganku.

Genevieve zeszła jakieś pół godziny później. Na twarzy wciąż widoczne były ślady wczorajszego załamania. Po kilku minutach pojawił się Jules i czule pocałował krótkie włoski Sary. Dziewczynka patrzyła, jak powolnymi starannymi ruchami przygotowują śniadanie. Polubiłam ich, pomyślała, nawet więcej niż polubiłam. Jak zatem miała im powiedzieć, że dzisiaj wyjeżdża? Będą załamani, była tego pewna.

Jednak nie miała wyboru. Musiała wrócić do Paryża.

Powiedziała im, gdy uprząkali po skończonym śniadaniu.

- Ależ nie możesz tego zrobić - zachłysnęła się starsza pani, nieomal upuszczając filiżankę, którą wycierała. - Na drogach są patrole, pociągi są kontrolowane. Nie masz nawet dokumentów. Zostaniesz zatrzymana i wysłana z powrotem do obozu.

- Mam pieniądze - zauważyła Sarah.

- Ale to nie powstrzyma Niemców przed...

Jules przerwał żonie, podnosząc rękę. Próbował przekonać Sarę, by została trochę dłużej. Mówił spokojnie i stanowczo, tak jak niegdyś ojciec. Słuchała, kiwając w zamyśleniu głową. Jak to wytłumaczyć? Jak ich przekonać, że musi wrócić do domu?

Czy mogła być równie spokojna i stanowcza jak Jules?

Słowa popłynęły z jej ust w nieładzie. Miała dość udawania, że jest dorosła. Tupnęła rozzłoszczona.

- Jeżeli spróbujecie mnie zatrzymać... - powiedziała ze złością w głosie - jeśli mnie zatrzymacie, ucieknę.

Wstała i ruszyła w stronę drzwi. Starsi państwo nie drgnęli, patrzyli na dziewczynkę oniemiała.

- Poczekaj! - wykrztusił w końcu Jules. - Poczekaj chwilę.

- Nie, nie będę czekać. Idę na stację - oznajmiła Sarah z ręką na kłamce.

- Nie wiesz nawet, jak do niej dojść - zwrócił uwagę Jules.

- Dowiem się. Znajdę. Odsunęła zasuwę.

- Do widzenia - pożegnała Jules'a i Genevieve. - Do widzenia i dziękuję.

Obróciła się i poszła w stronę bramy. To było proste. To było łatwe. Jednak gdy przechodziła przez furtkę, pochylając się, by pogłaskać psa, zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Była teraz sama. Całkowicie sama. Przypomniała sobie piskliwy krzyk Rachel. Głośne kroki maszerujących żołnierzy. Przyprawiający o dreszcze śmiech porucznika. Nagle zabrakło jej odwagi. Wbrew własnej woli obróciła głowę, by spojrzeć raz jeszcze w stronę domu.

Jules i Genevieve patrzyli na nią przez okno. Oboje otrząsnęli się z bezruchu w tym samym momencie. Jules złapał czapkę, a Genevieve torebkę. Pospieszyli na dwór i zamknęli drzwi na klucz. Gdy dobiegli do dziewczynki, Jules położył jej rękę na ramieniu.

- Proszę, nie zatrzymujcie mnie - wymamrotała Sarah, rumieniąc się. Równocześnie się cieszyła i złościła, że za nią poszli.

- Zatrzymać cię? - uśmiechnął się Jules. - Nie zatrzymujemy cię, głuptasku. Idziemy z tobą.

Szliśmy przez suche, nagrzane słońcem powietrze w stronę cmentarza. Nagle zrobiło mi się niedobrze. Musiałam się zatrzymać i przez chwilę głęboko pooddychać.

Bamber się przejął, pytał, czy nic mi nie jest. Powiedziałam, by się nie martwił, że to z braku snu. Nadal wydawał się powątpiewać, jednak nic nie powiedział.

Cmentarz był niewielki, lecz znalezienie czegokolwiek, co by nas interesowało, zajęło dłuższą chwilę. Już prawie się poddaliśmy, gdy Bamber na jednym z grobów dostrzegł ułożone zgodnie z żydowskim zwyczajem kamyki. Podeszliśmy bliżej. Na płaskim białym kamieniu było napisane:

Ten pomnik wzniesli deportowani żydowscy weterani dziesięć lat po ich

uwięzieniu, w celu upamiętnienia męczeńskiej śmierci ofiar hitlerowskiego barbarzyństwa. Maj 1941 - maj 1951.

- Hitlerowskie barbarzyństwo! - powiedział Bamber. - Brzmi, jakby Francuzi nie mieli z całą sprawą nic wspólnego.

Na bocznych ścianach nagrobka widniało parę nazwisk i dat. Pochyliłam się, by dokładniej im się przyjrzeć. Dzieci. W wieku zaledwie dwóch czy trzech lat. Dzieci, które zginęły w obozie w lipcu i sierpniu 1942. Dzieci z Vel' d'Hiv'.

Zawsze próbowałam sobie uświadomić, że wszystko, co czytam o aresztowaniach, jest opisem prawdziwych zdarzeń. Jednak dopiero tego gorącego wiosennego dnia, kiedy przyglądałam się grobowi, dotarło to do mnie. Pojęłam w pełni rzeczywistość tych wydarzeń.

Zrozumiałam, że nie spocznę, dopóki nie wyjaśnię, co dokładnie się stało z Sarą Starzyński i co Tezacowie tak bardzo chcieli przede mną ukryć.

W drodze powrotnej do centrum miasta zobaczyliśmy idącego powoli starego mężczyznę z koszem warzyw w ręku. Wyglądał na ponad osiemdziesiąt lat. Miał czerwoną twarz i białe włosy. Spytałam go, czy wie, gdzie się znajdował dawny obóz dla Żydów. Przyjrzał się nam podejrzliwie.

- Obóz? Chcecie wiedzieć, gdzie był obóz? Przytaknęliśmy.

- Nikt nie pyta o obóz - wymamrotał. Zaczął skubać pory w koszyku, unikając naszych spojrzeń.

- Wie pan, gdzie był? - nalegałam. Zakasłał.

- Oczywiście, że wiem. Całe życie tu mieszkam. Kiedy byłem dzieckiem, nie wiedziałem, co to takiego. Nikt o tym nie mówił. Zachowywaliśmy się, jakby go tam nie było. Wiedzieliśmy, że ma to coś wspólnego z Żydami, ale nie zadawaliśmy żadnych pytań. Zbyttno się baliśmy. Zajmowaliśmy się więc własnymi sprawami.

- Pamięta pan coś konkretnego? - spytałam.

- Miałem około piętnastu lat. Pamiętam lato czterdziestego drugiego, tłumy Żydów idące ze stacji, przechodzące przez tę właśnie ulicę. O, tutaj. -

Wskazał wykrzywionym palcem na szeroką ulicę, na której staliśmy. - Avenue de la Gare.

Tłumy Żydów. A któregoś dnia rozległ się hałas. Straszliwy tumult. Mimo że moi rodzice mieli dom z dala od obozu, i tak go słyszeliśmy. Ryk, który roznosił się po całym mieście. Trwał aż do wieczora. Słyszałem, jak rodzice rozmawiają z sąsiadami.

Mówili, że tam w obozie oddzielono matki od dzieci. Po co? Nie wiedzieliśmy. Widziałem grupę żydowskich kobiet idących z powrotem na stację kolejową. Nie, one nie szły. Zapłakane zataczały się po drodze popychane przez policjantów.

Zamyślony, spuścił wzrok. Po czym podniósł ze stkiem koszyk.

- Któregoś dnia - powiedział - obóz opustoszał. Pomyślałem: „Żydzi sobie poszli”.

Nie chciałem wiedzieć dokąd. Przestałem o tym myśleć. Wszyscy przestaliśmy. Nie chcemy pamiętać. Dziś można spotkać ludzi, którzy tu mieszkają, a nawet nie wiedzą, że coś takiego miało miejsce.

Odwrócił się i odszedł. Pospiesznie zapisałam wszystko, co mówił, czując, że znowu robi mi się niedobrze. Jednak tym razem nie miałam pewności, czy była to wina porannych mdłości, czy tego, co wyczytałam w oczach starszego mężczyzny: obojętności i pogardy.

Opuściliśmy place du Marche, pojechaliśmy rue Roland i zaparkowaliśmy przed szkołą. Bamber zwrócił uwagę, że ulica nazywa się „rue des Deportés”, ulica deportowanych. Pocieszyło mnie to. Chyba nie zniosłabym widoku tabliczki z nazwą

„avenue de la République”.

Technikum znajdowało się w ponurym nowoczesnym budynku, nad którym górowała stara wieża ciśnień. Trudno było sobie wyobrazić, że pod grubym cementem i miejscami parkingowymi znajdował się tutaj kiedyś obóz. Przed wejściem uczniowie palili papierosy. Mieli przerwę na obiad. Na

zaniedbanym skrawku zieleni przed szkołą dostrzegliśmy dziwne obłe rzeźby, w których wyrte były postacie. Na jednej z nich było napisane: Muszą działać ze sobą i dla siebie w duchu braterstwa. Nic więcej. Wymieniliśmy z Bamberem spojrzenia, próbując się domyślić, o co chodzi.

Spytałam jednego z uczniów, czy rzeźba ma coś wspólnego z obozem. Odpowiedział pytaniem:

- Jakim obozem?

Jego koleżanka zachichotała. Wyjaśniłam, o jaki obóz chodzi. Nieco spoważniał. Po czym uczennica powiedziała, że kawałek dalej w stronę centrum jest tabliczka. Nie zauważyliśmy jej, gdy tu jechaliśmy. Spytałam dziewczynę, czy był to pomnik ku czyjejś pamięci. Miała wrażenie, że tak.

Pokryty wyblakłymi złotymi napisami pomnik z czarnego marmuru postawił w sześćdziesiątym piątym burmistrz Beaune-laRolande. Na szczycie wyrta była złota gwiazda Dawida. A pod nią nazwiska. Niekończąca się lista nazwisk. Znalazłam dwa, które wyglądały boleśnie znajomo: „Starzyński, Władysław. Starzyński, Rywka”.

Przed marmurowym słupem zauważyłam niewielką kwadratową urnę. Tutaj znajdują się prochy naszych męczenników z Auschwitz-Birkenau. Nieco wyżej, pod listą nazwisk, odczytałam kolejne zdanie: Pamięci 3500 przetrzymywanych w Beaune-laRolande i Pithiviers żydowskich dzieci brutalnie rozdzielonych od rodziców, deportowanych i eksterminowanych w Auschwitz. Bamber odczytał na głos ze swym nienagannym brytyjskim akcentem: Ofiary nazistów pochowane na cmentarzu Beaune-laRolande. Poniżej znaleźliśmy te same nazwiska, co wyrte na grobie na cmentarzu. Dzieci z Vel' d'Hiv', które zginęły w obozie.

- Znowu „ofiary nazistów” - powiedział pod nosem Bamber.

- Wygląda mi to na poważny przypadek amnezji. Staliśmy i w milczeniu przyglądaliśmy się pomnikowi. Bamber zrobił wcześniej parę zdjęć, lecz teraz aparat leżał w futerale. Na czarnym marmurze nie było żadnej wzmianki o tym,

że francuska policja samodzielnie zarządzała obozem, ani na temat tego, co się działo za drutami kolczastymi.

Spojrzałam w stronę centrum miasta. Złowieszczo wyglądająca ciemna iglica kościoła znajdowała się po mojej lewej stronie.

Sarah Starzyński szła w upale właśnie tą drogą. Przechodziła przed miejscem, w którym stałam, po czym skręciła w lewo - do obozu. Parę dni później jej rodzice wyszli z powrotem ku stacji, ku śmierci. Dzieci zostawiono same na całe tygodnie, po czym przewieziono je do Drancy. A następnie zesłano na samotną śmierć po długiej podróży do Polski.

Co się stało z Sarą? Czy zginęła tutaj? Ani na cmentarzu, ani na pomniku nie było jej imienia. Czy uciekła? Spojrzałam za wieżę ciśnię znajdującą się na północnym skraju miasta. Czy Sarah jeszcze żyła?

Zadzwoniła mi komórka. Oboje podskoczyliśmy. Dzwoniła moja siostra, Charla.

- Wszystko w porządku? - spytała. Było ją słychać zaskakująco dobrze. Jakby stała tuż obok mnie, a nie tysiące kilometrów stąd po drugiej stronie Atlantyku. - Zostawiłaś mi rano dosyć ponurą wiadomość.

Moje myśli powoli opuściły Sarę Starzyński na rzecz dziecka, które miałam w sobie.

Przypomniałam sobie słowa, które Bertrand wczoraj wypowiedział: „Koniec z nami”.

Ponownie poczułam na sobie ciężar tego świata.

Dworzec w Orleanie był hałaśliwym i ruchliwym miejscem, istnym mrowiskiem rojącym się od szarych mundurów. Sarah trzymała się blisko starszych państwa. Nie chciała, by było po niej widać, że się boi. Skoro dotarła tak daleko, mogła jeszcze mieć nadzieję. Liczyć na to, że znajdzie w Paryżu to, czego pragnie. Musi być dzielna.

- Jeżeli ktoś się spyta - szepnął Jules, kiedy czekali w kolejce, by kupić bilety do Paryża - jesteś naszą wnuczką Stephanie Dufaure. Ogolono ci głowę,

bo w szkole złapałaś wszy.

Genevieve wyprostowała Sarze kołnierzyk.

- Tak lepiej - powiedziała uśmiechnięta. - Wyglądasz bardzo ładnie i czysto.

Zupełnie jak nasza wnuczka!

- Czy naprawdę macie wnuczkę? - spytała Sarah. - Czy to jej ubrania?

Genevieve roześmiała się.

- Nie mamy nikogo poza rozbieganymi wnukami, Gaspardem i Nicolasem. Oraz synem Alainem. Ma czterdzieści parę lat. Mieszka w Orleanie ze swoją żoną, Henriette. To ubranie Nicolasa, jest trochę starszy od ciebie. Z nim to dopiero jest bieranina.

Sara podziwiała to, jak Jules i Genevieve udawali, że są zrelaksowani, uśmiechając się do niej i zachowując, jakby to był zwyczajny poranek i całkiem normalna wyprawa do Paryża. Jednak dostrzegła szybkie spojrzenia obojga, kiedy rozglądali się po stacji. Była bardzo zdenerwowana, gdy zobaczyła, jak żołnierze legitymują każdego, kto chce wsiąść do pociągu. Wyciągnęła szyję, by się im przyjrzeć. Niemcy? Nie, Francuzi. Francuscy żołnierze. Nie miała żadnych dokumentów. Nie miała niczego poza kluczem i pieniędzmi. Po cichu i dyskretnie podała gruby zwój pieniędzy Jules'owi. Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Wskazała brodą na stojących przy drzwiach do wagonów żołnierzy.

- Co chcesz, żebym z tym zrobił, Saro? - spytał.

- Każą ci pokazać moją kartę tożsamości, a ja takiej nie mam. Może to pomoże.

Jules obserwował ustawiającą się przed wejściem do pociągu kolejkę. Zaczął się denerwować. Genevieve szturchnęła go łokciem.

- Jules! - syknęła. - To może zadziałać. Musimy spróbować. Nie mamy wyboru.

Starszy pan wyprostował się i skinął głową. Zdawał się odzyskać

panowanie nad sobą. Kupili bilety i udali się w stronę pociągu.

Peron był zapchany. Pasażerowie napierali ze wszystkich stron: kobiety z piszczącymi dziećmi, starsi mężczyźni z poważnymi minami, niecierpliwi biznesmeni w garniturach. Sarah wiedziała, co musi zrobić. Pamiętała chłopca, który uciekł ze stadionu, wymykając się w zamieszaniu. Teraz ona musiała wykorzystać rozgardiasz przepychanek i kłótni oraz hałas tłumu i wykrzykiwanych przez żołnierzy rozkazów.

Puściła rękę Jules'a, pochyliła się i ruszyła przed siebie. To jak zanurzanie się pod wodą, pomyślała. Ściśnięta masa spódnic, spodni, butów i kostek. Przeciskała się, rozpychając drogę łokciami. Wreszcie tuż przed nią wyrósł pociąg.

Kiedy się wdrapywała do środka, poczuła, że ktoś chwycił ją za ramię. Natychmiast opanowała mięśnie twarzy i zrobiła niewinną minę, uśmiechając się lekko.

Uśmiechała się jak zwyczajna dziewczynka. Zwyczajna dziewczynka jadąca do Paryża. Zwyczajna dziewczynka jak ta w sukience koloru lila, którą widziała z wagonu w drodze do obozu, tak dawno temu.

- Jestem z babcią - powiedziała, pokazując w niewinnym uśmiechu zęby i wskazując na wnętrze wagonu. Żołnierz kiwnął głową i pozwolił jej wejść. Nie odważyła się oddychać, dopóki nie weszła do środka i nie wyjrzała przez okno. Czowała łomot serca.

Oto z tłumu wyłaniali się Jules i Genevieve. Patrzyli na nią oszołomieni. Pomachała tnumfalnie. Była z siebie dumna. Sama zdołała się dostać do pociągu mimo strzegących wejść żołnierzy.

Jej uśmiech zniknął, gdy zobaczyła, ilu niemieckich oficerów wsiada do pociągu.

Głośne i brutalne głosy roznosiły się po zatłoczonym korytarzu, przez który się przepychali. Ludzie odwracali wzrok, wpatrywali się w podłogę, starali się jak najmniej zwracać na siebie uwagę.

Sarah stała w rogu wagonu na wpół schowana pomiędzy Jules'a i Genevieve. Widać było tylko drobną twarz wystającą spomiędzy ich ramion. Patrzyła, jak się zbliżają Niemcy. Wpatrywała się w nich zafascynowana. Nie mogła oderwać wzroku. Jules szepnął, by patrzyła gdzie indziej. Jednak nie była w stanie.

Jeden z mężczyzn wzbudzał w Sarze szczególną odrazę. Był wysoki i chudy, a jego twarz blada i koścista. Miał oczy o tak bladym odcieniu niebieskiego, że gdy nie były schowane pod grubymi różowymi powiekami, źrenice wydawały się niemal przezroczyste. Kiedy grupa oficerów przechodziła obok, wysoki chudy mężczyzną wyciągnął długie ramię w szarym rękawie i pociągnął Sarę za ucho. Przeszedł ją dreszcz.

- No, chłopcze - roześmiał się oficer - nie musisz się mnie bać. Któregoś dnia też będziesz żołnierzem, prawda?

Jules i Genevieve nie zdejmowali z twarzy sztucznych uśmiechów. Trzymali Sarę naturalnie, jednak czuła, jak drżą im ręce.

- Macie ładnego wnuczka - uśmiechnął się szeroko oficer, czochrając wielką dłonią krótko ostrzyżone włosy Sary. - Niebieskie oczy, złote włosy, całkiem jak dzieci u nas.

Ostatnie spojrzenie bladych oczu o ciężkich powiekach, po czym żołnierz się odwrócił i poszedł za grupą mężczyzn. Myślał, że jestem chłopcem, uświadomiła sobie Sarah. A przy tym nie myślał, że jestem Żydem. Czy Żyda można było od razu rozpoznać? Nie była pewna. Kiedyś spytała Armelle. W odpowiedzi usłyszała, że nie wygląda na Żydówkę ze względu na jasne włosy i niebieskie oczy. Zatem uratowały mnie dzisiaj moje włosy i oczy, pomyślała.

Większość podróży spędziła wciśnięta w miękkie ciepło starszych państwa. Nikt się do nich nie odzywał, nikt o nic nie pytał. Patrząc przez okno, myślała o zbliżającym się z każdą chwilą Paryżu, o tym, jak jest coraz bliżej Michela. Patrzyła na zbierające się szare chmury, na pierwsze ciężkie krople deszczu uderzające o szybę i spływające ukosem, spłaszczone przez pęd

powietrza.

Pociąg zatrzymał się na stacji Austerlitz. To stąd odjechała z rodzicami tego gorącego dnia. Dziewczynka wysiadła z Jules'em i Genevieve z pociągu. Poszli w stronę peronu metra.

Jules nagle się zatrzymał. Spojrzeli przed siebie. Szereg policjantów w granatowych mundurach zatrzymywał i legitymował pasażerów. Genevieve nie powiedziała, a jedynie lekko ich popchnęła i szła dalej zdecydowanym krokiem, trzymając wysoko okrągłą brodę. Jules poszedł za nią, trzymając Sarę za rękę.

Sarah, stojąc w kolejce, przyglądała się twarzy policjanta. Mężczyzny po czterdziestce z grubą złotą obrączką ślubną. Miał zubożniały wyraz twarzy. Jednak widziała, jak jego oczy przeskakują z trzymanyh w ręku papierów na twarz stojącej przed nim osoby. Skrupulatnie wykonywał swoje zadanie.

Sarah przestała o nim myśleć. Nie chciała się zastanawiać, co się stanie. Nie czuła się na siłach, by to sobie wyobrazić.

Pozwoliła myślom swobodnie błądzić. Pomyślała o kocie, którego kiedyś mieli, przez niego kichała. Jak się nazywał? Nie mogła sobie przypomnieć. Jakoś śmiesznie: Bonbon czy Reglisse. Rodzice oddali go komuś, bo czuła przy nim drapanie w nosie i miała zaczerwienione oczy. Żałowała, że został oddany, a Michel cały dzień płakał.

Mówił, że to jej wina.

Mężczyzna w mundurze wyciągnął zblazowanym gestem dłoń. Jules podał mu karty tożsamości w kopercie. Mężczyzna spojrział na dokumenty, podnosząc wzrok to na Jules'a, to na Genevieve. Po czym spytał:

- A dziecko?

Jules wskazał na kopertę.

- Karta dziecka jest w środku, proszę pana. Razem z naszymi.

Mężczyzna sprawnym kciukiem otworzył szerzej kopertę. Złożony we troje duży banknot pojawił się na spodzie. Mężczyzna nie drgnął.

Spojrzał ponownie na pieniądze, następnie na twarz Sary. Odwzajemniła spojrzenie.

Nie kulila się ani nie błagała. Po prostu na niego patrzyła.

Chwila zdawała się ciągnąć w nieskończoność, niczym ta niekończąca się minuta, po której mężczyzna w obozie w końcu pozwolił im uciec.

Policjant kiwnął głową. Podał Jules'owi karty tożsamości, a kopertę płynnym ruchem włożył do kieszeni. Po czym się odsunął, by pozwolić im przejść.

- Dziękuję, monsieur - powiedział. - Następny.

Słyszałam w słuchawce głos Charli:

- Mówisz poważnie? Nie mógł powiedzieć czegoś takiego. Nie może cię stawiać w takiej sytuacji. Nie ma prawa.

To był już głos prawniczki, zdecydowanej, asertywnej prawniczki z Manhattanu, która nie bała się nikogo i niczego.

- Owszem, powiedział - odparłam obojętnie. - Oznajmił, że z nami koniec.

Powiedział, że mnie zostawi, jeżeli się zdecyduję je urodzić. Twierdził, że czuje się stary, że nie poradzi sobie z jeszcze jednym dzieckiem, że nie chce być starym ojcem.

Chwila ciszy w słuchawce.

- Czy to ma jakiś związek z tą kobietą, z którą cię zdradzał? - spytała Charla. - Nie mogę sobie przypomnieć jej nazwiska.

- Nie. Bertrand ani razu o niej nie wspomniał.

- Nie daj się do niczego zmusić, Julio. To jest też twoje dziecko. Nigdy o tym nie zapominaj, złotko.

Przez cały dzień słyszałam w głowie słowa siostry: „To jest też twoje dziecko”.

Rozmawiałam z lekarką. Nie była zdziwiona postawą Bertranda. Zasugerowała, że może przeżywać kryzys wieku średniego, a obowiązki

związane z kolejnym dzieckiem przerastają jego możliwości. Wielu mężczyzn zbliżających się do pięćdziesiątki z tym sobie nie radziło.

Czy Bertrand rzeczywiście przeżywał kryzys? Jeżeli tak, było to dla mnie zaskoczeniem. Nie zauważyłam żadnych oznak nadchodzących problemów. Jak mogłabym je przeoczyć? Myślałam, że po prostu zachowuje się samolubnie, że jak zwykle myśli tylko o sobie. Tyle też powiedziałam podczas naszej rozmowy. Wylałam przed nim wszystkie swoje żale. Jak mógł mi sugerować aborcję po wszystkich poronieniach, przez które przeszłam, po takiej ilości bólu, rozpacz i niespełnionych nadziei? Zdesperowana spytałam, czy mnie kocha. Czy naprawdę mnie kocha? Spojrzał na mnie, kręcąc głową. Oczywiście, że mnie kocha. Jak mogłabym myśleć inaczej. Kocha mnie. Usłyszałam znowu napięty głos, którym się przyznał do lęków związanych ze starością. Kryzys wieku średniego.

Może lekarka jednak miała rację. A ja tego nie dostrzegłam, zajęta nawałem spraw, które musiałam załatwić w ciągu ostatnich miesięcy. Czułam się całkowicie zagubiona i niezdolna do poradzenia sobie z Bertrandem i jego lękami.

Lekarka poinformowała mnie, że nie mam wiele czasu na podjęcie decyzji. Byłam już w ciąży od sześciu tygodni. Jeżeli miałam się zdecydować na aborcję, musiałam to zrobić w ciągu czternastu dni. Trzeba było przeprowadzić badania, znaleźć klinikę.

Zasugerowała, byśmy poszli z Bertrandem do poradni małżeńskiej. Musieliśmy to omówić.

- Jeżeli podda się pani aborcji wbrew własnej woli - zwróciła uwagę lekarka - nigdy mu pani nie wybaczy. Z kolei pani mąż już otwarcie powiedział, że nie zniósłby kolejnego dziecka. To wszystko trzeba przedyskutować i pogodzić, i to szybko.

Miała rację. Jednak nie mogłam się zdobyć na pośpiech. Każda minuta opóźnienia oznaczała dodatkowe sześćdziesiąt sekund zdobyte dla dziecka.

Dziecka, które już kochałam. Nawet jeżeli nie było jeszcze większe od ziarnka fasoli, obdarzałam je taką samą miłością co Zoe.

Poszłam do Isabelle. Mieszkała w niewielkim kolorowym segmencie na rue de Tolbiac. Nie byłam w stanie po prostu wrócić z pracy do domu i czekać na powrót męża. Nie zniosłabym tego. Zadzwoiłam do Elsy, by zaopiekowała się Zoe. Isabelle upiekła mi tosty crottin de chavignol i naprędce przygotowała delikatną sałatkę. Jej mąż wyjechał w interesach.

- No dobrze, cocotte - powiedziała, siadając przede mną i odwracając głowę, by dmuchnąć dymem z papierosa - spróbuj sobie wyobrazić życie bez Bertranda. Jak by wyglądało. Rozwód. Prawnicy. Krajobraz po bitwie. Wpływ, jaki to będzie miało na Zoe. Wasze życie potem. Osobne domy. Osobne egzystencje. Zoe wędrująca od ciebie do niego. Od niego do ciebie. Brak prawdziwej rodziny. Brak wspólnych śniadań, wspólnych świąt, wspólnych wakacji. Stać cię na to? Możesz to sobie wyobrazić?

Patrzyłam na przyjaciółkę. To wydawało się niewyobrażalne. Niemożliwe. A jednak tak często się to przecież zdarzało. Zoe była niemalże jedynym dzieckiem w klasie, którego rodzice stanowili małżeństwo nieprzerwanie od piętnastu lat. Powiedziałam Isabelle, że nie mogę o tym teraz rozmawiać. Zaproponowała mi mus czekoladowy, a potem obejrzałyśmy Panienki z Rochefort na DVD. Kiedy wróciłam do domu, Bertrand był pod prysznicem, a Zoe w objęciach Morfeusza. Wślizgnęłam się pod kołdrę. Mąż poszedł oglądać telewizję w dużym pokoju. Zanim przyszedł do łóżka, zdążyłam zasnąć.

Dzisiaj wypadały następne odwiedziny u Marne. Niewiele brakowało, żebym zadzwoniła je odwołać, choć nigdy wcześniej tego nie robiłam. Czułam się wyczerpana. Chciałam zostać w łóżku i spać do południa. Jednak wiedziałam, że będzie na mnie czekać, że włoży swoją najlepszą szarolawendową sukienkę, użyje rubinowej szminki i perfum Shalimar. Nie mogłam jej zawieść. Gdy dojechałam przed dwunastą, zobaczyłam srebrnego

mercedesa teścia zaparkowanego przed domem spokojnej starości. Wytrąciło mnie to z równowagi.

Był tutaj dlatego, że chciał się ze mną spotkać. Nigdy nie odwiedzał matki w tym samym czasie co ja. Wszyscy mieliśmy swoje terminy. Laure i Cecile przyjeżdżały w weekendy, Colette w poniedziałkowe popołudnia, Edouard we wtorki i piątki, a ja zazwyczaj w środę po południu z Zoe, a w czwartki o dwunastej sama. Wszyscy trzymaliśmy się swoich godzin.

Tak jak przypuszczałam, był w środku. Siedział bardzo prosto i słuchał matki.

Właśnie skończyła jeść obiad, zawsze podawany absurdalnie wcześnie. Nagle stałam się nerwowa, jakbym była uczennicą, która coś nabroiła. Czego ode mnie chciał? Czy nie mógł po prostu podnieść słuchawki i zadzwonić, jeżeli chciał się spotkać?

Dlaczego czekał do teraz?

Chowając wszelkie wyrzuty i niepokoje za ciepłym uśmiechem, pocałowałam teścia w oba policzki i usiadłam obok Marne, biorąc ją jak zawsze za rękę. Miałam nadzieję, że może Edouard sobie pójdzie, jednak został. Siedział dalej na swoim miejscu, patrząc na nas przyjaznym wzrokiem. Czułam się nieswojo, jakby naruszano moją prywatność, a każde słowo, które wypowiadałam, było analizowane i oceniane.

Po trzydziestu minutach wstał, zerkając na zegarek. Uśmiechnął się do mnie enigmatycznie.

- Czy mógłbym z tobą porozmawiać, Julio? - powiedział, zniżając głos, by stare uszy Marne go nie dosłyszały. Nagle stał się nerwowy, przestępował z nogi na nogę i patrzył na mnie z niecierpliwością. Pocałowałam więc Marne na pożegnanie i poszłam za teściem na zewnątrz. Zaprosił mnie do swojego samochodu. Usiadł na miejscu kierowcy, bawiąc się kluczami, ale nie włączył silnika. Czekałam, zaskoczona niespokojnymi ruchami palców. Cisza była coraz cięższa. Rozejrzałam się po brukowanym dziedzińcu, po którym pielęgniarki

pchały na wózkach niedołączonych starców.

W końcu przemówił:

- Jak się czujesz? - Wciąż miał na ustach ten sam wymuszony uśmiech.

- W porządku - odparłam. - A ty?

- Mam się dobrze. Colette też. Znowu cisza.

- Rozmawiałem wczoraj z Zoe, gdy ciebie nie było w domu - powiedział, patrząc w inną stronę.

Przyjrzałam się profilowi teścia, władczemu nosowi i królewskiej brodzie.

- I? - spytałam ostrożnie.

- Mówiła mi, że zbierałaś materiały...

Przerwał. Słychać było tylko brzęk kluczy w jego ręku.

- Materiały na temat mieszkania - dokończył, kierując wzrok z powrotem w moją stronę.

Przytaknęłam.

- Tak, dowiedziałam się, kto tam mieszkał, zanim się wprowadziliście.

Zoe zapewne ci to powiedziała.

Westchnął, a broda opadła mu na pierś, przykrywając kołnierzyk niewielkimi fałdami skóry.

- Julio, ostrzegałem cię, pamiętasz? Serce zaczęło mi szybciej bić.

- Kazałeś przestać zadawać pytania Marne - oznajmiłam bezceremonialnie. - Tak też zrobiłam.

- Dlaczego w takim razie musiałaś się dalej dobierać do przeszłości? - Krew odpłynęła mu z twarzy. Oddychał z trudem, jakby sprawiało mu to ból.

Wszystko wyszło na jaw. Już wiedziałam, dlaczego chciał ze mną dzisiaj porozmawiać.

- Odkryłam, kto tam mieszkał - kontynuowałam rozgorączkowana - i tyle. Musiałam się dowiedzieć, kim byli. Nie wiem nic więcej. Nie wiem, co wasza rodzina miała z tym wszystkim wspólnego...

- Nic! - przerwał, niemal krzycząc. - Nie mieliśmy nic wspólnego z

aresztowaniem tej rodziny.

Nic nie mówiłam. Patrzyłam na niego; drżał, lecz nie mogłam się zorientować, czy ze złości, czy z jakiegoś innego powodu.

- Nie mieliśmy nic wspólnego z aresztowaniem tej rodziny - powtórzył z naciskiem. - Zostali zabrani podczas aresztowań Vel' d'Hiv'. Nigdy na nich nie donosiliśmy ani nie robiliśmy nic podobnego, rozumiesz?

Patrzyłam na teścia, zaskoczona.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy, Edouardzie. Nigdy! Starał się odzyskać panowanie nad sobą, gładząc nerwowo brwi.

- Zadawałaś dużo pytań, Julio. Byłaś bardzo dociekliwa. Powiem ci, jak to wyglądało. Posłuchaj mnie. Była tam dozorczyńni, madame Royer. Znała się z naszą dozorczynią, kiedy mieszkaliśmy na rue de Turenne, niedaleko rue de Saintonge.

Madame Royer powiedziała moim rodzicom, że mieszkanie się zwolniło. Zapewne dlatego, że lubiła Marne, która była dla niej miła. Czynsz był niski i było więcej miejsca niż na rue de Turenne. Tak to wyglądało. W ten sposób doszło do naszej przeprowadzki. To wszystko!

Nadal patrzyłam na teścia, a on nadal drżał. Nigdy nie widziałam, żeby był tak wzburzony, tak zagubiony. Nieśmiało dotknęłam jego ręki.

- Dobrze się czujesz, Edouardzie? - spytałam. Czułam, jak drży pod moją dłonią.

Pomyślałam, że może jest chory.

- Tak, w porządku - odparł, lecz głos miał ochrypły. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego wygląda na tak poruszonego, z jakiego powodu tak zbladł.

- Marne o tym nie wie - obniżył głos. - Nikt nie wie. Rozumiesz? Ona nie może wiedzieć. Nigdy nie może się dowiedzieć.

Byłam zdziwiona.

- Wiedzieć czego? - spytałam. - O czym ty mówisz?

- Julio - powiedział, nie odrywając wzroku od moich oczu.

- Wiesz, kim była ta rodzina, widziałaś ich nazwisko.

- Nie rozumiem - wymamrotałam.

- Widziałaś ich nazwisko, prawda? - fuknął, aż się wzdrygnęłam. - Wiesz, co się stało. Prawda?

Musiałam wyglądać na całkowicie zagubioną, bo westchnął i schował twarz w dłoniach.

Siedziałam w miejscu oniemiała. O czym on mówił? Co takiego się stało, o czym nikt nie wiedział?

W końcu podniósł wzrok.

- Dziewczynka... - powiedział głosem tak cichym, że ledwo słyszalnym. - Czego dowiedziałaś się o dziewczynce?

- Co masz na myśli? - spytałam nieruchoma. W jego głosie i oczach było coś, czego się bałam.

- Dziewczynka - powtórzył dziwnie stłumionym głosem - wróciła. Kilka tygodni po naszej przeprowadzce. Wróciła na rue de Saintonge. Miałem dwanaście lat. Nigdy tego nie zapomnę. Nigdy nie zapomnę Sary Starzyńskiej.

Ku mojemu przerażeniu, zacisnął powieki, spod których popłynęły łzy. Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Mogłam tylko czekać i słuchać. To nie był już mój pewny siebie teść.

To był ktoś inny. Ktoś z tajemnicą, którą nosił w sobie od lat. Od sześćdziesięciu lat.

Jazda metrem na rue de Saintonge minęła szybko, zaledwie kilka stacji i przesiadka na Bastille. Kiedy skręcali w rue de Bretagne, serce Sary zaczęło bić szybciej. Szła do domu. Za kilka minut będzie w domu. Być może wcześniej matka lub ojciec zdołali wrócić i wszyscy już tylko na nią czekali. Z Michelelem w mieszkaniu czekali, aż ona przyjdzie. Czy takie myśli były szalone? Czy straciła zmysły? Czy nie mogła mieć nadziei, czy to nie było dozwolone? Miała dziesięć lat i chciała mieć nadzieję, chciała wierzyć, chciała tego bardziej niż czegokolwiek innego, bardziej niż chciała żyć.

Ciągnęła Jules'a za rękę, tym mocniej, im byli bliżej. Czuła, jak w jej sercu rośnie nadzieja, niczym dzika roślina, której nie mogła już opanować. Słyszała też cichy, ponury głos w głowie, który mówił: Saro, nie licz na nic, nie wierz w nic, spróbuj się przygotować, spróbuj sobie wyobrazić, że nikt na ciebie nie czeka, że papy i mamany tam nie ma, że mieszkanie jest pokryte kurzem, a Michel... Michel...

Wkrótce wyrósł przed nimi numer 26. Zwróciła uwagę, że ulica się w żaden sposób nie zmieniła. Wciąż była tą samą cichą, wąską ulicą, którą знаła od urodzenia. Jak to możliwe, zastanawiała się, że wszystko w życiu ludzi mogło zostać wywrócone do góry nogami i zniszczone, a ulice i budynki pozostały takie same.

Jules otworzył ciężkie drzwi. Dziedziniec nie zmienił się ani trochę, nadal był wypełniony zielonymi liśćmi oraz dusznym i stęchłym zapachem kurzu. Kiedy wchodzili na podwórko, madame Royer otworzyła drzwi swojego mieszkania i wystawiła głowę. Sarah puściła rękę Jules'a i pobiegła w stronę klatki schodowej. Szybko, teraz musiała być szybka, w końcu była w domu, nie miała czasu do stracenia.

Usłyszała pytanie dozorczyń: „Szukają państwo kogoś?”, gdy wbiegała, już zadyszana, na pierwsze piętro. Głos Jules'a dobiegał do niej po schodach: „Szukamy rodziny Starzyńskich”. Do uszu Sary dotarł śmiech madame Royer, niepokojący, nieprzyjemny dźwięk: „Nie ma ich, monsieur! Zniknęli! Na pewno nie znajdziecie ich tutaj”.

Sarah zatrzymała się na trzecim półpiętrze i wyjrzała na podwórko. Zobaczyła madame Royer w brudnym niebieskim fartuchu z przerzuconą przez ramię małą Suzanne. Nie ma ich... Zniknęli... Co dozorczyń miała na myśli? Jak zniknęli?

Kiedy?

Nie ma czasu do stracenia, nie ma czasu, aby się zastanawiać, pomyślała dziewczynka. Jeszcze dwa piętra do mieszkania. Jednak przenikliwy głos

dozorczyni doganiał ją, podczas gdy w pośpiechu pokonywała kolejne schody: „Gliny po nich przyjechały, monsieur. Przyjechały po wszystkich Żydów w okolicy. Zabrali ich dużym autobusem. Teraz jest sporo wolnych pokoi, monsieur. Szuka pan mieszkania do wynajęcia? To po Starzyńskich już jest zajęte, ale może byłabym w stanie pomóc... Jest bardzo przyjemny lokal na drugim piętrze, jeśli jest pan zainteresowany. Mogę pokazać”.

Sarah dotarła zadyszana na czwarte piętro. Musiała się oprzeć o ścianę i złapać się za klujący bok.

Zaczęła się dobijać do drzwi mieszkania rodziców, szybkimi krótkimi uderzeniami otwartych dłoni. Brak odpowiedzi. Ponowiła próbę, tym razem mocniejszymi uderzeniami rąk zwiniętych w pięści.

Usłyszała kroki za drzwiami. Otworzyły się.

We framudze pojawił się chłopiec w wieku dwunastu lub trzynastu lat.

- Słucham?

Kim on był? Co robił w jej mieszkaniu?

- Przyszłam po swojego braciszka - zająknęła się. - Kim jesteś? Gdzie jest Michel?

- Twojego braciszka? - zapytał powoli. - Tutaj nie ma żadnego Michela.

Brutalnie odepchnęła chłopca, ledwo zwracając uwagę na nowo pomalowane ściany przedpokoju, nieznaną półkę z książkami i dziwny czerwonozielony dywan.

Zaskoczony chłopiec zaczął krzyczeć, lecz nie zatrzymała się. Pobieгла długim znajomym korytarzem i skręciła w lewo do swojej sypialni. Nie zauważyła nowej tapety, nowego łóżka, książek, rzeczy, które nie miały z nią nic wspólnego.

Chłopiec wołał ojca, a w sąsiednim pokoju słychać było pospieszne kroki.

Sarah wyciągnęła klucz z kieszeni, nacisnęła przycisk, by odsłonić ukryty zamek.

Usłyszała dźwięk dzwonka i zbliżający się szum niespokojnych głosów.

Głosy Jules'a, Genevieve i nieznanego mężczyzny.

Szybko, teraz musiała być szybka. W kółko mamrotała pod nosem: „Michel, Michel, Michel, to ja, Sirka...”. Palce drżały jej do tego stopnia, że upuściła klucz.

Zasapany chłopiec dobiegł do niej od tyłu.

- Co robisz? - wydyszał. - Co robisz w moim pokoju?

Nie zwracała na niego uwagi. Podniosła klucz i próbowała otworzyć zamek. Była zbyt zdenerwowana, zbyt niecierpliwa. Włożenie i przekręcenie klucza zajęło dłuższą chwilę. Wreszcie dał się słyszeć szcęk zamka. Szarpnęła za tajne drzwiczki.

Smród zgnilizny uderzył dziewczynkę niczym pięść. Cofnęła się. Stojący przy niej chłopiec odskoczył przestraszony. Sarah upadła na kolana.

Wysoki mężczyzna z przyprószonymi siwizną czarnymi włosami wpadł do pokoju, a za nim Jules i Genevieve.

Sarah nie była w stanie nic powiedzieć, drżała, zasłaniała dłońmi oczy i zatykała palcami nos, by odciąć się od smrodu.

Jules podszedł, położył rękę na barku dziewczynki i zajrzał do szafki. Czują, jak ogarnia ją ramionami i próbuje podnieść.

Szeptał jej do ucha:

- Chodź, Saro, chodź ze mną...

Walczyła z całej siły, drapiąc, kopiąc i gryząc. Zdołała się wyswobodzić i dostać z powrotem do otwartych drzwiczek.

W głębi szafki zobaczyła niewielką bryłę nieruchomego skulonego ciała, po czym dostrzegła ukochaną twarzyczkę, szerniałą nie do rozpoznania.

Ponownie upadła na kolana. Zaczęła krzyczeć z całej siły, wołała swoją matkę, ojca, Michela.

Edouard Tezac ścisnął kurczowo kierownicę. Nie mogłam oderwać wzroku od zbiegających od siły nacisku dłoni.

- Wciąż słyszę jej krzyk - szepnęła. - Nie zapomnę go. Nigdy. Byłam

oszołomiona nowo zdobytą wiedzą. Sarah Starzyński zbiegła z BeaunelaRolande. Wróciła na rue de Saintonge. Dokonała straszliwego odkrycia.

Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Mogłam jedynie patrzeć na teścia. Mówił dalej cichym chrapliwym głosem:

- Przeżyłem straszne chwile, gdy ojciec zaglądał do szafki. Ja też próbowałem zobaczyć, co jest w środku. Odepchnął mnie. Nie mogłem zrozumieć, o co chodzi.

Ten zapach... Ohydny zapach zgnilizny. Następnie ojciec powoli wyciągnął ciało martwego chłopczyka, najwyżej czteroletniego. Nigdy przedtem nie widziałem trupa.

Serce mi pękało. Chłopiec miał jasne faliste włosy, a twarz schowaną w dłoniach. Był skulony i zeszywniały. Nabrał okropnego zielonego koloru.

Przerwał, krztusząc się własnymi słowami. Miałam wrażenie, że zwymiotuje.

Dotknęłam jego łokcia, próbując przekazać swoje współczucie i sympatię. Co za nierealna sytuacja: ja usiłująca pocieszyć swojego dumnego, wzniosłego teścia, który się zamienił w drżącego zapłakanego staruszka. Otarł oczy niepewnym ruchem ręki i mówił dalej:

- Wszyscy staliśmy w miejscu przerażeni. Dziewczynka zemdląca. Upadła na podłogę. Ojciec ją podniósł i położył na moim łóżku. Doszła do siebie, zobaczyła jego twarz i znowu zaczęła krzyczeć. Słuchając ojca i pary, która przyprowadziła dziewczynkę, zacząłem rozumieć, o co chodzi. Była siostrą martwego chłopca. Nasze nowe mieszkanie było przedtem jej domem.

Chłopiec został tam schowany w dniu aresztowań Vel' d'Hiv', szesnastego lipca.

Dziewczynka myślała, że będzie mogła wrócić i uwolnić braciszka, ale została zabrana do obozu poza Paryżem. Kolejna przerwa. Wydawała się nie mieć końca.

- I co potem? Co się wtedy stało? - zapytałam, odzyskawszy w końcu głos.

- Starsza para przyjechała z Orleanu. Dziewczynka uciekła z obozu, niedaleko którego mieszkali, i dotarła do ich posiadłości. Postanowili jej pomóc i zabrać do Paryża, do domu. Ojciec wytłumaczył, że wprowadziliśmy się pod koniec lipca. Nic nie wiedział o szafce w moim pokoju. Nikt z nas nie wiedział. Owszem, czuć było nieprzyjemny zapach, ale ojciec sądził, że to wina kanalizacji i w najbliższych dniach spodziewaliśmy się wizyty hydraulika.

- Co twój ojciec zrobił z... z chłopcem?

- Nie wiem. Pamiętam, jak mówił, że chce się wszystkim zająć. Ciało chyba w końcu zabrali starsi państwo. Nie jestem pewien. Nie pamiętam.

- I co dalej? - powiedziałam, wstrzymując oddech. Spojrzał na mnie z gorzkim wyrzutem.

- I co dalej? I co dalej! - Ponury śmiech. - Julio, czy potrafisz sobie wyobrazić, jak się czuliśmy, kiedy dziewczynka sobie poszła? Jak ona na nas patrzyła. Nienawidziła nas. Nie cierpiała. Uważała, że to nasza wina. To my byliśmy zbrodniarzami.

Najgorszym rodzajem zbrodniarzy. Wprowadziliśmy się do jej domu. Pozwoliliśmy jej braciszkowi umrzeć. Jej oczy... Taka nienawiść, ból, rozpacz. Oczy kobiety w twarzy dziesięciolatki.

Miałam to spojrzenie przed oczami. Zadrzałam.

Edouard westchnął i rozmasował sobie zmęczoną twarz.

- Kiedy wyszli, ojciec usiadł i schował twarz w dłoniach. Płakał. Długo. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby płakał. Ani nigdy potem. Był taki silny i twardy.

Mówiono mi, że mężczyźni z rodziny Tezaców nigdy nie płaczą. Nigdy nie pokazują, co czują. To była straszliwa chwila. Powiedział, że stało się coś strasznego. Coś, co będziemy pamiętać przez całe życie. Następnie zaczął mi opowiadać o rzeczach, o których nigdy nie wspominał. Stwierdził, że jestem już

dostatecznie duży, by wiedzieć. Oznajmił, że nie pytał madame Royer o poprzednich lokatorów nowego mieszkania. Wiedział, że była to żydowska rodzina aresztowana w ramach tej wielkiej akcji. Jednak przymknął na to oczy. Przymknął oczy, tak samo jak tylu innych paryżan podczas tego okropnego roku czterdziestego drugiego. Przymknął oczy na aresztowania, na to, co się dzieje z tymi wszystkimi ludźmi wywożonymi zapchanymi autobusami Bóg wie gdzie. Nawet nie spytał, dlaczego mieszkanie się zwolniło i co się stało z dobytkiem poprzedniej rodziny. Zachował się tak, jak tyle innych paryskich rodzin niemogących się doczekać przeprowadzki do większego wygodniejszego lokum. Przymknął oczy. A teraz to. Dziewczynka wróciła, a chłopiec nie żył. Zapewne był już martwy, kiedy się wprowadziliśmy. Ojciec twierdził, że nigdy nie będziemy mogli tego zapomnieć. Nigdy. I miał rację, Julio. Nosiliśmy to w sobie. Tkwiło to we mnie przez ostatnie sześćdziesiąt lat.

Przerwał, nadal opierając podbródek na klatce piersiowej. Próbowałam wyobrazić sobie, jak się czuł, nosząc w sobie tę tajemnicę przez tak długi czas.

- A Marne? - spytałam, zdecydowana wydostać od niego całą historię.

Powoli pokręcił głową.

- Marne nie było tego popołudnia w domu. Ojciec nie chciał, by wiedziała, co się stało. Czuł się winny, uważał, że to wszystko wydarzyło się przez niego, choć oczywiście tak nie było. Nie mógł znieść myśli, że Marne mogłaby się dowiedzieć. I być może go na tej podstawie osądzić.

Powiedział, że jestem dostatecznie duży, by zachować tajemnicę. Nigdy nie może się dowiedzieć - oznajmił. Sprawiał wrażenie tak straszliwie zrozpaczonego. Obiecałem zatem dochować tajemnicy.

- I ona wciąż nie wie? - szepnęłam. Ponownie głęboko westchnął.

- Nie jestem pewien. Wiedziała o aresztowaniach. Wszyscy o nich wiedzieliśmy, to się działo na naszych oczach. Gdy wróciła tego wieczoru, zachowywaliśmy się z ojcem dziwnie. Podejrzewała, że coś się stało. Tej nocy, jak i przez wiele kolejnych, miałem wciąż przed oczami ciało chłopca. Dręczyły

mnie koszmary. Nadal powracały, gdy miałem dwadzieścia kilka lat. Byłem bardzo szczęśliwy, kiedy mogłem się wyprowadzić z tego mieszkania. Sądzę, że matka mogła wiedzieć. Być może była świadoma, przez co przeszedł ojciec, jak musiał się czuć. Może w końcu jej powiedział, gdyż nie był w stanie sam tego znieść. Jednak nigdy ze mną o tym nie rozmawiała.

- A Bertrand? Twoje córki? Colette?

- Nic nie wiedzą.

- Dlaczego?

Położył mi dłoń na nadgarstku. Była lodowata, czułam, jak chłód przenika mi przez skórę.

- Ponieważ obiecałem ojcu tuż przed jego śmiercią, że nie powiem swoim dzieciom ani żonie. On nosił swoją winę w sobie przez całe życie. Nie mógł się z nikim podzielić. Nie mógł nikomu powiedzieć. Szanowałem to. Rozumiesz?

Przytaknęłam.

- Oczywiście. Zamyśliłam się przez chwilę.

- Edouardzie, co się stało z Sarą? Pokręcił głową.

- Pomiędzy czterdziestym drugim a przedśmiertną prośbą o dochowanie tajemnicy ojciec nigdy nie wypowiedział imienia Sary. Stała się tajemnicą. Tajemnicą, o której nigdy nie przestałem myśleć. Ojciec chyba nie wiedział, jak często zagadkowa dziewczynka pojawia się w moich myślach. Jak bardzo cierpię z powodu milczenia na jej temat. Pragnąłem wiedzieć, czy nic jej nie jest, gdzie mieszka i jaki był ciąg dalszy. Jednak za każdym razem, gdy próbowałem zadać pytanie, uciszał mnie. Nie mogłem uwierzyć, że się tym nie przejmuje, że uznał ten rozdział za skończony i już nie myśli o dziewczynce. Wyglądało to, jakby chciał wszystko puścić w niepamięć.

- Miałeś mu to za złe? Kiwnął głową.

- Owszem, miałem. Na zawsze nadszarpnęło to moje uwielbienie dla ojca. Jednak nie mogłem mu tego powiedzieć. I nie powiedziałem.

Siedzieliśmy w milczeniu. Pielęgniarki zapewne zaczynały się

zastanawiać, dlaczego monsieur Tezac i jego synowa tak długo siedzą w samochodzie.

- Edouardzie, nie chcesz wiedzieć, co się stało z Sarą Starzyński?

Po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Nie wiedziałbym, od czego zacząć. Również się uśmiechnęłam.

- To już moja działka. Mogę ci pomóc.

Zdawał się być nieco mniej przygnębiony. Oczy rozjaśniły mu się nowym światłem.

- Jest jeszcze jedna sprawa, Julio. Kiedy ojciec zmarł prawie trzydzieści lat temu, notariusz poinformował mnie o sejfie, w którym przechowywane były rozmaite poufne dokumenty.

- Przeczytałeś je? - spytałam, czując, jak przyspiesza mi tętno.

Spojrzał na nogi.

- Przejrzałem pobieżnie, tuż po śmierci ojca.

- I co? - Wstrzymałam oddech.

- Zwykle papiery dotyczące butików, obrazów, mebli i wyrobów ze srebra.

- To wszystko?

Uśmiechnął się na widok ewidentnego rozczarowania na mojej twarzy.

- Tak mi się wydaje.

- Jak to? - Czułam się zagubiona.

- Nigdy więcej tam nie zajrzałem. Bardzo szybko przerzuciłem stertę papierów.

Pamiętam, że byłem wściekły, iż nie ma tam nic na temat Sary. Tym bardziej byłem zły na ojca.

Przygryzłam wargę.

- Czyli nie jesteś pewien, czy czegoś tam jednak nie ma.

- Owszem. Nigdy więcej nie sprawdzałem.

- Dlaczego? Zacisnął usta.

- Ponieważ nie chciałem mieć pewności, że niczego tam nie ma.

- I myśleć jeszcze gorzej o swoim ojcu.

- Właśnie.

- Zatem nie wiesz, co tak naprawdę znajduje się w sejfie. Nie wiesz od trzydziestu lat.

- Nie, nie wiem.

Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Trwało to zaledwie parę sekund.

Włączył silnik. Jechał na złamanie karku, zakładałam, że do banku. Nigdy nie widziałam, by Edouard jeździł tak szybko. Kierowcy grozili mu pięściami. Przerażeni piesi uciekali spod kół. Pędząc przed siebie, nie wymieniliśmy ani słowa, lecz nasza cisza była ciepła i przesycona podnieceniem. Przeżywaliśmy to razem. Po raz pierwszy przeżywaliśmy coś razem. Co chwila patrzyliśmy na siebie z uśmiechami na twarzach.

Jednak zanim znaleźliśmy miejsce do zaparkowania na avenue Bosquet i popędziliśmy do banku, oddział został zamknięty na przerwę obiadową. Kolejny typowo francuski zwyczaj, który wytrącał mnie z równowagi, szczególnie dzisiaj.

Byłam tak zawiedziona, że omal się nie rozplakałam.

Edouard ucałował mnie w oba policzki i odepchnął lekko.

- Idź, Julio. Ja wrócę o drugiej, kiedy otworzą. Zadzwoń, jeżeli coś znajdę.

Przeszłam kawałek wzdłuż ulicy i złapałam autobus numer 92, którym mogłam dojechać prosto do biura nad Sekwaną.

Z odjeżdżającego autobusu widziałam czekającego przed bankiem Edouarda, samotną stojącą prosto postać w ciemnozielonym płaszczu.

Zastanawiałam się, jak się poczuje, jeżeli w sejfie nie będzie nic o Sarze, a jedynie sterta papierów na temat starych malowideł i porcelany.

Sercem byłam przy nim.

- Czy jest pani pewna, panno Jarmond? - spytała lekarka. Spojrzała na mnie znad półkolistych okularów.

- Nie - przyznałam. - Jednak na razie chciałabym się umówić na te wizyty.

Przejrzała moje karty chorobowe.

- Chętnie panią umówię, lecz nie jestem pewna, czy w pełni pogodziła się pani ze swoją decyzją.

Wróciłam myślami do zeszłego wieczoru. Bertrand był wyjątkowo czuły i troskliwy.

Przez całą noc trzymał mnie w ramionach, powtarzał ciągle, że mnie kocha, potrzebuje i nie może się pogodzić z wizją posiadania dziecka tak późno w życiu.

Uważał, że starzenie się razem nas zbliży, że będziemy mogli razem podróżować, tym częściej, im Zoe będzie doroślejsza. Przedstawiał nasze życie po pięćdziesiątce jako drugi miesiąc miodowy.

Zapłakana słuchałam męża w ciemności. Jakie to ironiczne. Mówił dokładnie to wszystko, co zawsze chciałam usłyszeć. W jego głosie i słowach słyhać było całą czułość, poświęcenie i ofiarność, których pragnęłam. Jednak haczyk polegał na tym, że nosiłam w sobie dziecko, którego nie chciał. Moją ostatnią szansę na bycie matką.

Ciągle powtarzałam w myślach słowa Charli: „To również twoje dziecko”.

Przez długie lata pragnęłam urodzić Bertrandowi jeszcze jednego potomka. Dowieść, że jestem do tego zdolna. Stać się żoną doskonałą, którą Tezacowie by pochwalali i cenili. Ale teraz zdałam sobie sprawę, że chcę tego dziecka ze względu na siebie. Pragnęłam mojego maleństwa, mojego ostatniego dziecka, pragnęłam poczuć je w ramionach, a w nozdrzach słodki mleczny zapach skóry mojego oseska. Owszem, Bertrand był ojcem, lecz było to moje dziecko. Moje ciało. Moja krew. Pragnęłam narodzin, poczucia przeciskania się przeze mnie główki dziecka, tego wyjątkowego, czystego, bolesnego odczucia wydawania dziecka na świat przez ból i łzy. Chciałam tych łez, chciałam tego

bólu.

Nie chciałam za to bolesnej pustki, łez, okaleczonego, opróżnionego łona.

Wyszłam z gabinetu lekarskiego i ruszyłam w stronę Saint-Germain, gdzie byłam umówiona z Hervem i Christophe'em na drinka w Cafe Florę. Nie zamierzałam im nic mówić, ale po jednym spojrzeniu na moją twarz zachłysłeni się z przejęcia.

Zaczęłam więc tłumaczyć. Jak zwykle mieli odmienne zdania. Herve twierdził, że powinnam dokonać aborcji, jako że małżeństwo jest ważniejszą sprawą. Christophe podkreślał, że najistotniejsze jest dziecko. Nie mogłam w żadnym wypadku go nie urodzić. Żałowałabym przez resztę życia.

Zacietrzewili się do tego stopnia, że zapomnieli o mojej obecności i zaczęli się kłócić. Nie mogłam tego znieść. Przerwałam sprzeczkę, uderzając pięścią w stół, aż zabrzczały szklanki. Zaskoczeni spojrzeli na mnie. To nie było w moim stylu.

Przeprosiłam, powiedziałam, że jestem zbyt zmęczona, aby dalej omawiać tę sprawę, i wyszłam. Patrzyli na mnie skonsternowani. Nieważne, pomyślałam. Kiedyś to nadrobię. To moi najlepsi przyjaciele. Zrozumieją.

Wracałam do domu przez Ogród Luksemburski. Edouard nie odzywał się od wczoraj.

Czy to oznaczało, że przejrzał całą zawartość sejfu i nie znalazł nic na temat Sary?

Już wyobrażałam sobie jego zawód i gorycz. I wyrzuty wobec ojca. Poczulałam się winna rozdrapywania starych ran.

Szłam powoli krętymi kwiecistymi ścieżkami, unikając turystów, zakochanych, spacerujących, uprawiających jogging, staruszków, miłośników kwiatów, amatorów taichi, grających w petanque, nastolatków, czytających i opalających się. Codzienne luksemburskie tłumy. A wśród nich tyle niemowląt, z których każde, rzecz jasna, na nowo kierowało moje myśli na maleństwo, które nosiłam w sobie.

Wcześniej tego dnia, przed wizytą u lekarza, rozmawiałam z Isabelle. Jak zwykle bardzo mnie wspierała. Tłumaczyła, że wybór należy do mnie, niezależnie od tego, u ilu psychiatrów i przyjaciół zasięgnę porady, niezależnie od tego, z czyjego patrzyłam punktu widzenia i czyje analizowałam argumenty. Wszystko sprowadzało się do mojej decyzji i przez to właśnie było jeszcze bardziej bolesne.

Wiedziałam jedno: za wszelką cenę należało uniknąć wkręcenia w to Zoe. Za kilka dni zaczną się wakacje i będzie mogła spędzić część lata z dziećmi Charli, Cooperem i Alexem, na Long Island, a kolejne tygodnie z moimi rodzicami w Nahant. W pewnym sensie odczuwałam ulgę. Oznaczało to, że ciąża zostanie przerwana podczas jej nieobecności. O ile w końcu zgodzę się na przerwanie ciąży.

Kiedy doszłam do domu, na moim biurku leżała duża beżowa koperta. Zoe, rozmawiająca przez telefon z przyjaciółką, krzyknęła ze swojego pokoju, że dozorczyńni przed chwilą ją przyniosła.

Żadnego adresu, jedynie moje inicjały napisane pospiesznie niebieskim tuszem.

Otworzyłam kopertę i wyciągnęłam wyblakłą czerwoną teczkę.

Widniało na niej imię: „Sarah”.

Od razu wiedziałam, co to jest. Dziękuję, Edouardzie, pomyślałam gorączkowo, dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Wewnątrz teczki znajdował się tuzin listów z datami od września 1942 do kwietnia 1952. Cienki niebieski papier. Równe krągłe litery. Przeczytałam wszystkie uważnie.

Pochodziły od niejakiego Jules’a Dufaure mieszkającego nieopodal Orleanu. Każdy krótki list dotyczył Sary. Jej rozwoju. Postępów w nauce. Zdrowia. Krótkie, grzeczne zdania: Sarah ma się dobrze. Uczy się w tym roku łaciny. Zeszłej wiosny przeszła ospę wietrzną. Sarah pojechała tego lata do Bretanii z moimi wnukami i odwiedziła górę Saint Michel.

Zakładałam, że Jules Dufaure był starszym panem, który ukrył Sarę po jej ucieczce z Beaune, a później zabrał dziewczynkę z powrotem do Paryża w dniu okropnego odkrycia w szafce. Ale dlaczego Jules Dufaure pisał do Andre Tezaca o Sarze? I to tak szczegółowo? Nie mogłam zrozumieć. Czy Andre o to poprosił?

Po czym znalazłam wyjaśnienie. Wyciąg z konta bankowego. Co miesiąc Andre Tezac zlecał przelew na konto państwa Dufaure, dla Sary. Zwróciłam uwagę, że suma była pokaźna. Trwało to przez dziesięć lat.

Przez dziesięć lat ojciec Edouarda starał się na swój sposób pomóc Sarze. Nie mogłam nie pomyśleć o wielkiej uldze, jaką poczuł Edouard, gdy odkrył drzemiące w sejfie tajemnice. Wyobraziłam sobie, jak czyta te same listy, co ja teraz, i dowiaduje się, co kryją. Oto długo oczekiwane odkupienie jego ojca.

Zwróciłam uwagę, że listy od Jules'a Dufaure były adresowane nie na rue de Saintonge, a do dawnego sklepu Andre na rue de Turenne. Ciekawe dlaczego.

Zapewne ze względu na Marne. Andre nie chciał, by się dowiedziała. Nie chciał też, by Sarah wiedziała, że regularnie przesyła pieniądze. Równe pismo pana Dufaure stwierdzało: Jak pan prosił, nie ujawniliśmy Sarze pańskich darów.

Na spodzie teczeki znalazłam szeroką kremową kopertę. Wyciągnęłam z niej kilka fotografii. Znajome lekko skośne oczy. Jasne włosy. Jak bardzo się zmieniła od czasów zdjęcia ze szkoły z czerwca czterdziestego drugiego. Epatowała niemal namacalnym smutkiem. Radość zniknęła na zawsze z jej twarzy. Nie była już dzieckiem. Wysoka, chuda młoda kobieta w wieku około osiemnastu lat. Te same smutne oczy, mimo uśmiechu. Na plaży towarzyszyło jej dwóch równie młodych mężczyzn. Odwróciłam fotografię. Staranne litery Jules'a: Trouville, 1950. Sarah z Gaspardem i Nicolasem Dufaure.

Pomyślałam o wszystkim, przez co przeszła. Vel' d'Hiv'. BeaunelaRolande.

Rodzice. Braciszek. Zbyt wiele, by mogło to znieść dziecko.

Byłam tak przejęta Sarą Starzyński, że nie poczułam, jak na ramieniu opiera mi się ręka Zoe.

- Mamo, co to za dziewczyna?

Szybko przykryłam fotografie kopertą, mamrocząc coś o zbliżającym się terminie oddania artykułu.

- No, ale kto to? - spytała.

- Nikt, kogo byś znała, kochanie - powiedziałam pospiesznie, udając, że robię porządek na biurku.

Westchnęła, po czym stwierdziła poważnym dorosłym głosem:

- Dziwnie się zachowujesz, mamo. Sądzisz, że nie wiem, że nie widzę. Ale ja wszystko widzę.

Odwróciła się i odeszła. Poczułam, jak zalewa mnie poczucie winy. Wstałam i dogoniłam córkę w jej pokoju.

- Masz rację, Zoe. Dziwnie się teraz zachowuję. Przepraszam. Nie zasłużyłaś na to.

Usiadłam na łóżku, niezdolna spojrzeć w mądre spokojne oczy córki.

- Dlaczego nie możesz ze mną po prostu porozmawiać, mamo? Powiedz, o co chodzi.

Czułam zbliżający się ból głowy. Jeden z tych mocniejszych.

- Myślisz, że nie rozumiem, bo mam tylko jedenaście lat, tak?

Kiwnęłam głową.

Córka wzruszyła ramionami.

- Nie ufasz mi, co?

- Oczywiście, że ci ufam. Jednak niektórych rzeczy nie mogę powiedzieć, gdyż są zbyt smutne, zbyt trudne. Nie chcę, aby cię bolały, tak jak bolą mnie.

Delikatnie dotknęła mojego policzka. Jej oczy błyszczały od wilgoci.

- Nie chcę, aby mnie bolały. Masz rację, nie mów mi. Nie będę mogła zasnąć, jeżeli będę wiedziała. Ale obiecaj, że niedługo będziesz się czuła lepiej.

Objęłam ją i mocno przycisnęłam. Moja piękna dzielna dziewczynka. Moja piękna córka. Jakie miałam szczęście, że ją urodziłam. Takie szczęście. Pomimo ataku bólu głowy moje myśli przeskoczyły z powrotem na nienarodzone dziecko. Siostrę albo brata Zoe. Nic nie wiedziała. Nic o tym, przez co teraz przechodziłam. Przygryzając wargę, powstrzymałam się od łez. Po jakimś czasie Zoe łagodnie mnie odepchnęła i spojrzała w oczy.

- Powiedz mi, kim jest ta dziewczyna. Ta z czarnobiałych fotografii, które próbowałaś przede mną ukryć.

- Dobrze. Ale to tajemnica. Obiecujesz, że nikomu nie powiesz?

Przytaknęła.

- Obiecuję. Daję słowo i tak dalej.

- Pamiętaj, jak mówiłam, że dowiedziałam się, kto mieszkał w mieszkaniu na rue de Saintonge, zanim wprowadziła się tam Marne?

Ponownie przytaknęła.

- Wspominałaś o polskiej rodzinie i dziewczynce w moim wieku.

- Nazywa się Sarah Starzyński. To jej zdjęcia. Zoe zmrużyła oczy.

- Ale dlaczego to tajemnica? Nie rozumiem.

- To tajemnica rodzinna. Stało się coś smutnego. Twój dziadek nie chce na ten temat rozmawiać. A ojciec nic o tym nie wie.

- Czy Sarze stało się coś złego? - spytała ostrożnie.

- Tak - odparłam cichym tonem. - Coś bardzo złego.

- Czy chcesz ją teraz znaleźć? - zapytała. Spoważniała po moich słowach.

- Tak.

- Dlaczego?

- Chcę jej wytłumaczyć, że nasza rodzina nie jest taka, jak myśli. Chcę wyjaśnić, co się stało. Sądzę, że nie wie, co twój pradziadek robił, by jej pomóc. Przez dziesięć lat.

- Jak jej pomagał?

- Przesyłał co miesiąc pieniądze. Jednak prosił, by jej o tym nie mówiono.

Zoe milczała przez chwilę.

- Jak zamierzasz ją znaleźć? Westchnęłam.

- Nie wiem, kochanie. Mam tylko nadzieję, że mi się uda. W tej teczce nie ma żadnych informacji o niej po roku pięćdziesiątym drugim. Ani jednego listu, ani fotografii. Żadnego adresu.

Zoe usiadła mi na kolanach, przyciskając się do mnie smukłymi plecami. Poczulałam zapach grubych lśniących włosów córki, charakterystyczną słodką woń, która zawsze przypominała mi jej wczesne dzieciństwo. Przyglądałam kilka odstających kosmyków.

Pomyślałam o Sarze Starzyński. Była w wieku Zoe, gdy jej życie zamieniło się w koszmar.

Zamknęłam oczy. Lecz wciąż widziałam scenę wyrywania matkom dzieci przez policjantów w BeaunelaRolande. Nie mogłam jej odpędzić.

Przycisnęłam Zoe tak mocno, że przez chwilę nie mogła oddychać.

Dziwne, co się dzieje z datami. Niemal ironiczne. Wtorek, szesnastego lipca dwa tysiące drugiego. Rocznica Vel' d'Hiv'. Oraz dokładna data planowanej aborcji. Miała mieć miejsce w jakiejś klinice, w której nigdy nie byłam, gdzieś w siedemnastej dzielnicy, niedaleko domu spokojnej starości Marne. Prosiłam o inny termin, uznawszy szesnasty lipca za datę zbyt brzemienną w znaczeniu, jednak okazało się to niemożliwe.

Zoe, świeżo po zakończeniu roku szkolnego, wyjechała na Long Island przez Nowy Jork ze swoją matką chrzestną, Alison, jedną z moich starych przyjaciółek z Bostonu, która często latała pomiędzy Manhattanem a Paryżem. Miałam dołączyć do swojej córki i rodziny Charli dwudziestego siódmego lipca. Bertrand nie zamierzał brać urlopu do sierpnia. Zazwyczaj spędzaliśmy parę tygodni w Burgundii w starym domu Tezaców. Nigdy do niego nie przywykłam na tyle, by móc się w pełni cieszyć spędzanymi tam wakacjami. Teściowie byli bardzo sztywni. Posiłki trzeba było jeść o czasie, rozmowy utrzymywać na poziomie, dzieci i ryby głosu nie miały.

Zastanawiałam się, dlaczego Bertrand zawsze nalegał, abyśmy jechali tam, zamiast spędzić wakacje w trójkę. Na szczęście Zoe dobrze się dogadywała z chłopcami Laurę i Cecile, a Bertrand rozgrywał kolejne partie tenisa ze swoimi szwagrami. Ja jak zwykle czułam się pozostawiona poza nawiasem. Laurę i Cecile jak co roku utrzymywały dystans. Zapraszały swoje rozwiedzione przyjaciółki i leżały godzinami nad basenem, pilnie się opalając. Chodziło o to, by mieć brązowe piersi. Nawet po piętnastu latach nie mogłam do tego przywyknąć. Nigdy nie odsłaniałam swoich. Miałam wrażenie, że śmiano się ze mnie za moimi plecami za bycie prude Americaine, pruderyjną Amerykanką. Zatem większość czasu spędzałam w lesie na spacerach z Zoe, jeźdźeniu do upadłego na rowerze, aż poznałam okolicę na wylot, i na pływaniu nienagannym motylkiem, podczas gdy pozostałe panie leniwie paliły papierosy i opalały się w swoich minimalistycznych strojach kąpielowych marki Eres, które nigdy nie stykały się z wodą.

- To po prostu zazdrosne francuskie babsztyle. Wyglądasz zdecydowanie za dobrze w bikini - śmiał się Christophe, kiedy zaczynałam narzekać na te nieprzyjemne tygodnie lata. - Rozmawiałyby z tobą, gdybyś była pokryta cellulitem i żyłakami.

Rozśmieszał mnie do łez, jednak nie mogłam mu do końca uwierzyć. Mimo to uwielbiałam piękno okolicy, stary cichy dom, w którym zawsze było chłodno, nawet podczas największych upałów, pełen starych dębów rozległy ogród i widok na wijącą się rzekę Yonne. Oraz położony nieopodal las, do którego chodziłam z Zoe na długie spacery, wspólnie fascynowałam się śpiewem ptaka, gałęzią o nietypowym kształcie czy mętnym blaskiem ukrytego bagna.

Mieszkanie na rue de Saintonge miało według Bertranda i Antoine'a być gotowe na początku września. Bertrand z ekipą świetnie się spisali. Jednak na razie nie wyobrażałam sobie mieszkania tam, mając przed oczami tę wojenną historię. Ścianę wyburzono, ale pamiętałam ukrytą głęboką szafkę. Szafkę, w

której Michel czekał na powrót siostry. Na próżno.

Historia mieszkania nieustannie mnie prześladowała. Musiałam przyznać, że wcale się nie cieszyłam ze zbliżającej perspektywy przeprowadzki. Przerazała mnie wizja spędzania nocy w nowym domu. Nie chciałam się jeszcze bardziej pogrążyć w przeszłości, lecz nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak mogłabym tego uniknąć.

Ciężko było nie móc rozmawiać na ten temat z Bertrandem. Potrzebowałam jego trzeźwego spojrzenia, chciałam usłyszeć, że mimo takiej trudnej sytuacji damy radę, znajdziemy jakiś sposób. Nie mogłam nic powiedzieć. Obiecałam jego ojcu.

Ciekawe, co by Bertrand myślał o całej sprawie. A jego siostry? Spróbowałam sobie wyobrazić reakcję Cecile i Laurę. Reakcję Marne. Nie potrafiłam. Francuzi byli zamknięci w sobie niczym małże. Nie wolno było niczego pokazać, nic odkryć.

Wszystko powinno pozostać nienaruszone, niewzruszone. Tak już było. Od zawsze. I coraz trudniej mi się z tym żyło.

Po wyjeździe Zoe do Ameryki mieszkanie sprawiało wrażenie pustego. Spędzałam więcej czasu w biurze, pracując nad dowcipnym tekstem o młodych francuskich pisarzach i paryskiej scenie literackiej do wrześniowego numeru. Było to ciekawe i czasochłonne zajęcie. Co wieczór coraz trudniej było mi wyjść z biura. Wizja pustych i cichych pokoi wcale mnie nie kusila. Wracałam okrężną drogą do domu, delektując się tym, co Zoe nazywała „długimi skrótami mamy”, cieszyłam się agresywnym pięknem miasta o zachodzie słońca. Paryż od połowy lipca zaczynał nabierać tego wspaniałego opuszczonego wyglądu. Witryny sklepów były zasłaniane żelaznymi kratami z napisami: „Zamknięte na czas wakacji, ponowne otwarcie pierwszego września”. Musiałam pokonywać dłuższe dystanse, by znaleźć otwartą aptekę, sklep spożywczy, piekarnię czy pralnię. Paryżanie wyjeżdżali na letni odpoczynek, pozostawiając miasto niestrudżonym turystom. Gdy wracałam do domu w te aksamitne lipcowe

wieczory, idąc prosto z ChampsElysees do Montparnasse, czułam, że pozbawiony paryżan Paryż w końcu należy do mnie.

Tak, uwielbiałam Paryż, od zawsze go uwielbiałam, jednak kiedy spacerowałam o zmierzchu wzdłuż Pont Alexandre III z widokiem na błyszczącą niczym wielki klejnot kopułę Invalides, tęskniłam za Stanami do tego stopnia, że czułam przeszywający do szpiku kości ból. Tęskniłam za domem - tym, co musiałam nazywać domem, mimo że mieszkałam we Francji przez ponad połowę życia. Brakowało mi luzu, wolności, przestrzeni, swobody, języka, możliwości zwrócenia się do każdego per „you” bez konieczności wchodzenia w skomplikowane „vous” i „tu”, których nigdy do końca nie opanowałam. Musiałam to przyznać: tęskniłam za siostrą i rodzicami, tęskniłam za Ameryką. Bardziej niż kiedykolwiek.

Zbliżałam się do ponurego brązu górującej nad wszystkim Tour Montparnasse, którą paryżanie uwielbiali wyśmiewać (za to ja lubiłam, gdyż dzięki niej mogłam trafić do siebie z każdej dzielnicy). Nagle zaczęłam się zastanawiać, jak wyglądał Paryż podczas okupacji. Paryż Sary. Szarozielone mundury i okrągłe hełmy. Nieubłagana godzina policyjna i ausweiss, karty tożsamości. Niemieckie znaki z gotyckimi literami. Wielkie swastyki zwisające z dostojnych kamiennych budynków.

Oraz dzieci z przyszytymi do ubrań żółtymi gwiazdami.

Klinika była bogato i wygodnie urządzona. Na każdym kroku spotykało się uśmiechnięte pielęgniarki, uprzejme recepcjonistki i wszędzie stały starannie dobrane kwiaty. Aborcja miała mieć miejsce następnego ranka o siódmej. Poproszono mnie, bym przyszła wieczorem dzień wcześniej, piętnastego lipca. Bertrand pojechał do Brukseli załatwić ważny kontrakt. Nie nalegałam, by mi towarzyszył. Z jakiegoś powodu czułam się lepiej bez męża. Samej łatwiej było się przyzwyczaić do pomalowanego w ciepłe kolory pokoju, co było nieco zaskakujące, biorąc pod uwagę, że Bertrand stanowił nieodłączną część mojego życia. Niemniej oto tutaj przechodziłam przez najpoważniejszy kryzys życia

sama i odczuwałam ulgę z powodu jego nieobecności.

Poruszałam się niczym robot, automatycznie składając ubrania, kładąc szczoteczkę do zębów na półce nad umywalką, patrząc przez okno na fasady budynków po drugiej stronie cichej ulicy. Co, do diabła, wyrabiasz, szeptał głos w mojej głowie, na który od rana starałam się nie zwracać uwagi. Oszalałaś? Naprawdę chcesz to zrobić?

Nikommu nie powiedziałam o swojej ostatecznej decyzji. Nikomu poza Bertrandem.

Nie chciałam myśleć o rozanielonym uśmiechu męża, gdy usłyszał, że to zrobię, o tym, jak mnie przytulił do siebie, całując w czubek głowy z nieopanowanym zapałem.

Usiadłam na wąskim łóżku i wyjęłam z torby teczkę Sary. To jedyna osoba, o której byłam w stanie teraz myśleć. Odnalezienie jej wydawało się niemal świętą misją, jedynym sposobem, by nie stracić głowy i odpędzić smutek, w którym ostatnio pogrzyżyło się moje życie. Znaleźć, ale jak? W książce telefonicznej nie było żadnej Sary Dufaure ani Sary Starzyński. To byłoby za łatwe. Adres na listach Jules'a Dufaure nie był już aktualny. Postanowiłam więc wysledzić jego dzieci lub wnuki, młodych mężczyzn z fotografii z Trouville: Gasparda i Nicolasa Dufaure, mężczyzn, którzy mieliby teraz po sześćdziesiąt parę lub siedemdziesiąt lat, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Niestety Dufaure było popularnym nazwiskiem. W okolicach Orleanu były ich setki.

A to oznaczało, że musiałam zadzwonić do każdego. Ślęczałam nad tym zadaniem przez poprzedni tydzień, spędzając godziny w sieci, studiując książki telefoniczne; dzwoniłam, ale ciągle spotykał mnie zawód.

Za to tego ranka rozmawiałam z niejaką Nathalie Dufaure, sądząc po numerze telefonu zamieszkałą w Paryżu. Po drugiej stronie usłyszałam radosny młody głos.

Powtórzyłam to, co mówiłam w kółko kolejnym podnoszącym telefon nieznajomym:

- Nazywam się Julia Jarmond, jestem dziennikarką i próbuję odnaleźć panią Sarę Dufaure, urodzoną w 1932. Jedyne imiona, jakie znam, to Gaspard i Nicolas Dufaure...

Przerwała mi: Tak, Gaspard Dufaure jest jej dziadkiem. Mieszka w AscheresleMarche, nieopodal Orleanu. Ma zastrzeżony numer. Ścisnęłam słuchawkę z całej siły.

Spytałam, czy Nathalie może pamiętać coś na temat Sary Dufaure? Młoda kobieta roześmiała się. Był to przyjemny śmiech. Wyjaśniła, że urodziła się w 1982 i nie wie zbyt wiele o dzieciństwie dziadka. Nie, nigdy nie słyszała o Sarze Dufaure.

Przynajmniej nic konkretnego sobie nie przypominała. Może zadzwonić do dziadka, jeżeli tego chce. Był raczej szorstki w obyciu i nie lubił telefonów, ale mogła to zrobić i do mnie oddzwonić. Poprosiła o mój numer. Po czym spytała:

- Jest pani Amerykanką? Bardzo mi się podoba pani akcent.

Czekałam na telefon przez cały dzień. Bez rezultatu. Ciągle sprawdzałam komórkę, upewniając się, że baterie są naładowane, że jest włączona. Wciąż nic. Być może Gaspard Dufaure nie był zainteresowany rozmową na temat Sary z dziennikarką.

Może nie byłam dostatecznie przekonywająca. Może byłam zbyt przekonywająca.

Może nie powinnam była mówić, że jestem dziennikarką. Powinnam się przedstawić jako znajoma rodziny. Ale nie, nie mogłam tego powiedzieć. To nie była prawda. Nie mogłam, nie chciałam kłamać.

AscheresleMarche. Sprawdziłam na mapie. Niewielka miejscowość w połowie drogi pomiędzy Orleanem a Pithiviers, siostrzanym obozem BeaunelaRolande. To nie był dawny adres Jules'a i Genevieve. Zatem to nie tam

Sarah spędziła dziesięć lat swojego życia.

Zaczynałam się niecierpliwić. Czy powinnam ponownie zadzwonić do Nathalie Dufaure? Gdy się nad tym zastanawiałam, zadzwoniła komórka. Złapałam ją i wydyszałam: „Alló?”. Dzwonił mój mąż z Brukseli. Poczułam ukłucie zawodu.

Zdałam sobie sprawę, że nie chcę rozmawiać z Bertrandem. Co mogłam mu powiedzieć?

Noc była krótka i niespokojna. O świcie pojawiła się pielęgniarka ze złożoną koszulą szpitalną z niebieskiego papieru. Będzie mi potrzebna do „operacji” - uśmiechnęła się opiekuńczo. Przyniosła też niebieski czepek i pantofle z tego samego materiału.

Powiedziała, że przyjdzie po mnie za pół godziny, po czym zostanie zawieziona prosto do sali operacyjnej. Przypomniała, nie zdejmując z twarzy pokrzepiającego uśmiechu, że ze względu na narkozę nie wolno mi niczego pić ani jeść. Wyszła, zamykając delikatnie drzwi. Byłam ciekawa, ile kobiet obudzi tego ranka z tym samym uśmiechem; ile ciężarnych kobiet miało mieć dziecko wyskrobane ze swojego łona. Tak jak ja.

Pokornie włożyłam koszulę. Papier drażnił mi skórę. Nie było nic do roboty poza czekaniem. Włączyłam telewizję i przełączyłam na LCI, całodobowy kanał wiadomości. Oglądałam, nie skupiając się na tym, co się dzieje na ekranie. Byłam otępiała. Miałam pustkę w głowie. Za jakąś godzinę będzie po wszystkim. Czy byłam na to gotowa? Czy dam sobie z tym radę? Czy mam dość siły? Nie byłam zdolna odpowiedzieć na te pytania. Mogłam tylko leżeć w papierowej koszuli i papierowym czepku i czekać. Czekać, aż zostanie zawieziona do sali operacyjnej. Czekać, aż zostanie uszpanowana. Czekać, aż lekarz zrobi swoje. Nie chciałam myśleć o konkretnych ruchach, jakie będzie wykonywał wewnątrz mnie, pomiędzy moimi rozwartymi udami. Szybko zablokowałam te myśli, skupiając się na zamasztych gestach wymanikiurowanych rąk smukłej blondynki przed pokrytą okrągłymi

uśmiechniętymi słoneczkami mapą Francji. Przypomniałam sobie ostatnią sesję u terapeuty tydzień temu. Ręka Bertranda na moim kolanie. „Nie, nie chcemy tego dziecka. Oboje się co do tego zgadzamy”. Ja milczałam. Terapeuta spojrział na mnie. Czy przytaknęłam? Nie mogłam sobie przypomnieć. Pamiętałam, że czułam się uśpiona, zahipnotyzowana. Następnie Bertrand w samochodzie: „To była właściwa decyzja, amour. Zobaczysz. Wkrótce będzie po wszystkim”. I gorący namiętny pocałunek męża.

Blondynka znikła. Pojawił się prezenter i zabrzmiała znajoma muzyczka wiadomości.

„Dziś, szesnastego lipca dwa tysiące drugiego roku, mija sześćdziesiąta rocznica wydarzeń Velodrome d’Hiver, kiedy to francuska policja aresztowała tysiące żydowskich rodzin. To mroczna strona francuskiej historii”.

Pospiesznie zrobiłam głośniej. Gdy kamera najeżdżała na rue Nelaton, pomyślałam o Sarze, gdziekolwiek by teraz była. Pamiętałaby dzisiejszą datę. Nie trzeba jej było przypominać. Nigdy. Tak jak wszystkie rodziny, które straciły ukochanych, nie mogła zapomnieć szesnastego lipca. Tego dnia podniosłaby rano powieki cięższe od bólu niż we wszystkie pozostałe dni. Chciałam się odezwać do niej, do nich, do wszystkich tych ludzi - ale jak? pomyślałam, czując się bezradna, beznadziejna - chciałam krzyknąć, zawołać, że wiem, że pamiętam, że nigdy nie zapomnę.

Kilka osób spośród tych, które przetrwały - niektóre już spotkałam i przeprowadziłam z nimi wywiady - pokazano przed tabliczką z informacjami na temat Vel’ d’Hiv’. Zdałam sobie sprawę, że nie widziałam bieżącego numeru „Scen znad Sekwany”, w którym znajdował się mój artykuł. Był w kioskach od dzisiaj.

Postanowiłam zostawić wiadomość na komórce Bambara i poprosić, by przesłał jeden egzemplarz do kliniki. Włączyłam telefon, nie odrywając wzroku od telewizora. Na ekranie pojawiła się poważna twarz Francka Levy’ego. Mówił o rocznicy. Obchody miały być bardziej doniosłe niż w zeszłych latach - zwrócił

uwagę. Telefon zapiszczał, informując mnie, że mam wiadomości w poczcie głosowej. Pierwszą zostawił Bertrand późną nocą; mówił, że mnie kocha.

Następna była od Nathalie Dufaure. Przepraszała, że dzwoni tak późno, jednak nie mogła wcześniej. Miała dobre wiadomości: jej dziadek chciał się ze mną spotkać, powiedział że może wszystko opowiedzieć o Sarze Dufaure. Wydawał się tak podniecony, że wzbudził również ciekawość Nathalie. Żywy głos z telefonu zagłuszał jednostajną mowę Francka Levy'ego: „Jeśli pani chce, mogę panią zabrać do Ascheres już jutro, we wtorek. Pojechałybyśmy moim samochodem. Jestem naprawdę ciekawa, co dziadzio ma do powiedzenia. Proszę zadzwonić, to się umówimy”.

Serce biło mi jak oszalałe, czułam wręcz ból w piersi. Na ekranie ponownie pojawił się prezenter, przedstawiając kolejny temat. Było za wcześnie, by zadzwonić do Nathalie Dufaure. Będę musiała poczekać jeszcze kilka godzin. Moje stopy skakały niecierpliwie w papierowych pantoflach. „... wszystko opowiedzieć o Sarze Dufaure”. Co Gaspard Dufaure miał do powiedzenia? Czego się dowiem?

Z zamyślenia wyrwało mnie pukanie do drzwi. Szeroki uśmiech pielęgniarki gwałtownie przywołał mnie z powrotem do rzeczywistości.

- Pani kolej, madame - powiedziała żwawo, pokazując w uśmiechu zęby i dziąsła.

Usłyszałam pisk gumowych kółek wózka za drzwiami. Nagle wszystko stało się jasne. Nigdy nie było równie oczywiste, równie proste. Wstałam i stanęłam naprzeciwko pielęgniarki.

- Przykro mi - oznajmiłam cichym głosem. - Zmieniłam zdanie.

Ściągnęłam papierowy czepek. Patrzyła na mnie, nawet nie mrugając.

- Ależ, madame... - zaczęła.

Rozerwałam papierową koszulę. Pielęgniarka odwróciła zaskoczony wzrok od mojej nagości.

- Lekarze czekają - stwierdziła.

- Nie obchodzi mnie to - oznajmiłam zdecydowanie. - Nie chcę tego robić. Chcę mieć to dziecko.

Usta pielęgniarki zadrżały z oburzenia.

- Poślę natychmiast po lekarza.

Odwróciła się i odeszła. Zabrzmiał stukot sandałów o wykładzinę; w krokach słyhać było dezaprobatę. Włożyłam przez głowę dzinsową sukienkę, wsunęłam stopy w buty, złapałam torebkę i wyszłam z pokoju. Kiedy zbiegałam po schodach, mijając zaskoczone pielęgniarki niosące tacki ze śniadaniami, zdałam sobie sprawę, że zostawiłam szczotkę do zębów, ręczniki, szampon, mydło, dezodorant, zestaw do makijażu i krem do twarzy w łazience. Co z tego, pomyślałam, wychodząc przez schludne czyściutkie wejście, co z tego! Co z tego!

Na ulicy nie było nikogo, chodnik lśnił na sposób specyficzny dla Paryża wczesnym rankiem. Zawołałam taksówkę i pojechałam do domu.

Szesnasty lipca dwa tysiące drugiego.

Moje dziecko. Moje dziecko było bezpieczne. Chciało mi się śmiać i płakać. Tak też zrobiłam. Kierowca zerkał parokrotnie w lusterko, ale nie obchodziło mnie to.

Urodzę to dziecko.

Oszacowałam liczbę osób zgrupowanych przy brzegu Sekwany na około dwa tysiące.

Przy moście BirHakeim stali ci, którzy przetrwali, rodziny, dzieci, wnuki, rabinowie, prezydent miasta, premier, minister obrony, liczni politycy, dziennikarze, fotografowie, Franek Levy. Tysiące kwiatów, białe podium. Całość robiła wrażenie.

Guillaume stał obok mnie z poważną miną i spuszczonejmi oczami.

Przelotnie przypomniałam sobie starszą panią z rue Nelaton. Co takiego powiedziała?

„Nikt nie pamięta. Dlaczego mieliby pamiętać? To były najobrzydliwsze

karty w historii naszego kraju”.

Nagle zapragnęłam ją tutaj zobaczyć patrzącą na setki milczących, przejętych twarzy dookoła. Z podium śpiewała piękna kobieta w wieku średnim z gęstymi kasztanowatymi włosami. Czysty głos wznosił się ponad ryk ruchu ulicznego. Kiedy skończyła, premier rozpoczął przemówienie.

- Sześćdziesiąt lat temu, tutaj, w Paryżu, lecz również w pozostałych częściach Francji, rozpoczęła się straszliwa tragedia. Marsz ku okropieństwom nabierał tempa.

Cień szoah już padał na niewinnych ludzi zgromadzonych w Velodrome d’Hiver. Jak co roku zgromadziliśmy się tutaj, aby pamiętać. Abyśmy nie zapomnieli o prześladowaniach, aresztowaniach i brutalnym przekreślaniu losów tak wielu francuskich Żydów.

Staruszek po mojej lewej wyjął z kieszeni chustkę i zaczął bezgłośnie łkać. Sercem byłam z nim. Zastanawiałam się, kogo oplakuje. Kogo stracił? Podczas gdy premier mówił dalej, krążyłam wzrokiem po tłumie. Czy był tu ktoś, kto znał i pamiętał Sarę Starzyński? Czy sama też tu była? Teraz, w tej chwili? Czy była tu z mężem, dzieckiem, wnukiem? Za mną, przede mną? Ostrożnie wypatrywałam kobiety około siedemdziesiątki, patrząc po pełnych zmarszczek poważnych twarzach i szukając lekko skośnych zielonych oczu. Jednak czułam się nieswojo, gapiąc się na pogrążonych w smutku nieznanym. Opuściłam wzrok. Głos premiera zdawał się nabierać siły i wyrazistości, grzmiał dookoła.

- Prawdą jest, że Vel’ d’Hiv’, Drancy i wszystkie obozy funkcjonujące jako przedsionki śmierci były kierowane i strzeżone przez Francuzów, którzy również je założyli. Prawdą jest, że pierwszy akt szoah odbył się właśnie tutaj, przy współdziałaniu francuskiego państwa.

Liczne twarze dookoła mnie sprawiały wrażenie spokojnych, wsłuchanych w słowa premiera. Przyglądałam się im, podczas gdy donośny głos dalej rozbrzmiewał dookoła. Jednak w każdej z tych twarzy widoczny był

smutek. Smutek, który nigdy do końca nie zniknie. Brawa po tym, jak premier zamilkł, długo nie ustawały.

Zauważyłam, że ludzie płaczą i ściskają się nawzajem.

Podeszłam z Guillaume'em do Francka Levy'ego trzymającego pod pachą kopię

„Scen znad Sekwany”. Przywitał mnie ciepło i przedstawił kilku innym dziennikarzom. Parę chwil później rozstaliśmy się. Powiedziałam Guillaume'owi, że dowiedziałam się, kim byli poprzedni lokatorzy mieszkania Tezaców i w pewien sposób zbliżyło mnie to do mojego teścia, który dotrzymywał mrocznej tajemnicy przez ponad sześćdziesiąt lat. Dodałam, że teraz pragnę odnaleźć Sarę, dziewczynkę, która uciekła z BeaunelaRolande.

W ciągu pół godziny miałam się spotkać z Nathalie Dufaure przed stacją metra Pasteur, skąd zamierzała mnie zawieźć do Orleanu i swojego dziadka. Guillaume pocałował mnie po przyjacielsku i uściskał, życząc mi szczęścia.

Przechodząc przez ruchliwą aleję, gładziłam dłonią brzuch. Gdybym nie wyszła tego ranka z kliniki, odzyskiwałabym teraz przytomność w przytulnym brzoskwiniowym pokoiku pod nadzorem szeroko uśmiechniętej pielęgniarki. Skromne śniadanie: rogalik, dżem i cafe cm lait, a po południu wypisanie z placówki i samotny spacer nieco nierównym krokiem z powodu grubej podpaski między nogami i tępego bólu w dolnej części brzucha. Oraz pustki w umyśle i sercu.

Bertrand nie odezwał się ani słowem. Czy zadzwoniono do niego z kliniki, by powiadomić, że wyszłam przed aborcją? Nie wiedziałam. Był wciąż w Brukseli, miał wrócić wieczorem.

Zastanawiałam się, jak o tym powiem mężowi. Jak to zniesie.

Idąc wzdłuż alei Emila Zoli i starając się nie spóźnić na spotkanie z Nathalie Dufaure, zadawałam sobie pytania: czy wciąż interesuje mnie, co Bertrand myśli, co Bertrand czuje? Przestraszyłam samą siebie takimi myślami.

Kiedy wczesnym wieczorem wróciłam z Orleanu, w mieszkaniu

wydawało się być duszno i gorąco. Podeszłam do okna, otworzyłam je i wyjrzałam na hałaśliwy boulevard du Montparnasse. Trudno było sobie wyobrazić, że przeprowadzka na cichą rue de Saintonge zbliża się wielkimi krokami. Spędziliśmy tutaj dwanaście lat.

Zoe nigdy nie mieszkała gdzie indziej. Przeszło mi przez myśl, że to będzie nasze ostatnie lato w tym mieszkaniu. Przywiązałam się do tego miejsca, do słońca wpadającego każdego popołudnia do dużego pokoju z białymi ścianami, do położonego nieopodal Ogrodu Luksemburskiego na rue Vavin, do wygody mieszkania w jednej z najbardziej żywych dzielnic Paryża, jednym z miejsc, w którym rzeczywiście czuje się szybki, ekscytujący puls miasta.

Zrzuciłam sandały ze stóp i położyłam się na miękkiej beżowej kanapie. Wydarzenia, które miały miejsce w ciągu dnia, przytłaczały mnie. Zamknęłam oczy, lecz natychmiast zostałam przywołana z powrotem do rzeczywistości przez telefon.

Dzwoniła siostra ze swojego biura z widokiem na Central Park. Wyobraziłam ją sobie za obszernym biurkiem, z osadzonymi na czubku nosa okularami do czytania.

W skrócie wytłumaczyłam, że nie poddałam się aborcji.

- O Boże - szepnęła Charla - nie zrobiłaś tego.

- Nie mogłam. To było niemożliwe.

Słyszałam jej uśmiech przez telefon - ten szeroki, zniewalający uśmiech.

- Jesteś dzielną, wspaniałą dziewczyną - powiedziała. - A ja jestem z ciebie dumna.

- Bertrand jeszcze nie wie. Wróci dopiero późnym wieczorem. Pewnie sądzi, że to zrobiłam.

Transatlantycka pauza.

- Ale mu powiesz, prawda?

- Oczywiście. Kiedyś i tak bym musiała.

Po rozmowie z siostrą leżałam przez długi czas na kanapie, trzymając

rękę na brzuchu, jakbym go chciała przed czymś ochronić. Po trochu czułam, jak odzyskuję siły.

Jak zwykle myślałam o Sarze Starzyński i o tym, co teraz wiedziałam. Nie musiałam nagrywać rozmowy z Gaspardem Dufaure. Ani niczego notować. Miałam wszystko zapisane w głowie.

Niewielki schludny dom na obrzeżach Orleanu. Starannie wypielone rabatki. Stary ospały pies ze słabym wzrokiem. Przy zlewie siekająca warzywa starsza pani, która skinęła mi głową na powitanie, kiedy weszłam do środka.

Szorstki głos Gasparda Dufaure. Pokryta niebieskimi żyłami ręka głaszcząca psa po głowie. I jego słowa:

- Wiedzieliśmy z bratem, że podczas wojny były kłopoty. Ale byliśmy wtedy mali, nie pamiętaliśmy, o jakie kłopoty chodziło. Dopiero gdy dziadkowie zmarli, dowiedziałem się od ojca, że Sarah Dufaure tak naprawdę miała na nazwisko Starzyński i była Żydówką. Dziadkowie ukrywali ją przez te wszystkie lata. Miała w sobie coś smutnego - nie śmiała się często i nie była zbyt towarzyska. Trudno było się z nią dogadać. Powiedziano nam, że została adoptowana przez dziadków, bo została osierocona podczas wojny. Tyle wiedzieliśmy. Ale gołym okiem było widać, że jest inna. Gdy szła z nami do kościoła, jej wargi się nie ruszały podczas Ojciec nasz.

Nigdy się nie modliła. Nigdy nie przystąpiła do komunii. Patrzyła przed siebie z niezmiennym wyrazem twarzy, który mnie nieco przerażał. Dziadkowie uśmiechali się wtedy do nas i mówili, żeby ją zostawić w spokoju. Rodzice robili to samo.

Powoli Sarah stawała się częścią naszego życia, starszą siostrą, której nigdy nie mieliśmy. Urosła na piękną, melancholijną dziewczynę. Była bardzo poważna i dojrzała jak na swoje lata. Czasami po wojnie jeździliśmy z rodzicami do Paryża, ale

Sarah ani razu nie chciała nam towarzyszyć. Mówiła, że nienawidzi Paryża i nigdy nie chce tam wrócić.

- Czy kiedyś wspomniała o swoim bracie? Rodzicach? - spytałam.

Gaspard pokręcił głową.

- Nigdy. O bracie i o tym, co się stało, usłyszałem od ojca czterdzieści lat temu.

Kiedy z nami mieszkała, nic na ten temat nie wiedziałem.

Wysoki głos Nathalie Dufaure wciął się w rozmowę.

- Co się stało z bratem?

Gaspard Dufaure rzucił okiem na swoją zafascynowaną wnuczkę, wsłuchującą się w każde słowo. Następnie spojrzał na żonę, która nie powiedziała ani słowa od początku rozmowy, tylko przypatrywała się dobrotliwie.

- Opowiem ci kiedy indziej, Natou. To bardzo smutna historia. Długa przerwa.

- Monsieur Dufaure - powiedziałam - muszę wiedzieć, gdzie teraz jest Sarah Starzyński. Dlatego do pana przyjechałam. Czy może mi pan pomóc?

Gaspard Dufaure podrapał się w głowę i spojrzał na mnie pytająco.

- Za to ja muszę wiedzieć, mademoiselle Jarmond - uśmiechnął się szeroko - dlaczego jest to dla pani takie ważne.

Telefon ponownie wyrwał mnie z zadumy. Tym razem dzwoniła Zoe z Long Island.

Świetnie się bawiła, pogoda była w porządku, opaliła się, jeździła na nowym rowerze, kuzyn Cooper był „spoko”, ale za mną tęskniła. Powiedziałam, że również tęsknię i dołączę za niecałe dziesięć dni. Wtedy zniżyła głos i spytała, czy zrobiłam jakieś postępy w poszukiwaniach Sary Starzyński. Musiałam się uśmiechnąć na dźwięk jej poważnego tonu. Odparłam, że owszem, zdołałam poczynić pewne postępy i wkrótce się o nich dowie.

- Ale, mamó, jakie postępy? - powiedziała gorączkowo. - Muszę wiedzieć! Teraz!

- No dobrze - poddałam się entuzjizmowi córki. - Spotkałam się dzisiaj z

panem, który ją dobrze znał, gdy była młodą dziewczyną. Powiedział, że Sarah w pięćdziesiątym drugim wyjechała z Francji do Nowego Jorku, aby zostać nianią w amerykańskiej rodzinie.

Triumfalny okrzyk po stronie Zoe.

- Czyli jest w Stanach?

- Chyba tak. Krótka pauza.

- Jak ją znajdziesz w Stanach, mamó? - spytała nieco mniej radosnym tonem. - To dużo większy kraj niż Francja.

- Bóg wie, kochanie - westchnęłam. Posłałam przez telefon gorące całusy i się rozłączyłam.

Za to ja muszę wiedzieć, mademoiselle Jarmond, dlaczego jest to dla pani takie ważne. Postanowiłam pod wpływem impulsu powiedzieć Gaspardowi Dufaure prawdę. Jak Sarah Starzyński pojawiła się w moim życiu. Jak odkryłam jej straszliwą tajemnicę. Jak była powiązana z moimi teściami. Jak, odkąd dowiedziałam się o wydarzeniach z lata czterdziestego drugiego (zarówno tych publicznych: Vel' d'Hiv', BeaunelaRolande, jak i prywatnych: śmierci małego Michela Starzyńskiego w mieszkaniu Tezaców), odnalezienie Sary było dla mnie bardzo ważnym celem, który z całej siły starałam się osiągnąć.

Gaspard Dufaure był zdziwiony moją zaciętością. Dlaczego chciałam ją odnaleźć, po co, pytał, trzęsąc posiwiałą głową. Odparłam: aby powiedzieć, że nie jesteśmy obojętni, że nie zapomnieliśmy. My - uśmiechnął się - kim byli ci my: rodzina mojego męża, naród francuski? Odpowiedziałam szybko, nieco zdenerwowana jego uśmiechem: nie, ja, ja, to ja chciałam powiedzieć, że jest mi przykro, że nie mogę zapomnieć o aresztowaniach, o obozie, o śmierci Michela i o bezpośrednim pociągu do Oświęcimia, który zabrał rodziców Sary na zawsze. Za co jest mi przykro - spytał - czemu mnie, Amerykance, miałoby być przykro, czy moi rodacy nie wyzwolili Francji w czerwcu czterdziestego czwartego? Nie miałam powodów, aby mi było przykro - roześmiał się.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Chcę przeprosić za to, że nie wiedziałam. Jest mi przykro, że miałam czterdzieści pięć lat i nie wiedziałam.

-

Sarah wyjechała z Francji do Stanów pod koniec pięćdziesiątego drugiego.

- Dlaczego do Ameryki? - spytałam.

- Tłumaczyła, że musi wyjechać gdzieś, gdzie Holokaust nie odcisnął swojego piętna w takim stopniu jak we Francji. Bardzo nas to wszystkich zasmuciło. Szczególnie dziadków. Kochali Sarę jak córkę, której nigdy nie mieli. Ale nie dała się przekonać.

Wyjechała. I nigdy nie wróciła. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

- Co się z nią stało? - Brzmiałam jak Nathalie, w moim głosie słychać było takie samo podniecenie i zapal.

Gaspard Dufaure westchnął i wzruszył ramionami. Wcześniej wstał, by wziąć od żony przygotowaną dla mnie kolejną filiżankę mocnej, gorzkiej kawy, a za nim poszedł wierny ślepy pies. Wnuczka państwa Dufaure nie odzywała się, siedząc z podwiniętymi nogami na fotelu i patrząc z podziwem to na mnie, to na dziadka.

Będzie to pamiętała, myślałam. Wszystko zapamięta.

Stękając, Gaspard podał mi filiżankę i usiadł. Rozejrzał się po niewielkim pokoju, wyblakłych fotografiach, wysłużonych meblach. Podrapał się po głowie i westchnął.

Czekałam. Nathalie czekała. W końcu przemówił.

Sarah nie odezwała się ani razu od pięćdziesiątego piątego.

- Napisała do dziadków kilka listów. Rok później przysłała kartkę z informacją, że wychodzi za mąż. Pamiętam, jak ojciec mówił, że Sarah wychodzi za jankesa. - Uśmiechnął się. - Bardzo się cieszyliśmy z jej szczęścia. Ale potem wszelkie telefony i listy ustały. Na zawsze. Dziadkowie próbowali ją odnaleźć. Robili, co mogli: dzwonili do Nowego Jorku, pisali listy, wysyłali

telegramy. Usiłowali odnaleźć męża Sary. Bez skutku. Znikła. To było dla dziadków straszne. Czekali i czekali, rok po roku, na jakiś znak, telefon, kartkę. Nic nie nadeszło. Dziadek zmarł we wczesnych latach sześćdziesiątych, a chwilę później babka. Wydaje mi się, że mieli złamane serca.

- Twoi dziadkowie mogliby zostać „sprawiedliwymi wśród narodów świata” - powiedziałam.

- Co to znaczy? - spytał zdziwiony.

- Instytut Jad waSzem w Jerozolimie odznacza medalami osoby niebędące Żydami, które ratowały Żydów podczas wojny. Odznaczenie można również uzyskać pośmiertnie.

Odchrząknął, patrząc w inną stronę.

- Niech ją pani tylko znajdzie. Proszę odnaleźć Sarę, mademoiselle Jarmond, i powiedzieć, że za nią tęsknię. Mój brat Nicolas również. Proszę jej powiedzieć, że przesyłamy wiele miłości.

Zanim wyszłam, podał mi list.

- Moja babka napisała to do ojca po wojnie. Może zechce pani przeczytać. Potem można go oddać Nathalie.

Później, sama w domu, rozszyfrowałam staromodne pismo. Czytając, płakałam.

Zdołałam się opanować, otarłam łzy i wytarłam nos.

Następnie zadzwoniłam do Edouarda i przeczytałam mu ten list przez telefon.

Miałam wrażenie, że się rozplakał, ale starał się zrobić wszystko, co możliwe, by nie było tego słychać. Podziękował mi zduszonym głosem i odłożył słuchawkę.

8 września 1Alainie, synu najdroższy, kiedy Sarah wróciła w zeszłym tygodniu z wakacji spędzonych z tobą i Henriette, miała różowe policzki... i uśmiech na twarzy. Byliśmy z Jules'em zaskoczeni i zachwyceni. Wkrótce sama do was napisze podziękowania, ale przedtem chciałam wyrazić własną

wdzięczność za waszą pomoc i gościnność. Jak wiesz, ostatnie cztery lata były dla nas ciężkie. Cztery lata niewoli, strachu i niedostatku. Dla nas wszystkich, dla naszego kraju. Cztery lata odcisnęły swoje piętno na mnie i Jules'u, ale w największym stopniu na Sarze. Chyba nigdy się nie pogodziła z tym, co się stało latem czterdziestego drugiego, kiedy zabraliśmy ją do rodzinnego mieszkania w dzielnicy Marais. Tego dnia coś w niej pękło. Coś się złamało.

Nie było łatwo, a twoja pomoc była nieoceniona. Ukrywanie Sary przed wrogiem, chronienie jej od tamtego lata aż po rozejm, było straszliwym zadaniem. Ale teraz Sarah ma rodzinę. My jesteśmy jej rodziną. Twoi synowie, Gaspard i Nicolas, są jej braćmi. Jest Sarą Dufaure. Nosi nasze nazwisko.

Wiem, że nigdy nie zapomni. Za tymi różowymi policzkami i uśmiechem widać pewne odrętwienie. Nigdy nie będzie normalną czternastolatką. Jest raczej zniechęconą do życia kobietą. Czasem odnoszę wrażenie, że jest starsza ode mnie.

Nigdy nie rozmawia o swojej rodzinie, o swoim bracie. Ale wiem, że nie przestaje o nich myśleć. Wiem, że chodzi co tydzień na cmentarz, czasami częściej, by odwiedzić grób brata. Woli tam chodzić sama, odmawia mojego towarzystwa.

Czasem idę po kryjomu, chcąc się tylko upewnić, że Sarze nic nie jest. Siada przed małym nagrobkiem i zastyga w bezruchu. Potrafi tak siedzieć godzinami, trzymając w ręku mosiężny klucz, który zawsze ze sobą nosi. Klucz do szafki, w której zginął jej biedny braciszek. Kiedy wraca do domu, jest chłodna i zamknięta w sobie. Ma problemy z nawiązaniem ze mną kontaktu. Staram się ją obdarzać całą swoją miłością, jest bowiem córką, której nigdy nie urodziłam.

Nigdy nie mówi o BeaunelaRolande. Kiedy czasami przejeżdżamy obok wioski, blednie. Odwraca głowę i zamyka oczy. Ciekawa jestem, czy świat się kiedyś dowie.

Czy wszystko, co się tutaj działo, wyjdzie na jaw. Czy też pozostanie na

zawsze tajemnicą zakopaną w posępnej niespokojnej przeszłości.

W ciągu ostatniego roku od końca wojny Jules często odwiedzał hotel Lutetia, czasami w towarzystwie Sary, by zorientować się, kto wraca z obozów. Zawsze miał nadzieję. Wszyscy mieliśmy nadzieję, pragnęliśmy tego ze wszystkich sił. Ale teraz wiemy. Rodzice Sary nigdy nie wrócą. Zostali zamordowani w Auschwitz tego okropnego lata czterdziestego drugiego.

Czasami zastanawiam się, ile dzieci, tak samo jak ona, przeszło przez piekło i przetrwało, by teraz musieć sobie radzić bez swoich najbliższych. Tyle cierpienia, tyle bólu. Sarah musiała zrezygnować ze wszystkiego: z rodziny, nazwiska, religii. Nigdy o tym nie rozmawiamy, ale wiem, jak głęboką nosi w sobie próżnię, jak boleśnie odczuwa straty. Sarah mówi o opuszczeniu kraju, o rozpoczęciu nowego życia gdzieś indziej, z dala od wszystkiego, co dotychczas znała, wszystkiego, przez co przeszła. Teraz jest za mała, zbyt delikatna, by nas opuścić, ale ten dzień nadejdzie. Jules i ja będziemy musieli się na to zgodzić.

Owszem, wojna się skończyła, nareszcie, ale dla twojego ojca i dla mnie nic nie jest takie jak przedtem. Nic już nigdy nie będzie takie samo. Pokój ma gorzki posmak. A przyszłość nie wygląda różowo. Wydarzenia, które miały miejsce, zmieniły oblicze świata. I Francji. Nasz kraj wciąż próbuje zapomnieć o swoich najciemniejszych latach. Czy kiedyś mu się to uda? Nie ma już Francji, którą znałam jako dziewczynka. Jest inna, której nie rozpoznaję. Jestem teraz stara i wiem, że moje dni są policzone. Ale Sarah, Gaspard i Nicolas są jeszcze młodzi. Oni będą musieli żyć w tym nowym kraju. Żal mi ich i boję się tego, co nadejdzie.

Drogi chłopcze, to nie miał być smutny list, lecz niestety takim wyszedł i przykro mi z tego powodu. Muszę się zająć ogrodem i nakarmić kury, wobec czego kończę.

Pozwól, że podziękuję ci raz jeszcze za wszystko, co zrobiłeś dla Sary. Niech Bóg błogosławi Was oboje za waszą ofiarność i wierność. Niech Bóg błogosławi Waszych chłopców.

Twoja kochająca matka

Genevieve

Kolejny telefon. Komórka. Powinam była ją wyłączyć. Tym razem Joshua.

Zdziwiłam się, słysząc szefa po drugiej stronie. Zazwyczaj nie dzwonił tak późno.

- Właśnie widziałem cię w wiadomościach, złotko - powiedział, przeciągając samogłoski. - Ładnie wyglądasz, jak z obrazka. Nieco błada, ale very efektowna.

- Wiadomościach? - szepnęłam. - Jakich wiadomościach?

- Włączyłem telewizor o ósmej, aby obejrzeć wiadomości na TF1, a oto moja Julia stojąca tylko trochę niżej od premiera.

- Ach, obchody Vel' d'Hiv'.

- Nieźle przemówienie, nie sądzisz?

- Bardzo dobre.

Przerwa. Słysząc było syk zapalniczki, gdy zapalał marlboro light ze srebrnej paczki; takie można kupić tylko w Stanach. Byłam ciekawa, co chce mi powiedzieć.

Zazwyczaj był bezpośredni. Aż nadto.

- O co chodzi, Joshua? - spytałam ostrożnie.

- Tak naprawdę nic takiego. Chciałem tylko powiedzieć, że całkiem nieźle się spisałaś. Ten twój tekst o Vel' d'Hiv' zyskuje rozgłos. Fotografie Bambera też są niczego sobie. Zrobiliście kawał dobrej roboty.

- Dziękuję.

Jednak znałam go za dobrze.

- Coś jeszcze? - dodałam ostrożnie.

- Jedna rzecz mnie zastanawia.

- Śmiało.

- Według mnie brakuje jednego. Dotarłaś do tych, którzy przetrwali, do

świadców, do staruszka w Beaune itd., wszystko super. Super, super. Ale o paru rzeczach zapomniałaś. Gliny. Francuskie gliny.

- Tak? - spytałam, czując jak rośnie we mnie rozdrażnienie.

- Co z francuskimi glinami?

- Byłoby idealnie, gdybyś złapała paru z tych gliniarzy, którzy brali udział w aresztowaniach, i z nimi porozmawiała. Aby poznać z ich strony tę całą historię.

Nawet jeżeli są teraz staruszkami. Co mówili swoim dzieciom. Czy ich rodziny o tym wiedziały?

Oczywiście miał rację. W ogóle nie przyszło mi to do głowy. Rozdrażnienie opadło.

Przytłoczona, nic nie odpowiedziałam.

- Spokojnie, Julio, nie ma problemu - roześmiał się Joshua.

- Świetnie się spisałaś. Gliniarze pewnie i tak by nie chcieli rozmawiać. Pewnie wiele o nich nie znalazłaś w materiałach?

- Nie. Prawdę powiedziawszy, nic nie ma o tym, jak się czuli francuscy policjanci.

Tylko wykonywali polecenia.

- Tak, polecenia - powtórzył Joshua. - Jednak jestem bardzo ciekaw, jak z tym żyli.

Swoją drogą, co z tymi, którzy prowadzili te niekończące się pociągi z Drancy do Oświęcimia? Czy wiedzieli, co przewożą? Czy naprawdę sądzili, że to bydło? Czy wiedzieli, dokąd zabierają tych ludzi i co się z nimi stanie? A ci, którzy prowadzili autobusy? Czy oni coś wiedzieli?

Oczywiście znowu miał rację. Milczałam. Dobra dziennikarka od razu poruszałyby te tematy tabu. Francuska policja, francuska kolej, francuska komunikacja autobusowa.

Jednak wszystkie moje myśli skupiały się na dzieciach z Vel' d'Hiv'. Zwłaszcza na jednym dziecku.

- Dobrze się czujesz, Julio?

- Ekstra.

- Potrzebujesz trochę wolnego - oznajmił. - Najwyższy czas wsiąść do samolotu i polecieć do domu.

- O tym też myślałam.

HH^^^h^H^H

Ostatni telefon tego wieczoru był od Nathalie Dufaure. Szalała z radości.

Wyobraziłam sobie chudziutką rozjaśnioną podnieceniem twarz i błyszczące brązowe oczy na drugim końcu linii.

- Julio! Przejrzałam wszystkie papiery tatka i znalazłam. Znalazłam kartkę Sary!

- Kartkę Sary? - powtórzyłam, nieco zagubiona.

- Kartkę, którą przysłała, by oznajmić, że wychodzi za mąż, ostatnią pocztówkę.

Podaje na niej nazwisko męża.

Złapałam długopis i zaczęłam bezskutecznie rozglądać się za kartką papieru. Nic takiego nie było pod ręką. Przyłożyłam długopis do skóry dłoni.

- I jakie to nazwisko?

- Napisała, że wyjdzie za Richarda J. Rainsferda. - Przeliterowała nazwisko. - Data na kartce to piętnasty marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego. Nie ma adresu. Nic więcej nie ma. To wszystko.

- Richard J. Rainsferd - powtórzyłam, pisząc na skórze duże litery.

Podziękowałam Nathalie i obiecałam, że będę informować o postępach, po czym zadzwoniłam na manhattanski numer Charli. Odebrała jej sekretarka, Tina, która przełączyła mnie do siostry.

- Znowu ty, kochanie?

Od razu przeszłam do rzeczy.

- Jak można znaleźć kogoś w Stanach, dotrzeć do kogoś?

- Przez książkę telefoniczną.

- To takie proste?

- Są i inne sposoby - odpowiedziała tajemniczo.

- A co z osobą, która zniknęła pół wieku temu?

- Masz jej numer ubezpieczenia, numery z tablic rejestracyjnych czy jakiś adres?

- Nic z tego. Zagwizdała przez zęby.

- To będzie trudne. Może nie zadziałać. Ale spróbuję. Mam kilku znajomych, którzy mogliby pomóc. Podaj mi nazwisko.

W tej chwili usłyszałam trzask drzwi i brzęk rzucanych na stół kluczy. Mąż. Wrócił z Brukseli.

- Jeszcze zadzwonię - szepnęłam do siostry i odłożyłam słuchawkę.

Bertrand wszedł do pokoju. Był spięty i blady. Podszedł do mnie i otoczył ramionami. Poczulałam opierającą się na mojej głowie brodę.

Czulałam, że muszę mówić szybko.

- Nie zrobiłam tego. Ledwo drgnął.

- Wiem - odpowiedział. - Lekarz do mnie zadzwonił. Cofnęłam się o krok.

- Nie mogłam, Bertrandzie.

Uśmiechnął się w dziwny desperacki sposób. Podszedł do tacy przy oknie, na której trzymaliśmy alkohole, i nalał do kieliszka koniaku. Zwróciłam uwagę, jak szybko go wypija, zarzucając głowę do tyłu. Był to brzydki gest. Wytrącił mnie z równowagi.

- I co teraz? - spytał, odstawiając z brzękiem szklanę. - Co teraz zrobimy?

Spróbowałam się uśmiechnąć, jednak był to sztuczny uśmiech pozbawiony radości.

Bertrand usiadł na kanapie, poluzował krawat, odpiął dwa pierwsze guziki koszuli.

Po czym powiedział:

- Nie mogę się pogodzić z tym dzieckiem, Julio. Próbowałem ci wytłumaczyć. Nie chciałaś słuchać.

Coś w głosie męża skłoniło mnie do przyjrzenia mu się bliżej. Wyglądał na wyczerpanego i osłabionego. Przez ułamek sekundy zobaczyłam zmęczoną twarz Edouarda Tezaca, taką, jaką widziałam w samochodzie, kiedy mówił o powrocie Sary.

- Nie mogę cię powstrzymać od urodzenia tego dziecka. Ale chcę, żebyś wiedziała, że w żaden sposób nie jestem w stanie przejść nad tym do porządku dziennego. To dziecko mnie zniszczy.

Próbowałam wyrazić współczucie, wydawał się zagubiony i bezbronny, jednak zamiast tego ogarnęło mnie rozżalenie.

- Zniszczy? - powtórzyłam.

Bertrand wstał, nalał sobie kolejny kieliszek. Odwróciłam wzrok, gdy go wychylał.

- Słyszałaś kiedyś o kryzysie wieku średniego, amour? Wy, Amerykanie, tak lubicie ten zwrot. Byłaś taka zajęta swoją pracą, przyjaciółmi i córką, że nawet nie zauważyłaś, co przeżywam. Prawdę powiedziawszy, nie obchodzi cię to. Prawda?

Patrzyłam na niego, zaskoczona.

Powolnie i ostrożnie położył się na kanapie, wpatrując się w sufit. Poruszał się, jakby chciał uniknąć gwałtownych ruchów. Nigdy tak nie robił. Skóra na twarzy sprawiała wrażenie pomarszczonej. Nagle dostrzegłam starzejącego się męża. Nie było już młodego Bertranda. Zawsze epatował młodością i energią i był z tego dumny. Nie potrafił usiedzieć na miejscu, był wiecznie w ruchu, w pośpiechu, skory do nowych przeżyć. Mężczyzna, na którego patrzyłam, był niczym cień swojej poprzedniej osobowości. Kiedy to się stało? Jak mogłam tego nie dostrzec? Bertrand i jego gromki śmiech, żarty, bezczelność. Czy to twój mąż - szeptali ludzie, na których zrobił wrażenie. Bertrand monopolizował rozmowy na wieczornych przyjęciach, ale był zbyt

intrygujący, aby to komuś przeszkadzało. Sposób, w jaki na ciebie patrzył, magnetyczne spojrzenie niebieskich oczu i ten krzywy diabelski uśmiech.

Dzisiejszego wieczoru nie było w nim nic intrygującego. Wyglądał, jakby skapitulował. Siedział w miejscu otępiały i bezwładny. Patrzył smętnym wzrokiem spod wpółzamkniętych powiek.

- Ani razu nie zauważyłaś, przez co przechodzę, prawda?

- powiedział bezbarwnym głosem.

Usiadłam obok i zaczęłam gładzić dłoń męża. Jak mogłam przyznać, że nic nie spostrzegłam? Jak mogłam wyjaśnić, jak bardzo się czułam winna?

- Dlaczego nic nie powiedziałaś, Bertrandzie? Kąciki jego ust skierowały się w dół.

- Próbowałem. Nigdy się nie udawało.

- Dlaczego?

Twarz Bertranda stężała. Zaśmiał się chrapliwie.

- Nie słuchałaś mnie, Julio.

Wiedziałałam, że mówi prawdę. Tej okropnej nocy, gdy zaczął mówić ochryplym głosem, kiedy wyraził swój największy lęk, lęk przed starością. Kiedy zdałam sobie sprawę, że ma swoje słabości. Znacznie większe, niż kiedykolwiek przypuszczałam.

Odwróciłam wzrok. Nie mogłam tego znieść. Wyczuł to. Nie odważył się powiedzieć, jak mu z tym źle.

Milczałam, siedząc obok i trzymając go za rękę. Dotarła do mnie ironia sytuacji. Mąż w depresji. Rozpadające się małżeństwo. Dziecko w drodze.

- Może wyjdziemy coś przekąsić w Select albo Rotonde?

- powiedziałam łagodnie. - Możemy omówić różne rzeczy. Z wyraźnym wysiłkiem wstał z kanapy.

- Może kiedy indziej. Nie mam siły.

Zorientowałam się, że w ciągu ostatnich miesięcy często bywał zmęczony. Nie miał siły, by pójść do kina, by pójść na jogging wokół Ogrodu

Luksemburskiego, by zabrać Zoe do Wersalu w niedzielnie popołudnie. By się kochać. Kochać się... Kiedy to ostatnio robiliśmy? Całe tygodnie temu. Patrzyłam, jak ciężkim krokiem przechodzi przez pokój. Utył. Tego też nie spostrzegłam. Zawsze tak bardzo dbał o wygląd. Byłaś taka zajęta swoją pracą, przyjaciółmi i córką, że nawet nie zauważyłaś, co przeżywam.

Nie słuchałaś mnie, Julio. Poczułam ogarniający mnie wstyd. Czy nie musiałam się pogodzić z prawdą? Bertrand w ciągu ostatnich tygodni nie był częścią mojego życia, nawet jeżeli spaliśmy w tym samym łóżku i mieszkaliśmy pod tym samym dachem.

Nie powiedziałam mu o Sarze Starzyński. O nowej jakości relacji z Edouardem. Czyż nie wykluczyłam Bertranda ze wszystkiego, co było dla mnie ważne? Usunęłam męża ze swojego życia, a ironia tkwiła w tym, że nosiłam w sobie jego dziecko.

Usłyszałam, jak otwiera lodówkę w kuchni, a następnie do moich uszu dotarł szelest folii aluminiowej. Bertrand wrócił do dużego pokoju z nóżką kurczaka w jednym ręku, a folią w drugiej.

- Jest jedna sprawa, Julio.

- Tak?

- Kiedy powiedziałem, że nie mogę się pogodzić z tym dzieckiem, mówiłem prawdę.

Podjęłaś decyzję. Dobrze. Teraz czas na mnie. Potrzebuję trochę czasu dla siebie. Ty i Zoe zamieszkacie na rue de Saintonge jesienią, a ja znajdę jakieś inne mieszkanie nieopodal. Zobaczymy, jak się będą sprawy układać. Może zdołam się pogodzić z twoją ciążą. Jeżeli nie, weźmiemy rozwód.

Nie byłam zaskoczona. Spodziewałam się tego od początku. Wstałam, wygładziłam sukienkę i powiedziałam spokojnie:

- Jedyłą rzeczą, która ma teraz znaczenie, jest Zoe. Cokolwiek by się stało, musimy oboje z nią porozmawiać. Przygotować ją. Musimy to zrobić właściwie.

Włożył nóżkę kurczaka z powrotem do folii.

- Dlaczego jesteś taka twarda, Julio? - W głosie męża nie było sarkazmu. Jedynie gorycz. - Mówisz dokładnie jak twoja siostra.

Nie odpowiedziałam. Wyszłam z pokoju i skierowałam się w stronę łazienki.

Odkręciłam wodę. Wtedy to do mnie dotarło: czy już nie podjęłam decyzji? Wybrałam dziecko, postawiłam je przed Bertrandem.

Nie poruszył mnie jego punkt widzenia ani wewnętrzne niepokoje, nie bałam się groźby mieszkania osobno przez kilka miesięcy ani na zawsze. Ale Bertrand był ojcem mojej córki i dziecka, które nosiłam w sobie. Nigdy nie mógłby zniknąć z naszego życia.

Jednak gdy patrzyłam na siebie w lustrze, a moje odbicie powoli zasłaniała para wodna, czułam, że wszystko się drastycznie zmieniło. Czy nadal kochałam Bertranda? Czy wciąż go potrzebowałam? Jak mogłam chcieć jego dziecka bez niego?

Chciałam płakać, ale łzy nie nadeszły.

Wciąż byłam w wannie, kiedy wszedł. Trzymał w ręku czerwoną teczkę z napisem

„Sara”, którą zostawiłam w torebce.

- Co to jest? - spytał, podnosząc plik.

Zaskoczona, poruszyłam się gwałtownie, wylewając wodę z wanny. Mąż miał wypieki, był zdezorientowany. Pospiesznie usiadł na opuszczonej desce klozetowej.

W każdej innej sytuacji roześmiałabym się z komicznego kontrastu między pozycją i położeniem a miną.

- Pozwól mi wyjaśnić... - zaczęłam. Podniósł rękę.

- Po prostu nie możesz się powstrzymać, prawda? Nie możesz zostawić przeszłości w spokoju.

Przejrzał teczkę, przekartkowując listy od Jules'a Dufaure do Andre

Tezaca, przyjrzał się fotografiom Sary.

- Co to wszystko jest? Kto ci to dał?

- Twój ojciec - odpowiedziałam cicho. Patrzył na mnie niedowierzająco.

- Co ma z tym wszystkim wspólnego mój ojciec? Wyszłam z wanny, wzięłam ręcznik i odwróciłam się od męża, aby się wytrzeć. Jakoś nie chciałam, by patrzył na moją nagość.

- To długa historia, Bertrandzie.

- Dlaczego musiałaś wszystko rozgrzebywać? To sprawy sprzed sześćdziesięciu lat!

To wszystko jest już martwe, zapomniane.

Gwałtownie obróciłam się w stronę męża.

- Nieprawda. Sześćdziesiąt lat temu coś się stało z twoją rodziną. Coś, o czym nie wiesz. Ty i twoje siostry nic nie wiecie. Marne też nie.

Zdawał się zdumiony. Przez chwilę zaniemówił.

- Co takiego się stało? Powiedz! - zażądał. Zabrałam mu teczkę i przycisnęłam do piersi.

- To ty mi powiedz, czego szukałeś w mojej torebce. Przypominaliśmy dzieci kłócące się na przerwie między lekcjami. Bertrand wywrócił oczami.

- Zobaczyłem teczkę w twojej torbie. Byłem ciekaw, co to takiego. I tyle.

- Często mam teczki w torbie. Nigdy przedtem ich nie przeglądałeś.

- Nie o to chodzi. Masz mi natychmiast powiedzieć, co to wszystko znaczy.

Pokręciłam głową.

- Zadzwoń do ojca, Bertrandzie. Powiedz, że znalazłeś teczkę. Spytaj go.

- Nie ufasz mi, tak?

Spuścił głowę. Ogarnęło mnie współczucie. Zdawał się być urażony.

- Twój ojciec prosił, bym ci nie mówiła - oznajmiłam łagodnie. Bertrand wstał powoli z deski klozetowej i wyciągnął rękę w stronę klamki. Wyglądał na złamanego i zmęczonego.

Cofnął się, by łagodnie pogłodzić mnie po policzku. Poczułam na twarzy ciepło palców męża.

- Julio, co się z nami stało? Gdzie się wszystko podziało? Po czym wyszedł.

Łzy nadeszły. Pozwoliłam im płynąć. Słyszał moje łkanie, ale nie wrócił.

Latem dwa tysiące drugiego roku, ze świadomością że Sarah Starzyński wyjechała z Paryża do Nowego Jorku pięćdziesiąt lat wcześniej, czułam się niczym kawałek stali ciągnięty przez Atlantycką w stronę potężnego magnesu. Nie mogłam się doczekać, aż wyjadę z miasta. Nie mogłam się doczekać, aż zobaczę Zoe i rozpocznę poszukiwania Richarda J. Rainsferda. Nie mogłam się doczekać, aż wsiądę na pokład samolotu.

Zastanawiałam się, czy Bertrand zadzwonił do ojca, by zapytać, co miało miejsce w mieszkaniu na rue de Saintonge tyle lat temu. Nic na ten temat nie mówił. Wciąż był serdeczny, aczkolwiek wyniosły. Czułam, że liczy dni i godziny do mojego wyjazdu.

Czy chciał wszystko przemyśleć? Spotkać się z Amelie? Nie wiedziałam. Nie obchodziło mnie to. Postanowiłam się tym nie przejmować.

Kilka godzin przed odlotem do Nowego Jorku zadzwoniłam do teścia, by się pożegnać. Nie wspomniał o rozmowie z Bertrandem, a ja nie podnosiłam tego tematu.

- Dlaczego Sarah przestała pisywać do państwa Dufaure? - spytał Edouard. - Jak sądzisz, co się stało, Julio?

- Nie wiem. Ale zrobię, co w mojej mocy, by się dowiedzieć. Te pytania prześladowały mnie bez przerwy. Wsiadając do samolotu kilka godzin później, wciąż myślałam o tym samym. Czy Sarah Starzyński żyje?

Moja siostra. Błyszczące kasztanowate włosy, dołki w policzkach, piękne niebieskie oczy. Wysportowana figura, tak podobna do mamy. Les soeurs, siostry Jarmond.

Górujące nad kobietami ze strony Tezaców. Zdziwione uśmiechy. Nuta

zazdrości.

Dlaczego wy Américaines jesteście takie wysokie, czy to coś w waszym jedzeniu, witaminy, hormony? Charla była jeszcze wyższa ode mnie. Kilka ciąż w żaden sposób nie wpłynęło na smukłą i kształtną sylwetkę mojej siostry.

Charla, kiedy tylko mnie zobaczyła, od razu wiedziała, że coś mnie trapi i że nie ma to nic wspólnego z decyzją dotyczącą dziecka ani z problemami małżeńskimi. Gdy jechałyśmy do miasta, bez przerwy dzwonił jej telefon. To asystent, to szef, to klienci, dzieci, niania, Ben (były mąż z Long Island), Barry (obecny mąż na wyjeździe służbowym do Atlanty); nieustannie ktoś dzwonił, a ja tak się cieszyłam, że widzę siostrę, że mnie to nie obchodziło. Do szczęścia wystarczało mi siedzenie z nią ramię w ramię.

W końcu znalazłyśmy się same w wąskim budynku z czerwono-brązowego piaskowca na East 81st Street, gdzie mieszkała. Gdy nalała sobie białego wina, a mnie soku jabłkowego (ze względu na ciążę), w nienagannie czystej chromowanej kuchni cała historia wyszła na jaw. Charla nie wiedziała zbyt wiele o Francji. Nie знаła zbyt dobrze francuskiego, spośród obcych języków biegle posługiwała się tylko hiszpańskim.

Hasło „okupacja we Francji” niewiele jej mówiło. Siedziała w milczeniu, podczas gdy opowiadałam o aresztowaniach, obozach, pociągach do Polski, o Paryżu w lipcu czterdziestego drugiego roku, o mieszkaniu na rue de Saintonge, o Sarze, o braciszku Michelu.

Patrzyłam, jak śliczna twarz siostry blednie z przerażenia. Kieliszek białego wina pozostawał nietknięty. Zasłoniła ręką usta i potrząsnęła głową. Od razu przeskoczyłam do zakończenia historii, ostatniej pocztówki Sary, wysłanej z Nowego Jorku z datą tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego.

- O mój Boże - powiedziała i wypłała szybki łyk wina. - Po to tu przyjechałaś, prawda?

Przytaknęłam.

- Jak, u licha, chcesz się do tego zabrać?

- Pamiętasz to nazwisko, w sprawie którego do ciebie dzwoniłam?

Richard J.

Rainsferd. Tak się nazywa jej mąż.

- Rainsferd? Przeliterowałam.

Charla wstała pośpiesznie i podniosła słuchawkę.

- Co robisz? - spytałam.

Uniosła rękę, dając znak, bym nic nie mówiła.

- Informacja? Tak, szukam niejakiego Richarda J. Rainsferda. W stanie Nowy Jork.

Zgadza się: RAINSFERD. Nikogo? Dobrze, a może pani sprawdzić w New Jersey?... Nic... A w Connecticut?... Świetnie. Tak, dziękuję. Sekundę.

Zapisała coś na skrawku papieru. Po czym przekazała mi z dumnym wyrazem twarzy.

- Mamy ją - oznajmiła triumfalnie.

Nie dowierzając, przeczytałam numer i adres. Pan i Pani R.J. Rainsferd. 2Shepaug Drive. Roxbury, Connecticut.

- Niemożliwe, by to byli oni - wymamrotałam. - To nie jest takie proste.

- Roxbury - zastanawiała się Charla. - Czy to nie w hrabstwie Litchfield? Miałam tam kiedyś chłopaka. Już kiedy ciebie nie było. Greg Tanner. Prawdziwy przystojniak. Miał ojca lekarza. Roxbury to ładne miejsce. Około stu mil od Manhattanu.

Siedziałam na stołku barowym i nie byłam w stanie nic powiedzieć. Po prostu nie wierzyłam, że Sarę Starzyński można było znaleźć tak szybko, tak łatwo. Ledwo wylądowałam. Jeszcze nie rozmawiałam z córką. A już znalazłam Sarę. Wciąż żyła.

Wszystko zdawało się nierzeczywiste, niemożliwe.

- Słuchaj - powiedziałam w końcu - a skąd wiemy, że to na pewno ona?

Charla siedziała przy stole, czekając, aż włączy się laptop. Znalazła w torebce okulary i wsunęła je na nos.

- Zaraz się dowiemy.

Stałam za siostrą, podczas gdy jej palce biegały po klawiaturze.

- Co teraz robisz? - spytałam zdumiona.

- Nie panikuj - odpowiedziała zdawkowo, pisząc dalej. Patrząc przez ramię, widziałam, że jest już w sieci.

Na ekranie było napisane: Witaj w Roxbury, Connecticut Wydarzenia, imprezy, ludzie, nieruchomości.

- Świetnie. Tego właśnie potrzebowaliśmy - stwierdziła wpatrzona w ekran. Po czym wyjęła skrawek papieru z mojej dłoni, podniosła ponownie telefon i wykręciła numer, który przed chwilą zapisała.

To szło za szybko. Nie mogłam złapać tchu.

- Charlo! Poczekaj! Co ty do diabła zamierzasz powiedzieć?! Zasłoniła słuchawkę dłonią. W widocznych nad ramką okularów niebieskich oczach widać było obruszenie.

- Ufasz mi, prawda?

Użyła głosu prawnika. Promieniował siłą i opanowaniem. Mogłam tylko przytaknąć.

Czułam się bezradna i strachliwa.

Wstałam i zaczęłam chodzić w kółko po kuchni, wodząc palcami po urządzeniach kuchennych i płaskich powierzchniach. Kiedy spojrzałam znowu na siostrę, uśmiechnęła się szeroko.

- Może powinnaś jednak wypić trochę tego wina. I nie martw się o rozpoznawanie numeru. Kierunkowy do Nowego Jorku nie będzie widoczny. - Nagle podniosła rękę i wskazała na telefon. - Tak, witam, dobry wieczór, czy to, e, pani Rainsferd?

Nie mogłam się nie uśmiechnąć na dźwięk nosowego pisku. Zawsze była dobra w zmienianiu głosu.

- A, przepraszam... Nie ma jej?

„Pani Rainsferd” nie było. Zatem rzeczywiście był ktoś taki, jak pani

Rainsferd.

Słuchałam dalej, wciąż nie mogąc uwierzyć.

- Tak, e, to Sharon Burstall z biblioteki Minor Memoriał na South Street. Chciałam wiedzieć, czy byłaby pani zainteresowana odwiedzeniem naszego pierwszego letniego spotkania, zaplanowanego na drugi sierpnia... Aha, rozumiem. Cóż, przepraszam panią. Mhm. Tak. Bardzo przepraszam za kłopot. Dziękuję pani. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się dumnie.

- No i? - wydyszałam.

- Kobieta, z którą rozmawiałam, to pielęgniarka Richarda Rainsferda. Jest chorowitym staruszką przywiązaną do łóżka. Potrzebuje ciągłej opieki.

Opiekunka przychodzi w każde popołudnie.

- A pani Rainsferd? - spytałam niecierpliwie.

- Powinna wrócić lada chwila. Patrzałam na siostrę tępym wzrokiem.

- Zatem co mam zrobić? Po prostu tam pojechać? Charla się roześmiała.

- A masz lepszy pomysł?

2299 Shepaug Drive. Budynek znajdował się przede mną. Wyłączyłam silnik, nie wysiadając z samochodu. Oparłam na kolanach zimne ręce.

Pomiędzy strzegącymi bramy bliźniaczymi filarami z szarego kamienia widziałam dom. Przysadzistą budowlę w stylu kolonialnym, zapewne zbudowaną w latach trzydziestych. Nie robiła takiego wrażenia, jak rozłożyste rezydencje po kilka milionów dolarów, które widziałam po drodze, ale była gustowna i tworzyła harmonijną całość.

Jadąc drogą numer sześćdziesiąt siedem, byłam pod wrażeniem nienaruszonego wiejskiego piękna Litchfield Country: układającego się w pagórki falistego terenu, mieniących się rzek, bujnej mimo letniego skwaru roślinności. Zapomniałam, jak gorąco może być w Nowej Anglii. Pociłam się mimo włączonej klimatyzacji.

Żałowałam, że nie wzięłam ze sobą butelki wody mineralnej. Zaszło mi

w gardle.

Charla wspominała, że mieszkańcy Roxbury są zamożni. To jedno z tych szczególnych miejsc z artystycznymi tradycjami, które nigdy nie wychodziły z mody - wyjaśniła. Artyści, pisarze, gwiazdy filmowe: rzekomo sporo ich tu mieszkało.

Zastanawiałam się, kim z zawodu był Richard Rainsferd. Czy zawsze tutaj mieszkał?

Czy też przeprowadził się z Sarą z Manhattanu? Co z dziećmi? Jak liczne mieli potomstwo? Patrząc przez przednią szybę, policzyłam okna w kamiennym frontonie budynku. Przypuszczalnie były dwie lub trzy sypialnie, chyba że z tyłu budynek był większy, niż się wydawał. Dzieci mniej więcej w moim wieku. I wnuki.

Wyciągnęłam szyję, by zobaczyć, czy przed domem stoją jakieś samochody.

Zobaczyłam tylko zamknięty osobno stojący garaż.

Spojrzałam na zegarek. Kilka minut po drugiej. Dojazd zajął mi dwie godziny. Charla pożyczyła mi swoje volvo. Wyglądało równie nieskazitelnie, jak jej kuchnia. Nagle zapragnęłam, by była tutaj ze mną. Jednak nie mogła odwołać swoich spotkań.

- Poradzisz sobie, siostrzyczko - powiedziała, rzucając mi klucze do auta.

- Informuj mnie na bieżąco, dobra?

Siedziałam w samochodzie, a mój niepokój wzrastał wraz z coraz bardziej nieznosną temperaturą. Co do diabła miałam powiedzieć Sarze Starzyński? Nie mogłam jej nawet tak nazwać. Ani Dufaure. Była teraz panią Rainsferd, była nią od pięćdziesięciu lat. Nie potrafiłam się zmusić do wyjścia z samochodu i zadzwonienia do drzwi. Tak, dzień dobry, pani Rainsferd, nie zna mnie pani, nazywam się Julia Jarmond i chciałam tylko porozmawiać o rue de Saintonge i tamtejszych wydarzeniach - o rodzinie Tezaców i...

Brzmiało to sztucznie i mało przekonująco. Co ja tutaj robiłam? Po co

przejechałam tyle kilometrów? Powinnam była napisać list i czekać na odpowiedź.

Podróż do Litchfield była wyjątkowo głupim pomysłem. Na co w ogóle liczyłam?

Czy sądziłam, że przyjmie mnie z otwartymi ramionami, naleje herbaty i wyszepcze:

„Oczywiście, wybaczam rodzinie Tezaców”. Szalony pomysł. Nierealny.

Przyjechanie tutaj nie miało sensu. Powinnam już odjeżdżać.

Miałam właśnie wrzucić wsteczny bieg, gdy zaskoczył mnie czyjś głos.

- Szuka pani kogoś?

Obróciłam się w wilgotnym od potu siedzeniu i ujrzałam kobietę po trzydziestce.

Miała krótkie czarne włosy i kręłą budowę ciała.

- Szukam pani Rainsferd, ale nie jestem pewna, czy to ten dom...

Kobieta się uśmiechnęła.

- Znalazła pani właściwy dom. Ale mamy w tej chwili nie ma. Pojechała na zakupy.

Zapewne wróci za jakieś dwadzieścia minut. Nazywam się Ornella Harris. Mieszkam obok.

Miałam przed sobą córkę Sary. Córkę Sary Starzyński. Próbowałam zachować spokój. Zmusiłam się do grzecznego uśmiechu.

- Nazywam się Julia Jarmond.

- Miło mi. Czy mogę jakoś pomóc? Gorączkowo szukałam odpowiedzi.

- Miałam nadzieję spotkać się z pani matką. Powinnam była zadzwonić, ale akurat przejeżdżałam przez Roxbury i postanowiłam na chwilę wpaść...

- Jest pani przyjaciółką mamy?

- Nie do końca. Spotkałam niedawno jednego z jej kuzynów, od którego się dowiedziałam, gdzie teraz mieszka...

Twarz Ornelli się rozjaśniła.

- Ach, pewnie spotkała pani Lorenza. W Europie? Próbowałam nie pokazać po sobie dezorientacji. Kim do diaska był Lorenzo?

- Owszem, w Paryżu. Ornella zaśmiała się.

- Tak, wujek Lorenzo, to dopiero coś. Mama go uwielbia. Rzadko nas odwiedza, ale za to często dzwoni.

Przechyliła pytająco głowę.

- Hm, a może chce pani wpaść na mrożoną herbatę albo coś innego? Na dworze jest strasznie gorąco. Usłyszymy, kiedy mama będzie wracać.

- Nie chcę robić kłopotu...

- Dzieci są z mężem na łódkach na jeziorze Lillinonah, więc nie ma problemu.

Zapraszam!

Wysiadłam z samochodu, z każdą chwilą coraz bardziej niespokojna, i poszłam za Ornellą na ganek sąsiedniego domu, zbudowanego w tym samym stylu co rezydencja Rainsferdów. Na trawniku porozrzucone były zabawki, latające talerze, pozbawione głów lalki Barbie i klocki lego. Usiadłam w chłodnym cieniu i zaczęłam się zastanawiać, jak często przychodzi tu Sarah Starzyński, by oglądać bawiące się wnuki. Skoro mieszka w sąsiednim domu, pewnie przychodzi codziennie.

Ornella podała mi dużą szklankę mrożonej herbaty, którą przyjąłam z wdzięcznością.

Popijałyśmy w milczeniu.

- Mieszka pani w tej okolicy? - spytała w końcu.

- Nie, mieszkam we Francji. W Paryżu. Wyszłam za Francuza.

- Kurczę, w Paryżu - szepnęła. - Piękne miejsce, prawda?

- Owszem, ale i tak się cieszę, że jestem w domu. Siostra mieszka na Manhattanie, a rodzice w Bostonie. Przyjechałam spędzić u nich lato.

Zadzwonił telefon. Ornella poszła odebrać. Powiedziała do słuchawki kilka cichych słów i wróciła na taras.

- Dzwoniła Mildred.
- Mildred? - spytałam zdezorientowana.
- Pielęgniarka ojca.

Kobieta, z którą wczoraj rozmawiała Charla. Która wspomniała o przywiązany do łóżka staruszku.

- Czy ojciec... czuje się lepiej? - spytałam niepewnie. Potrząsnęła głową.

- Nie. Rak jest już zbyt zaawansowany. Nie da rady. Nie może już nawet mówić, jest nieprzytomny.

- Bardzo mi przykro - wymamrotałam.

- Dzięki Bogu, że mama jest taką ostoją spokoju. To ona mnie wspiera, a nie na odwrót. Jest cudowna. Tak jak mój mąż, Erie. Nie wiem, co bym bez nich dwojga zrobiła.

Kiwnęłam głową. Wtedy usłyszałyśmy chrzęst kół samochodowych na żwirze.

- To mama! - powiedziała Ornella.

Trzask drzwi i chrzęst butów na kamykach. Następnie głos zza żywopłotu, wysoki i słodki.

- Nello! Nello!

Miał w sobie obcą, śpiewną nutę.

- Idę, mamó.

Serce waliło mi w piersiach. Musiałam przyłożyć rękę do mostka by je uspokoić.

Ruszyłam za kołyszącymi się kwadratowymi biodrami z powrotem przez trawnik.

Było mi słabo z podniecenia i niepokoju.

Miałam spotkać Sarę Starzyński. Miałam ją zobaczyć na własne oczy. Bóg jeden wiedział, co wtedy powiem.

Mimo że stała tuż obok mnie, słyszałam głos Ornelli, jakby dochodził z oddali.

- Mamo, to Julia Jarmond, przyjaciółka wujka Lorenza. Jest z Paryża i akurat przejeżdżała przez Roxbury...

Uśmiechnięta kobieta była ubrana w czerwoną sukienkę do kostek. Wyglądała na niecałe sześćdziesiąt lat i miała tę samą kręłą budowę ciała co córka: okrągłe barki, szerokie uda i grube ramiona. Czarne siwiejące włosy związane w kok, opalona gruba skóra i czarne jak smoła oczy.

Czarne oczy.

To nie była Sarah Starzyński. Tego jednego byłam pewna.

- Więc pani przyjaciółka Lorenzo, sil Miło panią spotkać! Czysty włoski akcent. Ani grosza wątpliwości. Wszystko w tej kobiecie trąciło włoskością. Zaczęłam się wycofywać, wyjąkując:

- Przepraszam, bardzo przepraszam...

Ornella z matką patrzyły na mnie. Ich uśmiechy po chwili wahania zniknęły.

- Chyba trafiłam do nie tej pani Rainsferd.

- Nie tej pani Rainsferd? - powtórzyła Ornella.

- Szukam Sary Rainsferd. Pomyliłam się.

Matka Ornelli westchnęła i poklepała mnie po ramieniu.

- Pani się nie martwi. Każdemu się zdarza.

- Ja już sobie pójdę - wymamrotałam, czując, że się rumienię. -

Przepraszam za zmarnowany czas.

Obróciłam się i ruszyłam w stronę samochodu, drżąc ze wstydu i zawodu.

- Pani poczeka! - zabrzmiał wyraźny głos pani Rainsferd. - Pani poczeka!

Zatrzymałam się. Podeszła i położyła grubą rękę na moim ramieniu.

- Pani zrobiła żaden błąd. Skrzywiłam się.

- Jak to?

- Francuska dziewczyna, Sarah, ona pierwszą żoną mojego męża.

Patrzyłam na nią szeroko otwartymi oczami.

- Wie pani, gdzie teraz jest? - szepnęłam.

Gruba ręka poklepała mnie raz jeszcze. Czarne oczy wydawały się smutne.

- Kochanie, ona martwa. Zginęła w siedemdziesiąty drugi. Bardzo mi przykro, że ja to ci muszę mówić.

Minęło kilka chwil, zanim dotarło do mnie znaczenie wypowiedzianych słów.

Zrobiło mi się słabo. Może to przez upał i słońce.

- Nella! Przynieś wody!

Pani Rainsferd wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła z powrotem na ganek, by usadowić na pokrytej poduszkami drewnianej ławce. Dała mi szklankę wody. Piłam, szcękając zębami o szklaną krawędź. Oddałam naczynie, gdy skończyłam.

- Bardzo mi przykro, naprawdę.

- Jak zginęła? - wychrypiałam.

- Wypadek drogowy. Richard i ona już mieszkali w Roxbury od wczesne lata sześćdziesiąte. Samochód Sary się poślizgnął na gołoledź. Wpadł w drzewo. Drogi tutaj bardzo niebezpieczne zimą, wie pani. Od razu martwa.

Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Czułam się zdruzgotana.

- Pani zdenerwowana, biedactwo, już, już - szeptała, gładząc mój policzek matczynym gestem.

Potrząsnęłam głową i coś wymamrotałam. Byłam całkowicie wyczerpana. Czułam się, jakbym była pustą skorupą. Na myśl o długiej podróży z powrotem do Nowego Jorku chciało mi się krzyczeć. A potem... Co powiem Edouardowi, Gaspardowi? Jak?

Że nie żyje? Po prostu? Że nie można nic zrobić.

Nie żyła. Zginęła w wieku czterdziestu lat. Znikła. Na zawsze.

Sarah nie żyła. Nie mogłam z nią rozmawiać. Nigdy nie będę mogła jej przeprosić, przeprosić w imieniu Edouarda, powiedzieć, jak bardzo była droga rodzinie Tezaców.

Nigdy nie będę mogła przekazać wyrazów tęsknoty ze strony Gasparda i Nicolasa Dufaure, powtórzyć, że jest kochana. Było za późno. O trzydzieści lat za późno.

- Wie pani, nigdy jej nie spotkałam - mówiła pani Rainsferd. - Spotkałam Richard kilka lat później. Był smutny mężczyzna. A chłopiec...

Podniosłam głowę, na nowo skupiając się na wypowiedzianych słowach.

- Chłopiec?

- Tak, William. Zna pani William?

- Syn Sary?

- Tak, chłopiec Sary.

- Mój brat przyrodni - powiedziała Ornella. Na nowo poczułam nadzieję.

- Nie, nie znam. Niech mi pani o nim opowie.

- Biedny bambino, tylko dwanaście lat, gdy matka zginęła, widzi pani. Serce mu złamało. Wychowałam go, jakby mój. Dałam mu miłość Italii. Wyszedł za włoską dziewczyną z mojej wioski.

Uśmiechnęła się dumnie.

- Czy mieszka w Roxbury? - spytałam.

Ponownie się uśmiechnęła i poklepała mnie po policzku.

- Mamma mia, nie, William mieszka w Italii. Wyjechał z Roxbury w osiemdziesiąty, kiedy miał dwadzieścia lat. Ożenił się z Francesca w osiemdziesiąty piąty. Ma dwie piękne dziewczynki. Czasami przyjeżdża zobaczyć ojca i ja, i Nellę, ale nie bardzo często. Nie lubi być tutaj. Pamięta wtedy o śmierci matki.

Nagle poczułam się dużo lepiej. Było mniej duszno i gorąco. Mogłam łatwiej oddychać.

- Pani Rainsferd... - zaczęłam.

- Proszę mi mówić Mara.

- Maro - poprawiłam się - muszę porozmawiać z Williamem. Muszę się z nim spotkać. To bardzo ważne. Czy mogłabym dostać jego adres we Włoszech?

W słuchawce słyhać było dużo zakłóceń i trudno było wychwycić głos Joshui.

- Potrzebujesz zaliczki? - spytał. - W środku lata?

- Tak! - krzyknęłam, krzywiąc się na dźwięk niedowierzania w głosie szefa.

- Ile? Powiedziałam.

- Hej, ale o co chodzi, Julio? Czy ten twój cwaniacki mąż nagle stał się sknerą, czy co?

Westchnęłam zniecierpliwiona.

- Mogę ją dostać czy nie, Joshua? To dla mnie ważne.

- Oczywiście, że możesz - odpowiedział gwałtownie. - Pierwszy raz od lat prosisz o pieniądze. Mam nadzieję, że nie masz kłopotów.

- Żadnych kłopotów, tylko muszę odbyć podróż. I tyle. I muszę to zrobić szybko.

- Aha - powiedział. Czuję, jak rośnie jego ciekawość. - A dokąd jedziesz?

- Zabieram córkę do Toskanii. Wyjaśnię kiedy indziej.

W moim głosie słyhać było, że nie zamierzam nic więcej powiedzieć. Zapewne wyczuł, że nie ma sensu próbować wyciągnąć ze mnie coś jeszcze. Mimo dzielącego nas Atlantyku wyczuwałam, że jest zirytowany. Zaliczka będzie na moim koncie jeszcze tego popołudnia, oznajmił zwięźle. Podziękowałam i odłożyłam słuchawkę.

Oparłam brodę na rękach i zamyśliłam się. Jeżeli ujawnię swoje plany Bertrandowi, zrobi awanturę. Wszystko utrudni i skomplikuje. Nie mogłam sobie na to pozwolić.

Mogłam powiedzieć Edouardowi... Nie, było jeszcze za wcześnie. Musiałam najpierw porozmawiać z Williamem Rainsferdem. Miałam już adres, więc odnalezienie go nie powinno sprawiać większych kłopotów. Rozmowa to inna sprawa.

Pozostawała jeszcze kwestia Zoe. Co sobie pomyśli, gdy przerw? jej wypoczynek na Long Island? I uniemożliwię odwiedzenie dziadków w Nahant? Na początku martwiło mnie to. Po zastanowieniu doszłam jednak do wniosku, że chyba nie będzie to córce przeszkadzać. Nigdy nie była we Włoszech. Poza tym mogłam ją wtajemniczyć i powiedzieć prawdę, czyli że jedziemy spotkać się z synem Sary Starzyński.

No i jeszcze moi rodzice. Co mam im powiedzieć? Od czego zacząć? Spodziewali się, że przyjadę z Zoe do Nahant po pobycie na Long Island. Jak u diabła miałam to wyjaśnić?

- Tia - powiedziała powolnym głosem Charla, gdy wszystko wytłumaczyłam później tego dnia - jasne, uciekasz z Zoe do Toskanii, znajdujesz faceta i po sześćdziesięciu latach przepraszasz.

Skrzywiłam się na dźwięk ironii w głosie siostry.

- No, a niby czemu nie? - spytałam.

Westchnęła. Siedziałyśmy w dużym pokoju na drugim piętrze, który wykorzystywała jako gabinet. Mąż siostry miał wrócić później tego dnia. Obiad był już gotowy w kuchni, przygotowany wcześniej przez nas obie. Charla, podobnie do Zoe, uwielbiała jaskrawe kolory. Pokój był mieszanką pistacjowej zieleni, rubinowej czerwieni i jasnego koloru pomarańczowego. Kiedy weszłam do niego po raz pierwszy, rozboleła mnie głowa, jednak z czasem przywykłam do kolorystyki tego wnętrza, a w głębi serca uważałam ją za wyjątkowo egzotyczną. Sama zawsze optowałam za neutralnymi spokojnymi kolorami, typu brąz, beż, biel czy szarość, nawet w swojej garderobie. Charla i Zoe wolały przesadzać z żywymi barwami, ale obu wychodziło to wyśmienicie. Czułam zazdrość i podziw dla ich odwagi.

- Nie rozpychaj się, starsza siostrzyczko. Nie zapominaj, że jesteś w ciąży. Wcale nie jestem przekonana, czy wszystkie te podróże są teraz wskazane.

Nic nie powiedziałam. Miała rację. Wstała i włączyła starą płytę Carly

Simon.

Zabrzmiało You're so vain z Mickiem Jaggerem zawodzącym w tle.

Po czym obróciła się i spojrzała na mnie chłodnym wzrokiem.

- Czy naprawdę musisz odnaleźć tego faceta teraz, w tej chwili? Czy to nie może ani trochę poczekać?

Ponownie mówiła z sensem.

- Charlo, to nie takie proste. I nie, nie może poczekać. To zbyt ważne. W tej chwili to najważniejsza rzecz w moim życiu. Poza dzieckiem.

Westchnęła raz jeszcze.

- Ta piosenka Carly Simon zawsze kojarzy mi się z twoim mężem. You're so vain, I betcha think this sing is about you, jesteś taki próżny, pewnie myślisz że to piosenka o tobie...

Zaśmiałam się ironicznie.

- A co powiesz mamie i tacie o Nahant? I o dziecku?

- Bóg jeden wie.

- W takim razie przemyśl to raz jeszcze. Dokładnie.

- Przemyślałam.

Stanęła za mną i zaczęła mi masować barki.

- Czy to znaczy, że już wszystko zarezerwowałaś?

- Ano.

- Szybka jesteś.

Ręce siostry przyniosły ulgę - poczułam się senna i było mi ciepło. Rozejrzałam się po kolorowej pracowni Charli, biurku pokrytym teczkami i książkami, jasnorubinowych zasłonach falujących w letnim wietrze. W domu było cicho, gdy dzieci Charli przebywały gdzie indziej.

- A gdzie ten facet mieszka?

- On ma imię i nazwisko. William Rainsferd. Mieszka w Lukce.

- Co to za miejsce?

- To niewielkie miasto pomiędzy Florencją a Pizą.

- Co robi zawodowo?

- Sprawdzalam w sieci, ale jego macocha i tak mi powiedziala. Jest krytykiem kulinarnym. Ma zone rzeźbiarke i dwójke dzieci.

- A ile ma lat?

- Czuję się, jakbym była przesłuchiwana przez policję. Urodził się w pięćdziesiątym dziewiątym.

- I zamierzasz wparować w jego życie, by wyzwolić wszystkie demony przeszłości.

Zdegustowana, odepchnęłam ręce Charli.

- Oczywiście, że nie! Chcę tylko, aby poznał naszą stronę historii. Chcę się upewnić, że wie, iż nikt nie zapomniał o tym, co się stało.

Przebiegły uśmiech.

- On pewnie też nie. Jego matka nosiła to ze sobą przez całe życie... Może nie chce, aby mu przypominano.

Na dole trzasnęły drzwi.

- Jest tam kto? Piękna dama i jej siostra z Pari? Dźwięk kroków na schodach.

Barry, mój szwagier. Twarz Charli się rozjaśniła. Jaka zakochana, pomyślałam.

Cieszyłam się wraz z nią. Po bolesnym i trudnym rozwodzie ponownie była szczęśliwa.

Patrząc, jak się całują, pomyślałam o Bertrandzie. Co czeka moje małżeństwo? W którą stronę się posunie? Czy da się uratować? Odpędziłam te myśli, idąc po schodach za Charlą i Barrym.

Leżąc później w łóżku, przypominałam sobie słowa Charli o Williamie Rainsferdzie.

Może nie chce, aby mu przypominano. Wierciłam się w łóżku, nie mogąc zasnąć przez większą część nocy. Następnego ranka stwierdziłam, że wkrótce się dowiem, czy William Rainsferd chce rozmawiać o swojej matce i

przeszłości. Będę wiedziała, jak tylko się z nim spotkam i porozmawiam. Za dwa dni miałyśmy odlecieć z Zoe z lotniska Kennedy'ego do Paryża, a stamtąd do Florencji.

- William Rainsferd zawsze spędza wakacje w Lukce - powiedziała Mara, dając mi adres. Następnie zadzwoniła do przybranego syna, by powiedzieć, że będę go szukała.

William Rainsferd był świadom, że zadzwoni do niego niejaka Julia Jarmond. I tylko tyle wiedział.

Toskański upał miał niewiele wspólnego ze skwarem Nowej Anglii. Był bardzo suchy, pozbawiony jakiegokolwiek wilgoci. Kiedy wychodziłam z Zoe z florenckiego lotniska Peretola, myślałam że w porażającej spiekocie uschnę i spłonę na miejscu.

Myślałam, że to z powodu ciąży, i pocieszałam się, że zazwyczaj nie byłam taka wycieńczona w czasie kanikuły ani aż tak wysuszona. Zmiana strefy czasowej również nie pomagała. Słońce zdawało się we mnie wgryzać, wyżerać skórę i oczy mimo słomianego kapelusza i ciemnych okularów.

Wypożyczyłam samochód, skromnie wyglądającego fiata, który czekał na nas na środku zalanego słońcem parkingu. Klimatyzacja w środku była, łagodnie mówiąc, słaba. Wyjeżdżając z parkingu, zaczęłam się zastanawiać, czy dam radę pokonać czterdziestopięciominutową drogę do Lukki. Pragnęłam chłodnego, cienistego pokoju, w którym mogłabym zasnąć pod miękką lekką pościelą. Otuchy dodawała mi wytrwałość Zoe. Ani na chwilę nie przestawała mówić, zwracała uwagę na kolor nieba - głęboki, bezchmurny błękit - rosnące wzdłuż autostrady cyprysy, posadzone w rzędach oliwki, rozsypujące się stare domy widoczne na odległych wzgórzach.

- A to Montecatini - zaszcebiotała dumnie, pokazując palcem i recytując z przewodnika - znane ze swojego wina i luksusowego uzdrowiska.

Podczas jazdy Zoe czytała o Lukce. To jedno z niewielu toskańskich miast, które zachowały swoje średniowieczne mury wokół nienaruszonego

centrum, gdzie mogły wjeżdżać tylko nieliczne samochody. Było wiele do zobaczenia - czytała dalej Zoe - katedra, kościół San Michele, wieża Guinigui, muzeum Pucciniego, palazzo Mansi...

Uśmiechnęłam się do córki, rozbawiona jej dobrym humorem. Spojrzała na mnie.

- Pewnie nie będziemy miały dużo czasu na zwiedzanie... - Uśmiechnęła się konspiracyjnie. - Mamy robotę do zrobienia, prawda, mamo?

- Zgadza się - przytaknęłam.

Zoe już znalazła mieszkanie Williama Rainsferda na mapie Lukki nieopodal via Fillungo, głównej ulicy miasta - trotuaru, przy którym znajdował się niewielki pensjonat Casa Giovanna, gdzie zarezerwowałam pokoje.

Kiedy dojeżdżałyśmy do Lukki i zawilego labiryntu obwodnic, odkryłam, że w większym stopniu niż na tym, gdzie jestem, muszę się koncentrować na chaotycznym zachowaniu kierowców dookoła. Samochody co chwila włączały się do ruchu, zatrzymywały bądź skręcały bez jakiegokolwiek ostrzeżenia. Zdecydowanie gorzej niż w Paryżu, uznałam, czując rosnące rozdrażnienie. Zaczął mnie boleć dół brzucha.

Niepokojąco przypominało to zbliżającą się miesiączkę. Może to skutek czegoś, co zjadłam na pokładzie samolotu i nie przypadło mojemu przewodowi pokarmowemu do gustu? A może coś gorszego? Byłam coraz bardziej niespokojna.

Char la miała rację. Nie powinnam tu przyjeżdżać w moim stanie, nawet jeżeli byłam dopiero w trzecim miesiącu ciąży. Mogłam odbyć tę podróż później. William Rainsferd mógł poczekać jeszcze pół roku na moje odwiedziny.

Wtedy spojrzałam na twarz Zoe. Była piękna, wypełniona radością i podnieceniem.

Jeszcze nic nie wiedziała o separacji rodziców. Wciąż była niewinna, nieskażona naszymi planami. To będzie lato, którego nigdy nie zapomni.

Prowadząc fiata w stronę jednego z wolnych miejsc parkingowych przy murach miejskich, wiedziałam już, że chcę, aby ta część wakacji minęła Zoe możliwie najwspanialej.

Powiedziałam córce, że muszę chwilę odetchnąć. Podczas gdy gawędziła w recepcji z miłą gospodynią Giovanną, obficie obdarzoną przez naturę panią ze zmysłowym głosem, wzięłam chłodny prysznic i położyłam się na łóżku. Ból w dolnej części brzucha stopniowo ustawał.

Nasze połączone pokoje były niewielkie i położone na jednym z wyższych pięter strzelistego starodawnego budynku, jednak okazały się całkiem wygodne. Ciągłe przypominał mi się głos matki, kiedy zadzwoniłam od Charli, by powiedzieć, że nie przyjeżdżam do Nahant, że zabieram Zoe z powrotem do Europy. Po sposobie, w jaki odchrząkiwała, i chwilach milczenia mogłam poznać, że jest zmartwiona. W końcu spytała, czy wszystko jest w porządku. Radośnie odparłam, że jak najbardziej i mam akurat okazję do zwiedzenia z Zoe Florencji, po czym wrócę do Stanów i odwiedzę rodziców.

- Ale ledwo co przyjechałaś! Dlaczego masz wyjeżdżać, kiedy byłaś u Charli dopiero kilka dni? - zaprotestowała. - Czemu masz przerywać wakacje Zoe? Po prostu nie rozumiem. A przed chwilą tłumaczyłaś, jak się stęskniłaś za Stanami. To wszystko się dzieje w takim tempie...

Czułam się winna. Ale jak miałam wszystko wytłumaczyć rodzicom przez telefon?

Kiedyś im wyjaśnię, pomyślałam. Ale nie teraz. Wciąż było mi głupio, gdy leżałam na lekko pachnącej lawendą blad różowej pościeli. Nawet nie powiedziałam mamie o tym, że jestem w ciąży. Nie powiedziałam też Zoe. Pragnęłam dopuścić je do grona wtajemniczonych, tak samo jak tatę. Ale coś mnie powstrzymywało. Jakiś dziwaczny przesąd, głęboko zakorzeniona obawa, której nigdy wcześniej nie czułam.

W ciągu ostatnich miesięcy moje życie zdało się nabrać nieco innego wymiaru.

Czy miało to coś wspólnego z Sarą, z rue de Saintonge? Czy też był to skutek pogodzenia się wreszcie ze swoim wiekiem? Nie wiedziałam. Potrafiłam tylko stwierdzić, że czuję się, jakbym wyszła z otaczającej mnie od dawna, tonującej wszystkie obrazy ochronnej mgły. Teraz moje zmysły były wyostrzone i czujne. Mgła się rozviała. Nic nie było stonowane. Były tylko fakty. Znalezienie tego człowieka.

Wyjaśnienie mu, że Tezacowie nigdy nie zapomnieli o jego matce, podobnie jak Dufaure'owie.

Nie mogłam się doczekać tego spotkania. Był tutaj, gdzieś w tym mieście, być może właśnie szedł ruchliwą via Fillungo, dokładnie w tej chwili. Leżałam w swoim pokoiku; słysząc dochodzące przez otwarte okno głosy i śmiech z wąskiej ulicy, którym czasami towarzyszył ryk vespy bądź brzęk dzwonka rowerowego, czułam, że jestem blisko Sary, bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. Miałam spotkać jej syna, ciało z jej ciała i krwi. Bliżej dziewczynki z żółtą gwiazdą już nie mogłam być.

Wyciągnij tylko rękę, podnieś słuchawkę i zadzwoń do niego. To takie proste. Takie łatwe. Jednak nie byłam w stanie. Patrzyłam bezradnie na staromodny czarny telefon.

Westchnęłam, zła na siebie. Położyłam się z powrotem niemalże zawstydzona.

Czułam się głupio. Zdałam sobie sprawę, że byłam do tego stopnia zajęta rozmyślaniami o synu Sary, że nawet nie zauważyłam uroków Lukki. Przeszłam przez miasto niczym lunaticzka, idąc za Zoe, która zdawała się odnajdywać w starych krętych uliczkach, jakby mieszkała tu od urodzenia. Nie zobaczyłam ani kawałka Lukki. Nic poza Williamem Rainsferdem nie miało dla mnie znaczenia. A nie byłam nawet w stanie do niego zadzwonić. Zoe weszła do pokoju i usiadła na krawędzi łóżka.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Trochę odpoczęłam.

Przyjrzała mi się dokładnie swoimi piwnymi oczami.

- Chyba nie powinnaś jeszcze wstawać, mamó. Skrzywiłam się.

- Wyglądam na aż tak zmęczoną? Przytaknęła.

- Po prostu odpocznij, mamó. Giovanna da mi coś do jedzenia. Nie musisz się o mnie martwić. Wszystko jest pod kontrolą.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć na widok poważnej miny córki. Gdy doszła do drzwi, obróciła się.

- Mamó...

- Tak, kochanie?

- Czy papa wie, że tu jesteśmy?

Nie powiedziałam Bertrandowi, że zabieram Zoe do Lukki. Niewątpliwie byłby wściekły, gdyby się dowiedział.

- Nie, skarbie, nie wie. Wodziła palcem po kłamce.

- Czy pokłóciłaś się z papą?

Nie miało sensu kłamać tym jasnym poważnym oczom.

- Tak, kochanie. Papa nie chce, abym szukała informacji o Sarze. Nie byłby zbyt szczęśliwy, gdyby się dowiedział.

- Dziadek wie. Zdumiona usiadłam na łóżku.

- Rozmawiałaś o tym z dziadkiem? Przytaknęła.

- Tak. Wiesz, on się naprawdę przejmuje Sarą. Zadzwoiłam do niego z Long Island i powiedziałam, że jedziemy tutaj spotkać się z jej synem. Wiedziałam, że w końcu zadzwonisz do dziadka, ale byłam tak podniecona, że po prostu musiałam mu powiedzieć.

- I jak zareagował? - spytałam, zaskoczona otwartością córki.

- Uważa, że słusznie robisz, jadąc tutaj. I to samo powie papie, jeżeli papa kiedykolwiek zacznie się awanturować. Powiedział, że jesteś wspaniałą osobą.

- Edouard to powiedział.

- Tak.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem i wzruszeniem.

- Dziadek mówił też coś jeszcze: abyś się zbytnio nie przemęczała, że musisz na siebie uważać.

A więc Edouard wiedział. Wiedział, że jestem w ciąży. Rozmawiał z Bertrandem.

Zapewne miała miejsce długa rozmowa ojca z synem. A Bertrand był teraz świadom wszystkiego, co się działo w mieszkaniu na rue de Saintonge latem czterdziestego drugiego.

Głos Zoe odciągnął moje myśli od Edouarda.

- Dlaczego po prostu nie zadzwonisz do Williama, mamó? Czemu się nie umówisz?

Usiadłam na łóżku.

- Masz rację, złotko.

Wyjęłam kartkę z numerem Williama zapisanym pismem Mary i wykręciłam go na staromodnym telefonie. Czułam, jak łomocze mi serce. To było nierealne. Oto dzwoniłam do syna Sary.

Usłyszałam kilka nieregularnych sygnałów, a następnie szum automatycznej sekretarki. Kobięcy głos mówiący szybko po włosku. Spiesznie odłożyłam słuchawkę, czułam się głupio.

- To nie było zbyt mądre - zwróciła uwagę Zoe. - Nigdy się nie rozłączaj, gdy odbiera automat. Mówiłaś mi to tysiąc razy.

Zadzwoniłam jeszcze raz, uśmiechając się na widok dorosłej niecierpliwości córki wobec mojego zachowania. Tym razem jednak poczekałam na sygnał. Kiedy zaczęłam mówić, wszystko zabrzmiało bardzo ładnie, jakbym się przygotowywała od kilku dni.

- Dzień dobry, tu Julia Jarmond. Dzwonię w imieniu pani Mary Rainsferd. Jestem z córką w Lukce w Casa Giovanna na via Fillungo. Będziemy na miejscu przez kilka dni. Bardzo byłoby nam miło się z państwem skontaktować. Dziękujemy, do widzenia.

Odłożyłam słuchawkę na czarne widełki, czując zarówno ulgę, jak i

zawód.

- Dobrze - oznajmiła Zoe. - A teraz odpoczywaj dalej. Spotkamy się później.

Pocałowała mnie w czoło i wyszła z pokoju. i

Jadłyśmy kolację w niewielkiej śmiesznej restauracyjce za hotelem, niedaleko anfiteatru, dużego kręgu starodawnych domów, między którymi wieki temu organizowano średniowieczne igrzyska. Po odpoczynku czułam się znacznie lepiej i mogłam się cieszyć z widoku kolorowego kordonu turystów, lukkezzańczyków, ulicznych sprzedawców, dzieci i gołębi. Zauważyłam, że Włosi uwielbiają dzieci.

Zoe była nazywana przez kelnerów i sprzedawców pńcipessą. Pochylano się nad nią, uśmiechano, szczypano przyjaźnie w nos i uszy, głaskano po głowie. Na początku wzbudzało to mój niepokój, ale córka czerpała wielką przyjemność z poświęcanej jej uwagi, energicznie wypróbowując swoją podstawową znajomość włoskiego: Sono Francese e Ameñcana, mi chiama Zoe. Upał ustąpił, pozostawiając na polu bitwy chłodne powiewy wiatru. Wiedziałam jednak, że w naszych pokoikach wysoko nad ulicą będzie nadal gorąco i duszno. Włosi, podobnie jak Francuzi, nie kwapili się do instalowania klimatyzacji. Nie miałabym dziś w nocy nic przeciwko powiewowi zimnego powietrza z maszyny.

Kiedy wróciłyśmy do Casa Giovanna, nieco otumanione zmianą strefy czasowej, na drzwiach wisiała kartka z napisem: „Perfavore telefonare William Rainsferd”.

Oszołomiona zatrzymałam się w miejscu. Zoe krzyknęła z radości.

- Teraz? - spytałam.

- Jest dopiero ósma czterdzieści pięć - stwierdziła Zoe.

- No, dobrze. - Otworzyłam drzwi drżącymi rękami. Czarna słuchawka wydawała się lepka w zetknięciu z moim uchem. Wykręciłam ten sam numer po raz trzeci tego dnia. Sekretarka - powiedziałam bezdźwięcznie Zoe. - Mów -

odpowiedziała w ten sam sposób. Po sygnale wymamrotałam swoje imię i nazwisko, zawahałam się i miałam już odłożyć słuchawkę, gdy odezwał się męski głos.

- Halo? - Amerykański akcent. To on.

- Dobry wieczór. Tu Julia Jarmond.

- Dobry wieczór. Właśnie jem kolację.

- O, przepraszam...

- Nie szkodzi. Chce się pani spotkać jutro przed lunchem?

- Oczywiście.

- Na murach obronnych jest miła kafejka, tuż za Palazzo Mansi. Możemy się tam umówić w południe?

- Jak najbardziej - odpowiedziałam. - Ale, ee, jak się znajdziemy?

Roześmiał się.

- Spokojnie. Lukka to małe miasto. Znajdę panią. Chwila przerwy.

- Do widzenia - powiedział i odłożył słuchawkę.

Następnego ranka ból brzucha powrócił. Nie był bardzo dokuczliwy, ale niepokoił mnie swoją uporczywością. Postanowiłam nie zwracać na niego uwagi. Jeżeli nie zniknie po obiedzie, poproszę Giovannę o skontaktowanie mnie z lekarzem. Idąc do kafejki, zastanawiałam się, jak przejdę w rozmowie z Williamem do tematu Sary.

Starłam się wcześniej o tym nie myśleć i zdałam sobie teraz sprawę z popełnionego błędu. Planowałam obudzić smutne i bolesne wspomnienia. Być może w ogóle nie chciał rozmawiać o matce. Może już puścił to w niepamięć. Miał tutaj swoje życie, z dala od Roxbury, z dala od rue de Saintonge. Spokojne sielankowe życie. A oto w towarzystwie przeszłości przychodziłam ja. W towarzystwie zmarłych.

Odkryłyśmy z Zoe, że można chodzić po grubych średniowiecznych murach otaczających niewielkie miasto. Na wysokiej i szerokiej konstrukcji wytyczono chodnik, z obu stron gęsto wysadzany kasztanami. Wmieszałyśmy

się w nieprzerwany ciąg spacerujących, uprawiających jogging, jeżdżących na rowerach i łyżworolkach, matek z dziećmi, rozmawiających głośno staruszków, nastolatków na skuterach i turystów.

Kafejka znajdowała się nieopodal, w cieniu liściastych drzew. Podeszłam z Zoe do stolika. Czułam się, jakbym była gdzie indziej i patrzyła z zewnątrz na to, co robię.

W ogródku poza jedzącą lody parą w wieku średnim oraz kilkoma studiującymi mapę niemieckimi turystami nie było nikogo. Zsunęłam kapelusz i wygładziłam pogiętą sukienkę.

Kiedy powiedział moje imię, czytałam Zoe, co się znajduje na karcie dań.

- Julia Jarmond.

Podniosłam wzrok, by zobaczyć wysokiego postawnego mężczyznę po czterdziestce.

Usiadł naprzeciwko mnie i Zoe.

- Cześć - powiedziała Zoe.

Zorientowałam się, że nie jestem w stanie nic powiedzieć. Mogłam tylko na niego patrzeć. Był ciemnym blondynem, choć we włosach widoczne były pasma szarości.

Wysokie czoło. Kwadratowa szczęka. Piękny krogulczy nos.

- Cześć - odpowiedział. - Spróbuj tiramisu. Na pewno ci zasmakuje.

Po czym zsunął ciemne okulary przez czoło na czubek głowy. Miał oczy matki.

Turkusowe i lekko skośne. Uśmiechnął się.

- A więc, jak rozumiem, jest pani dziennikarką? Pracującą w Paryżu? Sprawdziłem w internecie.

Zakasłałam, bawiąc się zegarkiem.

- Ja również szukałam informacji o panu w internecie. Gratuluję ostatniej książki, Toskańskich uczt.

William Rainsferd westchnął i poklepał się po brzuchu.

- Ach, ta książka walnie się przyczyniła do kolejnych pięciu kilo, których w żaden sposób nie mogę się pozbyć.

Uśmiechnęłam się pogodnie. Trudno będzie przejść z tej łagodnej i przyjemnej rozmowy na temat, który mnie tu przywiódł. Zoe patrzyła na mnie znacząco.

- Bardzo nam miło, że przyszedł pan się z nami spotkać... Jestem bardzo wdzięczna...

Brzmiałam nieprzekonywająco i słychać było, że nie mówię tego, o czym myślę.

- Nie ma problemu - roześmiał się, pstrykając palcami na kelnera.

Zamówiliśmy tiramisu i colę dla Zoe oraz dwa cappuccino.

- To pani pierwsza wizyta w Lukce? - spytał. Przytaknęłam. Kelner stał jeszcze przy stole. William Rainsferd powiedział coś szybką płynną włoszczyzną. Obaj się roześmieli.

- Często przychodzę do tej kafejki - wyjaśnił. - Lubię tu przesiadywać. Nawet w tak gorące dni jak dzisiejszy.

Zoe próbowała tiramisu, stukając łyżeczką o szklaną miseczkę. Zapadła cisza.

- Jak mogę pomóc? - zapytał wesołym głosem. - Mara wspominała coś o mojej matce.

Podziękowałam Marze w myślach. Zdawało się, że teraz będzie łatwiej.

- Nie wiedziałam, że nie żyje - wyjaśniłam. - Przykro mi.

- Nie szkodzi. - Wzruszył ramionami i wrzucił do kawy kawałek cukru. - To się stało dawno temu. Byłem dzieckiem. Znała ją pani? Wygląda pani trochę za młodo.

Potrząsnęłam głową.

- Nie, nigdy nie spotkałam pana matki. Za to będę się wprowadzać do jej dawnego mieszkania z czasów wojny. Na rue de Saintonge w Paryżu. Znam też ludzi, którzy byli jej bliscy. To dlatego tu jestem. Dlatego przyszedłam się z

panem spotkać.

Postawił kawę z powrotem na blacie i patrzył na mnie w milczeniu. Jasne oczy były spokojne, widać w nich było skupienie.

Pod stołem Zoe położyła lepką rękę na moim gołym kolanie. Patrzyłam, jak obok przejeżdża para rowerzystów. Upał znowu zaczynał doskwierać. Wzięłam głęboki oddech.

- Nie bardzo wiem, jak zacząć - zająknęłam się. - To pewnie dla pana bardzo trudne znowu musieć o tym myśleć, ale uznałam, że to mój obowiązek. Moi teściowie, państwo Tezac, spotkali pana matkę na rue de Saintonge w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim.

Sądziłam, że zareaguje na nazwisko Tezac, ale pozostawał w bezruchu. Nazwa ulicy również zdawała się nie budzić skojarzeń.

- Po tym, co się stało, to jest tragicznych wydarzeniach lipca czterdziestego drugiego i śmierci pana wujka, chciałam tylko zapewnić, że rodzina Tezaców nigdy nie zapomniała o pana matce. W tym mój teść, który myśli o niej codziennie.

Chwila ciszy. Oczy Williama Rainsferda zdawały się zwęzać.

- Przepraszam - powiedziałam szybko. - Wiedziałam, że to będzie dla pana bolesne.

Przepraszam.

Kiedy w końcu przemówił, głos Williama Rainsferda brzmiał dziwnie, jakby był tłumiony od wewnątrz.

- Co ma pani na myśli, mówiąc o „tragicznych wydarzeniach”?

- Cóż, aresztowania Vel’ d’Hiv’ - zaczęłam wyjąkiwać - żydowskie rodziny zawożone na stadion w lipcu czterdziestego drugiego...

- Co jeszcze?

- Poza tym obozy... Rodziny wysyłane z Drancy do Oświęcimia...

William Rainsferd rozłożył ręce i pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nie widzę żadnego związku z moją matką.

Wymieniłyśmy z Zoe niespokojne spojrzenia.

Minęła ciężka minuta. Czułam się wyjątkowo nieswojo.

- Wspominała pani o śmierci wujka? - powiedział w końcu.

- Tak... Michela. Młodszego brata pańskiej matki. Na rue de Saintonge.

Cisza.

- Michel? - Zdawał się być zdezorientowany. - Matka nigdy nie miała brata imieniem Michel. I nigdy nie słyszałem o rue de Saintonge. Wie pani, chyba nie mówimy o tej samej osobie.

- Ale pana matka miała na imię Sarah, prawda? - wymamrotałam zdezorientowana.

Kiwnął głową.

- Zgadza się. Sarah Dufaure.

- Tak, Sarah Dufaure to ona - oznajmiłam pospiesznie. - A raczej Sarah Starzyński.

Sądziłam, że rozjaśni mu się oczy.

- Słucham? - Zmarszczył czoło. - Sarah co?

- Starzyński. Panieńskie nazwisko pana matki. William Rainsferd patrzył na mnie, unosząc lekko brodę.

- Panieńskie nazwisko mojej matki brzmi Dufaure. Usłyszałam w głowie dzwonek alarmowy. Coś było nie tak.

On nie wiedział.

Wciąż mogłam pójść, odejść stąd, zanim zburzę doszczętnie spokojne życie tego mężczyzny.

Przykleiłam do twarzy beztroski uśmiech, powiedziałam cicho coś o pomyłce, zaczęłam odsuwać krzesło od stołu i łagodnie ponagliłam Zoe, by zostawiła swój deser. Nie będę więcej zajmować czasu, bardzo przepraszam za kłopot, podniosłam się z krzesła. On również.

- Chyba nie mówimy o tej samej Sarze - powiedział, uśmiechając się. - To nie ma znaczenia, życzę miłego pobytu w Lukce. I tak przyjemnie było panie

spotkać.

Zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć, Zoe wsadziła rękę do mojej torebki, wyjęła coś i podała Williamowi Rainsferdowi. Spojrzał na fotografię dziewczynki z żółtą gwiazdą.

- Czy to pańska matka? - spytała Zoe wysokim głosem. Zdawało się, że wszystko dookoła zamilkło. Z ruchliwego chodnika nie dochodziły żadne odgłosy. Nie było nawet słycać ptaków. Był tylko upał. I milczenie.

- Jezu - powiedział.

Usiadł ciężko z powrotem na krześle.

Fotografia leżała między nami na stole. William Rainsferd patrzył to na nią, to na mnie, raz po raz. Kilkakrotnie czytał z niedowierzaniem napis na odwrocie.

- Wygląda dokładnie jak moja matka jako dziecko - stwierdził w końcu. - Temu nie mogę zaprzeczyć.

Zoe i ja nic nie mówiłyśmy.

- Nie rozumiem. To niemożliwe.

Zaczął nerwowo wykręcać dłonie. Miał długie smukłe palce. Zauważyłam srebrną obrączkę.

- Gwiazda... - kontynuował, kręcąc głową. - Ta gwiazda na jej piersi...

Czy możliwe, że nie wiedział o przeszłości matki? O jej wyznaniu? Czy możliwe, że Sarah nigdy nie powiedziała o tym Rainsferdom?

Przyglądałam się jego twarzy, na której widać było dezorientację i niepokój i wydawało mi się, że znam odpowiedź. Nie, nie powiedziała im. Nie ujawniła szczegółów swojego dzieciństwa, pochodzenia i religii. Całkowicie odcięła się od straszliwej przeszłości.

Chciałam być daleko stąd. Z dala od tego miasta, tego kraju, z dala od mężczyzny siedzącego naprzeciwko mnie i od jego niezrozumienia. Jak mogłam być taka ślepa?

Jak mogłam się tego nie spodziewać? Ani razu nie przyszło mi do głowy,

że Sarah mogła utrzymywać wszystko w tajemnicy, że jej cierpienia były zbyt wielkie, że to dlatego nigdy nie pisała do Dufaure'ów. Dlatego nigdy nie powiedziała synowi, kim była naprawdę. Chciała rozpocząć w Ameryce całkowicie nowe życie.

A teraz pojawiałam się ja, nieznajoma odkrywająca gorzką prawdę, nieudolna głosicielka złych wieści.

William Rainsferd popchnął fotografię z powrotem w moją stronę. Na jego twarzy widać było napięcie.

- Po co tu pani przyjechała? - wyszeptał. Czułam suchość w gardle.

- Aby mi powiedzieć, że moja matka inaczej się nazywała, że przeżyła tragedię? Czy to dlatego pani tu jest?

Czułam, jak pod stołem zaczynają mi drżeć nogi. Nie tak to sobie wyobrażałam.

Spodziewałam się bólu, smutku, ale nie tego. Nie złości.

- Sądziłam, że pan wie - zaryzykowałam. - Przyjechałam dlatego, że moja rodzina pamięta to, przez co przeszła w czterdziestym drugim. Dlatego tu jestem.

Ponownie potrząsnął głową, przeciągnął zdenerwowanymi palcami przez włosy.

Ciemne okulary spadły na stół.

- Nie - powiedział cicho. - Nie. Nie, nie. To szaleństwo. Moja matka była Francuzką.

Nazywała się Dufaure. Urodziła się w Orleanie. Straciła rodziców podczas wojny.

Nie miała żadnych braci. Nie miała rodziny. Nigdy nie mieszkała w Paryżu, na tej rue de Saintonge. Ta mała Żydówka to nie może być ona. Wszystko się pani pomyliło.

- Niech pan pozwoli mi wyjaśnić - poprosiłam łagodnym tonem - i opowiedzieć całą historię...

Podniósł ręce dłońmi w moją stronę, jakby chciał mnie odepchnąć.

- Nie chcę wiedzieć. Niech pani zatrzyma „całą historię” dla siebie.

Poczułam znajomy już ból targający moje wnętrze, dobierający się wprawnymi zębami do brzucha.

- Proszę... - ledwo miałam siłę mówić. - Proszę, niech mnie pan posłucha.

William Rainsferd zdążył już wstać zwinnym ruchem, jak na mężczyznę tak okazałych rozmiarów. Pochylił głowę i spojrzał na mnie ponurym wzrokiem.

- Powiem jasno. Nie chcę pani więcej widzieć. Nie chcę o tym więcej słyszeć.

Proszę do mnie nie dzwonić.

Obrócił się i odszedł.

Odprowadziłyśmy Williama Rainsferda wzrokiem. To wszystko na nic. Cała podróż, wszystkie wysiłki doprowadziły tylko do tego. Do ślepego zaułka. Nie mogłam uwierzyć, że historia Sary może się skończyć tutaj, tak szybko. Nie mogła się tak po prostu urwać.

Siedziałyśmy przez dłuższą chwilę w milczeniu. Drżąc mimo upału, zapłaciłam rachunek. Zoe nic nie mówiła. Zdawała się być oszołomiona.

Wstałam, czując, że zmęczenie spowalnia każdy mój ruch. Co teraz? Dokąd miałam pójść? Jechać z powrotem do Paryża? Z powrotem do Charli?

Brnęłam przed siebie, z trudem podnosząc ołowiane stopy. Słyszałam wołający mnie głos Zoe, ale nie chciało mi się obrócić. Chciałam szybko wrócić do hotelu.

Pomyśleć. Zacząć coś nowego. Zadzwoić do siostry. Do Edouarda. Do Gasparda.

Głos Zoe przybrał na sile i słyszalnym w nim niepokojem. O co jej chodziło? Dlaczego ciągle jęczała? Zauważyłam, że inni przechodnie się na mnie gapią. Obróciłam się do swojej córki, zdenerwowana, by powiedzieć, żeby się pospieszyła.

Podbiegła do mnie i złapała za rękę. Zbladła.

- Mamo... - szepnęła ciekim głosem.

- Co? O co chodzi? - warknęłam.

Wskazała na moje nogi i zaczęła jęczeć jak szczenię. Zerknęłam w dół. Biała sukienka była przesiąknięta krwią. Obejrzałam się na swoje siedzenie. Na materiale widniał szkarłatny półksiężyc. Po udach spływały strużki gęstej czerwieni.

- Co ci się stało, mamó? - powiedziała z trudem Zoe. Złapałam się za brzuch.

- Dziecko - szepnęłam przerażona.

Zoe patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Dziecko? - krzyknęła, wpijając się palcami w moje ramię. - Jakie dziecko, mamó?

O czym ty mówisz?

Twarz córki zniekształciła się i oddaliła, jakbym patrzyła przez złą stronę lornetki.

Nogi ugięły się pode mną i po chwili uderzyłam brodą o twardą suchą nawierzchnię.

Potem cisza. I ciemność.

Otworzyłam oczy, by zobaczyć twarz Zoe kilkanaście centymetrów od mojej.

Czułam szczególny zapach szpitala. Mały zielony pokój. Kroplówka podłączona do mojego ramienia. Kobieta w białej bluzce zapisująca coś na kartce.

- Mamo... - szepnęła Zoe, ściskając mnie za rękę. - Mamo, wszystko jest w porządku. Nie martw się.

Młoda kobieta podeszła do mnie, uśmiechnęła się i poklepała Zoe po głowie.

- Nic się nie stało, signora - powiedziała zaskakująco dobrą

angielszczyzną. - Straciła pani krew, dużo krwi, ale już jest po wszystkim.

Mój głos zabrzmiał jak jęk:

- A dziecko?

- Dziecku nic nie jest. Zrobiliśmy USG. Był problem z łożyskiem. Musi pani teraz odpocząć. Proszę na razie nie wstawać.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą delikatnie drzwi.

- Prawie się zesrałam ze strachu - powiedziała Zoe. -1 mogę dzisiaj mówić

„zesrałam”. Chyba nie będziesz mi zwracać uwagi.

Przyciągnęłam córkę do siebie i przytuliłam tak mocno, jak mogłam, nie zwracając uwagi na kroplówkę.

- Mamo, dlaczego nic nie wiedziałam o dziecku?

- Zamierzałam ci powiedzieć, kochanie. Spojrzała mi w twarz.

- Czy to przez nie macie z papą problemy?

- Tak.

- Ty chcesz je urodzić, a papa go nie chce, tak?

- Coś w tym stylu.

Zaczęła łagodnie gładzić moją dłoń.

- Papa jest w drodze.

- O Boże.

Bertrand tutaj. Bertrand na tym całym pobojuwisku.

- Zadzwońłam do niego - stwierdziła Zoe. - Będzie za kilka godzin.

W oczach zebrały mi się łzy, które po chwili zaczęły spływać po policzkach.

- Nie płacz, mamo - poprosiła Zoe, gorączkowo wycierając mi twarz rękami. - Wszystko jest w porządku, wszystko już jest w porządku.

Zmusiłam się do zmęczonego uśmiechu, kiwając głową, by pokrzepić córkę. Czułam, że mój świat jest pusty i pozbawiony sensu. Ciągle myślałam o odchodzącym Williamie Rainsferdzie. Nie chcę pani więcej widzieć. Nie chcę o

tym więcej słyszeć. Proszę do mnie nie dzwonić. Wysokie zgarbione plecy. Napięcie na twarzy.

Dni, tygodnie, miesiące przede mną rozciągały się niczym szare pustkowie. Nigdy nie czułam się tak przygnębiona i zagubiona. Wyrwano rdzeń mojego bytu. Co zostało? Dziecko, którego mój niebawem były mąż nie chciał i które będę musiała sama wychować. Córka, która wkrótce będzie nastolatką i może przestać być tą cudowną dziewczynką, którą jest teraz. Nie widziałam już przed sobą żadnych perspektyw.

Pojawił się Bertrand, spokojny, sprawny i czuły. Oddałam się pod opiekę męża, słuchając, jak rozmawia z lekarzem, pokrzepia Zoe, rzucając jej co jakiś czas ciepłe spojrzenie. Zajął się wszystkim. Miałam tu zostać, dopóki krwawienie nie ustanie całkowicie. Po czym miałam polecieć do Paryża i unikać wysiłku do jesieni, do piątego miesiąca ciąży. Bertrand ani razu nie wspomniał o Sarze. Nie zadawał żadnych pytań. Wycofałam się w wygodne milczenie. Nie chciałam więcej o niej rozmawiać.

Zaczynałam się czuć jak staruszka przewożona to tu, to tam, tak jak Marne w obrębie swojego „domu”, otoczona wszędzie tymi samymi łagodnymi uśmiechami, tą samą zwietrzałą dobrotliwością. Bardzo łatwo było oddać kontrolę nad swoim życiem komuś innemu. I tak nie miałam zbytnio o co walczyć. Poza dzieckiem.

Dzieckiem, o którym Bertrand również ani razu nie wspomniał.

Kiedy kilka tygodni później wylądowaliśmy w Paryżu, czułam się, jakby upłynął rok.

Nadal byłam zmęczona i smutna. Codziennie myślałam o Williamie Rainsferdzie.

Kilkakrotnie sięgałam po telefon albo papier i długopis, chcąc z nim porozmawiać, napisać, wyjaśnić, powiedzieć coś, przeprosić, ale nigdy się nie odważyłam.

Pozwalałam dniom uciekać, latu przemienić się w jesień. Leżałam w

łóżku i pisałam artykuły na laptopie, czytałam, rozmawiałam przez telefon z Joshuą, Bamberem, Alessandrą, rodziną i przyjaciółmi. Pracowałam w sypialni. Na początku myślałam, że trudno będzie to zorganizować, ale wszystko okazało się działać całkiem sprawnie.

Przyjaciółki, Isabelle, Holly i Susannah, na przemian przychodziły gotować obiady.

Raz w tygodniu jedna z moich szwagierek robiła z Zoe zakupy w pobliskim Inno lub Franprix. Krągła zmysłowa Cecile przygotowywała puszyste ociekające masłem crepes, a estetyczna kanciasta Laure tworzyła egzotyczne niskokaloryczne sałatki, które okazywały się zaskakująco sycące. Teściowa przychodziła rzadziej, ale za to regularnie przysyłała swoją sprzątaczkę, energiczną madame Leclere, którą można było wyczuć, zanim znalazła się w zasięgu wzroku. Odkurzała z tak straszliwym zapachem, że dostawałam skurczy. Rodzice przyjechali pomieszkać przez tydzień w swoim ulubionym hoteliku na rue Delambre, zachwyceni wizją zostania na nowo dziadkami.

Edouard odwiedzał mnie co piątek z bukietem różowych róż. Siadał w fotelu przy łóżku i za każdym razem prosił, bym opisała moją rozmowę z Williamem w Lukce.

Potrząsał głową i wzdychał. Mówił ciągle, że powinien był się spodziewać takiej reakcji. Dziwił się, w jaki sposób ani on sam, ani ja tego nie przewidzieliśmy, że nie przypuszczaliśmy, iż William nic nie wiedział, że Sarah nie powiedziała ani słowa.

- Czy nie możemy do niego zadzwonić? - pytał z nadzieją w oczach. - Czy nie mogę zatelefonować i wyjaśnić? - Po czym patrzył na mnie i mamrotał: - Nie, oczywiście, że nie mogę tego zrobić. Przepraszam. To z mojej strony głupi pomysł.

Spytałam lekarza, czy mogę zorganizować drobne spotkanie towarzyskie, podczas którego leżałabym na kanapie w dużym pokoju. Zgodził się i kazał obiecać, że nie będę nosiła niczego ciężkiego i pozostanę w pozycji

horyzontalnej a la Recamier.

Zatem pewnego letniego wieczoru Gaspard i Nicolas Dufaure przyjechali spotkać się z Edouardem. Była tam też Nathalie Dufaure. Zaprosiłam ponadto Guillaume'a. Była to wzruszająca, magiczna chwila. Trzech starszych panów, których łączyła wyjątkowa dziewczynka. Patrzyłam, jak wszyscy się schylają nad starymi fotografiami Sary, nad listami. Gaspard i Nicolas wypytywali nas o Williama, Nathalie się przysłuchiwała, pomagając Zoe roznosić napoje i jedzenie.

Nicolas, nieco młodsza wersja Gasparda z tą samą okrągłą twarzą i cienkimi białymi włosami, opowiadał o swoich szczególnych relacjach z Sarą, jak jej dawniej dokuczał przez to, że tak bardzo bolało go jej milczenie, a każda reakcja, choćby było to wzruszenie ramionami, zniewaga czy kopnięcie, była sukcesem, przez chwilę bowiem Sara wylaniała się ze swojej samotności i tajemniczości. Mówił, jak to w Trouville na początku lat pięćdziesiątych po raz pierwszy kąpała się w morzu. Z jakim zachwytem patrzyła szeroko otwartymi oczami na ocean, po czym wyciągnęła ramiona, krzyknęła z zachwytu i pobiegła na zwinnych, chudych nogach w stronę wody, by wskoczyć między chłodne niebieskie fale, piszcząc z radości. Pobiegli za nią, krzycząc równie głośno, zachwyceni nową Sarą, której nigdy wcześniej nie widzieli.

- Była piękna - wspominał Nicolas. - Piękna osiemnastolatka jaśniejąca pełnią energii. Tego dnia po raz pierwszy poczułem, że jest w niej radość, że jest jeszcze nadzieja.

Dwa lata później, pomyślałam, Sarah zniknęła z życia Dufaure'ów na zawsze, zabierając swoje tajemnice do Ameryki. A dwadzieścia lat potem już nie żyła.

Zadumałam się nad tym, jak wyglądały te dwie dekady. Małżeństwo, narodziny syna.

Czy była szczęśliwa w Roxbury? Tylko William to wiedział. Tylko William mógł nam powiedzieć. Mój wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem

Edouarda i widziałam, że myśli o tym samym.

Usłyszałam w drzwiach chrzęst klucza Bertranda i zobaczyłam męża, opalonego, przystojnego, otoczonego aromatem Habit rouge, uśmiechającego się przelotnie, sprawnie podającego wszystkim dłoń, i nie mogłam nie pomyśleć o piosence Carly Simon, która kojarzyła się Charli z Bertrandem: You walked into the party like you were walking onto a yacht, wszedłeś na imprezę, jakbyś wchodził na jacht.

Bertrand postanowił odłożyć przeprowadzkę na rue de Saintonge ze względu na moje problemy z ciążą. W tym dziwnym nowym życiu, do którego nadal nie mogłam się przyzwyczaić, był fizycznie obecny na swój przyjazny, przydatny sposób, ale myślami błędził gdzie indziej. Podróżował więcej niż dawniej, przychodził do domu późno, wychodził wcześniej. Nadal spaliśmy w tym samym łóżku, ale nie było to już łóżko małżeńskie. Pośrodku wyrósł mur berliński.

Zoe zdawała się przyjmować to wszystko bez większych problemów. Często mówiła o dziecku, o tym, jakie jest dla niej ważne i jak się nie może doczekać. Robiła zakupy z moją matką, kiedy rodzice przyjechali do Paryża. Straciły kontrolę nad sobą i wpadły w szal zakupów w Bonpoint, absurdalnie drogim i ekskluzywnym sklepie z odzieżą dziecięcą na rue de l'Universite.

Większość ludzi reagowała na wieść o dziecku tak jak moja córka, rodzice i siostra, czy teściowie i Marne: byli zachwyceni. Nawet Joshua, znany ze swojej nietolerancji dla urlopów macierzyńskich i chorobowych, zdawał się być zainteresowany.

- Nie wiedziałem, że można mieć dzieci w wieku średnim - powiedział z krzywym uśmiechem.

Nikt nigdy nie wspominał o kryzysie, który przeżywało moje małżeństwo. Nikt zdawał się go nie dostrzegać. Czy wszyscy potajemnie wierzyli, że po narodzinach Bertrand odzyska zmysły i przywita dziecko z otwartymi ramionami?

Zorientowałam się, że zarówno Bertrand, jak i ja sama popadliśmy w stan apatii.

Nawet nie próbowaliśmy podejmować tematu dziecka. Oboje czekaliśmy, aż się urodzi. Wtedy zobaczymy. Wtedy będzie trzeba coś zrobić. Wtedy trzeba będzie podejmować decyzje.

Któregoś ranka poczułam, jak dziecko zaczyna się ruszać, rozdawać pierwsze kopniaczki, które łatwo pomylić z czymś innym. Chciałam, by już było w moich ramionach. Nie cierpiałam tego stanu niemego letargu, monotonnego oczekiwania.

Czułam się uwięziona. Chciałam przewinąć czas do zimy, do początku przyszłego roku, do narodzin.

Byłam zła, że lato się przeciąga, upał słabnie zbyt wolno, wszędzie jest pełno kurzu, a podle minuty rozciągają się niczym guma. Nienawidziłam francuskiego określenia początku września, powrotu do szkoły i nowego początku po lecie: la rentree, powtarzanego w kółko w radiu, telewizji i gazetach. Nie cierpiałam, gdy ludzie mnie pytali, jakie imię dam dziecku. Punkcja owodni ujawniła płęć, ale nie chciałam, by mi ją zdradzano. Dziecko jeszcze się nie nazywało. Co nie znaczyło, że nie byłam na nie gotowa.

Wykreślałam po kolei dni w kalendarzu. Wrzesień przemienił się w październik.

Brzuch się ładnie zaokrąglił. Mogłam już wstawać, chodzić do biura, odbierać Zoe ze szkoły, chodzić z Isabelle do kina, spotykać się z Guillaume'em na lunchu w Select.

Jednak mimo że moje dni zdawały się pełniejsze i bardziej zajęte, pustka i ból nie ustawały.

William Rainsferd. Jego twarz i oczy. Spojrzenie, którym obdarzył dziewczynkę z gwiazdą. Jezu. Ton głosu, którym to powiedział.

Jak wyglądało teraz jego życie? Czy wyrzucił wszystko z pamięci, jak tylko odwrócił się ode mnie i Zoe? Czy zapomniał, zanim wrócił do domu?

A może było inaczej. Może przeżywał piekło dlatego, że nie mógł przestać myśleć o tym, co powiedziałam. Może moje wieści odmieniły całe jego życie. Matka stała się nieznajomą. Kimś z przeszłością, o której nic nie wiedział.

Zastanawiałam się, czy żona i córka coś wiedzą. Coś na temat Amerykanki, która pojawiła się w Lukce z dzieckiem, pokazała fotografię i powiedziała, że jego matka była Żydówką, została aresztowana podczas wojny, cierpiała, straciła braciszka i rodziców, o których nigdy nie słyszał.

Zastanawiałam się, czy szukał informacji na temat Vel' d'Hiv' i czytał artykuły i książki na temat wydarzeń, które miały miejsce w sercu Paryża w lipcu czterdziestego drugiego.

Zastanawiałam się, czy leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć, i myślał o matce, przeszłości i o tym, jaka jej część była prawdą, a jaka pozostawała osnutą ciemnością, niewypowiedzianą tajemnicą.

Prace na rue de Saintonge dobiegały końca. Bertrand ustalił, że przeprowadzę się z Zoe tuż po narodzinach dziecka - w lutym. Wnętrze wyglądało pięknie, całkowicie inaczej niż przed remontem. Pracownicy męża świetnie się spisali. Nie było już pozostałości po Mamę. Pomyślałam, że Sarah z trudem rozpoznałaby swoje mieszkanie.

Jednak spacerując po nowo pomalowanych pustych pokojach, nowej kuchni, swoim gabinecie, zadawałam sobie pytanie, czy będę mogła tu mieszkać. Tutaj, gdzie zginął braciszek Sary. Już nie było tajnej szafki. Została zniszczona, gdy połączono dwa pokoje, jednak mnie zdawało się to nie robić różnicy.

To tutaj wszystko miało miejsce. Nie mogłam tego wyrzucić z myśli. Nie powiedziałam córce o tutejszej tragedii. Jednak wyczuwała to za pomocą swoistej empatii.

Pewnego mokrego listopadowego poranka poszłam do mieszkania, by zacząć dobierać zasłony, tapety i wykładziny. Isabelle była bardzo pomocna i

oprowadziła mnie po sklepach i domach towarowych. Ku zachwytowi Zoe postanowiłam odejść od spokojnych stonowanych barw, które wybierałam w przeszłości, i zaszaleć, stawiając na nowe, wyraziste kolory. Bertrand machnął obojętnie ręką: „Zdecydujcie z Zoe, w końcu to wasze mieszkanie”. Zoe wybrała do swojej sypialni żółtawozielony i bladofioletowy. Przypominało to gusta Charli do tego stopnia, że musiałam się uśmiechnąć.

Na gołej polakierowanej podłodze czekał na mnie stos katalogów. Przeglądałam je uważnie, gdy zadzwoniła komórka. Rozpoznałam numer: dom spokojnej starości Marne. Ostatnio Marne często była zmęczona i łatwo się denerwowała, a czasem stawała się wręcz nieznośna. Trudno było wywołać uśmiech na pokrytej zmarszczkami twarzy, nawet Zoe miała z tym kłopoty. Denerwowała się na wszystkich. Odwiedzanie jej stało się ostatnio nieprzyjemnym obowiązkiem.

- Mademoiselle Jarmond? Tu Veronique z domu spokojnej starości. Obawiam się, że mamy złe wieści. Madame Tezac nie ma się dobrze, miała wylew.

Usiadłam prosto, oszołomiona.

- Wylew?

- Obecnie czuje się nieco lepiej. Doktor Roche jest teraz przy niej, jednak powinna pani przyjechać. Poinformowaliśmy pani teścia, ale nie możemy się dodzwonić do pani męża.

Odłożyłam słuchawkę wzburzona i przestraszona. Słyszałam bębniące o szyby krople deszczu. Gdzie był Bertrand? Wykręciłam numer jego komórki; włączyła się poczta głosowa. W biurze przy kościele Madeleine nawet Antoine zdawał się nie wiedzieć, gdzie jest mój mąż. Powiedziałam Antoine'owi, że jestem na rue de Saintonge i poprosiłam, by przekazał Bertrandowi, aby zadzwonił do mnie jak najszybciej.

Wytłumaczyłam, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

- Mon Dieu, dziecko? - wyjąkał.

- Nie, Antoine, nie bebe, ale grandmere, babka - odpowiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Wyjrzałam na zewnątrz. Deszcz się nasilił. Krople tworzyły teraz szarą lśniąca zasłonę. Zmoknę. I co z tego? Marne. Wspaniała, kochana Marne. Moja Marne. Nie, nie mogła teraz odejść. Potrzebowałam jej. To się działo zbyt szybko, nie byłam gotowa. Zresztą jak mogłabym kiedykolwiek być gotowa na śmierć Marne? pomyślałam. Rozejrzałam się dookoła po dużym po - koju, przypominając sobie, że właśnie tutaj spotkałam ją po raz pierwszy. Raz jeszcze poczułam ciężar wszystkich tutejszych wydarzeń, które zdawały się powracać, by mnie prześladować.

Postanowiłam zadzwonić do Cecile i Laurę i upewnić się, że są już w drodze. Laurę stwierdziła sucho i zwięźle, że jest już w samochodzie i spotkamy się na miejscu.

Cecile zdawała się być bardziej poruszona, w jej głosie słychać było łzy.

- Och, Julio, nie mogę znieść myśli, że Marne... Wiesz... To zbyt okropne...

Powiedziałam, że nie mogłam się dodzwonić do Bertranda. Sprawiała wrażenie zdziwionej.

- Ależ przed chwilą z bratem rozmawiałam - stwierdziła.

- Dodzwoniłaś się na komórkę?

- Nie - odpowiedziała po chwili wahania.

- Zatem do biura?

- Za chwilę po mnie przyjedzie i zabierze do Marne.

- Nie mogłam się z nim skontaktować.

- Ach, tak? - powiedziała ostrożnie.

Wtedy zrozumiałam. Poczułam zalewającą mnie wściekłość.

- Był u Amelie, prawda?

- U Amelie? - powtórzyła tępo. Tupnęłam niecierpliwie.

- Dość tego, Cecile. Wiesz doskonale, o kim mówię.

- Słyszę dzwonek, to pewnie Bertrand - oznajmiła pospiesznie.

I odłożyła słuchawkę. Stałam pośrodku pustego pokoju, ściskając komórkę w dłoni niczym broń. Oparłam czoło o chłód szyby. Chciałam uderzyć męża. To już nie niekończący się romans z Amelie wyprowadził mnie z równowagi, ale fakt, że jego siostry miały numer do kochanki i mogły się dodzwonić do Bertranda w wyjątkowych przypadkach, takich jak ten. A ja nie. Fakt, że mimo postępującej śmiertelnej choroby naszego małżeństwa nadal nie miał odwagi mi powiedzieć, że wciąż się spotyka z tą kobietą.

Jak zwykle byłam ostatnią osobą, która się o tym dowiadywała. Odwieczną wodewilową zdradzaną małżonką.

Stałam przez długi czas nieruchoma, czując, jak rusza się we mnie dziecko. Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać.

Czy nadal zależało mi na Bertrandzie i dlatego czułam ból? Czy też była to jedynie kwestia urażonej dumy? Amelie, jej paryski szyk i doskonałość, odważnie nowoczesny apartament z widokiem na Trocadero, dobrze wychowane dzieci - Bonjour, madame - oraz silne perfumy pozostające we włosach i na ubraniach Bertranda. Jeżeli kochał ją, a nie mnie, dlaczego bał się do tego przyznać? Czy nie chciał mnie skrzywdzić? Nie chciał skrzywdzić Zoe? Czego się tak bał? Kiedy zda sobie wreszcie sprawę, że to nie jego niewierność wyprowadza mnie z równowagi lecz tchórzostwo?

Poszłam do kuchni. Zaszło mi w gardle. Odkręciłam wodę i napiłam się prosto z kranu, ocierając pękatym brzuchem o zlew. Wyrzałam ponownie na dwór. Deszcz zdawał się słabnąć. Włożyłam płaszcz, złapałam torebkę i ruszyłam w stronę drzwi.

Ktoś zapukał. Trzy krótkie uderzenia.

Bertrand, pomyślałam ponuro. Antoine lub Cecile zapewne powiedziały mu, aby zadzwonił lub przyjechał.

Wyobraziłam sobie Cecile czekającą na dole w samochodzie. Jej zawstydzenie.

Nerwowe napięte milczenie, którym wypełni się audi, gdy tylko do niego wsiądę.

Cóż, pokażę im. Powiem, co myślę. Nie będę odgrywała potulnej, przymilnej francuskiej żony. Każę Bertrandowi, aby odtąd mówił mi prawdę.

Z impetem otworzyłam drzwi.

Jednak stojący za nimi mężczyzna nie był Bertrandem.

Natychmiast rozpoznałam szerokie barki. Mokre od deszczu płowe włosy. William Rainsferd. Zaskoczona, cofnęłam się o krok.

- Czy przyszedłem w złym momencie?

- Nie - wydusiłam z siebie.

O co, do diabła, chodziło? Czego chciał?

Patrzyliśmy na siebie. Coś się zmieniło w jego twarzy, od kiedy się ostatnio widzieliśmy. Miała ponury nawiedzony wyraz. Nie był już odprężonym opalonym smakoszem.

- Muszę z panią porozmawiać. To pilne. Przepraszam, ale nie mogłem znaleźć pani numeru. Więc po prostu przyjechałem. Nie było pani wczoraj, więc postanowiłem spróbować ponownie dziś rano.

- Skąd ma pan ten adres? - spytałam zaskoczona. - Nie jestem tu jeszcze nawet zameldowana.

Wyjął z kieszeni kopertę.

- Adres był tutaj. To ta sama ulica, o której pani wspominała w Lukce. Rue de Saintonge.

Potrząsnęłam głową.

- Nie rozumiem.

Podał mi kopertę, na której widać było ślady czasu. Miała poszarpane rogi. Nie była podpisana ani zaadresowana.

- Niech ją pani otworzy.

Wyciągnęłam cienki postrzępiony zeszyt, wyblakły rysunek i długi mosiężny klucz, który upadł z brzękiem na podłogę. William Rainsferd pochylił

się, by go podnieść i pokazać na wyciągniętej dłoni.

- Co to za rzeczy? - spytałam nieufnie.

- Kiedy wyjechała pani z Lukki, byłem w szoku. Nie mogłem przestać myśleć o tej fotografii.

- Tak - powiedziałam, czując, jak zaczyna mi mocniej bić serce.

- Poleciałem do Roxbury spotkać się z tatą. Jak pani chyba wie, jest bardzo chory.

Umiera na raka. Nie może już mówić. Rozejrzałem się i znalazłem w biurku ojca tę kopertę. Trzymał ją przez te wszystkie lata. Nigdy mi jej nie pokazał.

- Dlaczego pan tu jest? - szepnęłam. W jego oczach był ból, ból i strach.

- Ponieważ muszę od pani usłyszeć, co się stało. Co się działo z moją matką, kiedy była dzieckiem. Muszę wiedzieć wszystko. Pani jest jedyną osobą, która może mi pomóc.

Spojrzałam na klucz w jego dłoni. Po czym skierowałam wzrok na rysunek.

Niezdarny szkic małego chłopca z jasnymi kręconymi włosami. Zdawał się siedzieć w małej szafce z książką na kolanie i pluszowym misiem. Na odwrocie wyblakłym atramentem napisano: „Michel. 26 rue de Saintonge”. Przekartkowałam zeszyt.

Żadnych dat. Krótkie zdania po francusku zapisane niczym wiersz. Były trudne do odczytania. Kilka słów rzuciło mi się w oczy: le camp, la clef, nejamais oublier, mouñr.

- Czytał pan to? - spytałam.

- Próbowałem. Słabo znam francuski. Rozumiem tylko niektóre fragmenty.

W kieszeni zadzwonił mi telefon. Oboje podskoczyliśmy. Wyciągnęłam komórkę.

Dzwonił Edouard.

- Gdzie jesteś, Julio? - spytał łagodnie. - Marne nie czuje się dobrze. Chce cię zobaczyć.

- Już jadę - odparłam.

William Rainsferd opuścił na mnie wzrok.

- Musi pani iść?

- Tak. Nagły wypadek w rodzinie. Babka męża miała wylew.

- Przykro mi.

Zawahał się, po czym położył mi rękę na ramieniu.

- Kiedy się mogę z panią spotkać? Porozmawiać? Otworzyłam drzwi wejściowe, odwróciłam się i spojrzałam na rękę na moim barku. Czułam się dziwnie poruszona, widząc

Williama Rainsferda na progu tego samego mieszkania, które przysporzyło jego matce tyle bólu i smutku, choć jeszcze o tym nie wiedział. Nie poznał dotąd losów swojej rodziny, swoich dziadków, swojego wujka.

- Pojedzie pan ze mną - oznajmiłam. - Chcę panu kogoś przedstawić.

Marne zdawała się spać. Mówiłam do niej, ale nie wiedziałam, czy mnie słyszy.

Dopóki nie poczułam, jak pomarszczona dłoń łapie mnie za nadgarstek. Trzymała mocno. Wiedziałam, że tam jest.

Za mną wokół łóżka stała rodzina Tezaców. Bertrand. Jego matka, Colette. Edouard.

Laurę i Cecile. A za nimi, nie wiedząc, co ze sobą począć, stał w holu William Rainsferd. Bertrand kilkakrotnie zerkał na niego ze zdziwieniem. Zapewne sądził, że to mój nowy chłopak. W każdej innej sytuacji rozśmieszyłoby mnie to. Edouard patrzył to na Williama, to na mnie z ciekawością i naleganiem.

Dopiero później, gdy szliśmy szeregiem w stronę wyjścia, wzięłam teścia pod ramię.

Doktor Roche chwilę wcześniej powiedział, że stan Marne się

ustabilizował. Była jednak osłabiona. Trudno było przewidzieć ciąg dalszy. Powinniśmy się jednak przygotować, ostrzegł. Powinniśmy się nawzajem przekonać, że koniec jest bliski.

- Tak mi przykro i smutno, Edouardzie - szepnęłam. Poglaskał mnie po policzku.

- Moja matka cię kocha, Julio. Bardzo cię kocha.

Obok nas pojawił się przygnębiony Bertrand. Kiedy spojrzałam na męża, przypomniała mi się Amelie i przez chwilę zastanawiałam się nad powiedzeniem czegoś, co by zabolalo i zapiekło, ale ostatecznie zrezygnowałam. W końcu będzie jeszcze czas na omówienie tematu. Obecnie nie miało to znaczenia. Miała znaczenie tylko Marne i wysoka postać czekająca w holu.

- Julio - powiedział Edouard, oglądając się przez ramię - co to za mężczyzna?

- Syn Sary.

Edouard przyglądał się z mieszaniną niedowierzania i podziwu rosnącej sylwetce.

- Zadzwońska do niego?

- Nie. Niedawno znalazł papiery, które ukrywał przed nim ojciec. Coś, co napisała Sarah. Jest tutaj dlatego, że chce poznać całą historię. Przyjechał dzisiaj.

- Chciałbym z nim porozmawiać - oznajmił Edouard. Poszłam po Williama i powiedziałam, że mój teść chciałby go poznać. Poszedł za mną. W porównaniu z nim Bertrand, Edouard, Collette i jej córki nagle wydali się dużo niżsi.

Edouard Tezac podniósł wzrok, by spojrzeć na Williama. Miał spokojny i opanowany wyraz twarzy, jednak w oczach widać było łzy.

Wyciągnął rękę, którą William uściskał. Moment milczenia wywarł na wszystkich wrażenie. Nikt nic nie powiedział.

- Syn Sary Starzyński - wyszeptał Edouard.

Ukradkiem rzuciłam okiem na przyglądające się z ciekawością i grzecznym niezrozumieniem Colette, Cecile i Laure. Nie mogły wiedzieć, o co chodzi. Tylko Bertrand był wtajemniczony, tylko on znał całą historię, choć nigdy jej ze mną nie omawiał od tego wieczoru, kiedy odkrył czerwoną teczkę Sary. Nie poruszył tego tematu nawet po spotkaniu Dufaure'ów u nas w mieszkaniu kilka miesięcy temu.

Edouard odchrząknął. Wciąż trzymali się za ręce. Przemówił po angielsku.

Przyzwoitą angielszczyzną z wyraźnym francuskim akcentem.

- Nazywam się Edouard Tezac. Przyszedł pan w trudnej chwili. Moja matka umiera.

- Tak. Przykro mi - powiedział William.

- Julia przedstawi panu całą historię. Ale pańska matka, Sarah...

Edouard przerwał. Załamał mu się głos. Żona i córki spojrzały na głowę rodziny, zaskoczone.

- O co tu chodzi? - szepnęła przejęta Colette. - Co to za Sarah?

- Chodzi o wydarzenia sprzed sześćdziesięciu lat - oznajmił Edouard, starając się opanować głos.

Przewyciężyłam chęć położenia teściowi ręki na ramieniu. Edouard wziął głęboki oddech, a jego twarz odzyskała nieco koloru. Uśmiechnął się nieśmiało do Williama.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby zachowywał się tak wstydliwie.

- Nigdy nie zapomnę pana matki. Nigdy.

Głos Edouarda zadrżał i uśmiech zniknął z jego twarzy. Widziałam ból i smutek, które ponownie zakłócały mu oddech - tak samo jak w dniu, kiedy mi ujawnił tajemnicę.

Cisza stawała się coraz cięższa i coraz bardziej nieznośna. Kobiety zdezorientowane patrzyły na rozgrywającą się scenę.

- Czuję dużą ulgę, mogąc to panu dzisiaj powiedzieć. Po tylu latach.

William Rainsferd przytaknął.

- Dziękuję panu - powiedział cicho. Zauważyłam, że również zbladł. - Nie wiem wiele, przyszedłem tu, aby zrozumieć. Wydaje mi się, że moja matka cierpiała.

Chciałbym wiedzieć dlaczego.

- Zrobiliśmy dla niej, co było w naszej mocy. O tym mogę pana zapewnić. Julia może powiedzieć więcej, wyjaśnić i opowiedzieć historię pańskiej matki.

Wytłumaczy, co zrobił mój ojciec. Żegnam.

Cofnął się. Nagle stał się staruszką, skurczonym i bladym. Oczy Bertranda śledziły ojca z chłodną ciekawością. Zapewne nigdy nie widział go tak poruszonego. Byłam ciekawa, co to dla niego znaczyło.

Edouard odszedł, a za nim zarzucające go pytaniami żona i córki. Syn poszedł za nimi, trzymając ręce w kieszeniach i milcząc. Zastanawiałam się, czy Edouard powie Colette i córkom prawdę. Prawdopodobnie tak, pomyślałam. Wyobraziłam sobie ich zaskoczenie.

Staliśmy sami z Williamem Rainsferdem w korytarzu domu spokojnej starości. Na zewnątrz, na rue de Courcelles, wciąż padało.

- Może chciałaby się pani napić kawy? - spytał. Miał piękny uśmiech.

Przeszliśmy przez mżawkę do najbliższej kafejki. Usiedliśmy i zamówiliśmy dwa espresso. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

Wreszcie spytał:

- Była pani blisko związana z chorą?

- Tak. Bardzo blisko.

- Widzę, że spodziewa się pani dziecka. Poklepałam się po pękającym brzuchu.

- Powinno się urodzić w lutym. W końcu powiedział wolno:

- Proszę mi opowiedzieć historię mojej matki.

- To nie będzie łatwe.

- Wiem. Ale muszę ją usłyszeć. Proszę, Julio.

Zaczęłam mówić powoli niskim głosem, podnosząc wzrok jedynie od czasu do czasu.

Niezależnie od głosu moje myśli powędrowały do Edouarda, zapewne siedzącego w swoim eleganckim salonie z łososiowymi meblami na rue de l'Universite i opowiadającego tę samą historię żonie, córkom i synowi. Aresztowanie. Vel' d'Hiv'.

Obóz. Ucieczka. Dziewczynka, która wróciła.

Martwe dziecko w szafce. Dwie rodziny, które łączyła śmierć i tajemnica. Dwie rodziny połączone smutkiem. Część mnie chciała, aby mężczyzna naprzeciwno poznał całą prawdę. Inna pragnęła go chronić przed brutalną rzeczywistością. Przed przerażającą wizją dziewczynki i jej cierpienia. Jej bólu i straty. Jego bólu i straty. Im więcej mówiłam, tym więcej podawałam szczegółów, odpowiadałam na więcej pytań i tym bardziej czułam, jak moje słowa docierają do Williama i jak go ranią.

Kiedy skończyłam, spojrzałam na mężczyznę naprzeciwno. Poblądł. Wyjął z koperty zeszyt i podał mi bez słowa. Mosiężny klucz leżał na stole między nami.

Patrząc na Williama, trzymałam zeszyt w rękach. Oczami zachęcał mnie, abym go otworzyła.

Przeczytałam pierwsze zdanie po cichu. Następnie na głos, tłumacząc od razu francuski na nasz rodzimy język. Nie szło to szybko; gęste pochyle pismo było trudne do odczytania.

Gdzie jesteś, mój mały Michelu? Mój piękny Michelu. Gdzie teraz jesteś?

Pamiętałbyś mnie? Michelu.

Mnie, Sarę, twoją siostrę.

Tę, która nigdy nie wróciła. Która zostawiła cię w szafce. Która myślała, że będziesz bezpieczny.

Michelu.

Lata mijają, a ja wciąż mam klucz.

Klucz do naszej tajnej kryjówki.

Widzisz, trzymałam go dzień po dniu, dotykałam, wspominając ciebie.

Nigdy się z nim nie rozstałam od szesnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku.

Nikt tutaj nie wie. Nikt tutaj nie wie o kluczu ani o tobie.

O tobie w szafce.

O Matce, o Ojcu.

O obozie.

O lecie czterdziestego drugiego.

O tym, kim naprawdę jestem.

Michelu.

Nie było ani jednego dnia, bym o tobie nie myślała. Ani nie wspominała rue de Saintonge 26. Noszę brzemień twojej śmierci niczym dziecko. Będę je nosić, dopóki nie umrę. Czasami chcę umrzeć. Nie mogę znieść ciężaru twej śmierci. Śmierci Matki, śmierci Ojca. Wizji bydlęcych wagonów wiozących ich na śmierć. Nie mogę znieść brzemienia swojej przeszłości. Jednak nie mogę wyrzucić klucza od szafki. To jedyna namacalna rzecz, która mnie z tobą łączy, poza twym grobem.

Michelu.

Jak mogę udawać, że jestem kimś innym.

Jak mogę im wmawiać, że jestem inną kobietą.

Nie, nie mogę zapomnieć.

Stadionu.

Obozu.

Pociągu.

Jules'a i Genevieve.

Alaina i Henńette.

Nicolasa i Gasparda.

Nawet dziecko nie pozwala mi zapomnieć. Kocham go. Jest moim synem.

Mój mąż nie wie, kim jestem. Jaka jest moja historia. Ale ja nie mogę zapomnieć.

Przyjazd tutaj był okropnym błędem.

Sądziłam, że mogę się zmienić. Sądziłam, że mogę się od wszystkiego odciąć. Ale nie mogę.

Pojechali do Oświęcimia. Zostali zabici.

Mój brat. Zginął w szafce.

Nie zostało dla mnie nic.

Sądziłam, że zostało, ale byłam w błędzie.

Dziecko i mąż nie wystarczają.

Nic nie wiedzą.

Nie wiedzą, kim jestem.

Nigdy się nie dowiedzą.

Michelu.

W snach przychodzisz po mnie.

Bierzesz za rękę i odprowadzasz.

Nie daję rady temu życiu.

Patrzę na klucz i pragnę ciebie i przeszłości.

Niewinnych łatwych dni sprzed wojny.

Wiem, że moje rany nigdy się nie zagoją.

Mam nadzieję, że mój syn mi wybaczy.

Nigdy się nie dowie.

Nikt nigdy się nie dowie.

Zakhor. Al Tizkah. Pamiętaj. Nigdy nie zapomnij.

Kafejka była pełna ludzi i gwaru, jednak wokół mnie i Williama powstała sfera całkowitej ciszy.

Odłożyłam zeszyt przerażona tym, czego się dowiedzieliśmy.

- Zabiła się - oznajmił bezbarwnym tonem William. - Nie było żadnego wypadku.

Wjechała prosto na drzewo.

Nic nie powiedziałam. Nie mogłam mówić. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Chciałam wyciągnąć rękę i dotknąć jego dłoni, jednak coś mnie powstrzymywało.

Wzięłam głęboki wdech. Ale słowa nadal nie chciały wyjść.

Miedziany klucz leżał między nami na stole, niemy świadek przeszłości, śmierci Michela. Czułam, jak William zamyka się w sobie, tak jak już raz to zrobił w Lukce, kiedy podniósł ręce, jakby chciał mnie odepchnąć. Nie ruszał się, ale wyraźnie czułam, jak się oddala. Raz jeszcze zwalczyłam spontaniczną chęć dotknięcia, objęcia go. Dlaczego czułam, że tak wiele może mnie łączyć z tym człowiekiem? Nie wydawał mi się obcy, a co dziwniejsze, ja w jeszcze mniejszym stopniu byłam mu obca. Co nas połączyło? Moje poszukiwania, pragnienie prawdy i współczucie dla jego matki? Nic o mnie nie wiedział, o moim dogorywającym małżeństwie, poronieniu w Lukce, którego ledwo udało mi się uniknąć, pracy, życiu. A co ja wiedziałam o nim, jego żonie, dzieciach, karierze zawodowej? Teraźniejszość była mi obca. Ale jego przeszłość, przeszłość jego matki, została wyryta w mojej świadomości niczym płonące pochodnie wzdłuż ciemnej drogi. Pragnęłam pokazać temu mężczyźnie, że mi zależy, że to, co się stało z jego matką, zmieniło moje życie.

- Dziękuję - powiedział w końcu. - Dziękuję za opowiadanie mi wszystkiego.

Głos Williama brzmiał dziwnie i nienaturalnie. Zdałam sobie sprawę, że chciałam, aby się załamał, rozplakał, ujawnił jakieś uczucia. Dlaczego? Zapewne dlatego, że sama potrzebowałam dać upust swoim emocjom, chciałam zmyć łzami ból, smutek i pustkę, podzielić się z Williamem swoimi przeżyciami za pomocą jakiejś szczególnej empatii.

Zbierał się do wyjścia, wstawał, zabierał klucz i zeszyt. Nie mogłam znieść myśli, że pójdzie sobie tak szybko. Byłam pewna, że jeśli wyjdzie teraz, już nigdy nie będę miała z nim kontaktu. Nie będzie chciał się ze mną spotkać ani rozmawiać. Zostanie zerwane ostatnie ogniwo łączące mnie z Sarą. Stracę Williama. A z jakiegoś niejasnego, mglistego powodu William Rainsferd był jedyną osobą, z którą chciałam teraz być.

Musiał wyczytać coś z mojej twarzy, zawahał się bowiem, stojąc nad stołem.

- Odwiedzę te miejsca - oznajmił. - BeaunelaRolande i rue Nelaton.

- Mogę pojechać z tobą, jeśli chcesz.

Turkusowe oczy ponownie patrzyły na mnie. Raz jeszcze wyczułam konflikt motywacji - zawilej mieszaniny żalu i wdzięczności.

- Nie, wolałbym pojechać sam. Za to byłbym wdzięczny, gdybyś mi dała adres braci Dufaure. Ich również chciałbym odwiedzić.

- Jasne - odparłam, zaglądając do kalendarzyka i przepisując adresy na kartkę papieru.

Nagle ciężko usiadł z powrotem.

- Wiesz, mógłbym się czegoś napić.

- Oczywiście. Nie ma problemu. - Przywołałam kelnera i zamówiliśmy po kieliszku wina.

Piliśmy w milczeniu. Czułam się dobrze w towarzystwie Williama, od dawna nie byłam tak zrelaksowana. Dwoje Amerykanów delektujących się bez słów kieliszkiem wina. Mogliśmy milczeć. Nie byliśmy skrępowani ciszą. Jednak wiedziałam, że jak tylko opróżni do końca kieliszek, zniknie.

Ta chwila nadeszła.

- Dziękuję, Julio. Dziękuję za wszystko.

Nie powiedział: „Bądźmy w kontakcie, wysyłajmy sobie emaile, zadzwoń do mnie od czasu do czasu”. Nie, nic nie powiedział. Ale wiedziałam, co znaczy jego milczenie, prawie jakby krzyknął: „Nie dzwoń do mnie. Proszę, nie

kontaktuj się ze mną. Muszę uporządkować całe swoje życie. Potrzebuję czasu, ciszy i spokoju.

Muszę odkryć, kim teraz jestem”.

Patrzyłam, jak odchodzi przez deszcz, a wysoka sylwetka znika w tłumie na ruchliwej ulicy.

Założyłam ręce na krągłości mojego brzucha i powoli zanurzyłam się w samotności.

Kiedy wróciłam tego wieczoru do domu, odkryłam, że czeka na mnie cała rodzina Tezaców. Siedzieli z Bertrandem i Zoe w dużym pokoju. Od razu poczułam napięcie w powietrzu.

Zdawało się, że podzielili się na dwie grupy: Edouard, Zoe i Cecile, którzy byli „po mojej stronie” i pochwalali to, co zrobiłam, oraz Colette i Laurę, które moje postępowanie ganiły.

Bertrand nic nie mówił, nie odzywał się w ogóle, co było dla niego nietypowe. Jego twarz miała wyraz smutku i żałoby, kąciki ust były skierowane w dół. Nie patrzył na mnie.

Jak mogłam zrobić coś takiego, wybuchła Colette. Wyszukiwać tę rodzinę, kontaktować się z tym mężczyzną, który w końcu nic nie wiedział o przeszłości swojej matki.

- Biedak - dołączyła moja szwagierka. - Wyobraź sobie, jak teraz odkrywa, kim jest naprawdę: jego matka była Żydówką, cała rodzina została zgładzona w Polsce, a wujek umarł z głodu. Julia powinna była go zostawić w spokoju.

Edouard wstał gwałtownie z miejsca.

- Na Boga! - ryknął. - Co się stało z tą rodziną! - Zoe schowała się pod moim ramieniem. - Julia zrobiła coś odważnego, coś bezinteresownego - kontynuował, drżąc ze złości. - Chciała się upewnić, że rodzina dziewczynki wie. Wie, że nie byliśmy obojętni. Wie, że mój ojciec dopilnował, by Sarą Starzyński zaopiekowała się rodzina zastępcza, zapewnił jej możliwość

dorastania w miłości.

- Ojczy, proszę - wtrąciła się Laure. - To, co zrobiła Julia, jest żalodne.

Przywoływanie przeszłości nigdy nie jest dobrym pomysłem, a szczególnie wydarzeń z czasów wojny. Nikt nie chce, aby mu o tym przypominano, nikt nie chce o tym myśleć.

Nie patrzyła na mnie, ale poczułam cały ciężar jej wrogości. Łatwo było wyczytać niewypowiedziane myśli. Tak właśnie zachowują się Amerykanie. Żadnego szacunku dla przeszłości. Nie mają pojęcia, na czym polega rodzinna tajemnica. Żadnego wychowania ani wycucia. Nieokrzesana, niedouczone Amerykanka: l'Americaine avec ses gros sabots.

- Nie zgadzam się! - powiedziała wysokim głosem Cecile. - Cieszę się, że mi powiedziałaś, co się stało, pere. To straszliwa historia o chłopcu umierającym w mieszkaniu i powracającej dziewczynce. Sądzę, że Julia słusznie zrobiła, nawiązując kontakt z tamtą rodziną. W końcu nie zrobiliśmy niczego, czego mielibyśmy się wstydzić.

- Być może - oznajmiła Colette. Była spięta. - Ale gdyby Julia się tak nie wtrącała, Edouard nigdy by o tym nie wspomniał. Prawda?

Edouard zwrócił się w stronę żony. Wyraz jego twarzy był chłodny, podobnie jak głos.

- Colette, obiecałem ojcu, że nigdy nie ujawnię, co się stało. Szanowałem z trudem jego wolę przez ostatnie sześćdziesiąt lat. Ale teraz cieszę się, że wiecie. Teraz mogę się tym z wami dzielić, nawet jeżeli najwyraźniej niektórym z was to przeszkadza.

- Dzięki Bogu, że Marne nic nie wie - westchnęła Colette, poprawiając platynowe włosy.

- Ależ Marne wie - rozbrzmiał wysoki głos Zoe. Zaczzerwieniła się, ale dzielnie stanęła na środku pokoju.

- Opowiedziała mi, co się stało. Nie wiedziałam o małym chłopcu, mama pewnie nie chciała, abym znała tę część opowieści. Ale Marne wszystko mi

opowiedziała.

Mówiła dalej:

- Wiedziała od początku o tym, co się stało. Usłyszała od dozorczyń, że Sarah wróciła. Mówiła też, że dziadek miał potem przez długi czas senne koszmary o martwym dziecku w swoim pokoju. Twierdziła, że strasznie było wiedzieć i nie móc o tym rozmawiać ze swoim mężem, synem, a później i resztą rodziny. Podobno to zmieniło mojego pradziadka, stało się z nim coś, o czym nie mógł rozmawiać nawet z Mamę.

Spojrzałam na teścia. Z niedowierzaniem patrzył na moją córkę.

- Zoe, ona naprawdę wiedziała? Wiedziała przez te wszystkie lata?

Zoe przytaknęła.

- Mamę powiedziała, że strasznie było nosić w sobie taką tajemnicę i nigdy nie przestała myśleć o dziewczynce i cieszy się, że teraz i ja wiem. Mówiła, że powinniśmy byli dużo wcześniej o tym porozmawiać i zrobić to, co mama, bez czekania. Powinniśmy byli znaleźć rodzinę dziewczynki, a nie wszystko ukrywać.

Tyle mi powiedziała. Tuż przed wylewem.

Zapadła długa bolesna cisza.

Zoe wyprostowała się. Spojrzała na Colette, Edouarda, swoje ciotki, swojego ojca.

Na mnie.

- Jeszcze jedno chciałam powiedzieć - dodała, przechodząc płynnie z francuskiego na angielski i podkreślając swój amerykański akcent. - Nie obchodzi mnie, co niektórzy z was myślą. Nie obchodzi mnie, czy sądzicie, że mama źle lub głupio postąpiła. Naprawdę jestem dumna z tego, co zrobiła. Z tego, jak odnalazła Williama i do niego przemówiła. Nie macie pojęcia, ile to wymagało wysiłku, co to dla niej znaczyło. Co to znaczy dla mnie. I co to zapewne znaczy dla niego. I wiecie co?

Kiedy dorosnę, chcę być taka jak ona. Chcę być mamą, której dzieci są z

niej dumne.

Bonne nuit, dobranoc.

Pożegnała wszystkich śmiesznym półukłonem, wyszła z pokoju i cicho zamknęła drzwi.

Przez dłuższy czas nikt nic nie mówił. Patrzyłam, jak wyraz twarzy Colette staje się jeszcze bardziej oziębły. Laure sprawdzała swój makijaż w kieszonkowym lusterku.

Cecile zdawała się skamieniała.

Bertrand nadal nic nie mówił. Wyglądał przez okno ze splecionymi na plecach rękami. Ani razu na mnie nie spojrzał. Ani na żadne z nas.

Edouard wstał i poklepał mnie łagodnym ojcowskim gestem po głowie.

Bładoniebieskie oczy lśniły, gdy patrzył na mnie. Szepnął mi do ucha po francusku:

- Zrobiłaś właściwą rzecz. Dobrze postąpiłaś.

Jednak później tego wieczoru, leżąc samotnie w swoim łóżku, niezdolna do czytania, do myślenia, do robienia czegokolwiek poza leżeniem na plecach i patrzeniem w sufit, zaczęłam się zastanawiać.

Myślałam o Williamie, gdziekolwiek by był, starającym się dopasować do siebie nowe kawałki swojego życia.

Myślałam o rodzinie Tezaców, która choć raz zdjęła swoje maski, choć raz musiała się otwarcie porozumieć w sprawie smutnej, mrocznej tajemnicy. Myślałam o Bertrandzie odwracającym się do mnie plecami.

Tu as fait ce qu'il fallait. Tu as bien fait.

Czy Edouard miał rację? Nie wiedziałam. Nadal się zastanawiałam.

Zoe otworzyła drzwi, wślizgnęła się do łóżka cicho niczym długi szczeniak i przytuliła do mnie. Wzięła mnie za rękę, pocałowała ją i oparła głowę na moim ramieniu.

Wśluchiwałam się w stłumiony szum samochodów na boulevard du Montparnasse.

Robiło się późno. Bertrand z pewnością był u Amelie. Sprawiał wrażenie tak odległego, jakby był kimś obcym. Kimś, kogo ledwo znam.

Dwie rodziny, które dzięki mnie choć na chwilę stanęły twarzą w twarz. Dwie rodziny, które nigdy już nie będą takie same.

Czy postąpiłam właściwie?

Nie wiedziałam, co myśleć. Nie wiedziałam, w co wierzyć.

Zoe zasnęła. Jej spokojny oddech łaskotał mi policzek. Pomyślałam o nadchodzącym dziecku i ogarnął mnie swoisty spokój. Przyjemne balsamiczne uczucie, które mnie w pewnym stopniu ukoło.

Jednak ból i smutek pozostały.

Nowy Jork, 2- Zoe! - krzyknęłam. - Na Boga, trzymaj siostrę za rękę. Zaraz spadnie i skręci sobie kark!

Moja długonoga córka spojrzała na mnie spode łba.

- Nie panikuj, matko.

Złapała za pulchne ramię i wepchnęła dziewczynkę z powrotem na trójkołowy rowerek. Małe nóżki pracowały gorączkowo, wprawiając pojazd w ruch, a Zoe w bieg za nim. Maluch gruchał z zachwytem, obracając się co chwila z jawną próżnością dwuletniego dziecka, aby sprawdzić, czy na pewno patrzę.

Central Park i pierwsze rozkoszne obietnice wiosny. Wyciągnęłam nogi i odchyliłam twarz w stronę słońca.

Siedzący obok mężczyzna pogłaskał mnie po policzku.

Neil. Mój obecny partner. Nieco starszy ode mnie. Prawnik. Rozwiedziony. Mieszkał w dzielnicy Fiat Iron ze swoimi nastoletnimi synami. Został mi przedstawiony przez siostrę. Lubiłam go; nie kochałam, ale przyjemnie mi się z nim spędzało czas. Był inteligentnym, obytym mężczyzną. Na szczęście nie dążył do małżeństwa, a od czasu do czasu znosił towarzystwo moich córek.

Odkąd się tu przeprowadziłam, miałam kilku partnerów. Nic poważnego. Nic ważnego. Zoe nazywała ich moimi adoratorami, a Charla moimi beaux,

porównując mnie do Scarlett O'Hary. Ostatni przed Neilem nazywał się Peter. Miał galerię, łysinę na tyle głowy, na której punkcie był drażliwy, i pełne przeciągów poddasze w rejonie TriBeCa. Byli przyzwoitymi, choć nieco nudnymi, w pełni amerykańskimi mężczyznami w wieku średnim. Grzeczni, szczerzy i pracowici.

Zajmowali wysokie stanowiska, byli wykształceni, dobrze wychowani i zazwyczaj rozwiedzeni. Przyjeżdżali po mnie i odwozili, ofiarowali swoje ramię i parasol.

Zabierali na obiad, do muzeów, opery miejskiej, nowojorskiego baletu, na przedstawienia na Broadwayu, na kolację, a czasem do łóżka. Znosiłam to. Seks był teraz dla mnie czymś, co robiłam, bo czułam, że muszę. Był mechaniczny i nudny.

Tam również coś znikło. Namiętność. Podniecenie. Wszystko znikło.

Czułam, że ktoś - ja sama? - przewinął film mojego życia i oto pojawiałam się niczym sztywna postać Charliego Chaplina wykonująca wszystko pospiesznie i niezdarnie, jakbym nie miała innego wyboru. Z przyklejonym do twarzy sztucznym uśmiechem zachowywałam się, jakbym była zadowolona ze swojego nowego życia.

Czasami Charla patrzyła na mnie i pytała: „Hej, wszystko w porządku?”. Szturczała mnie, a ja mamrotałam: „Tak, jasne, świetnie”. Nie wyglądała na przekonaną, ale dawała mi spokój. Matka również wodziła oczami po mojej twarzy, przybierała zatroskaną minę i pytała: „Nic ci nie jest, kochanie?”.

Odpowiadałam na ich przejęcie beztroskim uśmiechem.

Przepiękny świeży nowojorski poranek. Takich nigdy nie ma w Paryżu. Rześkie orzeźwiające powietrze. Głęboko niebieskie niebo. Sylwetki miejskich budynków tworzące linię horyzontu nad drzewami. Na skraju parku widniała biała fasada Dakoty. Do tego wszystkiego dochodził spadające na miasto światło: ostre, jasne srebrzyste światło, które pokochałam. Paryż i jego niewyraźne szare mżawki zdawały się pochodzić z innego świata.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na baraszkuje córki. Zdawało się, że z dnia na dzień Zoe stała się piękną smukłą nastolatką, była już wyższa ode mnie. Przypominała Charle i Bertranda - odziedziczyła ich wdzięk i powab. Miała w sobie tę zniewalającą kombinację Jarmondów i Tezaców, która mnie oczarowywała.

Maluch był kimś zupełnie innym. Mniejszy, okrąglejszy, delikatniejszy. Potrzebowała przytulania, całowania i więcej zachodu oraz uwagi niż Zoe w jej wieku. Czy przyczyną był brak ojca w rodzinie? A może fakt, że wyjechałam z Zoe i dzieckiem do Nowego Jorku niedługo po jego narodzinach? Nie wiedziałam. Nie trudziłam się zbytnio szukaniem odpowiedzi.

Dziwnie było wrócić do Ameryki po tylu latach spędzonych w Paryżu. Czasami jeszcze czułam się obco, jakbym nie była u siebie. Zastanawiałam się, ile czasu zajmie mi przywyknienie z powrotem do życia w Stanach. Decyzja nie była łatwa do podjęcia, ale zapadła.

Dziecko urodziło się przedwcześnie; to było przyczyną mojego przerażenia i bólu.

Tuż po świętach Bożego Narodzenia, dwa miesiące przed spodziewanym terminem.

Poddano mnie straszliwie długiemu cesarskiemu cięciu, które odbyło się na oddziale dla nagłych przypadków w szpitalu SaintVincent de Paul. Bertrand był przy mnie, wbrew własnej woli dziwnie napięty i wzruszony. Maleńka doskonała dziewczynka.

Czy był zawiedziony? Ja na pewno nie. To dziecko tyle dla mnie znaczyło.

Walczyłam o nie. Nie poddałam się. Było moim zwycięstwem.

Tuż po urodzeniu dziecka, a jeszcze zanim przeprowadziłam się na rue de Saintonge, Bertrand zebrał w sobie dość odwagi, by wyznać mi, że kocha Amelie i chce odtąd z nią mieszkać, przenieść się do jej apartamentu przy Trocadero, że nie może już dłużej mnie i Zoe okłamywać, że trzeba będzie

wystąpić o rozwód, ale można to załatwić szybko i bez zbędnych formalności. To wtedy, patrząc jak brnie przez rozwlekłe zawile zeznania, jak kroczy po pokoju z rękami za plecami i wzrokiem wlepionym w podłogę, po raz pierwszy pomyślałam o przeprowadzce do Ameryki. Wysłuchałam Bertranda do końca. Wyglądał na doszczętnie wyczerpanego, ale zrobił to. W końcu był wobec mnie szczery. I wobec siebie. Odwzajemniłam spojrzenie swojego przystojnego zmysłowego męża i podziękowałam mu. Wydawał się być zdziwiony.

Przyznał, że oczekiwał bardziej gwałtownej reakcji. Krzyków, obelg, awantury.

Dziecko, które trzymałam w ramionach, jęknęło, machając maleńkimi piąstkami.

- Żadnych awantur - powiedziałam. - Żadnych krzyków, żadnych obelg. Zgoda?

- Zgoda. - Pocałował mnie i dziecko.

Już wtedy czułam się, jakby nie był częścią mojego życia. Jakby już je opuścił.

Za każdym razem, gdy wstawałam tamtej nocy, by nakarmić dziecko, myślałam o Stanach. Boston? Nie, bardzo nie podobał mi się pomysł powrotu do przeszłości, do miasta mojego dzieciństwa.

Wtedy mnie olśniło.

Nowy Jork. Zoe, dziecko i ja mogłyśmy pojechać do Nowego Jorku. Była tam Charla, rodzice nie mieszkali daleko. Nowy Jork. Czemu nie? Nie znałam tego wielkiego miasta za dobrze, nigdy nie mieszkalam tam długo, odwiedzałam je jedynie podczas corocznych wizyt u siostry.

Nowy Jork. Być może jedyne miasto, które mogło konkurować z Paryżem, całkowicie i kompletnie odmienne. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej pomysł przypadał mi do gustu. Nie mówiłam o nim przyjaciółom. Wiedziałam, że Herve, Christophe, Guillaume, Susannah, Holly, Jan i Isabelle nie chcieliby, abym ich opuszczała. Wiedziałam też, że będą potrafili zrozumieć

i zaakceptować moją decyzję.

Wkrótce zmarła Marne. Wegetowała od czasu listopadowego wylewu, po którym nie mogła już mówić, choć odzyskała przytomność. Została przeniesiona na oddział intensywnej terapii w szpitalu Cochin. Spodziewałam się jej śmierci i starałam do niej przygotować, jednak i tak był to dla mnie szok.

Po pogrzebie, który miał miejsce na niewielkim ponurym cmentarzu w Burgundii, Zoe spytała:

- Mamo, czy naprawdę musimy się przeprowadzać na rue de Saintonge?

- Zdaje mi się, że twój ojciec tak by chciał.

- Ale czy ty chcesz tam mieszkać?

- Nie - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. - Odkąd dowiedziałam się, co się tam stało, nie chcę.

- Ja też nie.

Po czym dodała:

- Ale gdzie w takim razie mogłybyśmy się przeprowadzić?

Odpowiedziałam lekkim żartobliwym tonem, oczekując parsknięcia dezaprobaty ze strony córki:

- Cóż, może do Nowego Jorku?

Nie musiałam przekonywać Zoe. Bertrand nie był zadowolony z naszej decyzji. Jego córka miała mieszkać tak daleko. Zoe za to była zdecydowana wyjechać. Twierdziła, że będzie wracać co kilka miesięcy, a i Bertrand może co jakiś czas przylecieć, by zobaczyć ją i dziecko. Wyjaśniłam Bertrandowi, że żadne decyzje na temat przeprowadzki jeszcze nie zapadły. Poza tym nie wynosiłyśmy się na zawsze. Jedynie na kilka lat. Aby umożliwić Zoe poznanie amerykańskiej strony jej natury. Pomóc córce pogodzić się z tym, co się stało. Zacząć coś od nowa. Bertrand już oficjalnie był z Amelie. Jej dzieci były prawie dorosłe. Mieszkały poza domem i również odwiedzały swojego ojca. Czy Bertranda kusiała wizja nowego życia bez codziennych obowiązków związanych z dziećmi - ani jego, ani jej - które trzeba by wychowywać?

Być może. W końcu się zgodził. Wtedy zabrałam się do rzeczy.

Na początku mieszkałyśmy u Charli. Dzięki pomocy siostry znalazłam proste trzypokojowe mieszkanie z widokiem na miasto i portierem. Znajdowało się na West 86th Street pomiędzy Amsterdam Avenue i Columbus Avenue. Podnajęłam je od jednej z przyjaciółek Charli, która przeprowadziła się do Los Angeles. W budynku mieszkały głównie rodziny z dziećmi i rozwiedzeni rodzice. Hałaśliwe gniazdo niemowląt, dzieci, rowerów, wózków i skuterów. Mieszkało się w nim wygodnie i przyjemnie, jednak czegoś brakowało. Czego? Nie byłam w stanie powiedzieć.

Dzięki pomocy Joshui dostałam pracę jako korespondentka z Nowego Jorku dla modnego francuskiego portalu internetowego. Pracowałam w domu i nadal korzystałam z usług Bambera, gdy potrzebowałam fotografii z Paryża.

Dla Zoe przeprowadzka oznaczała nową szkołę, Trinity College, kilka przecznic dalej.

- Mamo, nigdy się nie dopasuję, nazywają mnie Francuza - narzekała, a ja nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu.

Zafascynowana obserwowałam nowojorczyków, ich zdecydowany krok, gadatliwość, przyjazne nastawienie. Sąsiedzi mówili „cześć” w windzie, przynieśli nam cukierki i kwiaty, gdy się wprowadziłyśmy, żartowali z portierem. Zapomniałam o tym wszystkim. Tak bardzo przywykłam do paryskiej opryskliwości i mieszkających obok siebie ludzi, którzy ledwo wymieniali na klatce schodowej pozdrowienia.

Być może najbardziej ironicznym elementem nowego angażującego i ruchliwego życia, jakie teraz wiodłam, był fakt, że tęskniłam za Paryżem. Tęskniłam za rozświetlającą się co godzinę każdego wieczoru, niczym migocząca licznymi klejnotami uwodzicielka, wieżą Eiffla. Tęskniłam za próbą syren przeciwlotniczych wyjących w południe pierwszej środy każdego miesiąca. Tęskniłam za sobotnim jarmarkiem przy bulwarze Edgara Quineta, gdzie jeden z kramarzy nazywał mnie ma p'tite damę, mimo że byłam zapewne

jego najwyższą klientką. Tak jak Zoe, czułam się „Francuza”, mimo że byłam Amerykanką.

Opuszczenie Paryża nie było tak łatwe, jak sądziłam. Nowy Jork i jego rozległość, energia, kłęby pary wodnej unoszące się z włazów kanalizacyjnych, mosty, budynki, korki - to wszystko nie było jeszcze domem. Tęskniłam za paryskimi przyjaciółmi, choć zdążyłam już tutaj zawrzeć kilka wspaniałych znajomości. Tęskniłam za Edouardem, do którego się przywiązałam i który pisywał do mnie co miesiąc.

Szczególnie brakowało mi sposobu, w jaki Francuzi oceniali wygląd kobiety, to, co Holly nazywała spojrzeniem rozbierającym. Przywykłam do tego, a na Manhattanie spotkać można było co najwyżej wesołych kierowców autobusów wołających „Hej, chudziutka!” na Zoe i „Hej, blondasko!” na mnie. Czułam się, jakbym się stała niewidzialna. Myślałam często, dlaczego moje życie sprawia wrażenie tak pustego.

Jakby przeszedł przez nie huragan. Jakby wypadło z niego dno.

I jeszcze te noce.

Noce były naj samotniej sze ze wszystkich, nawet te, które spędzałam z Neilem.

Leżałam w łóżku i słuchałam pulsujących odgłosów wielkiego miasta, pozwalałam obrazom zbliżać się do mnie niczym nadchodzący przypływ.

Sarah.

Nigdy mnie nie opuściła. Zmieniła mnie na zawsze. Nosłam w sobie jej historię i cierpienie. Czułam się, jakbym ją znała. Jako dziecko. Jako młodą dziewczynę. Jako czterdziestoletnią gospodynię domową, która wjechała w drzewo na oblodzonej drodze Nowej Anglii. Miałam jej twarz przed oczyma, jakbym widziała ją żywą.

Lekko skośne zielone oczy. Kształt głowy. Postawa. Ręce. Nietypowy uśmiech.

Znałam ją. Rozpoznałabym ją na ulicy, gdyby żyła.

Zoe to bystra dziewczyna. Przyłapała mnie na gorącym uczynku, kiedy szukałam w Google informacji o Williamie Rainsferdzie.

Nie zorientowałam się, że już wróciła ze szkoły. Któregoś zimowego popołudnia wkradła się do mieszkania na tyle cicho, że nie zdawałam sobie sprawy z jej obecności, dopóki się nie odezwała:

- Od jak dawna to robisz? - spytała tonem matki, która odkrywa, że jej nastoletnie dziecko pali trawkę.

Zarumieniłam się po uszy i przyznałam, że sprawdzam informacje na temat Williama od roku.

- I co? - Zmarszczyła czoło i skrzyżowała ręce na piersi.

- Cóż, zdaje się że wyjechał z Lukki.

- W takim razie gdzie jest?

- Już od kilku miesięcy z powrotem w Stanach.

Nie mogłam dłużej znieść wzroku córki, wstałam więc i podeszłam do okna, by spojrzeć na ruchliwą Amsterdam Avenue.

- Czy jest w Nowym Jorku, mammo?

Głos Zoe był teraz łagodniejszy. Podeszła od tyłu i położyła śliczną głową na moim ramieniu.

Przytaknęłam. Nie byłam w stanie powiedzieć córce, jak bardzo mnie podekscytowała wiadomość, że on tu jest, jak bardzo byłam rozradowana i oszołomiona, gdy się dowiedziałam, że wylądowaliśmy w tym samym mieście, dwa lata po naszym ostatnim spotkaniu. Przypomniałam sobie, że ojciec Williama był nowojorczykiem. Zapewne on sam mieszkał tutaj, kiedy był mały.

Jego nazwisko znajdowało się w książce telefonicznej. Mieszkał w West Village, jedyne piętnaście minut metrem ode mnie. Przez kolejne dni i tygodnie zamęczałam się pytaniem, czy powinnam do niego zadzwonić, czy też nie. On ani razu nie próbował nawiązać ze mną kontaktu od czasu spotkania w Paryżu.

Po jakimś czasie podniecenie znikło. Nie miałam odwagi, by zatelefonować. Jednak nie opuszczał moich myśli - noc po nocy. Dzień po dniu.

Myślałam o nim potajemnie, po cichu. Zastanawiałam się, czy kiedyś go spotkam na ulicy, w Central Parku, w domu towarowym, barze czy restauracji. Czy przyjechał tu z żoną i córkami? Dlaczego wrócił do Stanów tak jak ja? Co się stało?

- Skontaktowałaś się z nim? - spytała Zoe.

- Nie.

- A zamierzasz?

- Nie wiem, Zoe. Zaczęłam cicho płakać.

- Daj spokój, mamó - westchnęła.

Otarłam łzy gwałtownym ruchem; czułam się głupio.

- Mamó, on wie, że tutaj mieszkasz. Na pewno wie. Też sprawdzał, co jest o tobie w internecie. Wie, co robisz i gdzie mieszkasz.

Ani razu nie przyszło mi to do głowy. William wpisujący w wyszukiwarce moje imię i nazwisko. Czy Zoe miała rację? Czy wiedział, że tak jak on mieszkam w Nowym Jorku na Upper West Side? Czy w ogóle o mnie myślał? I co dokładnie czuł, kiedy to robił?

- Musisz w końcu dać sobie z tym spokój, mamó. Odciąć się. Zadzwoń do Neila, spotykajcie się częściej, po prostu żyj własnym życiem.

Obróciłam się do córki, mój głos zabrzmiał ostro i zbyt głośno:

- Nie mogę, Zoe. Muszę wiedzieć, czy to, co zrobiłam, mu pomogło. Muszę to wiedzieć. Czy wymagam za wiele? Czy to rzeczywiście niemożliwe?

W sąsiednim pokoju dziecko zaczęło płakać. Przerwałam jej drzemkę. Zoe wyszła na chwilę i wróciła z pulchną siostrzyczką, która właśnie miała czkawkę.

Delikatnie głaskała moimi włosami loki niemowlęcia.

- Sądzę, że nigdy się nie dowiesz, mamó. Wątpię, by kiedykolwiek był gotów ci powiedzieć. Zmieniłaś jego życie. Pamiętaj, że wywróciłaś je do góry nogami.

Pewnie nie chce cię więcej widzieć.

Zabrałam dziecko z jej rąk i przycisnęłam gorączkowo do siebie, delektując się jego ciepłem i miękkością. Zoe miała rację. Powinnam zamknąć ten rozdział w swoim życiu.

Jednak to, jak miałam to zrobić, było całkowicie odrębną sprawą.

Staralam się nie pozostawiać sobie zbyt wiele wolnego czasu. Zadanie zdecydowanie ułatwiała Zoe, jej siostra, Neil, rodzice, siostrzeńcy, praca i nieskończony ciąg imprez, na które zapraszała mnie Charla i jej mąż Barry. Chodziłam na prawie wszystkie. W ciągu dwóch lat poznałam więcej ludzi niż podczas całego pobytu w Paryżu. Cieszyłam się z tego, że znalazłam się w kosmopolitycznym tyglu towarzyskim.

Tak, opuściłam Paryż na dobre, ale kiedy tylko do niego wracałam ze względu na pracę, by spotkać się z przyjaciółmi lub Edouardem, za każdym razem trafiałam do dzielnicy Marais. Jakby nogi nie mogły mnie zaprowadzić nigdzie indziej. Rue des Rosiers, rue du Roi de Sicile, rue des Ecouffles, rue de Saintonge, rue de Bretagne - widziałam, jak przesuwają mi się przed oczami. Pamiętałam, co się tu stało w czterdziestym drugim, chociaż było to na długo przed moim urodzeniem.

Zastanawiałam się, kto teraz zajmuje mieszkanie na rue de Saintonge, kto stoi przy oknie z widokiem na zasypane liśćmi podwórko, kto wodzi palcami po marmurowym kominku. Byłam ciekawa, czy nowi mieszkańcy mają jakiegokolwiek pojęcie, że w ich domu zmarł mały chłopiec, a życie dziewczynki zostało w ułamku sekundy zmienione na zawsze.

W snach również wracałam na Marais. Czasami okropieństwa przeszłości, której nie byłam świadkiem, nawiedzały mnie z taką wyrazistością, że musiałam włączać światło, aby odpędzić koszmar.

To podczas tych bezsennych pustych nocy, kiedy leżałam w łóżku, zmęczona plotkami i pogawędkami, kiedy czułam suchość w ustach po tym ostatnim kieliszku wina, którego nie powinnam już była pić, wracał na nowo i nawiedzał mnie stary ból.

Jego oczy. Jego twarz, gdy przeczytałam na głos list Sary. To wszystko mnie prześladowało i odpędzało sen, nie mogłam się od tego uwolnić.

Głos Zoe przywołał mnie z powrotem do Central Parku, do pięknego wiosennego dnia i ręki Neila na moim udzie.

- Mamo, ten potwór chce loda.

- Nie ma mowy. Żadnych lodów.

Dziecko rzuciło się na trawę i wybuchło głośnym płaczem.

- To dopiero dziewczynka, co? - powiedział do siebie Neil.

Styczeń dwa tysiące piątego roku również bez przerwy przypominał mi o Sarze i Williamie. Znaczenie obchodów sześćdziesiątej rocznicy wyzwolenia Oświęcimia podkreślane była na pierwszych stronach gazet na całym świecie. Zdawało się, że nigdy wcześniej tak często nie wymawiano słowa „szoa”.

A za każdym razem, gdy je słyszałam, moje myśli wykonywały bolesny skok w jej stronę, a tym samym w stronę niego. Oglądając transmisję z ceremonii upamiętniającej zbrodnię oświęcimską, zastanawiałam się, czy William również o mnie myśli, gdy słyszy to słowo, gdy widzi pojawiające się na ekranie okropne czarnobiałe wizje z przeszłości: ułożone w stosy, pozbawione życia kościste ciała, krematoria, popioły, cały ten koszmar.

W tym strasznym miejscu zginęła jego rodzina. Rodzice jego matki. Jak mógłby o nim nie myśleć? W towarzystwie Zoe i Charli patrzyłam, jak na ekranie płatki śniegu spadają na obóz, drut kolczasty, przysadzistą wieżę strażniczą. Tłumy, przemówienia, modlitwy* świece. Rosyjscy żołnierze i ich szczególnie taneczny marsz.

Oraz końcowy niezapomniany obraz zachodu słońca, rozświetlonych szyn jaśniejących w ciemności ostrą i dotkliwą mieszanką żalu i pamięci.

Zadzwoił pewnego majowego popołudnia, kiedy najmniej się tego spodziewałam.

Siedziałam przy biurku, siłując się z humorami komputera. Podniosłam słuchawkę.

Moje „Tak?” nawet w moich uszach zabrzmiało burkliwie.

- Cześć. Tu William Rainsferd.

Usiadłam prosto, czułam łomot serca, choć starałam się opanować. William Rainsferd. Nic nie mówiłam, oniemiała, przyciskając słuchawkę do ucha.

- Jesteś tam, Julio? Przełknęłam ślinę.

- Tak, mam akurat problemy z komputerem. Jak się masz, Williamie?

- W porządku.

Chwila ciszy. Jednak bez napięcia.

- Od dawna cię nie słyszałam - powiedziałam z braku lepszych pomysłów.

- Ja ciebie też. Ponowne milczenie.

- Widzę, że jesteś teraz obywatelką Nowego Jorku - stwierdził w końcu. -

Sprawdziłem w sieci.

A więc Zoe miała rację.

- Może chciałabyś się spotkać?

- Dzisiaj?

- Jeżeli dasz radę.

Pomyślałam o dziecku śpiącym w sąsiednim pokoju. Była rano w żłobku, ale mogłam ją zabrać ze sobą. Choć nie będzie zadowolona z przerwanej drzemki.

- Dam - oznajmiłam.

- Świetnie. Podjadę do twojej części miasta. Masz pomysł, gdzie moglibyśmy się spotkać?

- Znasz Cafe Mozart? Na skrzyżowaniu West 70th Street i Broadwayu?

- Znam. Dobrze. Zatem za pół godziny?

Odłożyłam słuchawkę. Serce biło mi tak szybko, że ledwo mogłam oddychać.

Poszłam obudzić córeczkę. Nie zwracając uwagi na protesty, ubrałam ją, rozłożyłam wózek i ruszyłam.

Kiedy dotarłam, był już na miejscu. Najpierw zobaczyłam jego plecy - potężne ramiona oraz grube srebrne włosy, w których nie widać już było śladów wcześniejszego złotego koloru. Czytał gazetę, ale obrócił się, gdy podchodziłam, jakby czuł na sobie mój wzrok. Wstał i nastąpiła zabawna chwila niezręczności, podczas której nie wiedzieliśmy, czy powinniśmy sobie podać ręce, czy powitać jedno drugiego pocałunkami. Roześmiał się, tak jak ja, i wreszcie uścisnął mnie potężnym niedźwiedzim uściskiem, wgniatając moją brodę w swój obojczyk i klepiąc mnie po plecach. Po czym pochylił się, by podziwiać moją córkę.

- Co za słodka dziewczynka - zwrócił się do dziecka.

Z poważną miną na twarzy podała mu swoją ulubioną gumową żyrafę.

- A jak ty się nazywasz? - spytał.

- Lucy - wysepleniła.

- To imię żyrafy - zaczęłam mówić, ale William zaczął ścisnąć zabawkę i głośne piski zagłuszyły mój głos, wywołując za to u dziecka okrzyki radości.

Znaleźliśmy dla siebie stolik i usiedliśmy, pozostawiając dziecko w wózku. Spojrzał na kartę.

- Jadłaś kiedyś sernik Amadeusza? - spytał, podnosząc brew.

- Tak. Jest absolutnie nie do pobicia. Uśmiechnął się szeroko.

- Hej, wyglądasz świetnie, Julio. Nowy Jork dobrze na ciebie działa.

Zarumieniłam się jak nastolatka, wyobrażając sobie przy tym, jak patrzy na mnie Zoe i wywraca oczami.

Wtedy zadzwoniła komórka Williama. Odebrał. Po jego minie widziałam, że to kobieta. Ciekawe kto. Żona? Jedna z córek? Rozmowa się przeciągała. Sprawiał wrażenie zirytowanego. Pochyliłam się nad bawiącym się żyrafą dzieckiem.

- Przepraszam - powiedział, odkładając telefon. - To moja dziewczyna.

- Aha...

W moim głosie musiało być słychać zdziwienie, parsknął bowiem

śmiechem.

- Jestem rozwiedziony, Julio.

Spojrzał mi prosto w oczy. Jego twarz spoważniała.

- Wiesz, po tym, jak mi powiedziałaś, wszystko się zmieniło. Wreszcie. Wreszcie słyszałam to, czego mi w tej historii brakowało. Co się stało później. Konsekwencje.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Bałam się, że on zamilknie, jeżeli się w ogóle odezwę. Zajmowałam się więc dalej córką, podałam jej butelkę z wodą, pilnowałam, żeby nie wylała wszystkiego na siebie, wyciągnęłam papierową serwetkę.

Kelnerka przyszła przyjąć zamówienie. Dwa serniki Amadeusza, dwie kawy i racuch dla dziecka.

William powiedział:

- Wszystko się rozpadło. To było piekło. Naprawdę straszny rok.

Milczeliśmy przez kilka minut, rozglądając się po pozajmowanych stolikach.

Kawiarnia była hałaśliwym miejscem, w którym z ukrytych głośników rozbrzmiewała muzyka klasyczna. Dziecko z żyrafą w rączce gulgotało do siebie i uśmiechało do mnie i Williama. Kelnerka przyniosła nasze zamówienie.

- Teraz jest lepiej? - spytałam niepewnie.

- Tak - odparł szybko. - Znacznie lepiej. Przywyknięcie do tej nowej części siebie zajęło mi chwilę. Zrozumienie i zaakceptowanie historii matki. Pogodzenie się z tym, jak bardzo jest bolesna. Czasami nadal nie daję rady. Ale staram się, bardzo.

Zrobiłem kilka koniecznych rzeczy.

- Na przykład? - spytałam, podając córce lepkie kawałki rozdrobnionego racucha.

- Zdałem sobie sprawę, że nie mogę już tego znosić sam. Czuję się odosobniony i załamany. Żona nie mogła zrozumieć, przez co przechodzę. A ja

po prostu nie mogłem tego wyjaśnić. Porozumienie było niemożliwe. W zeszłym roku zabrałem córki do Oświęcimia przed obchodami sześćdziesiątej rocznicy. Musiałem im powiedzieć o tym, co spotkało ich pradziadków. Nie było to łatwe, ale uważałem to za jedyny sposób. Pokazanie im. Podróż była wzruszająca i pełna łez, ale w końcu pogodziłem się z samym sobą, a moje córki chyba zrozumiały.

Miał smutny, zamyślony wyraz twarzy. Nie odzywałam się, nie przerywałam.

Otarłam twarz córeczki i dałam jej wodę do popicia.

- W styczniu zrobiłem jedną rzecz. Pojechałem do Paryża. Może wiesz, że w Marais jest nowy pomnik Holokaustu. - Przytaknęłam. Słyszałam o nim i zamierzałam go odwiedzić podczas następnej podróży. - Został odsłonięty przez Chiraca pod koniec stycznia. Tuż przy wejściu stoi ściana wypełniona nazwiskami. Wielki szary kamienny mur, a na nim wyryte siedemdziesiąt sześć tysięcy nazwisk. Imiona i nazwiska wszystkich Żydów deportowanych z Francji.

Patrzyłam, jak bawi się filiżanką. Miałam kłopoty ze spojrzeniem mu w twarz.

- Poszedłem tam, by znaleźć ich nazwiska. Były. Władysław i Rywka Starzyńscy.

Moi dziadkowie. Poczulem taki sam spokój jak po wizycie w Oświęcimiu. Taki sam ból. Byłem wdzięczny, że się o nich pamięta, że Francuzi o nich pamiętają i w ten sposób upamiętniają. Ludzie płakali przy tej ścianie, Julio. Starzy, młodzi, w moim wieku, dotykali ściany i płakali.

Przerwał, oddychając ostrożnie przez usta. Nie odrywałam wzroku od filiżanki i jego palców. Żyrafa dziecka zapiszczała, ale ledwo ją usłyszeliśmy.

- Chirac wygłosił przemówienie. Oczywiście niewiele zrozumiałem. Ale później znalazłem treść w sieci i przeczytałem tłumaczenie. Dobrze mówił. Zachęcał ludzi, aby pamiętali o odpowiedzialności Francji za aresztowania Vel'

d'Hiv' i ich następstwa. Chirac wymówił te same słowa, które napisała moja matka na końcu listu. Zakhor, Al Tizkah. Pamiętaj. Nigdy nie zapomnij. Po hebrajsku.

Pochylił się i wyciągnął z postawionego przy krześle plecaka kopertę. Podał mi ją.

- To fotografie mamy. Chciałem ci je pokazać. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że nie wiem, kim była moja matka, Julio. To znaczy, wiem, jak wyglądała, znam jej twarz i uśmiech, ale nie wiem nic o tym, co przeżywała.

Starłam z palców syrop klonowy, by móc obejrzeć zdjęcia. Sarah w dniu ślubu.

Wysoka, szczupła, ze swoim drobnym uśmiechem na ustach i tajemniczymi oczami.

Sarah z malutkim Williamem na rękach. Sarah trzymająca nieco starszego Williama za rączkę. Sarah w wieku trzydziestu kilku lat w szmaragdowym stroju balowym.

Oraz Sarah tuż przed śmiercią. Duży kolorowy portret. Zauważyłam, że miała siwe włosy. Przedwcześnie posiwiałe i dziwnie atrakcyjne. Tak jak teraz Williama.

- Pamiętam ją jako milczącą, wysoką i szczupłą... i milczącą - powiedział William, podczas gdy z coraz większym przejęciem oglądałam kolejne fotografie. - Nie śmiała się często, była poważną osobą, za to kochającą matką. Ale nikt ani razu nie wspomniał o samobójstwie po jej śmierci. Nigdy. Nawet tata. Zapewne nigdy nie przeczytał zeszytu. Nikt go nie czytał.

Być może ojciec znalazł go dużo później, gdy już od dawna nie żyła. Wszyscy sądziliśmy, że to wypadek. Nikt nie wiedział, kim jest moja matka, Julio. Nawet ja. I z tym właśnie tak trudno mi żyć. Co doprowadziło do jej śmierci tego zimnego śnieżnego dnia? Jak podjęła decyzję? Dlaczego nic nigdy nie wiedzieliśmy o jej przeszłości? Z jakiego powodu postanowiła nie mówić mojemu ojcu? Dlaczego zachowała całe swoje cierpienie i ból dla siebie?

- To piękne zdjęcia - powiedziałam w końcu. - Dziękuję, że je przyniosłeś.

Przerwałam.

- Muszę cię o coś spytać. - Odkładałam fotografie do koperty i zbierałam odwagę, by w końcu spojrzeć mu w oczy.

- Proszę bardzo.

- Nie masz mi tego wszystkiego za złe? - spytałam z niepewnym uśmiechem. - Czułam się, jakbym zniszczyła ci życie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Nic nie mam ci za złe, Julio. Po prostu musiałem to przemyśleć. Zrozumieć. Złożyć wszystko w jedną całość. Chwilę to zajęło. Dlatego się tak długo nie odzywałem.

Poczułam ogarniającą mnie ulgę.

- Ale przez cały czas wiedziałem, gdzie jesteś - uśmiechnął się. - Poświęciłem niejedną wieczór na pilnowanie, co się z tobą dzieje.

Mamo, on wie, że tutaj mieszkasz. Też sprawdzał, co jest o tobie w internecie. Wie, co robisz i gdzie mieszkasz.

- Kiedy dokładnie przeprowadziłaś się do Nowego Jorku? - spytał.

- Chwilę po tym, jak urodziło się dziecko. Wiosną dwa tysiące trzeciego.

- Dlaczego opuściłaś Paryż? Jeżeli to nie jest zbyt osobiste pytanie...

Ponuro uśmiechnęłam się półgębkiem.

- Moje małżeństwo się rozpadło. Dopiero co urodziłam to dziecko. Nie mogłam się w żaden sposób zdobyć na zamieszkanie na rue de Saintonge po tym wszystkim, co miało tam miejsce. Uznałam, że najlepiej będzie wrócić do Stanów.

- I jak ci się to udało?

- Mieszkałyśmy z córkami przez jakiś czas u mojej siostry na Upper East Side, po czym znalazła dla mnie mieszkanie, które podnajmuję od jednej z jej przyjaciółek. Z kolei były szef załatwił mi świetną posadę. A jak to wyglądało u

ciebie?

- Bardzo podobnie. Nie mogłem się pogodzić z dalszym życiem w Lukce. A żona i ja... - Nie dokończył zdania. Za to pomachał palcami niczym na pożegnanie, pa pa. - Mieszkałem tutaj, gdy byłem mały, przed Roxbury. A pomysł powrotu do Nowego Jorku krążył mi po głowie od jakiegoś czasu. Więc wreszcie wcieliłem go w życie.

Mieszkałem najpierw na Brooklynie u jednego z moich najstarszych przyjaciół, po czym znalazłem mieszkanie dla siebie w Village. Nadal pracuję jako krytyk kulinarny.

Zadzwoił telefon Williama. Znowu dziewczyna. Odwróciłam się, starając się dać mu prywatność, której potrzebował. W końcu odłożył słuchawkę.

- Jest nieco zaborcza - powiedział nieśmiało. - Chyba wyłączę na razie telefon.

Zaczął grzebać przy klawiszach.

- Od jak dawna jesteście razem?

- Od kilku miesięcy - spojrzał na mnie. - A ty? Spotykasz się z kimś?

- Owszem. - Pomyślałam o grzecznym, ale nie porywającym uśmiechu Neila. Jego ostrożnych ruchach. Sztampowym seksie. Prawie dodałam, że to nic ważnego i spotykam się tylko dla towarzystwa, bo nie mogę znieść samotności, bo co noc myślę o Williamie i jego matce, każdej nocy od dwóch i pół roku. Jednak powiedziałam tylko:

- To miły mężczyzna. Rozwiedziony prawnik.

William zamówił kolejny dzbanek kawy. Kiedy napełniał mi filiżankę, zauważyłam raz jeszcze piękno jego dłoni, długich smukłych palców.

- Jakies sześć miesięcy po naszym ostatnim spotkaniu - powiedział - wróciłem na rue de Saintonge. Musiałem się z tobą spotkać. Porozmawiać. Nie wiedziałem, jak do ciebie dotrzeć. Nie miałem żadnego numeru i nie byłem w stanie sobie przypomnieć nazwiska twojego męża, więc nie mogłem nawet

sprawdzić w książce telefonicznej.

Sądziłem, że nadal tam mieszkasz. Nie miałem pojęcia, że się przeprowadziłaś.

Przerwał i przeciągnął palce przez swoje grube srebrne włosy.

- Przeczytałem, co mogłem, o aresztowaniach Vel' d'Hiv', byłem w BeaunelaRolande i na ulicy, na której stał stadion. Odwiedziłem Gasparda i Nicolasa Dufaure.

Zabrali mnie na grób mojego wujka na orleańskim cmentarzu. Tacy mili mężczyźni.

Ale było to trudne, ciężkie do zniesienia. Żałowałem, że nie jesteś tam ze mną. Nie powinienem był się zabierać za to wszystko sam. Powinienem był powiedzieć „tak”, gdy zaproponowałaś, że mi potowarzyszysz.

- Może powinnam była nalegać.

- To ja powinienem ciebie posłuchać. To było zbyt dużo na jedną osobę. A potem, gdy w końcu wróciłem na rue de Saintonge, a drzwi otworzyli nieznani ludzie, poczułem, jakbyś mnie zawiodła.

Opuścił wzrok. Odstawiłam filiżankę na spodek, czując ogarniające mnie rozżalenie.

Jak mógł, pomyślałam, po wszystkim, co dla niego zrobiłam, po takiej ilości poświęconego czasu, wysiłku, po takim bólu, po pustce.

Musiał coś odczytać w mojej twarzy, bo szybko położył rękę na moim rękawie.

- Przepraszam, że to powiedziałem - wymamrotał.

- Nigdy cię nie zawiodłam, Williamie.

Zabrzmiało to bardzo sztywno.

- Wiem, Julio, przepraszam.

Jego głos z kolei był głęboki i dźwięczny.

Rozluźniłam się, a nawet zdołałam uśmiechnąć. Popijaliśmy kawę w milczeniu.

Czasami przypadkiem trącaliśmy się pod stołem kolanami. Bycie razem wydawało się takie naturalne. Jakbyśmy byli razem od lat. A nie widzieli się po raz trzeci w życiu.

- Czy twój były mąż nie ma ci za złe, że przeprowadziłaś się tutaj z dziećmi?

Wzruszyłam ramionami. Spojrzałam na córkę, która zasnęła w wózku.

- Nie było to łatwe. Ale on się zakochał w kimś innym. Już jakiś czas temu. To ułatwiło sprawy. Nie spotyka się jednak zbyt często z dziewczynkami. Co jakiś czas przyjeżdża, a Zoe spędza wakacje we Francji.

- Tak samo jest z moją byłą żoną. Urodziła już kolejne dziecko. Chłopca. Jeżdżę do Lukki, jak tylko mogę, by zobaczyć swoje córki. Albo one przyjeżdżają tutaj, ale to rzadziej. Są już całkiem dorosłe.

- Ile mają lat?

- Stefania dwadzieścia jeden, a Giustina dziewiętnaście. Zagwizdałam.

- Nie ociągałeś się.

- Być może zbyt szybko się spieszyłem.

- Nie byłabym taka pewna. Ja czasami dziwnie się czuję przy córeczce. Żałuję, że nie urodziłam jej wcześniej. Między nią a Zoe jest taka luka.

- Jest słodka - stwierdził, wkładając do ust solidny kawałek sernika.

- Owszem, jest. Jest moim oczkiem w głowie, prawie nie spuszcza z niej oczu.

Oboje się zaśmialiśmy.

- Żałujesz, że nie urodziłaś chłopca?

- Nie. A tobie brakuje syna?

- Też nie. Kocham swoje dziewczyny. Chociaż może będą miały wnuki.

Zatem nazywa się Lucy?

Spojrzałam na niego. Następnie na córkę.

- Nie, to imię gumowej żyrafy. Chwila ciszy.

- Nazywa się Sarah - powiedziałam cicho.

Przestał żuć i odłożył widelec. Jego oczy się zmieniły. Spojrzał na mnie, na śpiące dziecko; nic nie powiedział.

Po czym schował twarz w dłoniach. Trwał w bezruchu przez kilka minut. Nie wiedziałam, co robić. Dotknęłam jego ramienia.

Cisza.

Znowu poczułam się winna, jakbym zrobiła coś niewybaczalnego. Ale od początku wiedziałam, że dziecko będzie się nazywać Sarah. Jak tylko dowiedziałam się, że to dziewczynka. Już w chwili narodzin znałam jej imię.

Nie mogłam nadać swojej córce innego imienia. Była Sarą. Moją Sarą. Podzwiekiem tej drugiej Sary, dziewczynki z żółtą gwiazdą, która odmieniła moje życie.

W końcu odsłonił twarz - przepelnioną silnymi emocjami i piękną. Ostry smutek, błyszczące w jego oczach uczucia. Nie bał mi się ich pokazać. Nie walczył z łzami.

Zdawało się, że chce, abym zobaczyła piękno i ból jego życia, abym widziała jego wdzięczność i cierpienie.

Wzięłam Williama za rękę i ścisnęłam mocno. Nie mogłam znieść patrzenia na niego, więc zamknęłam oczy i przycisnęłam męską dłoń do policzka. Płakałam razem z nim.

Czułam, jak palce stają się mokre od moich łez, ale nie odsuwałam jego dłoni.

Siedzieliśmy przez długi czas, aż w kawiarni zrobiło się luźniej, słońce się przesunęło, a światło zmieniło. Aż poczuliśmy, że możemy ponownie spojrzeć na siebie bez łez.